

Michener James A

Hawaje

Wielki Błękit

PRZEKŁAD: PAWEŁ ZIEMKIEWICZ

IV
WIELKI BŁĘKIT

W roku 817, kiedy król Tamatoa z Bora Bora i jego brat Teroro uciekli na Północne Hawaiki, by stworzyć tam nową społeczność, północną część Chin najechały hordy Mongołów. Dzięki doskonałemu opanowaniu jazdy konnej, prymitywnej odwadze oraz bezwzględemu użyciu przemocy szybko podbili górujących nad nimi kulturowo Chińczyków, na próżno, a często i bez przekonania próbujących stawiać im opór. Mijały ciężkie lata; upadł Pekin i miasta na wybrzeżu, i stało się oczywistym, że Mongołowie postanowili zostać w Chinach.

Skutki najazdu najbardziej odczuwało wielkie Królestwo Środka, serce Chin, ponieważ Mongołowie szukali właśnie żyznych pól uprawnych i bogatych miast. Mniej więcej w połowie stulecia wysłali armię na południe, by zdobyć prowincję Honan leżącą około pięćset sześćdziesięciu kilometrów na południe od Pekinu i na wschód od Żółtej Rzeki. W tym czasie w Honan żyła spora grupa Chińczyków wyraźnie odróżniająca się od reszty. Byli wyżsi, bardziej konserwatywni, mówili czystym, starożytnym językiem nie zatrutym żadnymi nowinkami czy ozdobnikami. Gdy jarzmo mongolskiej niewoli spadło na ich sąsiadów z północy, a ci nie stawili oporu najeźdźcom, ludzie, o których chcę teraz opowiedzieć przyjęli to z goryczą.

W 856 roku, w górskiej wiosce farmer Char Ti Chong, wysoki, szczupły mężczyzna, którego przystojną twarz o wydatnych kościach policzkowych otaczały bujne, niedbale uczesane włosy, powiedział do swojej żony Nyuk Moi:

— Nie oddam naszej ziemi barbarzyńcom.

— Co możesz zrobić? — zaprotestowała jego rozsądna małżonka, która podczas dwudziestu trzech lat spędzonych z Charem słyszała wiele wspaniałych obietnic, w większości nigdy nie spełnionych.

— Stawimy im opór — zasugerował Char.

— Ze snopkami zboża zamiast armii? — zaprotestowała znużonym głosem Nyuk Moi.

Była szczupłą, kościstą kobietą, która zawsze sprawiała wrażenie, że za chwilę zacznie rozpaczać, ale mimo że jej życie było ciężkie, rzadko marnowała czas na płacz. Pełen nadziei ojciec nadał jej imię po najpiękniejszej rzeczy jaką widział — błyszczącym wisiorze, klejnocie spoczywającym wśród biżuterii należącej do pewnego bogatego człowieka. Niestety dziewczyna nie dorównywała temu imieniu, Nyuk Moi, śliwkowy jadeit. Miała w sobie jednak coś o wiele cenniejszego niż uroda, zdolność do całkowicie realistycznej oceny życia.

— Zamierzasz zatem walczyć z najeźdźcami? — zapytała.

— Zniszczymy ich! — powtórzył twardo jej mąż pewien, że te przechwałki uratują jego ziemię.

To nie była dobra ziemia i w innej części świata uznano by, iż nie warto jej bronić. Królestwo Środka bogate było we wspaniałe pola, lecz rolnik Char nie posiadał takich. Jego trzy akry leżały na zboczu, w miejscu gdzie skaliste góry Hananu stykały się z tym, co przy odrobinie dobrej woli można by nazwać ziemią uprawną. W pobliżu nie było bieżącej wody, zdany więc był na sporadyczne deszcze, a gleba nie rodziła wiele. Mimo to, głównie dzięki ogromnemu wysiłkowi Chary ziemia ta żywiła dziewięcioosobową rodzinę: Charę, jego żonę Nyuk Moi, jego starą, zmęczoną matkę i sześcioro dzieci. Nie żyło im się zbyt dobrze, bo nie mieli kaczek ani kur, jedynie dwie świnie, ale nie gorzej niż większości rodzin zamieszkujących tę wioskę.

Na zawsze pozostanie zagadką, co uczyniliby Mongołowie z otoczoną kamiennym murem wioską, gdyby ją podbili. Nie udało im się wycisnąć z tej ziemi ani jednego ziarnka pszenicy więcej niż wydawała dotąd, a gdyby zabrali zbyt wiele, wieśniacy zaczęliby głodować. Obawa, że Mongołowie, nasyciwszy się Pekinem, z całą pewnością wkroczą do starej wioski w górach owładnięta Charem i jego przyjaciółmi. Rolnicy zaczęli zbierać się co noc w domostwie najmądrzejszego z mieszkańców, generała Ching, by dyskutować o planach obrony. Teraz nie było przecież rządu, który by ich chronił.

Naturalnie ów Ching nie był prawdziwym generałem, tylko krępym, rumianym wędrowcem, który przez przypadek znalazł się w pobliżu Pekinu, gdy ludzie cesarza w pośpiechu zbierali armię. Zabrali Chinga, a on podczas długiej kampanii doszedł do wniosku, iż spodobało mu się życie wojskowe, co samo w sobie było haniebne. Po wojnie, zresztą zupełnie bezowocnej, ponieważ Mongołowie szybko zajęli te same tereny, które Ching uprzednio pacyfikował, wrócił do domu, do górskiej wioski i swoich rezolutnych, upartych ziomków. Przez całe miesiące rozweselał ich opowieściami o swojej kampanii na północy.

— Postawimy ludzi tu i tu — zaproponował Ching. Był odważnym człowiekiem, o którym mówiono: „Może maszerować przez ponad sześćdziesiąt kilometrów i walczyć tego samego wieczoru”. Po powrocie z wojska wykazał się wielką siłą, tak, że chociaż bez wątpienia był bufonem, mężczyźni nie odmawiali mu tytułu generała i z uwagą słuchali jego przewidywań:

— Mongołowie zbliżą się do wioski tą drogą. Jaki inny szlak wybrałby rozsądny generał?

Zanim jednak można było sprawdzić teorię Chinga, na wioskę spadł wróg o wiele straszniejszy i lepiej znany niż Mongołowie. Nastąpiła susza, gorące słońce bezlitośnie paliło ziemię. Zboże obumarło nierzadko połowa wiosny, a w lecie racjonowano nawet wodę pitną. Rodziny, w których znajdowali się starzy ludzie, zaczęły zastanawiać się kiedy ich wiekowi ojcowie i matki umrą. Dzieci płakały.

Rolnik Char i jego rodzina przeżyli głód już cztery razy i wiedzieli, że jeśli zachowało się ścisłą dyscyplinę, jadło korzenie traw i pnącza wykopane w lesie, miało się szansę na przetrwanie. Tym razem głód zaatakował jednak z ogromną siłą. Wkrótce stało się jasne, iż większość z rodzin zamieszkujących wioskę będzie musiała albo wyruszyć w drogę, albo umrzeć wśród wysuszonych, rozgrzanych wzgórz. Dlatego, kiedy słońce grzało najgoręcej, rodzina Chara przyniosła błoto z prawie wyschniętego strumienia, ulepiała z niego cegły i zbudowała mur zagrządzający wejście do ich domu. W miejscu, gdzie znajdowały się drzwi, umieścili krzyż z czarnych patyków. Zanim całkowicie zamurowano drzwi, Char przez niewielki otwór wszedł do środka i po raz ostatni zważył w dłoni woreczek z ziarnem, od którego miało zależeć życie rodziny, gdy następnej wiosny powróci do domu. Trzymając go, zapewnił gromadkę nieszczęśników:

— To ziarno zostanie teraz zamurowane w środku. Będzie na nas czekało. Następnie przeszedł przez murek i zamurował otwór. Skończywszy pracę, z żalem odwrócił się plecami do domu i wyprowadził rodzinę z obwarowanej wioski na drogę.

Przez następne siedem miesięcy wędrowali po Chinach zebrząc o jedzenie, jedząc odpadki i robiąc wszystko, by nie sprzedać swoich córek starcom, którzy mieli jedzenie. Już dwa razy Char i Nyuk Moi doświadczyli podobnej wędrówki i udało im się doprowadzić z powrotem całą rodzinę.

Wierzyli, że i tym razem dadzą sobie radę, bo kiedy wyruszyli w drogę, Char przysiągł:

— Za siedem miesięcy wrócimy tu... wszyscy.

Nyuk Moi nie była tak pełna nadziei. Char zauważył, iż trzymała swoje dwie piękne córki blisko siebie w dzień i noc.

Tylko jednogo rodzina Chara nie musiała się lękać. Rozbójnicy mogli zamordować ich na trakcie, handlarze niewolników mogli próbować uprowadzić ich córki, żołnierze mogli wymordować wszystkie wędrujące rodziny, a skorumpowani urzędnicy podstępem uczynić z nich niewolników. Jednak nikt w Chinach nie włamałby się do domu zamurowanego błotem, w którego drzwiach ułożono skrzyżowane patyki. Tak więc, podczas gdy rodzina Chary wędrowała po północnych Chinach w poszukiwaniu jedzenia, ich dom był nietykalny.

Jesienią 856 roku w pewnym miasteczku na północnej granicy Honanu, farmer Char został wystawiony na ciężką próbę. W tamtej okolicy padały deszcze i zebrano bogate plony. Przez kilka tygodni Char z rodziną wychodzili na pola i nocami, czołgając się po ziemi, wyszukiwali ziarenka, które przeoczyły nawet owady. W ten sposób uzbierali dość ziarna, by przetrwać. Nyuk Moi ugotowała je z pewnym gatunkiem zwietrzałej gliny, jakimiś trawami i zdechłym ptakiem. Danie końcowe było wcale niezłe.

Jednak kiedy przez cztery dni pod rząd nie udało im się znaleźć żadnego pokłosa ani martwych ptaków, do drzewa, pod którym spała rodzina Chara podszedł sługa bogatego człowieka. Miał przy sobie torebkę ze świeżo upieczonymi plackami, których zapach doprowadzał do szaleństwa najmłodsze dzieci Chara. Mężczyzna obojętnym głosem oznajmił:

— Mój pan mógłby rozważyć kupienie waszej najstarszej córki. Bliski śmierci głodowej Char zapytał poważnie:

— Czy zatrzymałby ją dla siebie?

— Może przez pewien czas — odpowiedział służący szeleszcząc torbą — ale wcześniej czy później nasz pan odsyła wszystkie dziewczęta do miasta,

— Ile dałby nam za nią? — zapytał żałośnie Char.

— Placki i dość ziarna, by przetrwać do wiosny.

— Wróc za godzinę — poprosił Char, a kiedy mężczyzna odszedł, kołysząc kuszącą torbą pachnących placków, Char zebrał rodzinę i oznajmił szczerze:

— Właściciel pola chce kupić Siu Lin.

Nyuk Moi, która od dawna przewidywała, że to musi się stać, przyciągnęła milczącą dziewczynę, posadziła na ziemi między swoimi nogami i zapytała: — Czy nie ma innego sposobu?

— Nie ma już pokłosa — odrzekł ponurym głosem Char. — Wkrótce nadejdzie zima. Tym razem będziemy mieli szczęście jeżeli wrócimy do domu z którymkolwiek z naszych dzieci.

Nyuk Moi nie złorzeczyła mężowi. Nie widziała innego wyjścia i rodzina o mało nie zgodziła się sprzedać Siu Lin, Pięknej Orchidei. Nagle usłyszeli melodię. Ktoś gwizdał melodię znaną w nielicznych poza ich wioską miejscach.

— Kto idzie? — zawołał Char.

Obcy, rozpoznawszy dialekt ze swojej wioski, odrzyknął:

— Generał Ching — i w chwilę później pojawił się przed nimi. Jego kwadratowa twarz wychudła, ale nadal miała zuchwały wyraz.

— Jak dajecie sobie radę z głodem? — zapytał. — U mnie nie idzie najlepiej.

— Właśnie rozważamy możliwość sprzedania naszej najstarszej córki, Siu Lin — otwarcie i ze smutkiem wyznał Char.

— Ja ją kupię! — wykrzyknął generał Ching — kłaniając się uprzejmie przerażonej dziewczynie. — Każdy chciałby ją kupić!

— Sługa bogacza ma przyjść za godzinę po odpowiedź — dodał Char. Sprawny mózg generała Chinga natychmiast przestawił się na wojskowy sposób rozumowania.

— Sługa bogacza? — sapnął, a jego wygłodzone oczy spoglądały w ciemność. W jednej chwili miał gotowy plan. — powiemy słudze, że sprzedamy dziewczynę. Ja jestem twoim starszym bratem. Ja podejmuję decyzje. Potem ty, ja, Nyuk Moi i wasz starszy syn odprowadzimy ją. Gdy tylko sługa podprowadzi nas dostatecznie blisko, byśmy wiedzieli gdzie ten bogacz mieszka, zabijemy go. Zabierzemy wszystko, co będzie miał przy sobie. Wasz chłopak wróci tu z łupem. Potem wejdziemy do domu, przedstawimy Siu Lin staremu, a kiedy podejdzie, żeby ją zabrać, zamordujemy go. Może dojdzie do walki, więc każde z was, Char, Nyuk Moi i Siu Lin musicie być gotowi do zabijania. Siu Lin, czy myślisz, że będziesz potrafiła zabić człowieka?

— Tak — odpowiedziała delikatna dziewczyna.

— Dobrze — generał zatarł kościste ręce.

— Czy plan zadziała? — zapytał Char.

— Jeśli nie, i tak umrzemy z głodu.

— Gdyby nas złapali, co z nami zrobią? — zapytał najstarszy chłopiec.

— Wsadzą nas do klatek, — zaczął wyjaśniać generał Ching — będą nas głodzić i obnosić od wioski do wioski, żeby wszystkie głodujące rodziny wiedziały co się z nimi stanie, jeżeli zabiją, by zdobyć jedzenie. Kiedy będziemy już konający, wyjmą nas z klatki i posiekają na trzysta kawałeczków, a potem powieszą nasze głowy na bramach miasta. Zdajecie sobie sprawę z ryzyka? — zapytał chłodno.

— Tak — odpowiedział Char.

— Sza — szepnął generał. — Nadchodzi służący.

Pojawił się sżywny, dobrze odżywiony mężczyzna, szeleszczący jak poprzednio torbą z plackami i zapytał:

— Czy zdecydowaliście się?

— Jestem starszym bratem — oznajmił generał Ching. — Rozważyliśmy sprawę i postanowiliśmy dobić targu.

Służący poprowadził Siu Lin, jej matkę, brata, Chara oraz generała, a kiedy zorientowali się, gdzie leży dom jego pana i gdzie znajdują się wejścia, generał zadusił go. Placki rzucił chłopcu, który natychmiast pobiegł z nimi do głodujących dzieci i starej babci.

— Teraz musimy zebrać się na odwagę — powiedział poważnie Ching. Wszedł jako pierwszy do domu bogacza, przedstawił gospodarzowi Siu Lin i powiedział:

— Przyprawiliśmy dziewczynę, panie. :

— Gdzie jest Ping — zapytał podejrzliwie mężczyzna.

— Rozdaje placki głodującym dzieciom — wyjaśnił łagodnym głosem Ching. — Czy widziałeś kiedyś swoje dzieci głodne, panie?

— Nie — mężczyzna z trudem przełknął ślinę, starając się nie patrzeć na ponętą Siu Lin.

— Ja widziałem — ciągnął miękko Ching. — Podczas tego głodu pochowałem moich troje dzieci.

— Och, nie! — jęknęła Nyuk Moi i sposób, w jaki zdradziła się, że nie wiedziała o nieszczęściu generała pozwolił sprytnemu bogaczowi odgadnąć spisek. Chciał pociągnąć za dzwonek i wezwać służbę, ale generał uniemożliwił mu to, wykręcając mu rękę.

— Umarło troje moich dzieci — powtórzył powoli — a teraz ty umrzesz.

— Z niesamowitą siłą zacisnął dłonie na szyi bogacza i zadusił go, ale umierając, mężczyzna, który kupował dziewczęta do domów publicznych, krzyknął i do pokoju wbiegł uzbrojony służący. Próbował zabić generała Chinga, ale Char rzucił się na niego. Służący wypuścił z ręki broń. Nyuk Moi pochwyliła ją i zasiekła napastnika.

Kiedy obydwaj ciała zaciągnięto w kącie, generał Ching powiedział:

— Pochowałem moje dzieci i żywiłem się gliną, ale dzisiaj będę ucztował.

— Przeszukał dom, znosząc całe jedzenie i wino, jakie znalazł. Potem posłał Siu Lin po dzieci i uczta trwała aż do północy. Generał i stara matka Chara śpiewali pieśni z gór. Następnie, prawie pijany od wypitego wina, generał oświadczył:

— Przez cały czas, kiedy piliśmy zastanawiałem się: „Jak mógłbym pomóc rodzinie Chary? Sześcioro dzieci i staruszka!”. Z pewnością sam dałbym sobie radę, ale was jest tak dużo... doprawdy nie wiem, co powinniśmy zrobić. Czy należałoby uciec do miasta i starać się tam ukryć, czy lepiej zaszyć się gdzieś wśród wzgórz?

Właśnie wtedy realistycznie myśląca Nyuk Moi zaproponowała:

— Mamy wojnę i wszędzie są żołnierze. Według mnie, kiedy władze odkryją naszą zbrodnię najpierw zawołają: „Zrobili to żołnierze!”. Stracą mnóstwo cennego czasu szukając żołnierzy, a my pójdziemy w stronę wzgórz. Później, kiedy władze zmienią zdanie, powiedzą: „To musieli być jacyś głodujący rolnicy”, my będziemy już tak daleko, że nie zechcą sobie nawet zawracać głowy poszukiwaniami. Zajmie ich jakaś nowa bitwa. Musimy zatem jak najszybciej udać się w stronę wzgórz.

— Czy czulibyście się bezpieczniej, gdybym został z wami? — zapytał generał Ching.

— Oczywiście — odrzekła Nyuk Moi. — Jesteś teraz naszym bratem.

— Tylko czy ucieczka powiedzie się, jeśli zostanie z nami staruszka?

— Zabierzemy ją ze sobą — powiedział stanowczo Char.

— Jak by nie było przyłączę się do was — powiedział generał marszcząc brwi — wszyscy z mojej rodziny umarli z głodu.

Ruszyli z powrotem w stronę gór, planując trasę marszu tak, aby wrócić do domu na wiosnę. W wiosce czekała na nich straszliwa nowina. Pod ich nieobecność wdarli się tam Mongołowie. Zerwali świętą pieczęć z domu i zabrali całe ziarno. Char stał przed sanktuarium, które sam tak starannie zamurował i doznał nieznanego mu dotąd uczucia goryczy. Nie czuł się w ten sposób nawet wówczas, gdy miał sprzedać swoją córkę. Chciał walczyć, zabijać i w gniewie wykrzyknął:

— Cóż to za ludzie, że wdzierają się do opieczętowanego domu? Bezsilnie popatrzył na generała, a potem przeszedł przez wieś zbierając rozwścieczonych rolników.

— Generał Ching pokazał nam jak rozlokować ludzi — zawołał. — Kiedy

Mongołowie wrócą tu, będziemy mogli ich wybić. Przekonałem się, że Ching jest wspaniałym strategiem i według mnie powinniśmy przyjąć jego plan. Wybijmy tych przeklętych barbarzyńców... co do jednego.

Generał Ching, podniecony ewentualnością akcji militarnej, dał wspaniały popis przypisywania ludzi na punkty strategiczne, ale kiedy to robił, usłyszał zimny, racjonalny głos Nyuk Moi:

— Po co mamy walczyć? Czego będziemy bronić? Tej wioski? Nie mamy ziarna, by obsiać na nowo pola.

Rolnicy zastanowili się i poczuli, że nawet podczas łagodnej wiosny czeka ich głód. W tej chwili, samotny patrol mongolski — dwóch jeźdźców ubranych w futra — wjechał galopem do wioski. Zatrzymali się przed domem Chara. Jeźdźcy wyglądali tak pewnie, prawdziwi zwycięzcy, iż nikt nawet nie próbował wprowadzić w życie planu Chinga. Wieśniacy słuchali jak jeden z przybyłych zaczął krzyczyć, kalecząc chiński:

— Macie trzy dni na opuszczenie wioski. Wszyscy mężczyźni powyżej piętnastego roku życia zostaną zaciągnięci do armii. Kobiety mogą iść, dokąd zechcą. — Mongołowie cofnęli konie, zawrócili dziko i odjechali wzbijając kłęby kurzu.

Tej nocy generał Ching przedstawił swój plan.

— Kiedy byłem w wojsku, słyszałem o miejscu zwanym Złotą Doliną. O świcie tam wyruszymy. Zabierzemy każdego, kto może iść o własnych siłach. Tutaj nie ma dla nas nadziei.

— Co masz namyśli mówiąc, że zabierzemy każdego mogącego iść o własnych siłach? — zapytał Char.

— Starcy będą musieli zostać. Opóźnialiby marsz. , Wieśniacy z przerażeniem popatrzyli na starych krewnych i zapadła grobowa cisza. Generał Ching musiał przejść od rodziny do rodziny i niczym żołnierz powtarzać matowym głosem:

— Starcze, nie możesz pójść z nami. Kobieto, przeżyłaś już swoje.

Gdy dotarł do domu Chara, wskazał na jego starą matkę i powiedział oschle:

— Stara kobieto, byłaś dzielna tamtej nocy, kiedy zamordowaliśmy bogacza. Jestem pewien, że mnie zrozumiesz.

— Generale — zaprotestował Char — porzucenie starej matki jest wbrew naszej religii. Konfucjusz mówi bardzo wyraźnie: „Czcij swoich rodziców”.

— Wybieramy się w daleką drogę, Char. Być może będziemy musieli przejść dwa tysiące kilometrów przez góry i rzeki. Starzy ludzie nie mogą z nami iść. Jeden z przestraszonych wieśniaków wtrącił się do rozmowy i zapytał:

— Czy byłeś kiedyś w Złotej Dolinie?

— Nie — odpowiedział Ching.

— Jesteś pewien, że wiesz, gdzie ona leży?

— Nie, kiedy byłem w wojsku słyszałem o niej opowieści. Dobra ziemia. Spokojne rzeki.

— Myślisz, że damy radę tam dojść? — wieśniak nie dawał za wygraną. Generał Ching zaczynał się denerwować. Obciągnął swoje podarte ubranie i teraz przypominał wyglądem żołnierza.

— Nie znam dokładnej trasy ani nie wiem czy nas tam przyjmą. Nie wiem jak długo potrwa nasza wędrówka. Ale, na wszystkie demony piekieł, nie chcę dłużej mieszkać w kraju, gdzie ludzie wdzierają się do opieczętowanych domów i gdzie w ciągu dziesięciu lat zdarzają się trzy lata głodu. Nie wiem dokąd idziemy, ale Siu Lin idzie ze mną, a wy możecie robić, co wam się żywnie podoba.

Szybko obrócił się i stanął przed Siu Lin, dziewczyną, która dzięki niemu nie została sprzedana bogatemu starcowi. Skłonił się przed nią jak by to zrobił prawdziwy generał i powiedział czule:

— Obyś żyła w szczęściu tysiąc lat. Następnie zwrócił się z przemówił do Chara:

— Stary przyjacielu, smuci mnie, że pojmę twoją piękną córkę za żonę w tak niegrzeczny i niecywilizowany sposób. Pragnąłbym przysłać ci tysiąc placków, sto świń i beczki wina. Pragnąłbym odziać ją w brokаты z Pekinu i wysłać po nią konia i muzyków. Ale, umieramy z głodu, bracie Char i ja przynajmniej wybieram się na południe. Wybacz mi zatem brak dobrych manier. — Potem zwrócił się z galanterią do Nyuk Moi. — Żono Chary, wyobraźmy sobie, że nie cierpimy głodu. Pójdę teraz po raz ostatni do mojego domu i będę czekał w ciemnościach. Proszę, zgódź się przyprowadzić do mnie swoją córkę. — Skłonił się nisko i odszedł.

Char zorganizował orszak ślubny. Z niskich kamiennych domów wyszli na ulicę starzy ludzie, skazani na pozostanie w wiosce i szli za panną młodą. Ktoś grał na flecie, ale nie było podarków ani brokatu. Char zapukał dwa razy w drzwi domu Chinga i zawołał:

— Zbudź się! Zbudź się! Już świta, a my przyprowadziliśmy twoją żonę!

Naturalnie był środek nocy, a kiedy generał pokazał się w drzwiach, ubrany był w łachmany, ale ponieważ znał obrzędy weselne, skłonił się z powagą Siu Lin. Flet grał jak oszalały, ludzie zaczęli udawać, że wymieniają zwyczajowe podarki, a generał wprowadził do domu swoją żonę.

O świcie następnego dnia, wiosną 857 roku, Char, wówczas czterdziesto-czteroletni mężczyzna, zebrał swoją rodzinę i powiedział:

— Podczas podróży musimy słuchać generała Chinga, gdyż jest rozsądnym człowiekiem i jeśli możemy żywić jakąś nadzieją na dotarcie w lepsze strony, to tylko dzięki jego geniuszowi. Dlatego trzeba słuchać jego poleceń.

Kiedy armia wieśniaków zaczęła się zbierać, rodzina Chary przybyła jako jedna z pierwszych. Za nimi przyszło dwieście głodujących kobiet i mężczyzn gotowych pójść za generałem Chingiem na południe. Gdy jednak nadszedł czas pożegnań z niegościnnym skrawkiem ziemi i skałami, które dotąd były ich domem, kobiety nie potrafiły powstrzymać łez. Zostawiali za sobą pamiętną skałę, przy której ciężko doświadczony przez los Moo zabił swoją żonę; drzewo, na którym żołnierze powiesili ukrywającego się przez sześć tygodni w wiosce bandytę; dom, w którym przychodziło na świat ich potomstwo. To był szczęśliwy dom, zawsze wypełniony dziećmi. Za wsią leżały pola, na których wspólnie pracowały kobiety i mężczyźni. Jak wspaniała była to wioska. Kiedy mieli jedzenie, dzielili się nim. Kiedy go brakowało, głodowali razem i kobiety płakały teraz wspominając tamte dni.

Były jednak domy, na które nawet kobiety nie ośmieliły się spojrzeć, ponieważ pozostawali w nich starcy, a w jednym nawet dziecko, zbyt słabe, aby przeżyć podróż. Starcy, przez wzgląd na opuszczających wioskę, zostali w środku domostw. Przez pewien czas będą żyć w spokoju, potem przyjdą Mongołowie i ich zabiją.

Spośród całej armii, tylko generał Ching odważył się patrzeć na te domy. Nie był wojskowym w prawdziwym tego słowa znaczeniu, ale walka i zabijanie nie były mu obce. Stojąc teraz na skraju wioski, nie wstydził się

spoglądać na pełne żywych ludzi grobowce, gdyż ludzie ci zawsze byli dla niego dobrzy. Pewna stara kobieta dała mu za żonę swoją córkę, matkę trójki dzieci, które umarły z głodu. Czuł dla tych starych, cierpliwych ludzi ogromne współczucie.

Nagle uniósł ramiona ku bezchmurnemu niebu i zawołał:

— Starcy zostający w tych murach! Umierajcie w pokoju! Cieszcie się, że wasze dzieci znajdują lepszy dom! Umierajcie w pokoju, wspaniali, starzy ludzie! — Zagryzł wargi i poprowadził swoją armię na równiny. Uszli zaledwie kilka kilometrów, gdy zza skały wyszła matka Chary, a on oświadczył stanowczo:

— Powiedziałem jej, że może z nami iść.

Generał Ching wybiegł do przodu i uniósł ręce do góry krzyząc:

— I to ma być wojsko! Ona musi wrócić do pozostałych.

— Kto ukrył cię na polach po tym, jak trzykrotnie popełniliśmy morderstwo? — zapytał Char patrząc zimno na generała. — Kto wykazał się odwagą tamtej nocy?

— Nie mów mi o morderstwach! — wrzasnął Ching. — Właśnie niweczysz szanse całej naszej armii.

— Kto powiedział, że właśnie ty masz być generałem i prowadzić tę armię? — krzyknął Char i obydwa mężczyźni, ledwie posuwający nogami z wycieńczenia, zaczęli się bić. Ich ciosy były jednak zbyt słabe, aby wyrządzić przeciwnikowi krzywdę i wkrótce Nyuk Moi odciągnęła Charę, a Siu Lin uspokoiła swojego nowo poślubionego męża, generała.

— Bracie Char — zaczął spokojnie tłumaczyć Ching, z trudem łapiąc powietrze — żołnierze byli od zarania dziejów i zawsze mieli pewne zasady.

— Generale Ching — odrzekł Char — od zarania dziejów były także matki, które rodziły synów. — Te słowa miały przetrwać w chińskiej tradycji jako wyraz synowskiej miłości wieśniaka Chary, ale wówczas nie wywarły one większego wrażenia na generale Chingu.

— Ona nie może iść z nami — oświadczył lodowatym głosem.

— Jest moją matką — upierał się Char. — Czyż stary Lao-tse nie mówił nam, że aby człowiek mógł żyć w harmonii z wszechświatem, musi okazywać rodzicom jeszcze większy szacunek niż jego żona?

— Nawet matka nie może narażać naszej wyprawy na niepowodzenie — odpowiedział Ching. — Zostanie tutaj! — wykrzyknął dramatycznie wskazując na skały za którymi ukryła się kobieta.

— W takim razie ja także tu pozostanę — powiedział Char i usiadł koło matki. — Musicie iść — zwrócił się do żony i dzieci, gdy reszta wieśniaków zaczęła znikać w kłębach kurzu.

— Oddany synu — odezwała się matka Chara — inni starcy zostali w wiosce. Wydaje się słusznym, abym i ja tam została. Pospiesz się, dokoń Nyuk Moi.

— Zostaniemy tutaj i będziemy walczyć z Mongołami — upierał się Char. Siedząc tak, nagle zobaczył jak od oddalającej grupy oderwała się jakaś postać i zaczęła biec w ich kierunku. Był to generał Ching.

— Char — powiedział z rezygnacją w głosie — nie możemy iść bez ciebie. Jesteś człowiekiem z charakterem.

— Dołączę do was tylko, jeżeli będę mógł zabrać matkę.

— Możesz ją zabrać — zgodził się Ching. — Będzie reprezentować wszystkie nasze matki. — Nie przyjmę cię jednak, Char, jeśli nie przeprosisz mnie przed całą armią, za naśmiewanie się ze mnie jako z żołnierza.

— Przepraszę cię — zgodził się Char — ponieważ naprawdę jesteś doskonałym żołnierzem.

— Naturalnie zdajesz sobie sprawę, że nie dożyjesz chwili, gdy dojdziemy do nowej ziemi — zwrócił się generał do starej kobiety.

— Jeśli nasza wędrówka będzie długa, każdy z nas umrze w drodze — odpowiedziała kobieta.

Dzielna grupa generała Chinga poruszała się na południe. W trakcie marszu dołączyli do niej mieszkańcy ponad stu wiossek, którzy podobnie jak Ching nie chcieli poddać się dominacji Mongołów. Po pewnym czasie luźna zbieranina ludzi przekształciła się w prawdziwą armię. Generał Ching dzielnie parł do przodu, a jego przyboczny, Generał Char, ochraniał tyły walcząc z bandytami i odpędzając Mongolskie oddziały, starające się powstrzymać ten eksodus.

Szli przez góry i wzdłuż wezbranych rzek. Mijali spalone wioski. Przyszła zima a z nią głębokie śniegi; lato i żar rozgrzanych środkowych Chin. Czasami generał Ching był zmuszony oblegać jakieś miasto, dopóki nie dano im zapasów żywności. Gdyby w Chinach panował pokój, wojska cesarskie bez wątpienia rozniosłyby wędrowców na kawałki, a przywódcy zostaliby ukrzyżowani. Ale w Chinach była wojna i wielka wędrówka trwała dalej.

Mijały lata, a twardzi, śmiali wieśniacy z Hananu każdego dnia posuwali się o kilka kilometrów dalej na południe. Czasami na dwa lub trzy miesiące rozbijali obozowisko nad brzegami jakiejś rzeki, oblężenie miasta mogło powstrzymać ich marsz o rok. Jedli, choć nikt nie wiedział skąd biorą pożywienie. Okradali każdego, kto stanął na ich drodze. Zimą, na górskich przełęczach ich stopy owinięte torbami, pozostawiały krwawe ślady, ale przez cały czas byli czujni i gotowi do walki. Narodziło się ponad tysiąc dzieci. Ich także dotyczyły proste zasady narzucone przez generała Chinga: „Starcy nie mogą się do nas przyłączać. Musicie poddać się rządowi Chinga i Chara. Nigdy nie włamiemy się do opieczętowanego domu”.

Tylko jedna osoba w armii wciąż opierała się generałowi Chingowi — była nią matka Chary. Niczym sprężysta motyka, której giętkość zwiększała się z wiekiem, stara, wyczerpana kobieta odradzała się podczas marszu. Gdy mieli mnóstwo jedzenia, potrafiła najeść się do syta i nie cierpieć na kolki żołądkowe. Gdy głodowali, jakaś wewnętrzna siła pomagała jej iść dalej. Generał Ching patrzył na nią i klął:

— Na ognie piekielne, stora kobieto, myślę, że zesłano mi ciebie, abys mnie dręczyła. Czy wcale nie zamierzasz umrzeć?

— Góry i rzeki są dla mnie mlekiem — odpowiadała wtedy. Stała się symbolem całej grupy — niepokonana kobieta, która poznała w swoim życiu głód, morderstwa i zmiany. Nie chciała, by ją niesiono, a kiedy jej syn, generał Char dołączał do grupy po jakiejś walce z lokalnym wojskiem próbującym rozgonić armię, rzucał na ziemię miecz i kładł się obok swojej matki.

— Nie będę żyła wiecznie — mawiała wówczas — ale jestem pewna, że zanim umrę zobacę naszą nową, dobrą ziemię.

Przez wiele lat to zadziwiająca armia twardych Chińczyków, zachowujących stare zwyczaje i zdyscyplinowana jak żadna inna grupa, która kiedykolwiek przemierzała Chiny, wciąż park na południe, aż w 874 roku dotarła do doliny Kwangtung w prowincji Kanton. Przez dolinę płynęła czysta, bystra

rzeka, od południa osłaniały ją piękne góry, a ziemia zdawała się idealnie nadawać pod uprawę.

— Wydaje mi się, że tego szukaliśmy.— powiedział generał Ching, podczas gdy jego ludzie patrzyli na pełną obietnic dolinę. — To jest Złota Dolina.

Przeprowadził rozmowę z generałem Charą i swymi pułkownikami, a potem wezwał wiekową matkę Chary.

— Co o tym myślisz? — zapytał poważnie.

— Z tego, co widzę, to wspaniałe miejsce.

Generał powstał. Złożył dłonie i stanął z twarzą zwróconą na północ.

— Starcy, którzy umarliście w naszej wiosce! — wykrzyknął — Wasze dzieci znalazły swój dom. — Potem spojrzął na matkę Chary. — Możesz już umrzeć. To naprawdę oburzające, że żyłaś tak długo.

Podbój doliny okazał się o wiele trudniejszym zadaniem, niż to przewidywał generał Ching i jego doradcy. Dolinę zamieszkiwała waleczna, zwarta grupa południowców. Ching i jego ludzie nie uważali ich za Chińczyków, gdyż mówili innym językiem, jedli inne jedzenie, ubierali się inaczej, mieli inne zwyczaje i ponad wszystko na świecie nienawidzili Chińczyków z północy.

Na początku Ching chciał wyprzeć południowców z doliny, ale ich wojska okazały się waleczne i dobrze wyszkolone, więc nie odniósł większych zwycięstw. Następnie, próbował negocjacji, ale południowcy byli od niego sprytniejsi i potrafili skłonić go do oddania nawet tego, co już zdobył. W końcu, kiedy podbicie całej doliny siłą okazało się niewykonalne, generał zdecydował opuścić dno doliny, zajęte przez południowców i osiedlić się w górach. Z czasem, górale zaczęli być znani jako Hakka, Goście, a ludzie z dolin jako Punti, Tubylcy.

W ten sposób wytworzyła się jedna z dziwniejszych anomalii w historii. Przez prawie tysiąc lat te dwie, tak różne grupy ludzi żyły obok siebie nie nawiązując praktycznie żadnych przyjaznych kontaktów. Hakka mieszkali w górach uprawiając rolę. Punti w dolinie założyli miasta. Hakka wychodzili ze swoich obwarowanych wiosek do lasu, by zbierać drzewo, które ich kobiety znosiły w tobołkach na niziny. Punti sprzedawali świnie. Hakka mieszały bataty z ryżem. Zamożniejsi Punti jedli biały ryż. Hakka ustawiali swoje domy tak, że zgodnie ze zwyczajem panującym na północy tworzyły literę „U”. Punti tego nie robili. Hakka pozostali dumnymi, dzielnymi ludźmi, Chińczykami w każdym calu, oddanymi chińskiej tradycji. Punti byli łagodnymi, nie przejmującymi się niczym południowcami i kiedy władcy Chin tak pogmatwali rządy, że uczciwy człowiek nic z tego wszystkiego nie rozumiał, Punti wzruszyli tylko ramionami i pomyśleli: „Ci z północy zawsze tacy byli”.

Oprócz wszystkich tych różnic były jeszcze dwie, tak istotne, iż można było uczciwie powiedzieć: „Żaden Punti nie zrozumie Hakki, a żaden Hakka nie będzie się tym przejmował”. Górale, Hakka, zachowali swój prastary język, wywodzący się z najczystszej fontanny chińskiej kultury, podczas gdy Punti mówili, miłszym dla ucha, ewoluującym poprzez wieki dialektem, który rozwinęli w czasie dwu tysięcy lat spędzonych daleko od Pekinu. Żaden Punti nie rozumiał, co mówili Hakka, a Hakka nie obchodziło, co mówili Punti. Niekiedy, ich wioski były oddzielone od siebie zaledwie o kilka kilometrów, lecz Hakka nigdy nie rozmawiali z Punti, nie tylko z powodu zadawnionej nienawiści. Mówili różnymi językami.

Druga różnica, dzieliła ich chyba jeszcze bardziej. Gdy najeźdźcy spoza Chin ogłosili, że każda szlachetnie urodzona kobieta, przez szacunek dla swojej wysokiej pozycji ma obwiązywać stopy i chodzić na niewygodnych, raniących stopy koturnach, Punti poddali się zarządzeniu. Wkrótce wsie Punti pełne były ładnych, dobrze ubranych kobiet, które spędzały życie siedząc beczynnie; ból przesywający niegdyś ich stopy był tylko mglistym wspomnieniem. Pod tym względem wioski Punti były odbiciem prawdziwych Chin.

Niezależne kobiety Hakka odmówiły obwiązywania stóp swoim dzieciom, a kiedy pewnego razu do wioski w górach przyjechał cesarski generał i rozkazał, aby odtąd wszystkie kobiety Hakka miały małe stopy, Hakka śmieli się z jego szaleństwa. Wyśmiewali jego pomysł tak długo, aż odjechał zawstydzony. Wrócił ze swoją armią, ale kobiety Hakka uciekły w góry i nie udało się ich złapać. W pragnieniu wolności umacniała ich pamięć o trzech wielkich kobietach z przeszłości: matce generała Chary, która żyła osiemdziesiąt cztery lata i przetrwała długą podróż z północy lepiej niż niejeden mężczyzna; jej praktycznej synowej, Nyuk Moi, która rządziła Złotą Doliną przez dziesięć lat po śmierci swego męża i delikatnej, lecz potrafiącej narzucić swoją żelazną wolę Siu Lin, uczonej wdowie po generale Chingu, rządzącej doliną przez kolejne dziesięć lat po śmierci Nyuk Moi. Stanowiły one dla Hakka wzór kobiety i sama myśl, że mogłyby mąszerować z obwiązanymi stopami, była absurdalna. Co więcej, jak tramie zauważył w 1670 roku Ching, prorok, : „Gdyby nasze kobiety obwiązywały sobie stopy, jak mogłyby pracować?”.

Kobiety Hakka śmiały się z edyktów wydanych przez rząd i pozostały wolne. Naturalnie Punti wyśmiewali je, a gdy jakaś kobieta z ludu Hakka schodziła w dolinę do Kantonu, ludzie gapili się na nią. Jednak śmiali, uparci goście z północy nie pozwalali sobie niczego narzucić.

Naturalnie nie wszyscy członkowie armii generała osiedlili się w Złotej Dolinie, zrobili to jednak członkowie z rodzin Chary i Chinga. Na zboczach góry zbudowali domy, ustawiając je na planie litery „U” i otoczyli glinianym murem. Nazwano tę wioskę Wysoką Wioską. Natomiast inna, zamieszkała przez Punti, znajdująca się przy brzegu rzeki, była znana jako Niska Wioska. W obu weszły w użycie pewne powiedzenia. Kiedy dzieci Punti bawiły się, naigrywały się ze swoich kolegów: „Kwacze jak kaczka i mówi jak Hakka”. Z kolei w Wysokiej Wiosce często mawiano, gestykulując przy tym w odpowiedni sposób: „Nie boję się nieba, nie boję się ziemi. Boję się usłyszeć jak Punti kaleczą mandaryn”. Były także inne powiedzenia, odwołujące się do podstawowych różnic pomiędzy Hakka i Punti. W Wysokiej Wiosce, matki Hakka ostrzegały swoje córki: „Jeśli będziesz tępą leniwa, obwiążę ci stopy i zostaniesz Punti”. W Niskiej Wiosce matki straszyły synów: „Jeszcze jedno słowo i ożenię cię z dziewczyną Hakka”. Ta ostatnia groźba była przerażająca dla chłopców, ponieważ kobiety Hakka znane były jako kobiety wpływowe, inteligentne i o silnych charakterach, a przecież żaden rozsądny mężczyzna nie chciałby takiej żony.

Wysoką i Niską wioskę łączyło tylko jedno — co pewien czas każdą z nich nawiedzały klęski. Pod pewnym względem, klęski spadające na Niską Wioskę, bardziej rzucały się w oczy. Kiedy w wielkiej rzece płynącej przez dolinę wzbierała woda, a działo się to raz na dziesięć lat, rzeka wylewała z brzegów z ogromną mocą i zalewała gospodarstwa Punti. Woda splukiwała pola niszcząc zasiewy, porywała bydło i podchodziła wysoko pod ściany domostw.

Odpywała, a ludzie cierpieli głód. Co gorsza, rzeka znosiła na pola piach i po każdej powodzi zbierano mniejsze plony. Wiedziano, że w ciągu dwu lat po powodzi jeden na czterech mieszkańców nizin umrze z głodu lub stanie się ofiarą zarazy.

Patrząc w dół na nizinę, Hakka jednego nie potrafili zrozumieć. W 1114 roku, przy pomocy prawie sześćdziesięciu tysięcy ludzi, zarówno Punti jak i Hakka, rząd zbudował kanał odpływowy. Kanał zaczynał się powyżej Niskiej Wioski Punti i miał chronić przed powodzią tę jak i wiele innych wiosek. Pomysł był wspaniały, ale chciwi urzędnicy, widząc wiele wolnej ziemi uprawnej leżącej odłogiem na dnie suchego kanału odpływowego i w jego okolicach, rozumowali: „Dlaczego mielibyśmy zostawić tyle żyznej ziemi odłogiem? Zasiejmy zboże w kanale. Powódź przychodzi tylko raz na dziesięć lat. Przez dziewięć lat możemy zbierać plony i staniemy się bogaci. Dziesiątego roku stracimy nasze zbiory, lecz zniesiemy stratę”. Jednak Hakka zauważyli, że kanał nigdy nie został użyty. Powód był następujący: „Wiemy, że ma nadejść powódź i wiele ludzi zginie”, argumentowali urzędnicy. Jeżeli otworzymy śluzę, by uratować wioski, nasze zbiory zostaną zniszczone. Bądźmy rozsądni! Dlaczego mielibyśmy zatapiać nasze zbiory właśnie w roku, w którym możemy dostać za nie najwyższą cenę?”.

Tak więc nigdy nie otwarto śluz. Uratowano jedną trzydziestą procenta ziemi wokół wiosek, podczas gdy reszta została całkowicie zniszczona. Przychodziły kolejne powodzie, ale ani razu nie otworzono śluz na kanale, by uratować ludzi. Ciężka praca sześćdziesięciu tysięcy ludzi posłużyła ochronie zbiorów należących do kilku i tak bogatych urzędników, których dochody zwielokrotniały się, gdy ludzie głodowali. Tego Hakka nie potrafili zrozumieć.

— Tak właśnie dzieje się w Chinach — wyjaśniał prorok Ching — ale gdyby te pola należały do Hakka, z pewnością zabilibyśmy urzędników i zniszczyli śluzy.

Z drugiej strony Punti nie potrafili zrozumieć zachowania Hakka podczas suszy. Jedna z kobiet Punti powiedziała swoim dzieciom:

— Nie można logicznie wytłumaczyć, dlaczego ludzie, którzy zamurują swoje domy błotem, kładą w ich drzwiach krzyże i wędrują przez sześć miesięcy po świecie jedząc korzenie i glinę.

Punti nauczyli się jednego — nie wolno było naruszyć opieczętowanych gliną domów lub wziąć ukrytego w nich ziarna. Podczas wielkiego głodu w 911 roku, grupka Punti wdarła się do opieczętoj Wysokiej Wioski i zabrała ukryte w niej ziarno. Wywołało to taki przelew krwi, gdy kradzież została odkryta, że nigdy więcej coś podobnego się nie powtórzyło.

Przez osiemset lat po osiedleniu się Hakka w dolinie, w roku 874, Hakka i Punti żyli obok siebie w dwu przymierających głodem wioskach, jak to się działo na większości obszaru południowych Chin, ale ani jeden mężczyzna z Wysokiej Wioski nie poślubił kobiety z Niskiej Wioski. Z pewnością nie udałoby się wynegocjować odwrotnego kontraktu ślubnego, ponieważ mężczyźni z Niskiej Wioski nie poślubiliby kobiety o dużych stopach.

Gdy młody człowiek z Wysokiej Wioski chciał się żenić, stawał przed poważnym problemem. W jego społeczności wszyscy nosili nazwiska Char albo Ching, po słynnych generałach, którzy poprowadzili Hakka na południe. Kontrakt ślubny pomiędzy tak bliskimi krewnymi oznaczałby kazirodztwo. Chińczycy wiedzieli, że aby ich wioska była nadal silna, należało

stale sprowadzać żony z zewnątrz. Każdej jesieni, kiedy skończono już prace na polu i wieśniacy mieli więcej wolnego czasu, wysyłano posłów do jakiejś innej, odległej o czterdzieści kilometrów wioski Hakka i po długich dyskusjach, kłótniach, a nawet targach, wracano ze sporą grupką narzeczonych. W tym samym czasie delegacje z innych wiosek Hakka przyjeżdżały do "wysokiej Wioski, by obejrzeć tamtejsze kobiety. W ten sposób Hakka utrzymywali zdrowe społeczeństwo.

Przestrzegano dodatkowo dwóch zasad: żaden mężczyzna nie mógł ożenić się z kobietą pochodzącą z rodziny, z członkiem której związał się jego przodek, dopóki nie przeminęło pięć pokoleń; żadna dziewczyna nie została przyjęta o ile jej horoskop nie zapewniał, że pożycie z mężem zaowocuje licznym potomstwem. W ten sposób Hakka wytworzyli jeden z najsztynniejszych systemów rodzinnych w Chinach. Epidemie, wojny, powodzie i Punti, wszystko to zagrażało istnieniu tej grupy, ale rodzina trwała, a każde dziecko z dumą uczyło się na pamięć słów miłości synowskiej wypowiedzianych przez wieśniaka Charę: „Od zarania dziejów były matki, które rodziły synów”.

W 1693 roku pewien nic nie znaczący Punti uciekł z kobietą Hakka. Było to pierwsze takie małżeństwo w Żółtej Dolinie i wywołało walki trwające ponad czterdzieści lat. Nie próbowano już więcej podobnych małżeństw, ale poważne walki pomiędzy Hakka i Punti wybuchały przy wielu okazjach. Podczas jednej ze straszliwych kampanii, w której brała udział znaczna część południowych Chin, ponad sto tysięcy ludzi zostało zmasakrowanych w straszliwy sposób. Stało się to przyczyną powstania jeszcze większej przepaści pomiędzy obydwoma ludami. Te dwie grupy mieszkaly obok siebie w strachu, wrogości i braku zrozumienia, ale nikt w sąsiedztwie nie uważał tej wzajemnej wrogości za rzecz dziwną.

Jak zauważył prorok Ching: „Od zarania dziejów, ludzie, którzy różnili się od siebie, nienawidzili się”.

W Niskiej Wiosce sagi często tłumaczyły wrogość poprzez retoryczne pytanie: „Czy pies i tygrys mogą zostać przyjaciółmi?”. Naturalnie, zadając to pytanie, mieszkańcy Niskiej Wioski dumnie wypinali pierś przy słowie „tygrys”, aby nikt nie miał wątpliwości, kto w tej opowieści jest psem.

W 1847 roku, kiedy wielebny Micah Hale wygłaszał kazania w Connec ticut, a doktor John Whipple wypłynął do Valparaiso, by zająć się eksportem skór, Charze, przywódcy Wysokiej Wioski, urodziła się córka. Nadał jej wyjątkowo piękne imię, Char Nyuk Tsi, Char Doskonała Jadeit. Los sprawił, że dziewczynka ta dorastała podczas dwóch dekad, kiedy Hakka doznali upadku i doświadczyli przemocy.

Nyuk Tsi była niskim, niezbyt ładnym dzieckiem, ale miała mocne nogi, zdolne ręce i zdrowe zęby. Jej włosy były rzadkie. Cierpiała z tego powodu i matka kilka razy musiała ją napominać:

— Nyuk Tsin, nie ma znaczenia jak uczesziesz włosy. Nie masz ich dużo i musisz się z tym pogodzić.

Dziewczynka nadrabiała braki w urodzie inteligencją. Ojciec tylko raz zacytował jej słynne powiedzenie rodziny Char: „Od zarania dziejów były matki, które rodziły synów”. Kiedy Char mówił o lojalności względem rodziny, rzeczy najważniejszej dla każdego Hakka, jego córka doskonale go rozumiała. Martwiła się więc, gdy wielu mieszkańców Wysokiej Wioski zaczęło po-

szeptują, że ich przywódca Char wpakował się w poważne kłopoty i musiał uciekać. Nie wierzyła, by ojciec mógł zrobić coś złego, ale po pewnym czasie w wiosce pojawili się żołnierze i ogłosili:

— Szukamy Chary, waszego przywódcy. Dołączył do powstania Tajpingów i jeśli ośmię się wrócić do wioski, macie go zabić. — Mężczyzna kilka razy kopnął matkę Nyuk Tsin, a dziewczynce przystawił do brzucha strzelbę i warknął:

— Twój ojciec jest mordercą i następnym razem kiedy tu przyjdziemy, zastrzelimy cię.

Był rok 1853. Nyuk Tsin miała sześć lat i zobaczyła ojca potem tylko raz. Nie jest to do końca prawdą, ale na razie założmy, że widziała go tylko raz. Pewnej nocy po cichu wrócił późną nocą do "wysokiej" Wioski. Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, było wzięcie w ramiona swojej małej, chudziutkiej córeczki.

— Ach, kochanie, twój tatuś widział takie rzeczy, o jakich przedtem nawet nie śnił. Mam własne konie! Podbiłem całe miasto Punt. Nie wioskę, jak ta w dole. Nyuk Tsin, oni wszyscy kłaniali mi się głęboko. O, tak! — Potem objął swoją ośmioletnią córkę i zabrał ją, by patrzyła na zaciąg jego przyjaciół do armii. Wskazując na przerażonych przyszłych żołnierzy, powiedział: — Przede wszystkim, Nyuk Tsin, wszyscy żołnierze boją się. A ja? Drżałem niczym ptaszek zbierający ziarno. Najważniejsze, by mieć wierne serce. Kiedy generał Lai mówi mi: „Generale Char, zajmij to miasto”, czy myślisz, że zatrzymuję się, by zadawać pytania: „O co może chodzić generałowi Lai?”. Nie. Zajmuję miasto i jeśli trzeba w tym celu zabić pięćdziesiąt tysięcy wrogów, robię to. Nyuk Tsin — wykrzyknął w ciemność — kierujemy się na północ. Może już nigdy cię nie zobaczę. — Przyciągnął dziewczynkę do siebie i przytulił mocno. — Zaopiekuj się matką — polecił jej i razem ze swoimi ludźmi zszedł w dolinę.

Nyuk Tsin zobaczyła ponownie ojca w 1863 roku. Był szczupłą, pracowitą szesnastoktą. Potrafił nosić ciężkie kdunki drzewa i opiekować się matką oraz resztą rodziny. Pewnego dnia do wioski wszedł generał Wang na czele wojsk cesarskich, kazał żołnierzom długo bić w bębny, by zebrać wszystkich mieszkańców. Następnie, przy pomocy tłumacza, rozkazał heraldowi, trzymającemu jakiś czarny przedmiot, przeczytać oficjalne zawiadomienie.

Mężczyzna trzymający w lewej ręce czarny przedmiot, wystąpił o krok na przód i wysokim, nosowym głosem zaczął czytać:

— Przywódca powstania Tajpingów, zwany Charem, został pojmany w Nankinie i przewieziony do Pekinu. Przyznał się do współpracy z Lai Siu Tsuenem, który bezprawnie przybrał miano Generała Północy i został skazany na śmierć przez poćwiartowanie na trzysta kawałków. Wyrok wykonano w zeszłym miesiącu. Zgodnie z prawem Char był ćwiartowany żywcem przez dziewięć godzin, a jego głowę wystawiono w mieście na trzy dni ku przestrodze.

Przeczytawszy to, wręczył dekret stojącemu obok żołnierzowi i wolną ręką ściągnął z trzymanego przedmiotu czarną zasłonę, odsłaniając klatkę z głową generak Chara. Dostały się do niej mrówki i muchy, które wyżarły oczy i język, ale rysy twarzy nie zatarły się. Głowę przytwierdzono do pak i postawiono na środku wioski, po czym generał Wang oświadczył z mocą:

— Oto, co stanie się ze wszystkimi buntownikami! Gdzie jest wdowa po zdrajcy Charze?

Wieśniacy milczeli, ale matka Nyuk Tsin odsunęła dzieci na bok i powiedział z dumą:

— Ja jestem jego żoną.

— Zastrzelcie ją — powiedział generał Wang i po chwili kobieta upadła martwa na ziemię.

Później mieszkańcy Wysokiej Wioski z ironią wspominali stosunek generała Wanga do zdrajców. W niecałe dwa miesiące po swoim dzielnym wyczynie w wiosce, przeanalizował swoje perspektywy na przyszłość i sam postanowił zostać zdrajcą.

Rok 1864 był naprawdę straszliwy dla Złotej Doliny. Wojska generała Wanga najeżdżały na wioski w poszukiwaniu łupów, a gdy odchodziły, natychmiast pojawiały się wojska cesarskie, ścigające zdrajców. Wang, raz odkrywszy Wysoką Wioskę, rzadko ją omijał. Zaciągnął nawet sporą ilość Hakków do swojego oddziału, Dało to oddziałom rządowym prawo do wszystkiego, co znaleźli w wiosce. Często zabijali wieśniaków dla zabawy. Nyuk Tsin, dzięki temu, że nie była ładna, a ciężka praca postarzyła ją, uniknęła gwałtu, ale wiele dziewcząt Hakka nie miało tyle szczęścia.

W tym czasie Nyuk Tsin żyła potulnie w domu swojego wuja, który, zgodnie ze zwyczajem, musiał zaopiekować się nią po śmierci ojca i matki. Wuj był człowiekiem twardym i nieszczęśliwym. Nieustannie przypominał jej dwie rzeczy. Po pierwsze miała siedemnaście lat i była wciąż niezamężna. Po drugie, ponieważ była córką rebelianta, żołnierze w każdej chwili mogli wtargnąć do wioski i zabić ją oraz jej wuja. Te dwie rzeczy posłużyły wujowi jako wspaniała wymówka, by zmniejszyć jej racje żywności i zwiększyć ładunki drewna, które miała nosić na równiny.

Nyuk Tsin nie wyszła za męża, z powodów, na które nie miała żadnego wpływu. Jej horoskop, postawiony bardzo dokładnie, gdy w Wysokiej Wiosce pojawili się swaci szukający żon dla rodziny Lai, jasno wskazywał, że na dziewczynie spoczywały dwie klątwy: urodziła się pod wpływem konia, była więc inteligentna i uparta, zatem nie nadawała się na dobrą żonę, poza tym miała w przyszłości zabić swego męża. Tylko szalenię wpuściłby ją do swojego domu. Były też dobre aspekty jej przyszłości, obietnica bogactwa i liczego potomstwa, być może skusiłoby to jakiegoś skąpca i kazało mu zapomnieć o czyhającym nań niebezpieczeństwie, lecz horoskop przewidywał jeszcze jedną hańbę — miała umrzeć na obcej ziemi. Biorąc pod uwagę silną wolę, skłonności mężobójcze oraz fakt, że miała zostać pochowana w obcej ziemi, Hakka z Wysokiej Wioski przestali proponować kandydaturę Char Nyuk Tsi swatom z innych wiosek. Uznano, że nie nadawała się do małżeństwa.

Życie Nyuk Tsin upływało więc na ciężkiej pracy w wiecznie przymierającej głodem wiosce. Jej garderoba składała się z granatowej, bawełnianej tuniki i brudnych bawełnianych spodni. Miała także stożkowy kapelusz z trzciny, wiązany pod brodą niebieską wstążką. Jej stopy stały się szerokie od noszenia ciężarów. Nie widziała żadnych szans na odmianę losu.

Pewnej nocy przed świętem Ching Ming, kiedy w dolinie potrzebowano dodatkowego opału, Nyuk Tsi opuściła o zmierzchu Wysoką Wioskę i ruszyła szlakiem ku dolinie. Zanim dotarła na dół, napadło na nią czterech mężczyzn. Rozrzućli drewno, zakneblowali jej usta i porwali ją. O świcie, zorientowawszy się, że nie wróciła do domu, wuj odmówił krótką modlitwę. Nigdy więcej nie wróciła do Wysokiej Wioski.

Nie należy sądzić, że podczas tych niespokojnych lat Punti powodziło się lepiej niż Hakka. W gruncie rzeczy, buntownicze wojska generała Wanga nie lubiły wspinać się po górach. W Niskiej Wiosce mieli o wiele więcej okazji do gwałtów i porwań niż w Wysokiej. Sytuację tę przerywała powódź, która co dziesięć lat nawiedzała dolinę przynosząc ze sobą widmo głodu.

To były straszliwe dni, lecz skończyły się na początku 1865 roku wraz z przyjazdem do Niskiej Wioski pewnego człowieka, który był podobno niewyobrażalnie bogaty. W ciągu sześciu tygodni ten zadziwiający Punti, otworzył śluzy na kanale odpływowym, dzięki czemu odwrócono bieg rzeki i wioska została oszczędzona, oraz sprowadził generała Wanga, po czym wydał go wojsku cesarskiemu. W ten sposób jego wioska była bezpieczna i szczęśliwa.

Był to sprytny, niezmordowany Punti o imieniu Kee Chun Fat. Imię to znaczyło „Wiosenny Dobrobyt”. Urodził się pięćdziesiąt dwa lata wcześniej w Niskiej Wiosce. W 1846 roku wyemigrował do Kalifornii i pracował w kopalniach złota, zarabiając tam jedenaście tysięcy dolarów, co według standardów Niskiej Wioski uczyniło go najbogatszym człowiekiem na świecie.

Chodził po wsi podejmując ważne decyzje dotyczące rodziny Kee, której stał się faktycznym przywódcą po powrocie z zagranicy. Nosił długi warkocz, czarną czapczkę obrębianą niebieską satyną, długie jedwabne szaty, ciasno zapięte pod szyją i opadające niczym płaszcz aż do kostek, oraz zdobione brokatem buty. Nie przypominał wyglądem patriarchy rodu, ale dzięki swojej energii został niepodważalnym autorytetem w wiosce; prawie dyktatorem.

W Kalifornii nauczył się czytać po angielsku, choć nie potrafił czytać po chińsku i potrafił obliczać procenty. Wykorzystał te zdolności i gdy tylko się rozpakował, zaczął pożyczać pieniądze krewnym na czterdzieści procent rocznie.

Kiedy rodzina Kee z podziwem zapytała: „Skąd ty, nie będąc żołnierzem, wzięłeś odwagę, by dyskutować z generałem Wangiem?”, roześmiał się przebiegle i wytłumaczył:

— Kiedy moje życie zależało od tego, czy uda mi się przechytrzyć Amerykanów, łatwo potem dać sobie radę z takim idiotą, jak generał Wang.

Naturalnie Punti nie zrozumieli jego odpowiedzi i oświadczyli:

— Nadal nie wiemy jak tego dokonałeś.

— W Pekinie cesarzem jest człowiek, ale przekonałem się, iż na świecie cesarzem jest pieniądz — odrzekł Kee Chun Fat, który potrafił wszystko wytłumaczyć.

— Czy dałeś generałowi Wangowi pieniądze? — pytali wieśniacy.

— Dałem mu dość, by przez jakiś czas kręcił się po okolicy — wyjaśnił. — Następnie poinformowałem wojska rządowe o miejscu jego pobytu i obiecałem im pieniądze, jeśli go powieszą. I zrobili to.

Wiele dyskutowano w rodzinie Kee nad tym, w jaki sposób wuj Chun Fat wzbogacił się w Ameryce. Wreszcie zadano pytanie i głowa rodziny udzieliła wyczerpującej odpowiedzi:

— W Ameryce są kopalnie złota, gdzie można łatwo zarobić pieniądze. Są grupy ludzi zakładających linie telegraficzne i tam także można się łatwo wzbogacić. Ale jak sądzicie, gdzie można najłatwiej zostać bogaczem? Tam, gdzie budują kolej. Powiedzcie, czy myślicie, że przywozłem do domu jedynie pieniądze, które widzicie w Niskiej Wiosce? Nie, przyjaciele! Tyle zarobiłem w kopalniach złota przez jeden rok, piorąc dla górników, gotu-

jąc jedzenie. Prawdziwe pieniądze leżą w angielskim banku w Hong Kongu. — Zademonstrował im książeczkę, która miała udowodnić prawdziwość jego słów, ale nikt oprócz niego nie potrafił przeczytać tego pisma. Opowieści wuja Chun Fata o Ameryce porwały ich. Kiedyś oświadczył:

— Najlepsze w Kalifornii nie są wcale pieniądze, lecz kobiety. Mężczyzna może mieć trzy indiańskie żony i dowolną ilość meksykanek. Naturalnie nie w tym samym czasie. — Młodzi mężczyźni, śliniąc się pytali o szczegóły, wuj jednak zmienił temat. — Chciałbym — oznajmił zebranej rodzinie — przywrócić świetność naszego rodu. Uczynić go najpotężniejszym w Chinach. Uczymy w ten sposób pamięć naszego przodka księcia Kee Tse z dynastii Hsiang, założyciela naszego rodu. — Wypowiadając te słowa przypomniał sobie prześwietnego księcia, który najechał Koreę prawie trzy tysiące lat wcześniej. Zwrócił się do krewnych: — Dziwne jest życie w Ameryce, gdzie większość ludzi nie wie nawet kim byli ich dziadkowie. Sprawimy, iż imię księcia Kee Chun Kong ponownie zasłynie w całych Chinach.

Starszy brat Chun Fata nie doszedł do niczego w życiu, ale mimo to był nadal nominalną głową rodziny i Chun Fat wykazał dość rozsądku, by nie uzurpować sobie tytułu brata. Miał jednak mało czasu i musiał szybko podejmować decyzje, co można mu było wybaczyć, zważwszy, że to on płacił za wszystko.

Tak więc, gdy zbliżyło się coroczne święto Ching Ming, podczas którego pobożni ludzie składali hołd swoim przodkom, rozesłał gońców z rozkazem: „Wszyscy członkowie rodziny Kee mają powrócić do rodzinnego domu, by uczcić święto Ching Ming”. Następnie wydał prawie tysiąc dolarów na przybranie niskiego domu będącego centrum duchowym rodziny Kee.

Jeden z posłańców dotarł na południe, aż do rozpusztnego portugalskiego miasta Makao, gdzie doręczył wezwanie przystojnemu, bystrookiemu chłopcu, gotującemu i spełniającemu inne posługi w Burdelu Wiosennych Nocy. Kee Mun Ki miał dwadzieścia dwa lata. Był sprytnym oportunistą. Nosił warkocz, miał szybkie ręce hazardzisty i ujmujący uśmiech. Ojciec w nadziei, że syn wyrośnie na uczonego, nazwał go „Podwaliny Przenikliwości”, ale chłopak zamiast zająć się badaniem uczonych ksiąg, wyspecjalizował się we wciąganiu młodych dziewcząt do burdelu i w hazardzie z europejskimi marynarzami odwiedzającymi Makao. Kiedy przybył posłaniec z Niskiej Wioski, młody Mun Ki miał właśnie dobrą passę i nie zamierzał opuszczać portugalskiego miasta.

— Powiedz ojcu — wyjaśnił — że tego roku nie będę mógł brać udziału w święcie. Poproś, aby pomodlił się za mnie do naszych przodków.

— To nie ojciec przysyła po ciebie — odpowiedział posłaniec.

— Czy ojciec zmarł? — zapytał przerażonym głosem hazardzista.

— Nie, czuje się dobrze. Mun Ki odetchnął i zapytał:

— W takim razie, kto po mnie przysyła?

— Twój wuj, Chun Fat.

Młody pomocnik w burdelu nie mógł pamiętać wuja, gdyż ten opuścił wioskę, kiedy Mun Ki miał zaledwie trzy lata, więc zlekceważył rozkaz.

— Nie mogę przyjechać w tym roku. W Makao dobrze idą mi interesy. — Wskazał na świeżo pomalowany burdel i czerwonego smoka wymalowanego na pobliskim domu gry.

Wówczas posłaniec przekazał mu zaskakujące wiadomości, które zmieniły podejście młodego alfonsa.

— Twój wuj, Chun Fat wrócił do wioski z kilkoma milionami amerykańskich dolarów, amerykańskich dolarów.

— Jest bogaty? — zainteresował się bratanek.

— Jest bardzo bogaty — zapewnił go pełnym szacunku głosem posłaniec.

— Wobec tego, lepiej od razu ruszajmy — oznajmił z stanowczo Mun Ki. Poszedł do właściciela burdelu i powiedział:

— Ojciec wezwał mnie do domu, do Niskiej Wioski. — Zabrzmiało to poważnie.

— Wobec tego, musisz iść — odrzekł pobożny Punt, który prowadził ten dom. — Dzieci muszą czcić swoich rodziców. A gdybyś znalazł jakieś wyjątkowe dziewczyny w wiosce, przyprowadź je tutaj. Zawsze przydadzą się nam dodatkowe dziewczęta Punt.

Szli do wioski brzegiem rzeki. CzuE świeże, wiosenne powietrze i wzruszyli się widząc zieleniące się pola ryżowe, ale kiedy doszli na miejsce i zobaczyli odmalowany jaskrawoczerwoną farbą dom rodowy, Mun Ki gwizdnął:

— Ocho, musi być naprawdę bogaty — i przyspieszył kroku, by stawić się przed wujem w wigilię Ching Ming.

Wuj Chun Fat był pod wrażeniem bratanka, gdyż rozpoznał w nim własną przebiegłość i bystrość.

— Jak idzie praca w burdelu? — zapytał.

— Dobrze — odrzekł z szacunkiem bratanek. — Zawsze można ukraść trochę Europejczykom, lecz najwięcej zarabiam na grach z marynarzami.

Wuj Chun Fat obejrzał dłonie chłopaka i oświadczył:

— Powinieneś jechać do Ameryki.

— Czy dałbym tam sobie radę?

— Naturalnie. Punt, który nie dorobi się w Ameryce, musi być prawdziwym idiotą. — Zachełony zainteresowaniem chłopca, Chun Fat wszedł na swój ulubiony temat. — W Ameryce można śmiesznie łatwo zrobić fortunę, o ile pamięta się o dwu rzeczach. Amerykanie nie wiedzą absolutnie nic o Chinach, a mimo to mają na nasz temat wyrobioną opinię. Aby dorobić się w Stanach, nie wolno ich rozczarować. Niestety ich opinia jest wewnętrznie sprzeczna i niełatwo być Chińczykiem.

— Nie rozumiem tego co mówisz, wuju — przerwał Kee Mun Ki.

— Za chwilę zrozumiesz — zapewnił go. — Z jednej strony, Amerykanie uważają, że Chińczycy są wyjątkowo głupi, wobec czego musisz udawać głupca. Z drugiej strony, są przekonani, iż jesteśmy sprytni. Musisz zatem sprawiać wrażenie sprytnego.

— Jak jeden człowiek może być zarazem głupi i sprytny? — zdziwił się młody alfons.

— Nie mówiłem, że masz być głupi. Masz udawać głupca.

— Jak to zrobić?

— Opuściłem Amerykę z czterdziestu jeden tysiącami dolarów w złocie, ponieważ odkryłem tę tajemnicę — chełpił się wuj.

— To znaczy?

— Weźmy wydobyć złota — zaczął Kalifornijczyk. — Przez dwa lata widzieli jak podróżuję z obozu do obozu, obserwując wszystko. Myśleli jednak: „To głupi Chiniec, niczego nie rozumie”. Muszę przyznać, że zrobiłem wszystko, aby wyglądać na idiotę. Kiedy dowiedziałem się tyle, ile się dało, pojechałem do San Francisco. Mun Ki, kiedy pojedziesz do Ameryki, musisz zajrzeć do San Francisco. Cóż to za wspaniałe miasto! Tyle się tam dzieje!

— A co ze sprytem, wuju? — przerwał młodzieniec.

Chun Fatowi spodobało się zainteresowanie bratanka szczegółami i ciągnął dalej:

— W San Francisco udałem się do nowo przybyłych i powiedziałem im: Jeśli chcecie, to mogę wam poradzić, które tereny należy kupować". Oni natomiast mówili między sobą: „Ci Chińczycy są bardzo sprytni. Jeśli ktokolwiek wie, gdzie są najlepsze tereny, to z pewnością oni". W ten sposób wzbogaciłem się.

— Głupi i sprytny — zastanawiał się młody człowiek. — To bardzo trudne.

— Nie koniecznie — poprawił go wuj. — Widzisz, Amerykanie są tak bardzo przekonani, że mają co do nas rację, iż nie trzeba się specjalnie wysilać. Możesz mieć problemy jedynie wtedy, gdy zechcesz jednego dnia, a nawet w tej samej chwili, przekonać tego samego człowieka, że jesteś i sprytny, i głupi zarazem. Tak jak na kolei.

— Co się działo na kolei? — zapytał Mun Ki. Wuj zaczął się serdecznie śmiać.

— Był tam amerykański szef. Kiedy pojedziesz do Ameryki nigdy nie zostawaj szefem, nawet gdyby cię prosili, czego nie robią. Możesz zarobić więcej nim nie będąc. W każdym razie, kiedy chciałem wprowadzić swoje ceny w prowadzonej przeze mnie restauracji, musiałem dostać na to pozwolenia od amerykańskiego szefa. Nie dało się nic z nim zrobić, dopóki pewnego dnia nie krzyknął na mnie w rozpaczy: „Ty głupi, cholerny Chińcu!". Wtedy wiedziałem, że wkrótce wszystko będzie szło po mojej myśli, ponieważ jeżeli uda ci się sprawić, aby twój szef wrzasnął na ciebie: „Ty głupi, cholerny Chińcu!", sprawy przyjmują dobry obrót.

Wuj Chun Fat nie dokończył swojej opowieści, gdyż przypomniano mu, iż następnego dnia wszyscy mają wstać z pianiem kogutów, by oddać należną cześć przodkom.

Podczas gdy cała wieś pogrążona była we śnie, a duchy szykowały się do przyjęcia roli, jaką miały odegrać w świętowaniu, stary strażnik, pełniący od lat tę funkcję, wziął swój gong i pałkę. Czekał aż nadejdzie trzecia w nocy. Wtedy, z pierwszym pianiem koguta, starzec wyszedł na ciemne ulice i zaczął uderzać w gong.

— Ching Ming — oznajmiał głośno zarówno żywym jak i umarłym. Szedł krętymi uliczkami w stronę domu rodzowego, przez cały czas uderzając w gong i z radością patrzył jak w niskich chatkach zapalają się światła. Młody chłopak biorący udział w ceremonii spieszył, by zapalić pochodnie w domu rodzowym i nim pierwsze, drżące promienie słońca pokazały się na wschodzie, Niska Wioska tętniła życiem. Ojciec Mu ki zajął najszczytniejsze miejsce w domu, ale to zuchwały wuj Chun Fat, krzątający się dokoła z rękoma pełnymi roboty, mówił wszystkim Kee, czego się po nich spodziewał.

Kee Mun Ki, z burdelu w Makao, wyszedł z domu i dostojnym krokiem ruszył w stronę domu rodzowego, gdzie dziewięć stopni wiodło do pawilonu kryjącego tablice przodków. Tam złożył swój podarunek i skłonił się przed antenatami, którym rodzina zawdzięczała swój honor. Spełniwszy rytuał, wyszedł z pawilonu i dołączył do członków rodziny stojących z szacunkiem, podczas gdy jego ojciec modlił się, a wuj zaczął swoją pompatyczną mowę:

— Mam zamiar kupić ziemię po tej i po tamtej stronie. To, co widzieliście do tej pory, to jeszcze nic. Zbudujemy przestronny dom, a miejsce w którym przechowujemy tablice, nie będzie z drewna, lecz z pięknego kamienia. Kee

będą znani z przepychu. — Spojrzał na zebranych przed nim i westchnął do siebie: „Biedni idioci. Głodowali tu rok po roku, podczas gdy mogli zbijać fortuny w Ameryce”. Wiedział jednak z doświadczenia, że Kee nie należeli do ludzi gotowych wyruszyć do nieznanych krajów i zamyślił się podziwiając siebie samego za odwagę.

Jego umysł był chłonny i otwarty, gdy w Złotej Dolinie wydarzyło się coś, co w całej dotychczasowej historii nie miało precedensu. Dziewiętnastego kwietnia 1865 roku, kiedy pola odżywały po powodzi, w wiosce pojawił się kupiec z Kantonu prowadząc ze sobą Amerykanina. Normalnie cudzoziemcy, którzy oddalili się od nabrzeży kantońskiego portu zostaliby straceni, ale ten człowiek był inny. Jako naukowiec poprosił o pozwolenie na swobodne poruszanie się po kraju i otrzymał je. Dzięki temu stał teraz w jasnym wiosennym słońcu i podziwiał dziwny świat, który nagle się przed nim otworzył.

Kantońskiemu kupcowi wystarczyło pięć sekund, aby zorientować się, że w tej wiosce sprawy należy załatwiać z wujem Chun Fatem, więc zwrócił się prosto do niego:

— Cudzoziemiec przybył do nas z Kraju Pachnących Drzew, żeby nająć ludzi do pracy na plantacjach cukru.

Chun Fat stał pełen zachwytu. W myślach wracał pamięcią do owego pamiętnego dnia, kiedy jego statek zatrzymał się w Honolulu. Pozwolono mu wyjść na pokład i zobaczył wspaniałe zielone wzgórza za miastem. Jakże piękne było tych kilka godzin. Spadł ulewny deszcz, który niczym ciepły płaszcz okrył żyzną ziemię.

— Kraj Pachnących Drzew! — wykrzyknął. — To tak, jakby jechać do raj. Podniecony pobiegł do domu i przyniósł skrzynię z drewna sandałowego.

Kupił ją w Kantonie, by przechowywać w niej swoje jedwabie. Teraz zaprezentował ją rodzinie.

— Powąchajcie! — tłumaczył. — W kraju, o którym ten człowiek mówi, powietrze pachnie tak dwadzieścia cztery godziny na dobę.

— Czy tam jest lepiej niż w Ameryce? — zapytał bratanek.

Chun Fat zawahał się. Kochał dzikie, zimne góry Kalifornii i wyuzdany przepych San Francisco, meksykańskie kobiety i ich pieśni, lecz któż mógłby zapomnieć Kraj Pachnących Drzew.

— To łagodniejszy kraj — odpowiedział.

— Czy można tam zarobić pieniądze? — naciskał Mun Ki.

— To łagodny kraj — powtórzył wuj i Mun Ki natychmiast podjął decyzję. „Skoro mój wuj kocha ten kraj bardziej niż pieniądze, — pomyślał — to musi być piękne miejsce”. Jako pierwszy zgłosił się na ochotnika.

— Ja pojedę — oświadczył stanowczo. Kiedy Amerykanin w ciemnym garniturze wyciągnął do niego dłoń, kantoński kupiec krzyknął w języku Pun-ti: „Uściśnij jego dłoń idioto! Uściśnij ją!”

— Nie potrzebujemy, by odziany w łachmany kantoński głupiec mówił nam, co mamy robić — warknął zdenerwowany Chun Fat, a następnie zwrócił się po angielsku do Amerykanina: —Ja, Chun Fat, dawno temu byłem Kalifornia. Mój chłopak iść.

Amerykanin ponownie wyciągnął rękę i przedstawił się: —Jestem doktor John Whipple. Chciałbym nająć trzystu ludzi do pracy na plantacji cukru.

Wuj Chun Fat popatrzył na smukłego, siwowłosego Amerykanina i instynktownie rozpoznał w nim wielkiego szefa.

— Ile chce pan mu zapłacić? — zapytał wskazując z pogardą na Kantończyka.

— Obawiam się, że to nie pańska sprawa — odrzekł doktor Whipple. — Ale o co panu chodzi?

Chun Fat szybko dokonał obliczeń. W samej rodzinie Kee było ponad stu silnych mężczyzn. — Szefie, dostarczę panu wszystkich ludzi po dwa dolary od każdego mężczyzny.

Teraz doktor Whipple dokonywał w pamięci obliczeń. Kantończyk z którym przybył mówił po angielsku i z tego powodu był bardzo pomocny, ale nie miał pojęcia jak najać ludzi. Bez wątplenia ten przebiegły człowiek z Kalifornii znał się na rzeczy. Z drugiej strony, dwa dolary od głowy?

— Dam półtora dolara — zaproponował.

Wuj Chun Fat przez chwilę myślał nad tą propozycją, a potem odparł powoli:

— Kto by się kłócił z kobieta? Kto może powiedzieć, że zawsze ma rację?

— Następnie wyliczył długą listę rzeczy, które można będzie mu zlecić w związku z najmem ludzi. — Dwa dolary — powtórzył stanowczo. — Dolar siedemdziesiąt pięć — targował się Whipple.

— Szefie — uśmiechnął się słodko Chun Fat — Ja tu ważny człowiek. Jeśli ja nie powiem, oni nie iść.

— Dwa dolary — poddał się doktor Whipple. Wuj Chun Fat natychmiast wyciągnął rękę i ucisnął dłoń Amerykanina krzycząc do swoich w języku Puntii:

— Kiedy w ten sposób ściskacie czyjąś dłoń, lepiej abyście wierzyli w to, co mówicie! Ostrzegam was wszystkich, pamiętajcie!

Wstrząsnęło nim jednak jedno z żądań doktora Whipple. — Ubijemy interes pod warunkiem, że połowa mężczyzn, których mi pan przysłał, to będą Hakka.

Chun Fat popatrzył ze zdziwieniem na cudzoziemca.

— Hakka? — powtórzył głucho.

— Tak, Hakka. Ci z gór.

Skąd u licha dowiedział się o Hakka, myślał z rozpaczą. Czyżby ten kantoński bałwan...

— Po co Hakka? Hakka nie być dobry. — powiedział doktorowi. Whipple spojrział mu surowo w oczy. Doświadczenie zdobyte w ciągu czterdziestu lat pracy dla J & W podpowiadało mu, że ma rację. — Słyszeliśmy, że Hakka dobrze pracują — powiedział powoli. — Puntii są inteligentni, mamy wielu Puntii na Hawajach, ale Hakka potrafią ciężko pracować. Czy pójdziemy do ich wioski?

Wuj Chun Fat znalazł się w impasie. Widział jak na dłoni cudowne doliny Kraju Pachnących Drzew. Na bogów, pracowity i inteligentny Chińczyk które, mu dano by swobodę działania, mógłby zarobić tam miliony. Cóż to byłaby za , korzyść dla wioski, gdyby trzystu Kee pracowało tam i regularnie przysyłało do domu pieniądze. Wuj Chun Fat był pewien, że dostałby piętnaście centów z każdego wpływającego dolara. Byłoby nieszczęściem, tragedią gorszą niż powódź, gdyby Kee stracili taką okazję. Jednak ten uparty, bezpośredni człowiek wspominał o Hakka.

— Doktorze Whipple — zaczął ostrożnie Chun Fat — może Hakka rzeczywiście dobrze pracują, ale za często się biją.

- Sam pójdę do tej wioski — oświadczył stanowczo doktor Whipple.
- Jak porozumie się pan z Hakka? — zapytał przebiegłe Chun Fat.
- Mój przyjaciel z Kantonu będzie tłumaczył.
- On nie mówi Hakka. Mój chłopak Kee Mun Ki w armii nauczył się kilka słów.
- Jak sądzę za Hakka też chcesz po dwa dolary? — zasugerował z wahaniem Whipple.
- Tak, Hakka być trudny.

— Chodźmy — powiedział Whipple z rezygnacją wzdrygnąwszy ramionami. 2 zachowania Chun Fata ze zdziwieniem wywnioskował, że nikt z Niskiej Wioski nigdy nie wspinał się do Wysokiej Wioski. — Nigdy tam nie byłeś? — zapytał.

— Tam Hakka — wzdrygnął się Chun Fat.

Kiedy doktor Whipple zorientował się jak trudnym zadaniem było dotarcie do kraju Hakka, przez chwilę skłaniał się by zapomnieć o całej sprawie i pozwolić Chun Fatowi nająć wyłącznie Puntí. Jednak ciekawość naukowca przeważyła. „Przybyłem tutaj, aby dokonać eksperymentu, sprawdzić, kto lepiej nadaje się do pracy na plantacjach, Puntí czy Hakka i nie przerwę teraz pracy”.

— Jeśli ty nie możesz nas poprowadzić, — oświadczył stanowczo — ja to zrobię.

Pomimo swoich sześćdziesięciu sześciu lat był równie żwawy jak Chińczyk i po ciężkiej wspinaczce podróżni dotarli do obwarowanej murem wioski.

Gdy weszli do środka i doktor zobaczył zbudowane na planie litery „U” domy oraz sterczącą na centralnym placu, nadzianą na pal czaszkę powstańca Chary, Whipple poczuł, że znalazł się na znajomym gruncie i pomyślał: „Warto było się wspinać. To wygląda zupełnie jak wioska w Nowej Anglii. Jestem znowu w domu, w Chinach”. Uczucie to spotęgowali swoim wyglądem silni, ponurzy i podejrzliwi Hakka, którzy zaczęli ostrożnie zbierać się wokół niego. W ich twarzach widział żółte odbicie twarzy własnych przodków. Dając Mun Ki znak, by zaczął tłumaczyć, powiedział:

— Przybyłem, aby zabrać stu pięćdziesięciu spośród was do pracy na plantacjach cukru w Kraju Pachnących Drzew.

Jego słowa wywołały długą dyskusję, spotęgowaną przez wuja Chun Fata, który podał Hakka swoją sandałową skrzynkę, zapewniając ich:

— Tam tak będziecie pachnieć.

W końcowym efekcie najęto stu trzydziestu Hakka do plantacji Whipple'a, a dwudziestu pozostałych obiecano dostarczyć z innych górskich wioski. Gdy dobijano targu kłaniając się uprzejmie, Whipple zauważył, że góralki nie obwijały sobie stóp i wskazując na jedną z kobiet zapytał wuja Chun Fata:

— Dlaczego one mają normalne stopy?

— To są Hakka. Nie mają smaku.

— Czy pozwolono by kobietom pojechać do Kraju Pachnących Drzew?

— Może kobietom Hakka. Prawdziwej kobiecie Puntí, nie — odpowiedział Chun Fat.

Whipple nie mówił więcej na ten temat, ale pomyślał: „Pewnego dnia będziemy potrzebować wiele chińskich kobiet na Hawajach. Dobrze byłoby sprowadzić te Hakka. Wyglądają na silne i inteligentne.

Kiedy doktor Whipple i jego kantoński przewodnik wrócili do Hong Kongu, by na statku czekać na przybycie trzystu robotników na plantacje, wuj Chun Fat zajął się przeprowadzeniem pewnej akcji. Zebrał całą swoją rodzinę przed domem rodowym. Na jego stopniach ustawiono krzesło. Zasiadł na nim Chun Fat ubrany w swoją satynową czapeczkę, drogą szatę i brokatowe buty. Po jego prawej stronie, trochę z tyłu, siedziała jego prawowita żona, pięćdziesięcioletnia kobieta. Z lewej strony, trochę dalej, siedziały dwie ładne konkubiny, do których posiadania miał pełne prawo jako bogaty człowiek.

Chun Fat od razu przystąpił do rzeczy oznajmiając ponad czterystu krewnym:

— Taka okazja może się nie powtórzyć. Wykorzystajcie ją! — Odchylił się do tyłu, aby Kee mogli widzieć go wyraźnie, człowieka zmęczonego długim życiem i pracą. — Młody człowiek jedzie do Kraju Pachnących Drzew, pracuje przez dwanaście lat, podczas gdy jego żona wychowuje mu wspaniałych synów. On wraca, jest bogatym człowiekiem i może sobie wziąć dwie lub trzy młode żony. Jest szczęśliwy. Jego żona jest szczęśliwa, bo już nie musi pracować. Młode żony są szczęśliwe, bo mają bogatego męża. I — dodał dramatycznym gestem wskazując za siebie — może zbudować ku czci swej czcigodnej rodziny wspaniały dom rodowy. Pozwolił aby jego recepta na szczęście dojrzała w głowach jego słuchaczy i ciągnął dalej:

— Martwi mnie, że doktor Whipple nie chciał wziąć wszystkich robotników z naszej wioski. Moglibyśmy dostarczyć mu wymaganą ilość ludzi. Pomimo tego, nadarzyła się nam historyczna okazja. Wybiorę spośród was najsilniejszych młodzieńców. Ci, na których wskażę, za trzy tygodnie wyruszą do Hong Kongu.

Wuj Chun Fat wstał i przeszedł przez tłum, wybierając według swojej woli osiemdziesięciu sześciu Kee, którzy mieli zgłosić się na ochotnika do wyjazdu. Niektórzy nie chcieli jechać, lecz nic nie mogli zrobić. Czyż Chun Fat nie był najbogatszym człowiekiem na świecie? Kto mógłby mu się sprzeciwić?

Dokonawszy wyboru, wuj Chun Fat zapytał:

— Zostały sześćdziesiąt cztery wolne miejsca przeznaczone dla mieszkańców Niskiej Wioski, kogo mamy na nie wybrać?

Zaczęto dyskutować na ten temat, aż w końcu hazardzista, Mun Ki, zaproponował:

— Może wyślemy mężczyzn, którzy mają ożenić się z dziewczętami z naszej rodziny?

Wuj Chun Fat odrzucił ten pomysł, gdyż wioska straciłaby na tym pieniądze i podsunął jeszcze lepszy pomysł, który rodzina od razu zaakceptowała jako rozsądne rozwiązanie:

— Poślemy naszych dłużników. Ich płace będą nam przysyłane.

W ten sposób spośród stu pięćdziesięciu Punti, którzy mieli odpłynąć na Hawaje, stu dziesięciu udawało się tam wbrew własnej woli.

Po dokonaniu wyboru, nastąpiła chwila odprężenia. Wuj Chun Fat obserwował swoją rodzinę, a kiedy uznał, że nadszedł po temu najodpowiedniejszy moment, zakasłał dwa razy. Tłum uciszył się, czekając na to, co ich szacowny krewny ma do powiedzenia. Chun Fat, patrząc w zamyśleniu ponad ich głowami, świadom, iż wypowiedziane za chwilę słowa zaskoczą wszystkich, oświadczył:

— Chcę, aby każdy, kto ma jechać do Kraju Pachnących Drzew, ożenił się przed wyjazdem.

Rodzinę Kee ogarnęła fala podniecenia. Wielu młodych ludzi wysyłanych

przez Chun Fata na plantacje trzciny, odmówiło dalszego niszczenia sobie życia przez pospieszny i nie przemyślany wybór żony. Chun Fat pozwolił się im wykrzyczeć, a kiedy wywołana przez niego burza sięgnęła szczytu, znowu zakasłał. O dziwo, kaszel bogatego człowieka okazał się głośniejszy niż wrzask sześciu nędzarzy. Rodzina uciszyła się.

— Na przykład, postanowiłem, że syn mojego brata, Kee Mun Ki natychmiast się ożeni i w związku z tym nawiązałem kontakt z... — zawiesił dramatycznie głos, pozwalając rodzinie posmakować jego słowa. Nikt nie słuchał go uważniej niż młody hazardzista, Mun Ki, którego ta sprawa dotyczyła bezpośrednio. — Przeprowadziłem rozmowy z rodziną Kung, z sąsiedniej wioski i zgodzili się oddać mojemu bratankowi swoją córkę, Letniego Ptaka. Negocjacje są w trakcie i, Mun Ki, muszę ci pogratulować.

Młodzieniec uśmiechnął się głupio, demonstrując przy tym należyty entuzjazm. Wuj bez wątpienia uczynił mu zaszczyt. Kungowie z sąsiedniej wioski, chociaż nie tak bogaci jak rodzina Kee, byli mimo wszystko szacownym rodem. Różnica pomiędzy nimi polegała na tym, że głowa rodziny nie pojechała do Kalifornii, tylko do Kantonu i przywiozła nie czterdzieści, a tylko sześć tysięcy dolarów. Wszyscy w Niskiej Wiosce poparli ten związek, chociaż nikt nie widział przyszłej panny młodej.

— Nalegam, aby każdy młody człowiek ożenił się — zakończył wuj Chun Fat. — Rodziny mają rozesłać posłańców w poszukiwaniu odpowiednich panien. Przeprowadzimy wspólną ceremonię zaślubin, żeby zaoszczędzić pieniądze.

Teraz, kiedy rodziny zrozumiały, iż będą musiały znaleźć żony dla swoich odjeżdżających synów, nowe poruszenie opanowało Kee. Wuj Chun Fat znowu pozwolił się im wykrzyczeć, zakasłał, a następnie zapewnił młodych:

— Młodzi podróżnicy. To w Niskiej Wiosce ożenicie się i założycie rodziny, ale za granicą nikt nie zabroni wam wziąć sobie nowej żony. Nie! Jest tylko jeden powód dla którego musicie się ożenić i mieć domy, gdzie będą na was czekać prawowite małżonki. Jeśli tak postacie, bez względu na wszystko, zawsze będziecie myśleć o tej wiosce jako o swoim domu. Tak jak ja, będziecie tęsknić za dniem, kiedy znów wejdziecie po tych świętych schodach — odrzucając swą wspaniałą szatę, Chun fat wszedł do domu rodowego, skąd z namietnością w głosie krzyknął: — i pokornie skłonicie się przed tablicami przodków. Tu jest wasz dom. — Z powagą pokłonił się przed pawilonem z tablicami przodków. — Kiedy biali znieważali mnie w Kalifornii — dodał wzruszonym głosem — pamiętałem o tym pawilonie i znajdowałem siły, by znieść ich zniewagi. Kiedy śniegi w Ne-wadzie były nie do zniesienia, wspominałem dom rodowy i potrafiłem znieść zimno. Ożeńcie się z dziewczyną z tej doliny, tak jak ja to uczyniłem trzydzieści lat temu. Zostawcie ją w waszym domu, a bez względu na wszystko, wróćcie. I zawsze będziecie przysyłać do tej wioski pieniądze — dorzucił po chwili.

Z powagą odszedł od tablic przodków i wrócił na swoje krzesło, po czym natychmiast kontynuował:

— Lepiej, aby Chińczyk zawsze miał przy sobie jakąś kobietę, a więc dobrze by było, gdyby każdy z was wziął sobie w Kraju Pachnących Drzew jakąś żonę. Mówię to, ponieważ w Ameryce zauważyłem, iż najwięcej pieniędzy zarobili żonaci Chińczycy. Paradoksalne, ale dopóki nie miałem przy sobie kobiety wiodło mi się źle. Hazard, ladacznice... muszę wam to wyznać. Prawie przez rok noc w noc byłem pijany. W końcu znalazłem sobie

meksykankę. Wkrótce prała dla mnie ubrania górników i gotowała jedzenie. Zważcie na to Kee wyjeżdżający do obcego kraju. I chociaż wydawałem mnóstwo na jedzenie dla niej, bo jadła niczym prosię, chociaż wciąż chciała nowe suknie, dzięki niej odłożyłem pieniądze. Zatem nie zdziwiłbym się, gdyby młody, bystry człowiek, jak mój bratanek, Mun Ki, ożenił się tutaj, a w Kraju Pachnących Drzew znajdzie sobie nową silną żonę, Jednak musicie upewnić się, że będzie potrafiła ciężko pracować... — tu wuj Chun Fat zakasłał kryjąc usta w jedwabnym rękawie. — I nie będę zaskoczony jeśli powrócicie do domu znacznie bogatsi ode mnie.

Skromnie spuścił wzrok i pozwolił, by te olśniewające perspektywy dotarły do jego rodziny. Ani przez chwilę nie wierzył, by Mun Ki, czy też ktoś inny choćby zbliżył się do jego rekordowych czterdziestu tysięcy dolarów, ale kątem oka zauważył, iż niektórzy spośród młodzieńców instynktownie spojrzeli na pola, planując, gdzie, po powrocie z ogromnymi bogactwami, zbudują swoje cmentarze. Nagle z tyłu padło trudne pytanie:

— Kiedy Mun Ki wróci jak bogaty człowiek do domu, czy przywiezie ze sobą swoją cudzoziemską żonę do wioski?

— Zdecydowanie, nie — odrzekł spokojnie wuj Chun Fat.

— Co z nią zrobi?

— Zostawi ją tam, gdzie ją znalazł.

Przez tłum przeleciał szmer podziwu. Rozwiązanie wydawało, się jednocześnie proste i właściwe. Niska Wioska zostałaby skażona, jeśli przybyłyby do niej żony mające obce, dziwne zwyczaje. Starszyzna pogratulowała Chun Fatowi bystrości umysłu. Uciszył ich i zapewnił:

— Tamte żony będą w stanie dać sobie same radę w życiu. Kiedy opuszczałem Kalifornię, miałem trzy żony. Meksykankę w San Francisco i dwie Indianki w górach. Pomogły mi i ja im pomogłem. Każdej dałem po tysiąc dolarów. — Tłum wstrzymał oddech pod wrażeniem dobroci Chun Fata, a on zakończył: — Najważniejszą rzeczą w życiu mężczyzny jest powrót do domu, gdzie znajdzie czekającą na niego żonę i na stare lata będzie mógł wziąć dwie lub trzy piękne dziewczęta z dobrych rodzin. — Za jego plecami, trzy żony uśmiechały się miło, kiedy mówił: — Uwierzcie mi, w takiej sytuacji radość mężczyzny jest wielka.

Młody hazardzista, Mun Ki, zgodził się na małżeństwo i Chun Fat posłał do Kungów z sąsiedniej wioski nie tradycyjne tysiąc ciast — „Wasza córka warta jest tysiąc sztuk złota, ale przyjmijcie te nędzne ciasta” — lecz dwa tysiące czterdzieści trzy, co miało oznaczać, że w gruncie rzeczy, mógłby dać ich tyle, ile by mu się podobało. Każde z ciast było wielkości talerza. Miękkie ciasta biszkoptowe, nadziewane siekanymi orzechami i cukrem; płaskie i twarde, i ciasta z ryżem udekorowane kandyzowanymi owocami. Wysłał również sześćdziesiąt dziewięć świń, cztery kurczaki o czerwonych piórach i cztery duże, pieczone ryby. Potem, aby dowieść swojej szczodropliwości, dodał czterdzieści siedem sztuk złota, każda z nich była osobno opakowana w czerwony papier. Orszak niosący te dary do Kungów miał kilkaset metrów długości.

Rodzina panny młodej odcięła dwóm świniom uszy i ogony, owinęła je w jedwab i przesłała z powrotem rodzinie Kee. W ten sposób dali do zrozumienia, iż dary zostały przyjęte zostały z pokorą i wywołały należyte wrażenie. Panna młoda przesłała narzeczonemu trzy prezenty: czerwony, wyszywany pas; portfel na ziemskie dobra, które ona pomoże mu zdobyć oraz dwie pary spodni.

Zapowiadało się wspaniałe wesele, mające swym splendorem przyćmić trzydzieści jeden innych wesel naznaczonych na ten sam dzień.

Dwa tygodnie przed wyprawą do Hong Kongu odbyła się najpiękniejsza ceremonia ślubna, na jaką było stać obydwie wioski, a kiedy zakończyła się, młody Kee Mun Ki poprowadził żonę do swego domu i z całej mocy starał się ją zapłodnić przed wyjazdem. Nie udało mu się.

Kiedy pewnego poranka stu pięćdziesięciu Punti zebrało się, by wyruszyć w trzydniową drogę do Kantonu, gdzie mieli wsiąść na parowiec do Hong Kongu, wuj Chun Fat zobaczył przed sobą grupę wycieńczonych seksualnie mężczyzn o zamglonych oczach. „Ostry marsz wzdłuż rzeki wzmocni ich” upewniał samego siebie. Rozumiał, że jeśli ochotnicy dotrą na miejsce w dobrej kondycji, będzie miał prawo spodziewać się nowych zleceń od Whipple'a, zleceń po dwa dolary za głowę. Chodził więc wśród szeregów i namawiał, żeby doprowadzili się do porządku. Ledwie poznał swojego bratanka, Mun Ki. Młody hazardzista pił przez dwa tygodnie i od dziesięciu dni praktycznie nie wychodził z łóżka. Wyglądał, jakby nie nadawał się do przejścia nawet kilku metrów. Chłopak był jedynym, który mógł porozumieć się z Hakka. Wuj bił go po twarzy, dopóki oczy chłopaka nie przejaśniły się trochę.

— Dojdę do siebie — wymamrotał. — W Makao byłem kiedyś pijany przez trzy tygodnie, ale nie miałem przy sobie takiej uroczej żoneczki.

Ku zadowoleniu Chun Fata, kiedy usługi bratanka były potrzebne, Mun Ki nie zawiódł. — Dasz sobie radę w Kraju Pachnących Drzew — zapewnił młodzieńca.

— Spodziewam się — odrzekł świeżo upieczony małżonek. — Jego odpowiedź graniczyła z obrazą. Przemówił do wuja, jakby byli sobie równi.

Z gór zszedł oddział Hakka, smukłych mężczyzn odzianych w proste, mocne ubrania. Mieli długie warkocze i opalone twarze. Jeszcze dwa miesiące wcześniej, przybycie takiej grupy oznaczałoby wojnę. Teraz, wzbudziło jedynie podniecenie i obustronne obrzydzenie. Hakka podeszli do miejsca, gdzie stali Punti i wbrew zadawnionym uprzedzeniom Chun Fat pomyślał: „Świetnie dadzą sobie radę w nowym kraju”.

Ponieważ za każdego Hakka dostawał dwa dolary, a miał nadzieję na jeszcze większe zyski, chciał powitać Hakka ukłonem, jednak Punti mogliby uznać to za służalczy gest. Rodzina nigdy by mu tego nie wybaczyła. Zgodnie ze zwyczajem, ograniczył się do obserwowania nowoprzybyłych. Przez chwilę obie grupy stały, patrząc się na siebie wyzywająco. Prawie tysiąc lat żyli obok siebie nie rozmawiając ze sobą. Łączyły ich jedynie śmierć i przemoc. Jedno mieszane małżeństwo. Teraz, ze swoimi animozjami i nienawiścią mieli popłynąć na tym samym, małym stateczku i zamieszkać na tej samej, małej wyspie.

Mun Ki przerwał milczenie. Zebrał siły, wystąpił na przód i zwrócił się do człowieka zwanego Charem, przywódcy Hakka.

— Wyruszamy natychmiast do Kantonu. Niektórzy z twoich ludzi już teraz wyglądają na zmęczonych.

Char przyjrzał się uważnie Punti. Chciał sprawdzić czy jego słowa nie zawierały ukrytej obelgi. Po chwili odpowiedział spokojnie:

— Nic dziwnego, że wyglądają na zmęczonych. Pili przez dwa tygodnie... podobnie jak ty.

— Ja się ożeniłem—wyjaśnił Mun Ki.

— Oni także — odparł Char i obaj mężczyźni roześmiali się.

Ruszyli naprzód. Punt i Hakka spoglądali na Niską Wioskę i jaskrawoczerwony dach domu rodowego. Tu był ich dom, życie, miejsce spoczynku ich przodków. Tu były ich żony. Wielu miało synów, których imiona wypisano na tablicach przodków. Groby, nawiedzane nocami, były niczym duchy praojców. Wyjazd ze Złotej Doliny, choćby tylko na kilka lat, stanowił najwyższą formę kary, prawie nie do zniesienia.

— Wróć niebawem! — zawołał Mun Ki, nie do żony, ani do wuja, narzucającego swoją wolę innym. — Wróć! — wołał do swoich przodków.

Droga do Kantonu zajęła im trzy dni. Punt i Hakka maszerowali osobno. Mun Ki szybko odzyskał formę. Oczy przejaśniały, a umysł pracował bez zarzutów. Kiedy wchodził do wielkiego miasta, aby odszukać doktora Whipple i dostarczyć mu pracowników, zastanawiał się czy nie będzie mógł wymknąć się na kilka godzin i pograć trochę w porcie z brytyjskimi żeglarzami. Niestety, łódź doktora Whipple czekała na nich i wszyscy zostali od razu załadowani na barkę rzeczną. Gdy się zebrali, doktor przemówił do nich po angielsku, a tłumacz wyjaśnił:

— Amerykanin dowiedział się, że jeśli zechce wywieźć was z Chin przez Hong Kong, gdzie statek widać wyraźnie w zatoce, gubernator każe was wszystkich stracić za próbę opuszczenia Chin. Udamy się do Makao, skąd można wypłynąć nie ryzykując życiem.

Mun Ki szybko podszedł do tłumacza i powiedział:

— W Makao muszę zobaczyć się z moim poprzednim pracodawcą i pożegnać go. Proszę powiedzieć to Amerykanowi.

Nastąpiła krótka wymiana zdań i tłumacz oznajmił:

— Zgoda, ale reszta musi zostać pod pokładem, dopóki nie wypłyniemy z Hong Kongu.

Mun Ki pogratulował sobie sprytu i zaczął marzyć o wielkiej fortunie, jakiej dorobi się podczas ostatnich godzin spędzonych w domu gry, kiedy tłumacz odwrócił się oznajmiając:

— Amerykanin przypomniał sobie, że tylko ty mówisz w języku Hakka, więc nie wolno ci opuszczać statku.

Mun Ki próbował odwołać się od tak niesprawiedliwej decyzji, lecz tłumacz przedyskutowawszy jego protesty z Whipple'm, powiedział bardzo obojętnie:

— Zostaniesz na statku.

Kiedy na horyzoncie pojawiło się Makao z bielejącymi w słońcu niskimi, portugalskimi domami i wojskowymi strażami w europejskich mundurach wałęsającymi się wszędzie, Punt i Hakka wyszli na pokład, aby obejrzeć ten dziwny port — obce miasto gnieźdzące się na wybrzeżu Chin. Dziwaczna, rozpustna i pełna bezprawia enklawa nie będąca ani Chinami, ani Portugalią, a mająca najgorsze cechy obu krajów. Mun Ki dobrze znał się na panujących w Makao zwyczajach. Był to prawdziwy raj dla pragmatyków. Zobaczył pokryty dachówką dach Burdelu Wiosennych Nocy i z czułością pomyślał o niektórych dziewczynach, którym pomógł się tam znaleźć; silnych, szczęśliwych dziewczynach lubiących swoją pracę. Dalej, ujrzał domy gry, w których zasmakował zarówno szczęścia jak i porażki, i podczas gdy barka przybijała do brzegu, jego podniecenie wzrastało. W końcu ruszył szybkim krokiem pomiędzy Punt i wyszeptał:

— Pożyczcie mi trochę pieniędzy. Idę grać. Po powrocie oddam w dwójnasób.

Niektórzy nie dowierzali zuchwałemu kuzynowi, inni szanowali go za odwagę i zebrali znaczną ilość monet.

— Do zobaczenia jutro — szepnął. — Nie mówcie nic temu kantońskiemu idiocie.

Gdy barka przycumowała i zapanowało lekkie zamieszanie, Mun Ki wymknął się. Zniknął wśród stosów ładunków leżących na przystani i pospieszenie ruszył do Burdelu Wiosennych Nocy.

— Musieliście świętować Ching Ming jak nigdy przedtem — zauważył lodowatym głosem właściciel burdelu.

— Ożeniłem się — wyjaśnił Mun Ki.

— A, to bardzo dobrze! Każdy mężczyzna powinien mieć lojalną i cierpliwą żonę. Moje życie odmieniło się na lepsze od dnia, kiedy ożeniłem się i założyłem rodzinę.

— Wyjeżdżam z Chin do Kraju Pachnących Drzew — oznajmił szczerze Mun Ki. — Przyszedłem zabrać moje rzeczy.

— Odchodzisz! — wrzasnął właściciel burdelu. — Po tym, jak straciłem na ciebie czas i pieniądze... — zamilkł nagle. — Powiedziałaś do Kraju Pachnących Drzew?

— Tak. Na plantacje trzciny.

— To dziwne! — wykrzyknął właściciel burdelu, uderzając palcem po kolanie. — Mam ważną sprawę w tym kraju. Tak. — Podeszedł do sterty papierów i odnalazł list od Punti, który kilka lat wcześniej wyjechał do Kraju Pachnących Drzew. Ów człowiek pamiętał jak dobrze prowadzono Burdel Wiosennych Nocy w Makao i napisał do właściciela z prośbą o pomoc. Trzymając list w zębach, przełożony Mun Ki popatrzył uważnie na młodego hazardzistę i zapytał: — Czy wypełnisz dla mnie pewne zadanie?

— Czy dostanę za to zapłatę? — zapytał bez ogródek siostrzeniec Chun Fata.

— Dostaniesz.

— Wypełnię.

— Tak też myślałem.

— Co mam zrobić?

— W małym pokoju na górze trzymam związaną dziewczynę. Miałem zamiar wysłać ją do Manilii, jak sam zobaczysz, tutaj nie da się jej wykorzystać. Czy dostarczysz ją mojemu przyjacielowi w Kraju Pachnących Drzew?

— Dobrze. Który pokój?

— Ten, który zajmowała Rosjanka.

Mun Ki na chwilę zapomniał o hazardzie. Wąskimi schodami wszedł na górę i kopniakiem otworzył drzwi. W pokoju były zasłonięte żaluzje i panował półmrok. Na podłodze leżała związana dziewczyna. Kolana miała tuż przy brodzie i była prawie nieprzytomna z głodu i z pragnienia. Mun Ki przesunął dziewczynę nogą. Miała na sobie tonię, niebieskie ubranie z bawełny. Po stopach poznał skąd pochodziła. Hakka. Z obrzydzeniem zatrzasnął za sobą drzwi i zszedł na dół cło pracodawcy.

— Kto chce Hakka? — zapytał.

— Nikt — odparł właściciel burdelu. — Zapłaciłem żołnierzom generała Wanga za porwanie dwunastu dziewcząt, a oni wrócili z tą jedną. Zamierzałem posłać ją do Manilii. Tam to nie ma znaczenia.

— Ile dostanę za dostarczenie jej do Kraju Pachnących Drzew?

— Dwadzieścia meksykańskich dolarów.

— Płatne z góry? Chciałbym pomnożyć je w kasynie.

— Połowa płatna z góry — zgodził się sprytny właściciel burdelu.

Dał Mun Ki dziesięć meksykańskich dolarów. Młody człowiek zamierzał od razu ruszyć do domu gry, ale jego przełożony zasugerował:

— Może byś ją najpierw nakarmił? Leży związana od dwu dni. Żołnierze traktowali ją nie najlepiej i bałem się, że zechce uciec, po tym jak za nią zapłaciłem.

— Dużo zapłaciłeś?

— Za Hakka, która na nic się nie przyda?

Młody hazardzista wrócił do pokoju. Krzyknął na pokojówkę, żeby przyniosła trochę gorącej herbaty i ryżu, a potem rozsunał zasłony. U swoich stóp zobaczył młodą, mniej więcej osiemnastoletnią kobietę Hakka. Miała zniekształconą od bicia twarz, ale od razu można było poznać, że nawet kiedy rany się zagoją, trudno będzie nazwać ją piękną. Sposób, w jaki została związana nie pozwalał ocenić jej ogólnego wyglądu, więc raczej przez ciekawość niż z litości, Mun Ki zaczął rozwiązywać krępujące ją bezlitośnie sznury. Zdejmując je jeden po drugim, zauważył, iż jej kończyny nie rozprostowują się automatycznie. Zbyt długo była skrepowana. Mięśnie się zastały. Kierując się wciąż ciekawością, rozwiązał jej ręce i delikatnie ułożył je wzdłuż ciała. Rozprostowując jej barki usłyszał chrzęst stawów. Dziewczyna jęknęła boleśnie i zemdląca. Po chwili do pokoju weszła służąca z tacą. Mun Ki ocucił dziewczynę i podał jej herbatę. Powoli zaczęła odzyskiwać świadomość. Była bardzo spragniona i Mun Ki znowu posłał po herbatę. Gorący napój powoli rozlewał się po ciele dziewczyny. Zaczęła odzyskiwać świadomość. Przypomniała sobie, gdzie się znajduje. Ze strachem spojrzała na obejmującego ją mężczyznę, ale sposób w jaki podawał jej ryż, czekając aż przeżuje z rozkoszą każde ziarenko sprawił, że zbudziła się w niej nadzieja. Może nie będzie traktował jej jak tamci, którzy schwytali ją w nocy, przed świętem Ching Ming. Zapomniała już o rzeczach, jakie wyrabiali z nią i z innymi brankami, ciągnąc je przez kraj. Były zbyt okropne, by o nich pamiętać. Ten mężczyzna nie będzie jej tak traktował. Czują to.

Char Nyuk Tsin była pierwszą Hakka, jaką dotknął młody hazardzista. Robił to z najwyższą pogardą i wstrętem. Mimo to, jej reakcja poruszyła go i sprawiła, że zapragnął być dla niej jeszcze miłszy. Lewą ręką podtrzymywał ją, a prawą podawał ryż. Kiedy służąca wniosła kapuśniak, podał jej łyżkę i zachęcał do jedzenia. Nie dała rady utrzymać łyżki, więc zaczął rozmasowywać jej opuchnięte nadgarstki. Po chwili krew zaczęła dopływać do palców i Nyuk Tsin mogła utrzymać łyżkę, wciąż nie mogła jednak poruszać ramionami. Mun Ki zaczął rozmasowywać jej plecy i szyję. Jego dłonie instynktownie powędrowały do przodu i natrafiły na drobne, twarde piersi dziewczyny. Wbrew samemu sobie poczuł podniecenie. Przypomniały mu się chwile spędzone z młodą żoną. Zdjął tunikę Nyuk Tsin i zaczął pieścić jej ciało. Potem zsunął jej spodnie, a kiedy zdrętwiałe nogi nie chciały się rozprostować, rozmasował je delikatnie. Z radością przekonał się, że dziewczyna miała piękne, zgrabne ciało. Poruszony wspomnieniem żony, szybko rozebrał się i rzucił ubranie w kąt, mówiąc do Hakka:

— Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy.

Był z dziewczyną przez pewien czas, kiedy do pokoju wszedł właściciel, żeby dać mu instrukcje dotyczące przekazania dziewczyny do burdelu w Honolulu. Zobaczywszy co się dzieje, poradził Punt:

— Rób z nią co chcesz, ale nie zapomnij jej potem związać.

Głos szefa przypomniał Mun Ki o obowiązkach. Ze strachem chwycił spodnie i sprawdził czy jakiś cwaniak nie ukradł mu pieniędzy, podczas gdy on zabawiał się z dziewczyną. On, Mun Ki okradał w ten sposób klientów bywających w Burdelu Wiosennych Nocy. Pieniądze były na swoim miejscu. Ubierając się w pośpiechu, rzucił nagiej dziewczynie:

— Muszę teraz iść do domu gier. Ubieraj się.

Czekając aż dziewczyna założy ubranie, podniósł z podłogi sznury. Spojrzała na niego i kiedy zobaczyła, co miał w ręku, łzy napłynęły jej do oczu.

— Nie ucieknę — powiedziała z prośbą w głosie.

Popatrzył na nią uważnie i coś w jej wzroku przekonało go, że nie będzie próbowała ucieczki. Cały czas trzymając w ręku sznury, poprowadził ją do pokoju w szopie na tyłach burdelu. Kazał jej usiąść na podłodze. Pomachał jej sznurem przed oczami, jakby chciał zapytać: „Czy to będzie potrzebne?”, a jej wzrok odpowiedział mu: „Nie, nie ucieknę”. Wbrew zdrowemu rozsądkowi ruszył do wyjścia, lecz pozostawienie dziewczyny samej w pokoju, bez uprzedniego związania jej, byłoby oczywistym szaleństwem. Postanowił działać rozważnie. Jeden koniec dość długiego sznura przywiązał do nadgarstka dziewczyny, drugim obwiązał się w pasie.

— Chodź — powiedział.

— Świetny pomysł — pochwalił go właściciel burdelu, gdy mijali recepcję. — Czy będzie się nadawała dla mojego przyjaciela?

— Tak — zapewnił go Mun Ki i poprowadził branke do swego ulubionego domu gry. Gdy wychodzili z burdelu, zatrzymał się na chwilę i zapytał:

— Jak ci na imię?

— Char Nyuk Tsin

— Doskonały Jadeit. To dobre imię — odrzekł na głos. „W burdelu, nawet bardzo dobre”, pomyślał, „Mężczyzna z łatwością będzie je pamiętał, gdy ponownie przyjdzie z wizytą”.

Hazardziści grali w fan-tan. Rozdający brał z dużej sterty śnieżnobiałe krążki z kości słoniowej. Gracze zakładali się o to, ile kawałków kości słoniowej zostanie na stole: jeden, dwa, trzy, żaden. Czasami, jeśli takie było życzenie graczy, zgadywano czy na stole pozostanie parzysta, czy nieparzysta liczba kościanych guzików. Robiono zakłady, a rozdający, z niewiarygodną zręcznością brał po cztery guziki z kupki. Zdziwiające, jak bystrzy byli doświadczeni gracze. Potrafili określić wynik końcowy, gdy na stole było jeszcze pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt krążków.

Używając swoich i pożyczonych od Punti pieniędzy, Mun Ki zagrał z dobrym wynikiem w fan-tan. Był dobry dla tej Hakka i wydawało mu się, że to przyniosło mu szczęście. Zabrał wygraną do pokoju madżonga, gdzie niezmienną fascynację wzbudzał stukot padających płytek kości słoniowej. Na początku każdej rozgrywki, budując mur, gracze mieli zwyczaj kłaść płytki z całej siły. Podobnie, gdy gracz wygrywał, pokazywał swoje płytki i rzucał je z hukiem na stół. Madżong grany w Makao był grą żywą i radosną. Mun Ki zdecydował sprawdzić się przy stole, gdzie grano o wysokie stawki. Kazał Nyuk Tsin stanąć za sobą i od czasu do czasu pociągał za sznurek, aby sprawdzić czy dziewczyna wciąż tam jest. Przyłączył się do stolika, przy którym czekało już trzech mężczyzn. Dwóch z nich miało długie rzadkie brody i kosztowne szaty. Trzeci, młody, agresywny hazardzista przypominał Mun Ki.

— Nie życzę sobie grać w pokoju, w którym znajduje się kobieta — zaprotestował jeden ze starszych mężczyzn.

— Zabieram ją do burdelu w Kraju Pachnących Drzew i jestem za nią odpowiedzialny — wytłumaczył ostrożnie Mun Ki.

Mężczyźni rozumieli go. Prawdę powiedziawszy, protestujący gracz liczył na to, iż Mun Ki, myśląc o dziewczynie, nie będzie mógł skoncentrować się na grze i szybciej przegra.

Mun Ki nie wszedł jednak do gry, aby przegrywać. W Madzongu, w przeciwieństwie do fan-tan, liczyło się nie szczęście, lecz wprawa, z jaką gracz wykorzystywał płytki zesłane mu przez los. Młody gracz, oddychał głęboko i pomagając obiema rękami mieszać sto czterdzieści cztery płytki, myślał, że być może po raz ostatni bierze udział w prawdziwej grze. Z energią ułożył mur, a potem patrzył uważnie na toczącą się kostkę, przy pomocy której miał ustalić, gdzie należało przebić w murze dziurę, żeby rozpocząć grę. Z podnieceniem brał kolejno płytki, pamiętając o Nyuk Tsin tylko wówczas, gdy sznurek krępował mu ruchy. Kiedy ułożył już swoje płytki, a od dawna wiedział jak je ustawiać w sposób, z którego przeciwnicy nie potrafili niczego wywnioskować, był gotów do gry. Mężczyzna z brodą ponownie zaprotestował przeciw obecności Nyuk Tsin:

— Musi siedzieć na podłodze, skąd nie będzie mogła szpiegować dla ciebie. Tak więc, zanim gra rozpoczęła się na dobre, Hakka usiadła na podłodze.

Nie usatysfakcjonowało to jednak Mun Ki, który obawiał się, iż dziewczyna może się wymknąć z kasyna. Zmusił ją, by usiadła pod stołem, u jego stóp. Pozostała tam przez długie godziny, kiedy gracze z mocą rzucali na stół kawałki kości słoniowej.

Nyuk Tsin ze swego miejsca pod stołem widziała, kiedy Mun Ki planował wielką rozgrywkę, przytrzymując płytki w nadziei utworzenia kombinacji, która przyniosłaby mu duże pieniądze. Zauważyła, że wówczas jego stopy pocą się, a mięśnie napinają się. W takich chwilach modliła się o jego zwycięstwo i najwyraźniej jakiś bożek szczęścia musiał przychylić się do jej prośb, gdyż Mun Ki wygrywał.

O zmierzchu, Mun Ki pociągnął za sznur i powiedział:

— Wracamy do domu.

W drodze powrotnej otoczyli ich przekupnie, zwabieni pogłoskami o młodym hazardziste z burdelu, który zdobył wielką wygraną. Przynieśli ze sobą kociołki z dymiącymi potrawami, kwiaty i materiały, a Mun Ki z radością odegrał rolę hojnego zwycięzcy.

— Możecie mi wierzyć, ona naprawdę potrzebuje nowych ubrań — powiedział dotykając jednocześnie podartej, bawełnianej tuniki Nyuk Tsin. Weźmiemy cztery długości tego. — Oświadczył wskazując pańskim gestem na jeden z materiałów. Był jeszcze hojniejszy, jeśli chodziło o jedzenie. Zgłodniała Nyuk Tsin dostała czarne jaja, suszoną rybę, kluski oraz kandyzowany imbir. Gdy przechodzili pod szyldem dentysty, Mun Ki oznajmił zgromadzonemu tłumowi: — Jestem naprawdę bardzo szczęśliwym graczem. Potrafię czytać w cudzych myślach. Nocą, skrócił sznur, na którym prowadził Nyuk Tsin, by nie zostawała w tyle i zaniósł resztki jedzenia podejrzanym typom, których od dość dawna znał. Gdy mijał ich patrol policji, kiwnął im na powitanie.

— Dlaczego prowadzisz na sznurze tę dziewczynę? — zapytali.

— Mam ją odstawić do burdelu w Kraju Pachnących Drzew — odrzekł w gwarze portowej.

Policjanci ze zrozumieniem pokiwali głowami, a po chwili jeden z nich zatrzymał się:

— Czy płyniesz Amerykańskim statkiem, który stoi w zatoce?

— Tak sądzę — odpowiedział Mun Ki.

— W takim razie muszę cię przestrzec — szepnął poufnie policjant. — Ten Amerykanin przyszedł do nas dzisiaj i kazał cię aresztować. Lepiej się ukryj.

— Zgłaszam się na statek jutro rano, mimo wszystko, dziękuję za ostrzeżenie. — Wręczył policjantowi monetę.

— Dziękuję, Mun Ki — skłonił się policjant. — Zabierasz ze sobą ładną dziewczynę.

W końcu dotarli do Burdelu Wiosennych Nocy, gdzie pochwalił się byłemu szefowi, że udało mu się pomnożyć ośmiokrotnie owe dziesięć meksykańskich dolarów.

— Ta dziewczyna przynosi szczęście — powiedział.

— Czy zamierzasz związać ją ponownie w pokoiku na górze? — zapytał właściciel burdelu.

— Dzisiaj będzie spała ze mną.

— Dobrze — zgodził się mądry biznesmen. — Tylko nie zapomnij czego nauczyłeś się o kmaniu uporu dziewczyn. Karm ją i bij.

— Zajmę się nią — zapewnił go Mun Ki. — Czy szukała mnie policja?

— Naturalnie — powiedział właściciel. — Twój statek jutro odpływa.

— Będę tam.

Pociągnął za sznurek i wąskim korytarzem poprowadził Nyuk Tsin do szopy na tyłach burdelu, w której sypiał. Zamknął drzwi, rozwiązał opasujący go sznur, lecz jeszcze mocniej obwiązał nadgarstek dziewczyny. Nyuk Tsin powiedziała mu, że musi załatwić swoje potrzeby. Pozwolił jej wyjść na zewnątrz. Co jakiś czas pociągał za sznurek, sprawdzając czy nie uciekk.

— Teraz musimy spakować się do podróży — powiedział, gdy wrócił. Przyniósł drewnianą beczkę do której włożył wszystkie swoje skarby:

czajniczek na herbatę, pięć bambusowych filiżanek, dwie porządne miseczki na ryż, metalowy garnek, porcelanowy zestaw do herbaty z miedzianym siteczkiem, bambusową tackę do gotowania na parze warzyw oraz duży nóż. Następnie spakował podstawkę do palenia kadzideł, bożka kuchennego i tablice przodków, które zaświadczały kim był, a także zapasowe ubrania i parę dobrych sandałów. Owinął to wszystko płachtą ukradzioną z holenderskiego statku.

Nyuk Tsin pakowała do wiklinowego koszyka jedzenie na podróż: ocet sojowy, marynowaną kapustę, przyprawy, suszone ryby, nasiona, które można było żuć w drodze i kilka kawałków kaczki. W koszyku znalazły się również przybory kuchenne: pałeczki, piecyk na węgiel drzewny, jedna stara filiżanka i dwie miseczki na ryż.

W małym pokoiku znajdował się teraz tylko materac i wiersz. Materac miał zostać zrolowany o świcie; wiersz, wyjaśniający sposób, w jaki mężczy członkowie rodziny Kee otrzymywali swoje imiona, a trzymany w oprawionej w czerwony materiał księdze genealogicznej rodu, był najcenniejszą spośród rzeczy Mun Ki i młody hazardzista miał sam wynieść go z pokoju.

Mun Ki westchnął, oglądając pokój, w którym mieszkał szczęśliwie tyle czasu. Potem zauważył Nyuk Tsin, zapomnianą, stojącą samotnie na środku ciemnego pomieszczenia.

— Możesz się teraz rozebrać — powiedział.

Rozebrała się, rozwiązała sznurek krępujący jej nadgarstek i rzuciła go na ubrania. Rany po sznurze zaczęły się goić. Mun Ki uśmiechnął się do niej i dał jej do zrozumienia, iż może spać z nim. Spodziewała się, że zwiąże ją i rzuci na podłogę, więc z wdzięcznością podeszła do niego i nie czuła strachu, gdy zaczął ją pieścić. Był pierwszym mężczyzną, który dotykał ją z czymś, co choćby w przybliżeniu przypominało uczucie i wkrótce zaczęła odwzajemniać jego pieszczoty. Kochali się namiętnie i Mun Ki pomyślał: „Pod pewnymi względami jest lepsza od mojej żony”.

Kiedy skończyli, sięgnął po sznurek, aby ponownie przywiązać ją do siebie.

— To nie jest konieczne — poprosiła. Chciał jej uwierzyć, ale gdyby uciekła, wyszedłby na głupca, a poza tym musiałyby zwrócić dziesięć meksykańskich dolarów, nie mówiąc już o pieniądzach, które szef zapłacił za dziewczynę. Przywiązał ją, jednak pozwolił jej spać obok siebie.

Rano, gdy już się ubrali, wyrzucił sznur. Gdyby zgłosił się do doktora Whipple prowadząc dziewczynę na sznurze, ten nigdy nie uwierzyłby, że to jego żona. Powodzenie całego przedsięwzięcia zależało od tego, czy potrafi przekonać Amerykanina. Gdy sznur upadł na podłogę, Nyuk Tsin podniosła go i, przewiązała nim swój koszyk z jedzeniem.

wyszli z pokoju. Nyuk Tsin niosła ciężką beczkę i wiklinowy koszyk, a Mun Ki lekki materac i księgę genealogiczną. Kiedy mężczyzna znalazł się na brudnym podwórku przed burdelem, Nyuk Tsin zawołała go. Wskazywała na niezrozumiały dla niej napis wiszący na ścianie, nad miejscem, gdzie przedtem znajdował się materac. Mun Ki aż gwizdnął z wrażenia. Zupełnie zapomniał. Wrócił się po znak, mający zgodnie z wierzeniami zapewnić szczęście. Napis mówił: „Oby to łóżko wydało stu synów”. Mun Ki wsunął go pod pachę i poprowadził Nyuk Tsin na statek.

Doktor Whipple stał na przystani, gotów zwymyślać jedyne go człowieka, który potrafił porozumieć się z Hakka i gdy tylko Mun Ki pojawił się, kanton-ski tłumacz zaczął na niego wrzeszczeć. Mun Ki zignorował go i podszedł prosto do Amerykanina.

— Po tysiącokroć przepraszam za moją wczorajszą ucieczkę, panie — powiedział pokornie kłaniając się głęboko, a następnie, wskazując na dzwigającą bagaże Nyuk Tsin, dodał po prostu: — Musiałem iść po moją żonę.

— Twoją żonę — wykrzyknął tłumacz. — Kobiety nie mają wstępu na ten ...

— Czy ona jest Hakka? — zapytał doktor Whipple, zauważywszy duże stopy dziewczyny.

— Tak — odrzekł Mun Ki i Amerykański naukowiec przypomniał sobie jak kiedyś rozważał czy nie należałoby przywieźć trochę kobiet Hakka na Hawaje.

— Czy chcesz zabrać ją ze sobą?

Kiedy tłumacz przetłumaczył słowa doktora, Mun Ki nabożnie skinął głową i wyjaśnił:

— Nie zniósłbym życia bez niej.

— Jestem gotów zgodzić się — oświadczył Whipple — ale po przybyciu na miejsce będzie musiała pracować.

— Będzie pracować — zapewnił go Mun Ki.

W tej chwili stu pięćdziesięciu mężczyzn Hakka zobaczyło Char Nyuk Tsin po raz pierwszy od czasu, gdy zaginęła w przeddzień święta Ching Ming. Zaczęli ją wołać. Mun Ki zdawał sobie sprawę, że jeśli dziewczyna

wytłumaczy kim jest, jego kłamstwa wydadzą się, ale wiedział też, że na tej przystani jedynie on rozumie mowę Hakka. Trącił Nyuk Tsin łokciem i rozkazał:

— Odezwiij się do nich. — Popchnął ją w stronę Hakka, a sam ruszył za nią.

— Ta dziewczyna jest moją żoną — zawołał do mężczyzn.

Hakka zobaczyli czerwony pas małżeński, którym był przepasany. Zastanawiali się, co naprawdę się wydarzyło.

— Czy rzeczywiście zostałeś żoną Punti? — zapytali Nyuk Tsin. Mun Ki przyłożył nóż do pleców dziewczyny i rozkazał szeptem:

— Potwierdź moje słowa.

— To jest mój mąż — poinformowała swoich rodaków. Żaden nie przyszedł jej z pomocą po tym, jak zamordowano jej rodziców.

Hakka popatrzyli na nią z pogardą i nie chcieli mieć z nią więcej do czynienia. Rodzice często mówili im, co stało się z bezwstydną dziewczyną, która okryła się hańbą wychodząc w 1693 roku za Punti.

Rozwiązawszy jeden problem, Mun Ki stanął przed drugim, znacznie poważniejszym. Doktor Whipple wołał małżonków do siebie i młodzi ruszyli w jego stronę. Musieli jednak przejść obok Punti, którzy byli jeszcze bardziej rozwścieczeni niż Hakka. Oni również musieli setki razy słuchać o nieszczęściach, jakie spadły na Punti, który w 1693 roku ośmielił się wziąć za żonę Hakka. Odsuwali się od Mun Ki, jakby był nieczysty, lecz on, przechodząc koło ludzi, którzy poprzedniego dnia pożyczili mu pieniądze, wyszeptał:

— Wczorajszej nocy dużo wygrałem. Mam dla was mnóstwo pieniędzy. — To znacznie złagodziło ich gniew.

Kiedy dotarli do doktora Whipple, Amerykanin powiedział:

— Będziemy musieli zapytać kapitana statku czy zgodzi się na jeszcze jednego pasażera. Jeżeli tak, będziesz musiał naturalnie opłacić przejazd swojej żony.

Posłał marynarza po kapitana i za chwilę pojawił się wysoki, mniej więcej siedemdziesięcioletni Amerykanin. Miał sumiaste wąsiska i założoną na bakier czapkę marynarską. Patrzył na zebranych na pokładzie Chińczyków, jakby do każdego z nich żywił szczerą, osobistą urazę lub wręcz nienawiść. Idąc ku doktorowi, odpychał ich na boki.

— O co chodzi, John?

— Kapitanie Hoxworth — zaczął schludny, siwowłosy naukowiec — dowiedziałem się, że jeden z mężczyzn chciałby zabrać ze sobą żonę. — To tylko Hakka, ale przynosi szczęście — odrzekł.

— Czy jest pan gotów zapłacić pięć dolarów za przewóz? — zapytał Hoxworth.

— Tak, otrzymam pieniądze od tego człowieka.

— Wobec tego sprawa jest prosta — warknął kapitan. — Kobieta może płynąć.

Doktor Whipple przekazał tę wiadomość Mun Ki, który uśmiechnął się radośnie i wyjaśnił tłumaczowi:

— Żaden mężczyzna nie chciałby zostawić żony w Makao. Doktor był pod wrażeniem takiego uczucia.

— Gdzie będą spali małżonkowie?

— W ładowni — warknął kapitan, zdziwiony, że w ogóle zadano mu takie pytanie. — A co ty, do cholery, myślałeś?

— Sądziłem — zaczął Whipple — że skoro ona jest jedyną kobietą na trzystu mężczyzn...

— W ładowni! — krzyknął Hoxworth. Następnie, zwracając się do Chińczyków, którzy nie rozumieli ani słowa z tego, co mówił, wrzasnął: — Kiedy ten statek wypłynie nie chcę widzieć na pokładzie ani jednego, cholernego Chińca. Zapamiętajcie sobie to ostrzeżenie.

— Rafer — spróbował ponownie doktor Whipple — Czy przynajmniej ta para nie mogłaby zostać z ...

Kapitan Hoxworth odwrócił się raptownie, skierował palec wskazujący w stronę swego przyjaciela — misjonarza i sapnął: — Zostaną w ładowni! Skąd mam wiedzieć czy ten łotr nie jest piratem? Skąd mam wiedzieć czy rzeczywiście jest żonaty? Na tym statku wszyscy Chińczycy, razem z tymi ich warkoczami będą zamknięci na dole, w ładowni.

Doktor Whipple z przykrością wytłumaczył Mun Ki, że jeśli nalega, by żona płynęła z nim, będzie musiała dzielić ładownię razem z dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu obcymi mężczyznami. Ku jego zakłopotaniu, Mun Ki nie zdradził śladów zdziwienia a kapitan Hoxworth zauważył:

— Dla nich to nic wielkiego. Żyją jak zwierzęta.

Nadeszła chwila, gdy Chińczycy mieli wejść na pokład „Carthaginian”, zacumowanego przy nabrzeżu Makao. Portugalscy oficerowie, odziani we wspaniałe mundury, zajęli miejsca przy trapie wiodącym na statek. Sprawdzali czy zgadza się liczba ludzi, a nie ich imiona. Kantoński tłumacz pożegnał się i trzystu mężczyzn oraz jedna kobieta zostali, podzieleni na dwie, wrogie sobie grupy. Nie było wśród nich nikogo, kto mógłby porozumieć się z Amerykaninem prowadzącym statek. Tylko jeden z nich, Mun Ki, rozumiał zarówno Hakka jak i Punti. Nie myśleli jednak o swoim położeniu, podekscytowani załadunkiem na pokład szkunera, na którego maszcie powiewała błękitna flaga H & H.

Kiedy pierwszy Chińczyk stanął na trapie i zobaczył przed sobą wielki, otwarty ocean, zawahał się, powodowany zrozumiałym strachem. Strach ten wzmógł się jeszcze bardziej, gdy jeden z marynarzy chwycił jego nędzny dobytek i schował go na rufie. Punti ruszył za swym cennym tobołkiem, ale kapitan Hoxworth zatrzymał go. Pochwycił go za warkocz, zawrócił i mocnym kopniakiem posłał przez pokład.

— Złaź na dół, do ładowni, ty głupi Chińcu! — wrzasnął, a kiedy nie rozumiejący niczego Punti wciąż stał w miejscu, zaskoczony tym, co się wydarzyło, kapitan znowu go kopnął. Chińczyk chwiejnym krokiem cofał się w stronę klapy do ładowni, nie trafił stopą na szczebel drabiny i z wysokości czterech i pół metra spadł głową w dół w czarną czeluść ładowni.

Pozostali Chińczycy zaczęli zachowywać się nerwowo i kapitan Hoxworth wyczuł to. Odwrócił się, pochwycił z burty drewniany kołek i zrobił trzy zdecydowane kroki w stronę wchodzących po trapie mężczyzn. Klnąc ich po angielsku, pochwycił za ramię następnego Punti, szarpnął go i pchnął w stronę drabiny. Chińczyk miał dość zdrowego rozsądku, by zejść na dół, tymczasem Amerykanin wydzierał się:

— Na tym statku nie będzie żadnych rozruchów! — wymachując kołkiem, podczas gdy przyszli pracownicy plantacji, jeden po drugim, znikali w luku ładowni.

Schodząc na dół, Chińczycy rzucali ostatnie spojrzenia na ojczysty brzeg i

dławił ich niezmierny smutek. Wyjazd z Chin był rzeczą straszną, a niektórzy z nich dodatkowo przeczuwali, że nie zobaczą już tego wspaniałego kraju. Choćby ich życie w Chinach było trudne, choćby traktowano ich źle, to wciąż było Królestwo Środka, niebiański kraj zawieszony pomiędzy nędzną ziemią, a krainą bogów — rozległe równiny, pola ryżowe wiosną, przepiękne góry i dzikie, okrutne rzeki. Takiego kraju nie można było nie kochać i każdy z opuszczających go teraz ludzi wracał pamięcią do wioski, gdzie czekał na jego powrót pawilon z tablicami przodków.

Zanim Nyuk Tsin zeszła na dół, jeden z Punti wdrapał się z powrotem na górę, chcąc poinformować kapitana Hoxwortha, iż mężczyzna, który został zrzucony do ładowni, złamał kostkę u nogi. Jednak kiedy ów dobry Samarytanin dotarł na pokład, Hoxworth wpadł w furję i uderzył go w głowę kołkiem zrzucając go z powrotem do ładowni, gdzie złapali go przyjaciele.

— Niech żaden z was, cholerni Chińscy piraci, nie ośmieli się więcej wyłazić na mój pokład! — grzmiał kapitan.

Nyuk Tsin schodziła na dół jako ostatnia. Gdy przygotowywała się do zejścia, doktor Whipple uśmiechał się do niej uspokajająco, a kapitan poganiał kołkiem. Popatrzyła na widniejące za ich plecami Chiny. Kiedy pomyślała o tym, jak brutalnie zamordowano jej rodziców, jak przymierając głodem harowała w górskiej wiosce i jak straszliwie potraktowali ją porywacze, cieszyła się, że już więcej tu nie wróci. Była tylko kobietą. Jej imienia nie wyryto na tablicach przodków. Z górami nie łączyło jej nic, oprócz wspomnienia nieludzko ciężkich ładunków, które wuj kazał jej nosić, więc spojrzawszy po raz ostatni na ojczysty brzeg wyszeptła:

— Żegnaj na zawsze, przeklęty kraju.

Potem, zobaczyła czekającego na nią przy drabinie młodego hazardzistę, Mun Ki, jedyne od wielu lat człowieka, który okazał jej odrobinę serca. Z radością zeszła na dół, by być razem z nim. Czekala ją za to nagroda. Mun Ki wyciągnął do niej rękę i pomógł jej zejść. Nie wiedziała, że zależało mu, aby nie złamała sobie nogi, ponieważ taki wypadek znacznie zmniejszyłby jej wartość rynkową w Honolulu.

Kiedy stanęła na dnie ładowni, drabinę wciągnięto na górę, a luk ładowni zakryto ciężkimi belkami. Zorientowawszy się, iż ładownia ma być całkowicie zamknięta, Chińczycy zaczęli głośno protestować.

— Przynieść muszkiety! — wrzasnął kapitan Hoxworth. Dostarczono broń. Kapitan rozkazał trzem marynarzom klęknąć na brzegu luku ładowni i krzyknąć:

— Ognia!

Kule świsnęły tuż nad głowami i utkwily w ścianach ładowni. Przerażeni Chińczycy padli na ziemię, podczas gdy marynarze kończyli przybijając ostatnie belki. Przez kraty umieszczone pomiędzy belkami do ładowni wpadało rozrzedzone światło. Brakowało powietrza. Na pokładzie zamontowano żagiel, który miał łapać morską bryzę i wdmuchiwać ją do ładowni. Tylko w ten sposób świeże powietrze dostawało się na dół. Nie było regularnych dostaw wody. Spuszczano tylko jedno wiadro na nieczystości. Ludzie spali na tym, co sami ze sobą przynieśli. Nie było także kocy. W takich warunkach Nyuk Tsin zaczęła prowadzić dom razem ze swoim hazardzistą Mun Ki i z jego dwustu dziewięćdziesięciu dziewięciu towarzyszami.

Jedną rzecz ustalono bardzo szybko. Punti zajęli miejsca z przodu, a Hakka na rufie. Naturalnie żadna z grup nie chciała skalać się kontaktem z tą drugą. Nyuk Tsin wahała się przez chwilę czy nie powinna przyłączyć

się do swych rodaków, lecz ci najwyraźniej nie chcieli mieć nic do czynienia z dziewczyną, która poślubiła Punti. Z drugiej strony, Punti zdobyli się na to, by powitać ją w swoim gronie, zajęła więc razem z mężem miejsce na skraju ich terytorium. Punti przynieśli do niej męczyznę ze złamaną nogą i na migi poprosili o pomoc. Obejrzała kostkę. Złamanie nie było skomplikowane. Usztyniła nogę przy pomocy dwu palców do ryżu i obwiązała ją kawałkiem materiału. Następnie pożyczyła od Punti pościel i przygotowała prowizoryczny materac, na którym mógł odpoczywać ranny. Gdyby miała wodę, obmyłaby mu twarz.

Statek zaczął się poruszać. Najpierw delikatnie, pod wpływem lekkiej przybrzeżnej bryzy, potem gwałtowniej, kołysząc się rytmicznie. Wypłynęli na ocean. Wkrótce cała ładownia wypełniła się jękiem cierpiących na chorobę morską. Ludzie wymiotowali, a potem, obojętni na wszystko z wyjątkiem własnego cierpienia, kładli się na zanieczyszczone dno ładowni. Nyuk Tsin dostała okropnych mdłości i modliła się, żeby statek zatonął. Pierwsza, straszliwa noc minęła im w smrodzie i zaduchu.

Kiedy o świcie jakiś marynarz podniósł kraty, by spuścić na dół wiadra z wodą, krzyknął do swoich kolegów:

— Chcecie sprawdzić jak cuchnie w piekle? Koledzy podeszli i pociągnęli nosami.

— Jak oni mogą to znieść? — zapytali.

— To Chińczycy. Oni tak lubią — wyjaśnił ten pierwszy i zatrzasnął z powrotem kraty, zapominając ustawić żagiel, który wdmuchiwał do środka świeże powietrze. W ciągu dnia temperatura wzrosła, a nie było dość wody, aby zmyć odrażający smród, więc większość spośród trzystu męczyzn zamkniętych na dole, rozchorowała się jeszcze bardziej. Pociłi się, mieli nudności, napełnili po brzegi wiadro na nieczystości, a potem załatwiali się na podłogę obok. Upał stawał się nieznośny. Męczyzna ze złamaną nogą zaczął majaczyć. Wydawało mu się, że jest w domu. Po południu spuszczone jeszcze trochę wody, a marynarz krzyknął:

— Na Boga, powąchajcie teraz!

Jego koledzy zgodzili się, że przy ładowni pełnej Chińczyków, nic się na to nie poradzi. Tym razem nie zapomniano jednak ustawić żagla i pod wieczór ładownia zaczęła dostosowywać się do harmonogramu, którego przestrzegano przez następne czterdzieści sześć dni. O ósmej rano i o czwartej po południu spuszczano na dół kociołki z ryżem, a czasami także kawałki solonej wołowiny. Próby podawania warzyw i ryb spęły na niczym. Wody nie było nigdy dość, ale wypracowano system, dzięki któremu na odpowiedni sygnał wiadro z nieczystościami zabierano na górę i opróżniano. Dbano, by żagiel na pokładzie był odpowiednio ustawiony i pod pokład docierało chociaż trochę świeżego powietrza. Okropny smród, mieszanina uryny, wiatrów i wymiocin, nie wywietrzał całkowicie, ale nawet ludzie o wrażliwych żołądkach w końcu przyzwyczaili się do niego; to był przecież ich zapach i stanowił ważną część ich obecnej, zatłoczonej kwatery.

Mun Ki przezornie zabrał ze sobą karty i kiedy choroba morską ustąpiła, stworzył kącik do gry, gdzie codziennie, jak długo na dół dochodziło słabe światło, próbował odegrać pieniądze wypłacone przyjaciółom. Był świetnym graczem i wygrywał od większości przeciwników drobne sumy. Często, głaszcząc koniec swego warkocza, oznajmiał:

— Jestem bardzo szczęśliwym graczem. Znam się na kartach. Kiedy przeciwnik tracił pieniądze, bystry hazardzista sugerował:

— Pożyczę ci trochę pieniędzy, abyś mógł grać dalej.

Prowadzono dokładny rejestr wszelkich pożyczek. Znamienne było, że żaden Punti nie obiecywał: „Mun Ki, kiedy dopłyniemy do Kraju Pachnących Drzew, zwrócę ci wszystko”. Zamiast tego, zapewniali go: „Kiedy zarobię pieniądze, odeślę je do wuja Chun Fata w Niskiej Wiosce”. Tam był ich dom i tam prowadzono rachunki. Niska Wioska byk dk nich niczym daleka, bezpieczna przystań.

Pewnego wieczoru, gdy przedostające się przez kraty światło nie pozwa- kło grać dalej, Mun Ki spojrział na dziewczynę, którą przewoził do burdelu w Honolulu i pomyślał: „Doskonały Jadeit! Nie do końca doskonały z tymi brzydkimi stopami”. Dla porównank przypomniał sobie dziewczynę z wioski Kung, swoją żonę. Byk dobrze wychowana i iruak małe stopy. Poruszak się z gracją, niczym kwiat na wietrze. Jej biodra kołysały się lekko w sposób obliczony na to, aby wzbudzać pożądanie, doprowadzać mężczyzn do szaleństwa. Wizja delikatnych, pełnych poezji ruchów żony, obudzik w nim wspomnienie pamiętnych dni, które spędził kochając się z tą cudowną dziewczyną i odtwarzał w pamięci wszystko, co wyprawiali razem na jedwabnym łożu.

Podniecił się i zanim zapadły całkowite ciemności, przyjrzał się uważniej Nyuk Tsin. „Z nią też można by się nieźle zabawić”, pomyślał. Przyciągnął ją do siebie i próbował wsunąć dłoń pod jej ubranie, ale Punti leżeli w brudnej kdowni tak blisko siebie, że dziewczyna instynktownie odsunęk się.

— Patrzą na nas — szepnęk.

Zdenerwowało to Mun Ki . Wstał i oświadczył głośno:

— Jestem żonatym mężczyzną i to oburzające, że nie mogę spać z moją żoną. Zamierzam zbudować osłonę.

Rozpakował całą swoją pościel i przy pomocy noża odłupał od śckn ładowni dwie mocne drzazgi. Zaczepił na nich kawałki materiału i zanim w kdowni zapanował mrok, miał gotowe schronienie. Wprowadził do niego Nyuk Tsin i powiedzłk jej, że teraz może się rozebrać.

— Gdyby nie twoje haniebne stopy, bykbyś prawie tak dobra jak moja żona z rodziny Kung — powiedzłk, gdy leżeli złączeni na twardych deskach ładowni.

Od tego czasu, zawsze kiedy nie było chętnych do gry, a długi, męczący dzień chylił się ku końcowi, Mun Ki oznajmiał:

— Zamierzam zbudować osłonę.

Pozostali mężczyźni szanowali ten układ i w ciągu dnia traktowali Nyuk Tsin z większym szacunkiem. Na belce nad łóżkiem Mun Ki powiesił znak „Oby to łoże wydało stu synów”. Nie wiedział, że błogosławieństwo przyniosło oczekiwane skutki i w odpowiednim czasie Nyuk Tsin miała wydać na śwkt jego syna.

Na początku drugiego tygodnia stało się jasne, że zkmna kostka Punti nie zagoi się. Odkruszone kości spowodowały rany, które zaczęły ropieć. Na nodze pojawiła się niepokojąca, błękitna pręga. Dktego pewnego poranka, kiedy otwarto luk, by wciągnąć wkdro z nieczystościami, jeden z Punti podciągnął się do góry chcąc poprosić marynarzy o pomoc. Kiedy jednak marynarze zobaczyE mężczyznę o żółtej twarzy i z warkoczem na pokładzie, wpadli w panikę i zaczęli krzyczeć:

— Bunt! Bunt!

Przybiegł pierwszy mat, łapiąc po drodze jakąś żerdź, a kapitan opuścił mostek i szybko zbiegł na pokład. W międzyczasie jeden z marynarzy z całej siły uderzył pięścią zaskoczonego Puntiego. Chińczyk potknął się i poleciał w stronę pierwszego mata, który z kolei wymierzył mu żerdzią potężny cios w głowę, powalając go na ziemię, tuż pod stopy nadciągającego kapitana. Kapitan, widząc leżącego na pokładzie buntownika, zaczął kopać go ciężkimi buciorami w twarz, masakrując ją.

Skończywszy pastwić się na Chińczykiem, kapitan wrzasnął na marynarzy:

— Hej, wy! Wrzućcie tego cholernego pirata z powrotem.

Dwóch mężczyzn złapało nieprzytomnego Puntiego i rzuciło głową w dół do ładowni.

— A nich to szlak trafi — krzyknął wściekły kapitan. — Nie powinniśmy byli wypływać bez kogoś, kto mówi po chińsku. Złościł się jeszcze przez chwilę, a potem zarządził: — Panie Aspinwall, proszę przynieść strzelby. — Gdy dostarczono broń, kazał ludziom strzelać na głowy kulących się Chińczyków.

— Nigdy więcej nie próbujcie wzniecić buntu na moim statku! — huczał Hoxworth klnąc kulisów wracając na swój mostek.

Na mostku spotkał pobladłego doktora Whipple.

— Czy taka brutalność była konieczna, kapitanie Hoxworth?

— John, lepiej trzymaj się od tego z daleka — odparł wysoki, postawny żeglarz wpatrując się w dal, ponad dziobem swojego statku.

— Nie mogę brać udziału w takich okrucieństwach — powiedział stanowczo siwowłosy lekarz.

— Boisz się krwi? — zapytał Hoxworth. — A może boisz się utracić zainwestowane w nich pieniądze?

Doktor Whipple udał, że nie słyszał obraźliwego pytania kapitana.

— Jako chrześcijanin nie mogę tolerować takiego traktowania ludzi, których nająłem w dobrej wierze.

Stary marynarz, nie odrywając się od sterowania statkiem zapytał spokojnie:

— Doktorze Whipple, jak pan myśli, ile statków trafiło w zeszłym roku w ręce chińskich piratów, którzy przesznułowali się na pokład?

— Nie wiem.

— Jedenaście — odpowiedział ze spokojem kapitan. — To znaczy, wiemy o jedenastu takich przypadkach. Nie mamy najmniejszego pojęcia, kto siedzi w tej ładowni. Piraci... mordercy... buntownicy. Niech pan zgaduje. Ja tylko oświadczam panu, iż żaden ze statków Hoxwortha i Hale'a nie dostanie się w ręce Chińczyków. Dlatego też osobiście nadzorowałem ten drobny incydent.

— Ależ skopał pan nieprzytomnego człowieka!

— Doktorze Whipple, szanuję pańskie zasady. Podoba mi się sposób, w jaki prowadzi pan interesy. Jednak w moim zawodzie, jeżeli kapitan boi się lub nie chce skopać swojego wroga, może stracić swój statek. Mam ich teraz dziewiętnaście i nie zamierzam stracić ani jednego z nich na rzecz tych krwiożerczych Chińców.

Doktor Whipple przemyślał w milczeniu tę uwagę i ruszył do wyjścia. Stał w drzwiach i spokojnym głosem oznajmił: — Kapitanie, szanuję pana od lat, ale muszę odżegnać się od pańskich działań. Są brutalne i niczym nie można ich usprawiedliwić. — Doktor uważając, że swoimi słowami zmiażdżył moralnie kapitana, opuścił mostek. Potężny kapitan Hoxworth wyskoczył za nim, pochwycił go za ramię, odwrócił w swoją stronę i warknął:

— Raz misjonarz, zawsze misjonarz. Doktorze, nie wie pan nic o prowadzeniu statku i powinien pan trzymać się od tego z daleka. To nie praca dla misjonarzy. To praca dla mężczyzn.

Odepchnął Whipple'a z pogardą i wrócił na mostek, z którego prowadził swój statek i z którego symbolicznie dowodził całym, dochodowym liniom morskimi.

John Whipple nie pozwolił, by gniew zaćmił jego osąd. Podczas długich lat handlu na Pacyfiku, spotykał wielu upartych ludzi i był świadkiem wielu spowodowanych przez nich okrucieństw. Z doświadczenia wiedział, że w takich sytuacjach jedyną szansą na zwycięstwo było postępowanie zgodnie z tym, co nakazywało mu sumienie. Tylko dzięki tej zasadzie potrafił przetrwać w Valparaiso, Batawii, Singapurze i Honolulu. Teraz, spokojnie wrócił do kabiny, sąsiadującej z kabiną, w której podczas postoju w Hong Kongu, kapitan trzymał dwie, młode Chinki i zabrał swoją torbę lekarską. Sprawdziwszy jej zawartość, jak nauczono go tego ponad czterdzieści lat temu, podszedł do kraty zasłaniającej wejście do luku ładowni i powiedział do jednego z marynarzy:

— Otwórz to i wpuść mnie do środka.

— Kapitan by...

— Otwieraj — rozkazał Whipple. — Na dole umiera człowiek, chwycił żerdź i wybił nią kliny przytrzymujące kraty. Otwór był zbyt wąski, by wstawić w niego drabinę. Doktor umieścił torbę lekarską między nogami i opuściwszy się na rękach w dół, zeskoczył do cuchnącej ładowni.

— Co za smród! — wymamrotał przez zaciśnięte zęby.

W porównaniu do oświetlonego promieniami słonecznymi pokładu, ładownia wydawała się ponura i mroczna. Przyzwyczajony do ciemności i dławiącego oddechu zapachu, zobaczył leżących na podłodze, tuż obok niego dwóch mężczyzn. Reszta stała zbита w dwie grupy.

„To muszą być Hakka i Punti”. Nie wiedział czy nie rzucą się na niego. Mieliby do tego całkowite prawo. Jednak każdy z trzystu mężczyzn widział go już przedtem w swojej wiosce i traktował jak przyjaciela. Whipple nie zamierzał zawieść ich zaufania.

Nie zważając na niepewną sytuację, w jakiej się znalazł, uklęknął przy rannym mężczyźnie i zbadał rany na jego twarzy. Z torby wyjął coś, co Chińczycy uznali za lekarstwa. Ostrożnie, trzymając kciuk wewnątrz jamy ustnej rannego, zaczął nastawiać połamane kości, myśląc: „Bogu dzięki, że jest nieprzytomny”. Następnie zajął się otwartymi ranami na twarzy. Z ulgą stwierdził, iż oczy nie były poważnie uszkodzone. Podniósł wzrok na otaczających go kołem mężczyzn i przekazał im wiadomość o tym radosnym odkryciu. Zrozumieli go.

W tym momencie z tłumu wyszła Nyuk Tsin i zwróciła jego uwagę na mężczyznę ze złamaną kostką. Z podziwem obejrzał łubki zrobione przez Nyuk Tsin z pałeczek do ryżu. Pochwalił ją, a Chińczycy zrozumieli tę pochwałę. Od tej pory traktowali Nyuk Tsin ze znacznie większym szacunkiem.

Dla doktora Whipple było jasne, że jeżeli nie zastosuje się błyskawicznie środków zapobiegawczych, mężczyzna straci nogę.

— Spuście mi natychmiast gorącą wodę — krzyknął, ale kiedy marynarz otworzył kratę, wszyscy usłyszeli grzmiący głos kapitana:

— Kto wam do cholery pozwolił otworzyć kratę?

— Doktor Whipple jest na dole. Opatruje rannego Chińczyka.

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Potem słychać było czyjeś kroki i

odgłos wymierzonego policzka, a w chwilę później na dół chlusnęła struga gorącej wody.

— Na Boga, oto jego gorąca woda. Już ja go nauczę otwierać kraty!

Chińczycy już przedtem słyszeli te okropne dźwięki, ale patrząc na stojącego pomiędzy nimi Amerykanina, wiedzieli, że tym razem to jemu się dostawało. Następnie, ktoś przyłożył twarz do krat zasłaniających wejście do ładowni i wrzasnął:

— Johnie Whipple, czy jesteś na dole z tymi cholernymi, chińskimi piratami?

— Opatruję ich — odpowiedział Whipple.

— Cóż, jeśli tak bardzo kochasz tych Chińców, możesz tam zostać! Gdyby próbował się wydostać, dołóżcie mu tak, żeby popamiętał — rozkazał marynarzom, którzy mieli czuwać przy luku do ładowni.

W ciągu kilku następnych godzin John Whipple dokonał jednego z dwóch czy trzech najważniejszych odkryć swego życia, a mianowicie, przekonał się, że człowiek dobrej woli, potrafi się dość dobrze porozumieć się z innymi, których językiem nie włada. Jeżeli bardzo mocno tego się chce, a doktor Whipple chciał i w ciągu sześćdziesięciu minut zdołał przekazać zarówno Hakka jak i Punti, że złamaną nogę da się uratować, jeśli dadzą mu trochę wody ze swoich rezerw, nieprzytomny mężczyzna nie umrze, kubeł na nieczystości trzeba codziennie płukać, mimo niewielkich racji wody i że wszyscy, Hakka i Punti, powinni oddawać mocz w jednym miejscu, przy ścianie od zawietrznej. Sam użył wyznaczonego przez siebie miejsca. Sprawilo mu dużą satysfakcją, gdy mocz szybko wyciekł z ładowni przez dziurę w podłodze. Powąchał dokładnie to miejsce i pomyślał: „Przy tej temperaturze, za dwa dni będzie tu strasznie, ale i tak lepiej niż dotychczas”.

Aby ukarać buntowników za działania, które jak to ujął w dzienniku pokładowym, mogły doprowadzić do utraty „Carthaginian”, tego dnia nie spuszczo na dół wody ani jedzenia. Nie wyciągnięto także wiadra z nieczystościami.

Gdy zapadły ciemności i przerwano grę w karty, a John Whipple zaczął przygotowywać się do spędzenia pierwszej nocy w ładowni na gołych deskach, Nyuk Tsin przeszła pomiędzy Hakka i zebrała trochę zapasowych ubrań. Zaczęły się już lęgnąć w nich robaki, ale John Whipple wziął je i podziękował właścicielom. Najgorszy był dla niego smród panujący w pomieszczeniu. Doprowadzał go do mdłości.

Dopiero następnego dnia, około czwartej po południu, odsunięto kraty i spuszczo trochę wody. Whipple zaskoczyła dyscyplina, jaką wykazali w tym momencie cierpiący straszliwe pragnienie Chińczycy. Kee Mun Ki stanął na ciele Punti, a wysoki, ubrany w łachmany mężczyzna reprezentował Hakka. Woda została podzielona sprawiedliwie.

— Czy moglibyście dać nam jeszcze cztery wiadra wody?

Najpierw słyhać było przyciszoną dyskusję, a potem czyjeś kroki i krzyk kapitana:

— Czego chcesz?

— Potrzebujemy więcej wiader z wodą — odpowiedział Whipple.

— Nie zawsze dostaje się to, czego się potrzebuje — grzmiał Hoxworth. — Mam tu do czynienia z buntem.

— Czy przynajmniej każesz swoim ludziom opróżnić wiadro z nieczystościami? — poprosił Whipple.

— Nie! — odpowiedział kapitan i odmaszerował.

Podczas drugiej, straszliwej nocy cierpieli głód i pragnienie. Doktor

Whipple wytłumaczył Chińczykom, że kapitan był człowiekiem psychicznie nie zrównoważonym i wszyscy, nie wykluczając jego samego, musieli uważać, by go nie drażnić. Smród stał się nie do zniesienia, gdyż powietrze prawie wcale nie dostawało się przez kraty. Następnego ranka dostali cztery dodatkowe wiadra wody i trochę jedzenia. Kiedy Whipple dostał swoją rację, zrobiło mu się niedobrze. „O mój Boże! Czy naprawdę dajemy im coś takiego do jedzenia?”. Dzień mijał powoli. Doktor Whipple, nie potrafiąc zajmować się wyłącznie złamaną kostką i zmiażdżoną szczęką, zaczął rozmyślać: „Dalekie podróże dla nikogo nie są przyjemnością. Na „Thetis” nie było dużo lepiej. Przynajmniej na Pacyfiku choroba morska nie dokucza tak bardzo. Gdyby to był Atlantyk...”.

W tym samym czasie Chińczycy myśleli: „Założę się, że ten bogaty Amerykanin nigdy dotąd nie przeżył czegoś takiego”. I chociaż Whipple i jego Chińczycy mogli rozmawiać o wielu rzeczach, to nie mogli się zrozumieć kiedy chodziło o tak zasadniczą sprawę jak emigracja. Nawet kiedy poznał już podstawowe słowa, nie potrafili przekazać sobie podstawowej idei braterstwa — tego, że wszyscy doświadczyli biedy. I tak, jak Abner Hale nie mógł uwierzyć, że Polinezyjczycy heroicznie znosili ubóstwo, aby dotrzeć na Hawaje, podobnie Chińczycy z „Carthaginiana” nigdy nie przyjęliby do wiadomości twierdzenia, że bogaty biały człowiek także poznał smak wyrzeczeń.

Mijały monotonne dni. Odkąd doktor Whipple pokazał im, jak myć podłogę wodą z wiadra, smród zelżał. Pomogło także, kiedy zaczęli przemywać wodą kąt w ładowni, w którym wszyscy oddawali mocz. Człowiek o pogruchotanej twarzy jęczał coraz rzadziej, a złowieszcze czerwone pręgi na brzuchu drugiego chorego zbladły. Chińczycy mieli ze sobą karty i prowadzili długie rozgrywki, zaś pewnego dnia wśród Puntich wybuchły krzyki, sprowokowane incydem, którego natury Whipple nie zdołał zrozumieć. Nagle Mun Kui wstał i oznajmił coś gwałtownie, po czym wraz z żoną poczęli wieszać szorstkie koce, odcinając nimi kąt ładowni.

— Na miłość Boską! — mruknął do siebie doktor Whipple odkrywszy, w czym leżał problem. I kolejny dzień bez znaczenia przeszedł w nieważną noc. Nim jednak zgasł słoneczny blask, ktoś odrzucił kopniakiem kratę i z góry dobiegł ostry głos kapitana Hoxwortha.

— Masz już dosyć, Whipple?

— To ja sprowadziłem tych ludzi na pokład naszego statku — odparł cicho lekarz — Zostanę z nimi, póki ich rany nie zagoją się.

— Jak sobie życzysz. Masz tu kawałek chleba. — Do ładowni ciśnięto spory bochenek. Chińczykom, których Whipple poczęstował odrobiną, chleb nie smakował, lecz doktor zauważył, że wśród tych, którzy pragnęli spróbować czegoś nowego, przeważali Hakka.

Trzeciego dnia odsunięto kratę, wyrwano kilka desek z pokrywy luku i do ładowni wsunięto drabinę. Uzbrojeni marynarze czuwali, podczas gdy doktor Whipple powoli wspinał się ku górze, a jego oczy stopniowo przy-wykały do jaskrawego słonecznego światła. Nim opuścił pomieszczenie, Chińczycy zasygnalizowali, że żałują jego odejścia, on zaś odparł, iż przyśle im więcej wody i lepsze jedzenie. Następnie deski zostały przybite na miejsce.

Spotkanie Whipple'a z kapitanem Hoxworthem było bolesne. Przez pierwsze dwie godziny dowódca statku unikał lekarza, lecz podczas lunchu musieli się zetknąć i Whipple powiedział stanowczo:

- Rafer, musimy dać tym ludziom więcej wody.
- Dobrze — mruknął Hoxworth.
- I koniecznie potrzebują lepszego jedzenia.
- Przy cenie, jaką płacą nam za przewóz, doktorze, to niemożliwe.
- Można jednak nie dopuścić do zanieczyszczenia ryżu.
- Nasz kucharz nie zna się na chińskim żarciu, doktorze.
- Musi ich lepiej karmić.
- Nie za tą cenę — upierał się Hoxworth.

Doktor Whipple miał już sześćdziesiąt sześć lat i niemal niczego się nie lękał. Teraz więc, nie uciekając się do prymitywnych gróźb, zauważył:

— Dwa dni temu oskarżył mnie pan, że jestem misjonarzem. Od wielu lat nie myślałem o sobie w ten sposób, w miarę jednak, jak się starzeję, miano to napawa mnie coraz większą dumą. Jestem misjonarzem. Zawsze nim byłem. A czy wiesz, Raferze, co jest najgorszego w misjonarzach?

Hoxworth, podejrzewając, że zastawia na niego sidła ktoś co najmniej dorównujący mu sprytem, odparł ostrożnie:

— Tak mi się wydaje.

— Nie, kapitanie, nic pan nie wie. Gdyby tak było, nie potraktowałby mnie pan tak, jak przez ostatnie dwa dni. Nie nauczył się pan, dlaczego należy obawiać się misjonarzy.

— Dlaczego?

— Ponieważ oni piszą.

— Co robią?

— Piszą. Cierpią na manię pisania książek, wspomnień, serii listów do gazet. — Wpatrywał się w kapitana lodowatym wzrokiem. — Rafer, nigdy nie napisałem, co myślę o tym, jak potraktowałeś Abnera Hale'a, ojca twojego partnera, gdyż była to sprawa prywatna i można ją było wybaczyć. Ale jeżeli nie zaczniesz lepiej karmić tych Chińczyków, po dopłynięciu do Honolulu zacznę. Napiszę serię listów, które na zawsze rzucą cień na twoją ukochaną, błękitną flagę. Zawsze, ilekroć jeden ze statków „H & H” wpłynie do portu, znajdzie się ktoś, kto będzie słyszał o tych listach. Tak, Rafer, misjonarze mają potężną broń. Piszą. Są sumieniem Pacyfiku.

Zapadła złowróżbna cisza, przzerwana w końcu przez Hoxworth'a, który walnął pięścią w stół, aż zabrzęczały naczynia.

— Do cholery, to przecież szantaż.

— Naturalnie — zgodził się Whipple. — Szantaż to jedyna osłona człowieka kulturalnego przed barbarzyńcą, a ty nim jesteś, Rafer.

— Czego chcesz? — warknął kapitan.

— Podwojenia dziennych racji ryżu, uczciwych porcji mięsa i wody trzy razy dziennie. Również trzy razy dziennie ma być zabierane na górę wiadro z nieczystościami, a ja będę mógł schodzić na dół, żeby sprawdzić, jak czują się chorzy.

— Nie będę ryzykował buntu na moim statku — wrzasnął Hoxworth. — Nie odsłonię luku dopóki nie dobijemy do Honolulu.

— Zejdę na dół przez kraty — odparował Whipple.

— Będziesz musiał sam sobie dawać radę z wracaniem na górę — ostrzegł go kapitan.

— Chińczycy podniosą mnie do góry.

— Bardzo polubiłeś tych... — Hoxworth nie dokończył obelgi. Zamiast tego zapytał poufale:

— Powiedz doktorze, co się dzieje z tą dziewczyną? Czy mężczyźni sypiają z nią po kolei?

— Jest żoną jednego z nich — odrzekł zimno Whipple. — Żyją spokojnie w kącie ładowni.

— Czy on..., no wiesz...

— Tak. Za płachtami rozwieszonymi w kącie ładowni.

— Miech mnie kule biją, jeśli znalazłoby się trzystu amerykańskich marynarzy, którzy pozwoliliby mu na coś takiego. O, nie ma mowy!

— Może Chińczycy są bardziej cywilizowani od nas — odpowiedział doktor Whipple i wyszedł.

Z dumą nadzorował wydawanie pierwszej dodatkowej porcji wody. Był tam, kiedy podano pierwszy porządny posiłek. W międzyczasie, nieznośny smród trochę osłabł, gdyż doktor pilnował, aby żagiel na pokładzie ustawiano we właściwy sposób i teraz więcej powietrza dostawało się do zatęchłej ładowni. Złamana kostka goiła się, podobnie jak twarz drugiego z rannych mężczyzn. Niektórzy Punti, pod kierownictwem doktora, zaczęli zaprzyjaźniać się z Hakka, a któregoś dnia, pod koniec podróży, Mun Ki zapragnął mieć Nyuk Tsin wyłącznie dla siebie, nie tylko dlatego, że marzył o swojej nagiej żonie. Przekonał się, iż była miłą i pracowitą kobietą.

Pewnego szczególnie upalnego dnia, Chińczycy ze zdumieniem usłyszeli przerażający dźwięk, jakby łańcuchów spuszcanych w dół. Sądzieli, że nastąpiła katastrofa. Nie wiedzieli nic o statkach, ale natychmiast zorientowali się, iż ustało kołysanie. Statek nareszcie dobił do macierzystej przystani. Po długiej bieżaninie i zamieszaniu na pokładzie, zdjęto belki zakrywające luk ładowni. Spuszczono drabinę. Jeden po drugim, Chińczycy wychodzili na światło dzienne; przecierali oczy porażone słonecznym światłem. Po chwili ujrzeli białe brzegi Honolulu, drzewa palmowe i odległe Diamentowe Wzgórza. W oddali majaczyły równiny i zielono-błękitne wzgórza spowite mgłą. Jak prawie każdego dnia, na dolinę zawisła tęcza. Chińczycy uznali to za dobry znak towarzyszący ich przybyciu do Kraju Pachnących Drzew. Jakże cudownym i nieskończenie pięknym wydawał im się ten kraj owego dnia.

Nie tylko oni uważali przybycie „Carthaginian” za dobry znak. W głównej gazecie Honolulu, „Mail”, zamieszczono artykuł mówiący: „Dowiedzieliśmy się z pewnych źródeł, iż „Whipple & Janders” wkrótce dostarczy na pokładzie szkunera „Carthaginian”, należącego do „H & H”, Chińczyków przeznaczonych do pracy na plantacjach cukru. Ci sprawni robotnicy — zapewniono nas, iż doktor John Whipple osobiście udał się do Chin, aby wybrać młodych i silnych mężczyzn, wielu spośród nich Hakka — będą dostępni na pięcioletnie kontrakty za trzy dolary miesięcznie, jedzenie i mieszkanie, oraz trzy chińskie święta w roku. Po dziesięciu lub piętnastu latach pracy na plantacjach cukru, Chińczycy mają wrócić do ojczyzny, zwłaszcza, że nie przywieźli ze sobą własnych kobiet, a nie mają szans na znalezienie ich tutaj.

Plantatorzy korzystający już z pracy Chińczyków mówią o nich co następuje: W każdej pracy nieskończenie przewyższają niezaradnych Hawajczyków. Jedzą mniej i są posłuszniejsi. Nie chorują. Łatwiej uczą się nowych prac. Po odpowiednim przeszkoleniu stają się znakomitymi cieślami oraz mają wyraźne skłonności do wiejskiego życia. Ich pracodawca musi być surowy. Nie powinien jednak zbyt często ich bić. Przede wszystkim, nie może okazywać oznak słabości, gdyż jak wszyscy ludzie wschodu, Chiń-

czycy kochają i szanują ludzi, rządzących twardą ręką. Pogardzają natomiast łagodnymi.

Mamy szczęście, zyskując tak dobrych robotników dla naszych plantacji i jesteśmy pewni, że przedsiębiorczy Chińczycy, przepracowawszy pewien czas na naszych warunkach i oszczędziwszy zarobione pieniądze, wrócą do Chin. Z pewnością pozostaną w naszej pamięci jako ludzie przedsiębiorczy, a sami zabiorą do domu fortuny, o jakich zebraniu nie mogliby nawet śnić, gdyby nie przyjechali tutaj. Przemysł cukrowniczy wita mieszkańców Państwa Środka. Jesteśmy przekonani, iż od tego dnia na naszych wyspach rozpoczną się dni rozkwitu."

Tak więc lądowanie Chińczyków w Kraju Pachnących Drzew odbyło się w przyjacielskiej atmosferze. Schodząc na brzeg, Punti myśleli: „ To będzie wspaniały dom na następne pięć lat, a potem znów zobaczę Niską wioskę". Nikt nie pragnął tego bardziej niż Kee Mun Ki. Tymczasem Hakka myśleli: „Ta ziemia będzie dla nas cudownym domem. Nigdy stąd nie wyjedziemy" i nikt marzył o tym mocniej niż Char Nyuk Tsin.

Jeżeli Chińczycy czasami drażnili Hawaje odmawiając nazywania tej ziemi inaczej niż Krajem Pachnących Drzew, wyspy odwzajemniły się im w zadziwiający sposób. Wewnątrz parnego urzędu celnego, urzędnik do spraw imigracji krzychał:

— Dobrze! Uwaga! Wszyscy Pake do mnie! — Nikt się nie ruszył, więc krzyknął jeszcze raz, wyraźnie wymawiając słowa. — Pake, do mnie!. — I tym razem nie było żadnej reakcji. — Hej, Chince, stanąć w szeregu! — wrzasnął tracąc cierpliwość.

Podobno, kiedy Chińczycy po raz pierwszy pojawili się na Hawajach, wyspiarze zapytali ich:

— Jak mamy was nazywać?

Najstarszy spośród przybyłych odpowiedział:

— Byłoby właściwe, gdybyście nazywali mnie „Pak Yeh".

W języku chińskim oznaczało to „Starszy Wu". Od tamtego czasu na Chińczyków wołano Pake.

Kiedy Mun Ki miał stanąć przed tłumaczem, drżał na całym ciele. Wiedział, że będzie musiał podjąć ważną decyzję dotyczącą Char Nyuk Tsin. Zapomniał o swoim dylemacie, gdy urzędnik, potężnie zbudowany Hawajczyk znający zaledwie kilka zdań po chińsku, rzucił groźne spojrzenie mężczyźnie stojącemu przed Mun Ki i warknął:

— Jak się nazywasz?

Przerażony Punti stał bez słowa. Ogromny Hawajczyk wrzasnął:

— Jak się nazywasz?

Chińczyk nadal stał niemy, nic nie rozumiejąc. Podszedł do niego chiński uczonec, zatrudniony jako tłumacz i powiedział w języku Punti:

— Podaj temu człowiekowi swoje nazwisko.

— Leong Ah Kam — odpowiedział Chińczyk.

— Które z tych nazwisk jest ważne? — zapytał Hawajczyk.

— Leong — wyjaśnił tłumacz.

— Jak się to pisze?

— No cóż — zawahał się uczonec tłumacz — trudno zapisać po angielsku nazwisku Leong.

Można by z tego zrobić Lung, Ling, Liong albo Lyong.

Potężny Hawajczyk zastanawiał się przez chwilę.

— Lung brzmi śmiesznie — warknął, nie dlatego, że był zły na stojącego przed nim Chińczyka, lecz dlatego, że miał już po uszy ciągłych problemów z wyszukiwaniem nazwisk dla chińskich imigrantów. Nagle jego twarz rozjaśnił przyjazny uśmiech. Swoim wielkim, grubym palcem wskazał na Leonga Ah Kama i zbijając w jedno dwa ostatnie człony nazwiska oświadczył:

— Odtąd będziesz nazywał się Akama. Nie zapomnij o tym. Skrupulatnie zapisał nazwisko na białej karcie: „Oficjalne nazwisko

tego człowieka brzmi L. Akama" W ten właśnie sposób Chińczycy zyskali swoje hawajskie nazwiska. Ah Kong zamieniło się w Akon. Ah Ki stało się Akina, a czasami zwykle Ah Pake, czcigodny Chińczyk, przeobrażało się w Apaka. Podobnie jak w przeszłości, Hawaje wciąż modelowały wszystko, co napływało do nich z zewnątrz. Robotnik Punti Leong Ah Kan stał się L. Akamą.

Przyszła kolej Kee Mun Ki i kiedy tłumacz zapytał go o nazwisko, odpowiedział stanowczo:

— Kee Mun Ki i chcę być znany jako Kee.

— Co on powiedział? — zapytał Hawajczyk. Usłyszawszy odpowiedź, sprawdził nazwisko na różne sposoby, uznał je za satysfakcjonujące i napisał: „Oficjalne nazwisko tego człowieka brzmi Kee Mun Ki". Sprytny hazardzista poczuł, że odniósł zwycięstwo. Nie zdążył się nim jednak nacieszyć, ponieważ stanęły przed nim dwa inne problemy. Zza ogrodzenia przyciszonym głosem wołał go bystrooki Chińczyk. Młody hazardzista instynktownie wyczuł, iż był to człowiek, z którym za wszelką cenę pragnął uniknąć spotkania. "Wołanie nie ustawało i Mun Ki musiał podejść do ogrodzenia.

— Czy to ty przywiozłeś dziewczynę? — zapytał żyłasty mężczyzna.

— Tak — odpowiedział szczerze Mun Ki.

— Z Burdelu wiosennych Nocy?

— Tak.

— Dzięki Bogu! — odetchnął nerwowo nieznajomy. — Naprawdę potrzebuję nowej dziewczyny. To chyba Hakka? — Tak.

— Cholera! — sapnął nieznajomy. — Czy przynajmniej obniżył cenę? Przecież to tylko Hakka.

— Ona nie jest na sprzedaż — powiedział ostrożnie Mun Ki.

— Co takiego? — nieznajomy spoważniał.

— Zamierzam zatrzymać ją dla siebie — wyjaśnił Mun Ki.

— Ty złodzieju! Ty złodzieju! — Nieznajomy narobił strasznego zamieszania. Do ogrodzenia podeszli urzędnicy i zaczęli na niego krzyczeć.

— To moja dziewczyna — wydzierał się rozwścieczony Punti, zapominając, że przyznawał się do handlu żywym towarem. Jeden z tłumaczy Punti zawołał urzędnika Hakka. Razem zwrócili się do Char Nyuk Tsin:

— Pewien mężczyzna twierdzi, iż zostałaś mu sprzedana — wyjaśnił tłumacz Hakka.

— Jaki mężczyzna? — zapytała zdziwiona Nyuk Tsin.

— Tamten mały, nerwowy człowiek — odrzekł urzędnik. Ze sposobu, w jaki ją wypytywano i ze spojrzenia małego, wrzeszczącego mężczyzny, wywnioskowała dlaczego przywieziono ją na Hawaje. Została sprzedana do domu publicznego, takiego jak Burdel Wiosennych Nocy. Znowu czuła sznury krępujące jej dłonie i chociaż minęło od tamtych chwil wiele tygodni, przypomniła sobie odrażające noce z porywaczami. Opanowała panikę i przełamała strach dławiący jej gardło. Odepchnęła tłumacza, podeszła do Mun Ki i stanęła tuż przed nim.

Jego spuszczone oczy natrafiły na jej duże stopy, silne dłonie i w końcu na niezbyt piękną, lecz wymowną twarz. Przez chwilę patrzył jej w oczy i pomyślał: Jest warta każdej ceny. Potrafi pracować".

— Ta dziewczyna nie jest na sprzedaż. To moja żona — powiedział wyraźnie tak, aby Nyuk Tsin mogła go zrozumieć. Żaden Amerykanin ani Hawajczyk jak dotąd nie wtrącił się do kłótni pomiędzy Chińczykami. Jak to zwykle bywa, tłumaczom zależało, by sprawa została rozwiązana wśród samych Chińczyków.

— Dobrze, ale tamten człowiek twierdzi, że zapłacił za nią pięćdziesiąt dolarów — powiedział tłumacz Punti.

— Tak było — zgodził się Mun Ki. — Oddam mu te pięćdziesiąt dolarów. — Rozwiązał pas ślubny, wsunął dłoń do sakiewki, którą wyhaftowała dla niego żona i wyjął pięćdziesiąt dolarów meksykańskich. Hazardzista Mun Ki, oddając owe dolary, które miał nadzieję wielokrotnie pomnożyć, czuł się jakby wyrzekł się części swej nieśmiertelnej duszy. Mimo to, pieniądze zostały przekazane na drugą stronę ogrodzenia.

— Będzie lepiej, jeśli rozwiążemy tę sprawę między sobą — wyszeptał tłumacz Punti, ale właściciel burdelu zaczął krzyczeć, że obrabowano go z jego własności. Słyszac to, Mun Ki podbiegł do ogrodzenia, sięgnął ręką na drugą stronę i złapał małego, nerwowego człowieczka za szyję.

— Rozerwę cię na kawałki! — wrzasnął. — Byłem ci winien pieniądze i zapłaciłem ci uczciwie.

— Co się tam dzieje? — zawołał doktor Whipple.

— Nic takiego — odpowiedzieli z uniżeniem tłumacze.

— Hej ty tam. Co to za bójka?

— Ja się nie bić! — wykrzyknął właściciel burdelu. Jego twarz wyrażała zdziwienie, iż ktoś mógł posadzić go o udział w burdach.

— Jakie nadano ci imię? — zapytał Whipple Mun Ki. — Spójrzmy w papiery. Tak, Mun Ki. To dobre imię. Brzmi po hawajsku. Tłumaczu, chciałbym, aby on i jego żona pracowali dla mnie. Przekaz mu to i zapytaj, czy potrafi gotować.

— Czy potrafisz gotować? — spytał tłumacz.

— Byłem najlepszym kucharzem w burdelu w Macao — odpowiedział hazardzista.

Wątpię, by amerykański misjonarz to docenił, pomyślał Punti.

— Potrafi — zapewnił doktora Whipple.

— Wyjaśnij mu, że jeśli będzie pracował na plantacji cukru, zarobi trzy dolary, a jako kucharz tylko dwa. Jego żona dostanie pięćdziesiąt centów miesięcznie. Jest jednak wiele plusów.

— Jakich? — spytał Mun Ki.

— Nauczysz się angielskiego. Zostaniesz wykwalifikowanym pracownikiem. Poza tym, będziesz mieszkał w mieście, więc jeżeli zechcesz potem otworzyć sklep...

— Zostanę pańskim kucharzem. — Wyjaśnienia Whipple'a były bardzo interesujące, ale bystry hazardzista szybko przewidział dodatkowe korzyści, które zawazyły na jego decyzji: w mieście miał możliwość brania udziału w wielkich grach hazardowych.

Mun Ki i jego żona, Hakka Nyuk Tsin zostali służącymi w domu doktora Whipple. Kiedy Chińczycy poszli odebrać swój bagaż, Mun Ki wziął lekki materac, a Nyuk Tsin ciężką beczkę i koszyk. Biorąc go, zauważyła przyczepiony do niego sznur, którym byk związana w Burdelu Wiosennych Nocy. Bystry, mądry mężczyzna, idący teraz przed nią, uratował ją od strasznego

życia. Swoim cennym złotem kupił jej wolność. Szła więc za nim, obciążona ciężarami i myślała: „Niech bogowie pobłogosławią tego dobrego człowieka wieloma synami”.

Po bliższej inspekcji można się było przekonać, że Honolulu z 1865 roku nie dorównywało wspaniałości otaczającemu je krajobrazowi. Na Hawajach nie było drewna. Nie było też wykwalifikowanych kamieniarzy, którzy mogliby obrabiać kamień z miejscowych kamieniołomów. Każdy centymetr drewna wykorzystywano praktycznie, nie pozwalając sobie na estetyczne ekstrawagancje. Dlatego też budynki były niskie i bezkształtne, klecone pospiesznie. W centrum miasta domki tłoczyły się jedno obok drugich i zazwyczaj nie były pomalowane. Ulice były pełne kurzu i nie wybrukowane. Chociaż kilka głównych ulic handlowych miało chodniki z granitowych podkładów sprowadzonych z Chin, w większej części miasta piesi musieli chodzić poboczami ulic. Istniała sprawna policja i straż ogniowa. Jednak sądząc po licznych bliznach w zabudowie miasta pozostawionych po wypalonych domach, ta ostatnia odnosiła skromne sukcesy.

Przedsiębiorstwa handlowe mieściły się w dużych budynkach, często wybudowanych z cegieł przywiezionych z Anglii jako balast. Sklepy rozrzucone były przypadkowo. Na rogu ulic Fort i Merchant, w nowym ceglany budynku, wyróżniającym się zielonymi, żelaznymi okiennicami. Janders & Whip-ple" mieli największy ośrodek handlowy w mieście, lecz najokazalszy budynek w Honolulu stał po drugiej stronie ulicy: siedziba Hoxworth'a i Hale'a. Mun Ki, bystry obserwator, porównał niechlujny wygląd Honolulu do wspaniałości Kantonu, gdzie wzdłuż nabrzeży stały pyszne kamienne domy i odczuł szczere rozczarowanie.

W międzyczasie inni Punti z „Carthaginian" odkrywali, że bujna tropikalna roślinność występowała jedynie w niedostępnych górach, a ziemia na której mieli pracować była jeszcze bardziej wyjałowiona niż ich ziemia w Chinach. Popadli w przygnębienie i myśleli: „Wuj Chun Fat okłamał nas. Nawet Chińczyk nie da rady wzbogacić się pracując na takiej ziemi." Ze stu przeciętnych pól otaczających Honolulu, co najmniej dziewięćdziesiąt przypominało pustynię, gdyż nie spadał na nie deszcz. Wielkie obszary na zachód od Honolulu, należące do rodziny Hoxworth'ów poprzez spadek po ostatniej Alii Nui, Noelani, były praktycznie bezwartościowe. Jednak po wyspie rozrzucone były małe doliny, przez które przepływały życiodajne strumienie nawadniające poletka. Tam wysłano do pracy Chińczyków. Niektórzy uprawiali ryż na rozkwitający rynek kalifornijski. Inni pracowali na małych plantacjach trzciny cukrowej. Kilku szczęśliwców nauczono jazdy konnej. Stali się kowbojami na wydzielonych ranczach. Wielu przydzielono do pracy przy uprawie warzyw. Każdy z nich w pamięci nosił obraz wąskich, zatłoczonych uliczek Honolulu i myślał: „Muszę wrócić do Honolulu. Tam jest prawdziwe życie”.

Przyjęcie, jakie Hawaje zgotowały Chińczykom stało się chłodniejsze po tym, jak kapitan Rafer Hoxworth opowiedział przerażającą historię buntu, który bohatercko zdławił w zalążku. Gazety pełne były artykułów przepowiadających ustami innych żeglarzy, iż Honolulu weszło w niebezpieczny okres. Grożono możliwością powstania Chińczyków, podczas którego wszyscy biali zostaną wyrżnięci nocą we własnych łózkach przez orientalne diabły. Kapitan Hoxworth udzielił prasie kilku wywiadów. Według nie-

go, tylko jego szybka reakcja na pierwsze oznaki buntu pozwoliła ocalić statek. Od tego czasu był znany jako nieustraszony kapitan, który poskromił chiński bunt.

Przyjaciele doktora Whipple nieprzychylnie patrzyli na jego chińskiego kucharza i służącą. Kilka razy mężczyźni zatrzymywali go na ulicy i pytali:

— John, czy sądzisz, iż postępujesz rozważnie trzymając takich przestępców w swoim domu?

— Nie uważam ich za przestępców — odpowiadał Whipple.

— Nawet po tym buncie?

— Jakim buncie? — pytał chłodno.

— Tym, który Rafer stłumił na pokładzie „Carthaginian” Doktor Whipple nigdy otwarcie nie zaprzeczył historii kapitana. Wiedział, że dla każdego słowo „bunt” oznacza co innego. Często jednak robił sardoniczne uwagi:

— Nawet najdzielniejsi czasami widzą duchy.

Był zadowolony z pracy, jaką wykonywali w jego domu państwo Kee. W dniu ich przyjazdu, doktor Whipple złożył ich bagaże na wózek i poszedł z nimi ulicą Nuuanu w stronę domu. Nie potrafił mówić po chińsku, lecz mimo to wy tłumaczył młodemu rozkład miasta.

— Pierwszą ulicą, którą przetniemy jest Queen, Queen, Queen. — Zatrzymał się i narysował na piasku małą mapę. Potem kazał im powtarzać nazwę poprzecznej ulicy. Na początku nie rozumieli go, więc szybko narysował statek i wskazał na „Carthaginian”. Natychmiast zrozumieli. Doktor Whipple był przekonany, że każdego, o ile nie był imbecylem, można nauczyć prawie wszystkiego.

— Merchant, King, Hotel — wyjaśnił. Potem opuścili ruchliwą ulicę Nuuanu. Poprowadził ich na róg Merchant i Fort, aby pokazać im sklep J&W”. — Tutaj pracuję — powiedział. Chińczycy byli pod wrażeniem. Wrażenie to pogłębiło się jeszcze, kiedy wybrał kilka sztuk ciemnego materiału i wręczył je Nyuk Tsin.

W końcu dotarli do szerokiej ulicy nazwanej na cześć Wielkiej Brytanii, Beretania. Gdy nauczył Chińczyków jak wymawiać tę ważną nazwę, pokazał im, że stoją na rogu Nuuanu i Beretania. Zrozumieli. Następnie wskazał na ogrodzenie otaczające dużą posiadłość. Wyjaśnił im jej dokładne położenie, otworzył bramę i powiedział:

— To będzie wasz dom.

Uśmiechnęli się do siebie, troje ludzi mówiących trzema różnymi językami. Chińczycy patrzyli z zachwytem na dom doktora Whipple znajdujący się na trzech akrach ziemi. Był to jednopiętrowy, drewniany budynek postawiony na skałach z rafy koralowej. Otaczała go szeroka weranda. Skalną podmurówkę zasłaniały bujne krotony, niedawno sprowadzone na Hawaje przez jednego z kapitanów „H&H”. Krotony miały różnobarwne liście mieniające się w deszczu i w słońcu. Sprawiały wrażenie, jakby dom wyrastał z pięknego, tropikalnego ogrodu.

Doktor Whipple zawołał i we frontowych drzwiach ukazała się jego żona; drobna, siwowłosa kobieta z Nowej Anglii. Miała na sobie fartuch. Szybko przeszła z werandy na trawnik i wyciągnęła ręce do Chińczyków.

— To moja żona — wyjaśnił formalnie doktor Whipple — a to kucharz Mun Ki i służąca, pani Kee. — Wymieniono ukłony, a pani Whipple powiedziała:

— Chciałabym poznać was z waszym nowym domem. — Pokazała im

jadalnię usytuowaną w tyle dużego, drewnianego domu i drogę prowadzącą z jadalni do znajdującej się na zewnątrz kuchni, gdzie przyrządzano wszystkie posiłki. Byk tam jeszcze jedna droga, wiodąca do małego, drewnianego domku, który miał należeć do nich. Otworzyk drzwi i wprowadziła ich do niewielkiego, ale czystego pokoiku. Sama wysprzątała ten pokój rano. Można było z niego przejść do drugiego, tylnego pokoju. Stali tam rozmawiając i nawet nie zauważyli, kiedy przyjechał wózek z ich bagażami oraz z zapasami jedzenia, sprzętami domowego użytku i pościelą.

— To dk was — powiedzła ciepło pani Whipple biorąc za rękę Nyuk Tsin i prowadząc ją w stronę kartonów. Tego popołudnia jedna z pań Hewlett zapytała:

— Amando, jak twoi Chińczycy nauczą się gotować, skoro nie rozumieją ani słowa z tego co mówisz?

— Nauczą się — odparła z mocą Amanda. Podzielała przekonanie swojego męża, iż ludzie mają mózgi. Tak więc przez pierwsze cztery tygodnie pracy u Whipple'ów Kee chodzili do szkoły. Mała Amanda Whipple wstawiała o piątej rano i uczyła Mun Ki kuchni amerykańskiej. Była pod wrażeniem jego inteligencji i uporu. Na przykład, przez ostatnie czterdzieści lat w każdy piątek Amanda miała zwyczaj robić drożdże. Przez dwa pierwsze piątki Mun Ki uczył się obserwując ją. Patrzył, jak tarła ziemniaki do wiekowej kamionki, dodawała sól i mnóstwo cukru. Następnie wlewała gotującą wodę i czekała, aż to wszystko ostygnie, by w końcu z pietyzmem dołożyć dwie łyżeczki gotowych drożdży, przygotowanych poprzedniego tygodnia. W ten sposób utrzymywała ciągłość. Przez czterdzieści lat Amanda zachowywała jeden szczep drożdży. Uważała, że właśnie dzięki temu odnosiła sukcesy kulinarne. Toteż przeraziła się, kiedy wszedłszy trzeciego z kolei piątku do pachnącej zacierem kuchni, przekonała się, iż kamionka wypełniona była nowymi drożdżami.

Zapłakana, zaczęła krzyczeć na Mun Ki. Słuchał cierpliwie przez kilka minut, a potem wściekł się. Machał warkoczem po całej kuchni i krzyczał, że każdy głupiec w ciągu tygodnia nauczyłby się robienia drożdży. Był uprzejmy i uczył się przez dwa tygodnie, a teraz niech wynosi się z jego kuchni. Nie zrozumiałszy ani słowa z tego, co powiedział Mun Ki, wciąż rozpaczała po stracie swoich drożdży. Wziął ją za ramię i wyprowadził na trawnik przed kuchnią. W poniedziałek nowe drożdże okazały się równie dobre jak poprzednie i Amanda pocieszyła się filozoficznie: „To przecież ten sam szczep, tylko zaczyniony innymi rękami”. Nagle poczuła się naprawdę bardzo stara.

Mun Ki nie potrafił zrozumieć dlaczego Amerykanie jedzą tak dużo i konsekwentnie unikają dań, do których przyzwyczaili się biali. Typowy obiad u Whipple'ów podawano o dwunastej, w największy upał. Składał się on z gęstej zupy rybnej, pieczonej wołowiny, puddingu Yorkshire, kapusty gotowanej na tłuszczu z szynki, przepysznych biszkoptów robionych z taro nasączonego masłem, pure z ziemniaków, kandyzowanych jamów, marynowanych owoców mango, sałatki z gruszek w gęstym sosie, bułeczek z galaretką z guawy oraz ciasta bananowego. Następnie podawano kawę ze śmietanką i cygara. Jeżeli na obiad przychodzili goście, podawano dodatkowo dwa rodzaje warzyw i francuską brandy.

Gdy państwo skończyli obiad, Chińczycy zasiadali do stołu. Jedli gotowaną bez dodawania tłuszczu kapustę, trochę ryby przyrządzonej na oleju sojowym i miseczkę ryżu. Popijali to niesłodzoną herbatą. Często powta-

rzano, że Hawaje służą ludziom wschodu, gdyż Chińczycy, chociaż pracowali ciężiej niż biali, żyli *znacznie* dłużej.

Skończywszy nadzorowanie pracy w kuchni, drobna, sześćdziesięcioletnia Amanda Whipple zwróciła uwagę na Nyuk Tsin. Nauczyła tę przyzwyczajoną do ciężkiej pracy dziewczynę, jak dbać o wielki dom. Szczególny nacisk kładła na wycieranie kurzy, z którym było trochę problemów. W Chinach, matka Nyuk Tsin czekała z wycieraniem kurzy na odpowiedni znak, a energiczna pani Whipple żądała, by czynność tę wykonywano codziennie. Trzeba było odkurzać podłogi, lampy z porcelany, żyrandole, misternie rzeźbione fotele z drzewa różanego, niezliczone haftowane ozdoby, krzesło z Kantonu i bambusowe meble, które pomimo ciągłego czyszczenia zawsze wyglądały na brudne. Najgorszym koszmarem była dla Nyuk Tsin rozwieszona w saloniku ogromna sieć rybacka ze zwisającymi z niej muszelkami. Prawdę mówiąc, cały dom państwa Whipple upchany był różnymi drobiazgami, których głównym zadaniem było zbieranie kurzu.

Dla kontrastu, w domu Kee znajdował się stół, ze złożoną na nim księgą genealogiczną, krzesiwo, świeczka i butelka wina. Był też hamak, nad którym wisiał napis: „Oby to łożo wydało stu synów”.

Zgodnie z umową pomiędzy państwem Whipple i Chińczykami, Mun Ki dostawał dwa dolary na miesiąc, a jego żona miała dostawać pięćdziesiąt centów. Nyuk Tsin pracowała od piątej rano do dziewiątej wieczorem. Doskonale wywiązywała się ze swoich zadań, wobec czego pani Whipple postanowiła podnieść jej pensję do dolara miesięcznie. Z łącznej pensji wynoszącej trzydzieści sześć dolarów roczne dwoje Chińczyków miało kupić sobie ubrania, opłacić wykształcenie swoich dzieci i ewentualne rozrywki. Co więcej, musieli również posłać pieniądze do Chin dla prawowitej żony Mun Ki. Dawali sobie radę, ale tylko dlatego, że ich życie ułatwiały znacznie hojne podarki Whipple'ów. Od czasu do czasu niespodziewane prezenty zasilaly rodzinny skarbczyk, a przepisanie na nich akra dobrej ziemi, którą Nyuk Tsin mogła uprawiać, pozwoliło im zarobić trochę więcej pieniędzy. Nyuk Tsin okazała się dobrą ogrodniczką. Wkrótce chodziła po ulicach Honolulu, niosąc na ramionach bambusową tyczkę z zawieszonymi na jej końcach koszami pełnymi świeżych warzyw. Sprzedawała swoje plony głównie Chińczykom, zbierając od nich amerykańskie centy, australijskie szylingi i hiszpańskie reale. Mądrzy Hawajczycy zdecydowali, że w ich królestwie będą mogły swobodnie krążyć pieniądze z całego świata.

Majątek państwa Kee zwiększył się dodatkowo przez udane inwestycje Mun Ki. Codziennie po śniadaniu szedł do Chinatown na ulicę Nuuanu, przy której stały bezkształtne rudery i gdzie rzadko zapuszczali się biali. Chodził do pewnej spelunki, w której stary Chińczyk o długiej, rzadkiej brodzie zapisywał w księdze zakłady. Za jego plecami, na ścianie, wisiał schemat z zaznaczonymi dwudziestoma ośmioma częściami ciała: nosem, kostką, kolanem, łokciem... Gra ta całkowicie zawładnęła wyobraźnią Mun Ki. Polegała na tym, że obstawiający zgadywali, jaka część ciała została zapisana na karteczce znajdującej się co rano w szklanej, zalakowanej kapsule. Zresztą ekscytowała się nią większość Chińczyków zamieszkujących Hawaje. Prawdopodobieństwo wygranej było jak jeden do trzydziestu, lecz ze względu na ogromną ilość uczestników, wygrane były stosunkowo niskie. Tylko bank nigdy nie przegrywał. Mimo to, szanse na wygraną zachęcały do gry. Każdego ranka członkowie rodzin

zadawali sobie nawzajem pytania w rodzaju: „Czy w nocy śnił ci się łokieć?”. Zwracano uwagę na nagłe bóle lub nieszczęśliwe wypadki związane z częściami ciała. Przede wszystkim jednak kierowano się snami i zadziwiające jak sprawdzały się sny Mun Ki.

— Znowu przyszedłeś, żeby odgadnąć to słowo? — pytał skwaszony na widok Mun Ki właściciel lokalu.

— Dzisiaj to będzie „broda” — zapewniał go Mun Ki. — Obudziłem się w nocy, bo okropnie swędziała mnie broda. Poza tym, potrafię czytać przez szkło.

— Ile obstawiasz?

— Dwadzieścia centów.

Twarz właściciela zdradzała wyraźne niezadowolenie, gdy wpisywał pędzelkiem zakład Mun Ki do wielkiej księgi.

— Jesteś sprytnym człowiekiem, Mun Ki — mruknął. — Dlaczego nie przyłączysz się do mnie i nie poprowadzisz ze mną tego interesu?

— Jestem kucharzem — odpowiedział Mun Ki. — Lepiej od ciebie wygrywać, niż dla ciebie pracować.

— Chodzi mi o coś innego. Zbierałbyś dla mnie zakłady na drugim końcu miasta i przynosił je tutaj przed dziesiątą rano — zaproponował starzec.

— Czy wtedy mógłbym obstawiać?

— Nie. Wtedy byłbyś częścią tej gry.

Zegar na jednej z wież stojących wzdłuż nabrzeża wybił jedenastą. Z całego Chinatown nadchodzili ludzie. Tłoczył się na wąskiej uliczce. Podniecenie wzrastało. Właściciel ceremonialnie zdjął szkło i odsłonił kapsułę. Aby uniknąć oszustw — w przeszłości często błyskawicznie zamieniano słowo znajdujące się w kapsule na takie, którego nikt w danym dniu nie obstawił — wybrano jednego z mężczyzn stojących w tłumie. Mężczyzna otworzył kapsułę i na cały głos krzyknął: „broda!”.

Mun Ki podskoczył z radości i zawołał:

— Obstawiłem dwadzieścia centów, ponieważ w nocy swędziała mnie broda. — Wszystkim zebrany opowiedział, o której godzinie się obudził i o czym myślał tuż po przebudzeniu. Dwadzieścia centów i sen przysporzyły mu sumę równą dwóm miesięcznym pensjom.

Miał już wyjść z domu gry, gdy stary właściciel pochwyił go za ramię i powiedział:

— Powinieneś się do mnie przyłączyć. Zarobiłeś dzisiaj mnóstwo pieniędzy, ale ja codziennie tyle zarabiam.

— Naprawdę? — zapytał Mun Ki.

— Codziennie. Jeśli wypada zbyt wiele wygranych, obniżam stawki. Wysyłam do Chin setki dolarów.

— I ja też bym tyle zarabiał?

— Bez trudu, ale musisz przyłączyć się do mnie.

W ten sposób kuchnia domu misjonarza na rogu Nuuanu i Beretania stała się jedną z głównych placówek gry chi-fa. Mun Ki trzymał pod ręką zapas plakatów z wyrysowanymi dwudziestoma ośmioma częściami ludzkiego ciała. Za każdy przyjęty zakład dostawał sześć procent od banku i piętnaście procent wygranej od zwycięzcy. Stał się jednym z najlepszych fachowców od chi-fa. Był nieskazitelnie uczciwy zarówno w stosunku do swojego pracodawcy jak i klientów. Największe zyski przyniósł mu jednak pomysł, by wydrukować plakat chi-fa po hawajsku. Jego klientela powiększyła się dzięki temu o dziesiątki miejscowych hazardzistów. Lubili robić z nim interesy i kupowali tyle kuponów, że wkrótce losowania chi-fa odby-

wały się o jedenastej rano i o czwartej po południu. W dwa lub trzy wieczory w tygodniu, Mun Ki zabierał zarobione pieniądze do domów gry i grał w fan-tan i mah-jongg. Był szczęśliwym graczem. Stos dziesięciocentówek i szylingów stale się powiększał. Jedyne nieporozumienie pomiędzy Kee i państwem Whipple nastąpiło, kiedy okazało się, że Nyuk Tsin jest w ciąży. Przez kilka miesięcy niczego nie ię w można było zauważyć. Nosiła luźne ubrania i kiedy pani Whipple w końcu odkryła prawdę, powiedziała:

— Nie powinna pani więcej pracować w domu, pani Kee. Proszę odpoczywać.

- Jeszcze tego samego popołudnia zobaczyła na Nuuanu Nyuk Tsin niosącą kosze z warzywami zawieszzone na bambusowej tyczce. Amanda zatrzymała nie powóz. Wysiadła, rozkazała służącej zostawić kosze i czekać, aż Mun Ki będzie mógł przyjść po nie. Kiedy jednak kucharz pojawił się, zorientował się w gry- sytuacji i zdziwiony oświadczył:

— Noszenie ciężarów na bambusowej tyczce jest bardzo dobre dla kobiet w ciąży. Przygotowuje je do porodu.

Tego wieczoru doktor Whipple udał się do chińskiego domku i powiedział:

— Przygotuję wszystko na poród dziecka.

Zdziwił się, gdy Mun Ki łamaną angielszczyzną wyjaśnił mu: ałe- — Nie trzeba lekarz. Ja odebrać dziecko.

Ciężko im było klócić się na ten temat, skoro żaden z nich nie znał dostatecznie języka drugiego. Mimo to, doktor Whipple odniósł wrażenie, iż Mun klócił się z nim:

— W Chinach mężowie zawsze odebrać dzieci ich żon. Kto jak nie mężowie?

— Chyba lepiej sprowadzę tłumacza — przerwał Whipple.

Sprowadził uczonego Chińczyka, pełniącego nieoficjalnie funkcję chińskiego konsula i przedstawił mu sytuację: — Obawiam się, że mój służący ma zamiar sam odebrać poród żony. —A dlaczego nie? — zapytał konsul.

— Ależ to niedorzeczne! Jestem lekarzem i mieszkam na miejscu. — Potem, czując, iż może chodzić o pieniądze, zapewnił konsula: — Zrobię to za darmo.

Konsul wyjaśnił to cierpliwie Mun Ki, którego przerażała obecność takiego dostojnika i który pragnął uniknąć kłopotów.

— Żona i ja nie potrzebować lekarz — powiedział cicho.

— Proszę mu powiedzieć, że nie będzie musiał nic płacić — zaczął doktor Whipple, ale konsul, wysłuchawszy Mun Ki, przerwał mu i wyjaśnił:

— Gdyby ten mężczyzna znajdował się teraz w Chinach i jego pierwsza żona byłaby w ciąży, sam odbierałby poród.

— Jak to pierwsza żona? — zapytał zaskoczony Whipple. — Ta kobieta jest tylko jego drugą żoną. Prawdziwa żona została w Chinach, — Czy chce pan przez to powiedzieć... — Whipple zaciął się, ale konsul znowu mu przerwał i wyjaśnił:

— Mun Ki mówi, że jego wuj, Chun Fat, ma trzy żony w Chinach, dwie w Kalifornii i jedną w Newadzie. — Czy ma dzieci? — zapytał Whipple.

Nastąpiła krótka wymiana zdań i Mun Ki odpowiedział:

— Siedmioro w Chinach, czworo w Kalifornii i dwoje w Newadzie.

— A czy ten wuj sam pomagał przyjść na świat swoim synom, bo zapewne to byli synowie?

— Naturalnie — odpowiedział spokojnie konsul.

— Naturalnie przyjął porody czy naturalnie to byli synowie?

— Może zaczniemy od początku — zasugerował konsul, który już trochę się pogubił.

Doktor Whipple miał tego dosyć.

— Zrób tak, jak twój wuj. Zdaje się, że on ma większe doświadczenie w tych sprawach niż ja — sapnął wskazując palcem na Mun Ki i wyszedł.

Mun Ki szczęśliwie przyjął na świat zdrowego chłopca, ale wszyscy biali w towarzystwie byli zbulwersowani tym barbarzyńskim zwyczajem Chińczyków.

— I pomyśleć tylko, — oburzała się jedna z panien Hewlett — że tuż obok był najlepszy lekarz na Hawajach! Doprawdy, ci Chińczycy są nieludcy.

Mun Ki upierał się, by samodzielnie odebrać poród żony, chociaż mógł skorzystać z pomocy prawdziwego lekarza. Chińczycy zdecydowanie nie są ludźmi cywilizowanymi.

Państwo whipple przeżyli jeszcze jeden szok, kiedy zapytali jak ma na imię mały, tłuściutki chłopiec.

— Jeszcze nam nie powiedziano — odpowiedział Mun Ki.

— Jak to? — zdziwił się Whipple.

Mun ki mówił coś o konieczności zabrania do sklepu jakiegoś wiersza, na podstawie którego zostanie ustalone imię dziecka.

— O jakim wierszu mówisz — zapytał zaskoczony doktor, chociaż **coś** mówiło, że może nie powinien pytać. Kilka dni później Mun Ki poprosił panią Whipple o zwolnienie jego oraz jego żony na kilka godzin. Kiedy Amanda zapytała o powód, wyjaśnił:

— Musimy zabrać wiersz do sklepu i ustalić imię naszego dziecka. Pani whipple zawołała męża i powiedziała:

— Miałeś rację, John. Kee zabierają do sklepu wiersz, żeby znaleźć imię dla dziecka.

— Chciałbym być przy tym — powiedział pan Whipple. Interesował się takimi sprawami. Mun Ki zgodził się chętnie, uważając obecność tak znamienitej osoby podczas ceremonii za zaszczyt.

Zanim wyruszyli, doktor Whipple poprosił:

— Czy mógłbym zobaczyć ten wiersz?

Mun Ki wyjął ze swej bezcennej księgi genealogicznej kartkę, na podstawie której od wieków nadawano imiona dzieciom z rodziny Kee. Widniało na niej czternaście chińskich znaków ustawionych pionowo w dwóch kolumnach.

— Co to jest? — Kartka rozbudziła w doktorze Whipple naukową ciekawość, lecz Mun Ki nie potrafił udzielić mu odpowiedzi.

Chiński sklep, do którego wszyscy troje ruszyli, znajdował się na skrzyżowaniu Nuuanu z Merchant. Był powszechnie znany jako sklep Punti, ponieważ mówiono w nim tym językiem oraz sprzedawano pewne smakołyki preferowane przez Punti. Właściciel, człowiek szanowany w Honolulu, rozpoznał doktora whipple i ceremonialnie zaoferował mu krzesło.

— Cóż to za wiersz, o którym mówi mój kucharz? — zapytał doktor whipple.

— Nie mówić do mnie. On. On — odpowiedział natychmiast właściciel, wskazując na uczonego, mającego niewielkie biuro urządzone w kącie sklepu. Pisał tam listy po chińsku i po angielsku dla Punti. Pisarz z powagą wziął do ręki wiersz i oznajmił:

— To należy do rodziny Kee. Na podstawie tego wiersza nadaje się imiona.

— Co tu jest napisane?

— To nie ważne. Ten akurat wiersz ma następującą treść: „wiosna ogarnia kontynenty; ziemia błogosławi twój dom. Niebiosa zsyłają kolejny rok, a człowiek starzeje się. Stąd otrzymują imiona”.

— Co to ma wspólnego z imionami? — zapytał Whipple.

— Odpowiedź jest skomplikowana, typowo chińska — odrzekł uczony. — Jesteśmy jednak bardzo dumni z naszego systemu, gdyż jest on chyba najrozsądniejszy na świecie.

— Czy możesz mi to wyjaśnić? — poprosił Whipple.

— W Chinach mamy niewiele nazwisk rodowych. W niektórych prowincjach mniej niż sto. Wszystkie są jednosylabowe. Wszystkie łatwo zapamiętać; Lum, Chum, Yip, Wong. Nie mamy natomiast imion, takich jak Tom czy Bob.

— Nie macie imion?

— Nie. Po prostu bierzemy nazwisko, na przykład Kee i dodajemy do niego zwyczajne słowa. Słowa te mogą oznaczać cokolwiek. Załóżmy, że mój ojciec należał do rodziny Kee i pragnął, abym ja stał się założycielem długiej linii uczonych, nazwałby mnie wówczas, powiedzmy, Kee Chun Fei, Kee Chwalebna Wiosna. Takiego imienia szukamy dla synka pańskiego kucharza.

— Ale gdzie tu jest miejsce na wiersz? — naciskał Whipple.

— Z wiersza uzyskujemy drugi, obowiązkowy człon imienia. Wszyscy mężczyźni z pierwszego pokolenia muszą być nazwani Chun, Wiosna, od pierwszego słowa wiersza. Ich synowie, w drugim pokoleniu, będą nazwani Mun, „Ogarnia”. Trzecie pokolenie, tak jak ten tu chłopiec, musi otrzymać imię od trzeciego słowa wiersza, Chow, „Kontynent”. Nie można odstępować od tej zasady. Zresztą ma ona swoje dobre strony. Jeżeli pański kucharz, Kee Mun Ki, spotka nieznajomego o imieniu Kee Mun Tong, od razu będzie wiedział, że są z tego samego pokolenia i prawdopodobnie są ze sobą spokrewnieni.

— Brzmi to rozsądnie — przyznał Whipple.

— Tak więc imię syna tego człowieka musi zacząć się od Kee Chow, ponieważ tak mówi wiersz. — Dlaczego nie doda do dwóch pierwszych członów jakiegokolwiek?

— Na tym właśnie polega cały problem! Tylko uczonemu można powierzyć wybranie imienia, ponieważ od tego zależy przyszłość dziecka. Zapytam Mun Ki, kto nadał mu imię.

Nastąpiła szybka wymiana zdań po chińsku i pisarz oznajmił z triumfem w głosie:

— Jego rodzice wezwali uczonego męża z Kantonu. Zastanawiał się trzy dni, zanim nadał chłopcu imię. Konsultował się z wyroczniami i horoskopami, aż w końcu odnalazł właściwe imię. Widzi pan, imię może wpłynąć na całe życie człowieka. — Zatem Chińczycy na Hawajach konsultują się z tobą, ponieważ jesteś uczoneym? — zapytał Whipple.

— Niestety, niektórzy są tak nieświadomieni, że nie znają nawet swojego wiersza rodowego. Takich ludzi nie obchodzi, jakie imię otrzymają ich synowie. Mun Ki pochodzi z potężnej rodziny. Dopilnowali, aby zabrał ze sobą swój wiersz.

Uczony przestał interesować się doktorem Whipple i zatopił się w rozmowie z Mun Ki. Po piętnastu albo dwudziestu minutach odwrócił się do doktora i wyjaśnił:

— Pytałem Mun Ki, jakie nadzieje wiąże ze swoim synem. To bardzo ważne przy wyborze imienia.

Dyskusja ciągnęła się jeszcze przez pewien czas. Uczony przygotował papier i pędzelek do pisania.

— Koło zacieśnia się — doniósł Whipple'owi po ponad godzinie rozmowy z Mun Ki. — Staramy się znaleźć słowo, które harmonizowałoby z Kee i z Chow, a jednocześnie dodało by im znaczenia i dostojęstwa. To słowo musi dobrze brzmieć i dobrze prezentować się na piśmie. Musi mieć własne szczególne znaczenie, ale także pasować do drugiego członu imienia. Dodatkowo musi wyrażać nadzieje, jakie ojciec wiąże z synem, więc proszę mi wybaczyć, że skoncentruję się i spróbuję przedstawić kilka propozycji.

Zaczął malować pędzelkiem chińskie znaki. Niektóre odrzucił jako zbyt kobiece dla tak silnego syna. Inne, ponieważ były dwuznaczne i mogły być traktowane obraźliwie. Czasami to Mun Ki nie zgadzał się na jakieś imię. W końcu liczbę imion ograniczono do zaledwie kilku. Wreszcie uczony tryumfalnie ogłosił imię chłopca:

— Kee Chow Chuk, Kee, „Centrum kontynentu”.

— Czyż to nie wspaniałe imię? — Zapytał i doktor Whipple pokiwał twierdząco głową. Uczony wziął księgę genealogiczną Mun Ki i na odpowiedniej stronie wpisał nowe imię, będące odzwierciedleniem ojcowskich nadziei. Uczony wpatrywał się z wyraźnym zadowoleniem w kształtny znak.

— To imię jest idealne pod każdym względem. Dobrze wróży na przyszłość — powiedział doktorowi Whipple. Wziął kawałek papieru. — Jak nazywa się twoja wioska? — zapytał Mun Ki, a kiedy kucharz odpowiedział, sprawnie napisał list, w którym w imieniu Mun Ki donosił, o narodzinach Kee Chow Chuk. Prosił o wpisanie tego imienia do księgi przodków. Rodzina rozwijała się. Na dalekich Hawajach był teraz Kee, który składał wyrazy szacunku swoim przodkom i który, gdy przyjdzie na to czas, zacznie przysyłać do domu pieniądze, a w końcu powróci do wioski. Przecież życie gdzie indziej byłoby nie do pomyślenia.

Potem, kiedy Kee Mun Ki i Nyuk Tsin wychodzili ze sklepu Punti, uczony wykonał dramatyczny gest, który odmienił historię rodziny Kee na Hawajach. Zupełnie jakby pod wpływem nagłej wizji, dawca imion zawołał:

— Stójcie!

Powoli, ostentacyjnie podarł na kawałki list do Niskiej Wioski i rzucił skrawki papieru na podłogę. Jak w transie, podszedł do Mun Ki, zabrał księgę genealogiczną. Wylał atrament na wpisane uprzednio imię. Następnie przyciszonym głosem wyjaśnił:

— Czasami olśnienie przychodzi niczym błyskawica, przecinająca niebo w gorącą, letnią noc. Po godzinach spędzonych na wyszukiwaniu imienia, pojawia się wizja mówiąca jakie może być to dziecko. Stare imię znika, bo nowe wypaliło już ognisty znak w twoim umyśle.

— Czy znalazł pan takie imię dla chłopaka Mun Ki? — zapytał z szacunkiem doktor.

— Tak! — odpowiedział mędrzec i pewnymi ruchami pędzla wpisał do księgi owo nowe, ogniste imię: Kee Ah Chow. Powtórzył je na głos, zaskoczony jego idealnym brzmieniem.

— Wydawało mi się, że powinno być Kee Chow Ah — podsunął Whipple.

— Owszem — zgodził się mędrzec — ale czasami trzeba odstępować od zasad. To dziecko musi nazywać się Kee Ah Chow.

Uczony wręczył nowe imię Mun Ki i wyjaśnił:

— Kiedy wychodziliście ze sklepu, miałem nagłą wizję przedstawiającą wasze życie. Wasza rodzina jest dzielna i daleko zajdzie. Będziesz miał

wielu synów. Będziesz bardzo odważny. Świat należy do ciebie, Mun Ki, i imię twojego pierworodnego musi to odzwierciedlać. Będzie się nazywał Kee Ah Chow, „Kee, który kontroluje kontynent Azji”. Twoi następni synowie będą nazywać się Europa, Afryka, Ameryka i Australia. Ty jesteś ojcem kontynentów.

Mun Ki uśmiechnął się. Słowa mędrca mile polechtały jego uszy. Zawsze uważał się za kogoś wyjątkowego, wybranego przez bogów. Teraz otrzymał tego potwierdzenie. Popchnąwszy Nyuk Tsin, ruszył w stronę drzwi, ale uczony ponownie go zatrzymał i wskazując na Nyuk Tsin krzyknął rozkazująco:

— Jej imię będzie odtąd „Matka Wu Chow”, gdyż będzie matką kontynentów. Wywołało to poważne zakłopotanie i Mun Ki musiał wytłumaczyć mędrcom:

— Ona nie jest moją żoną. Moja prawdziwa żona, kobieta z rodziny Kung, została w Chinach. Ta jest tylko...

Mędrzec złożył ręce, popatrzył uważnie na Nyuk Tsin i oświadczył:

— Tak to już jest w Chinach. Zresztą może tak jest lepiej, zważywszy, że ona jest Hakka. — Wzruszył ramionami i odwrócił się, aby odejść. Po chwili zmienił zdanie: — Odtąd będzie znana jako „Ciotka Wu Chow”.

Mun Ki skłonił tylko głowę na znak zgody i przekazał żonie jej nowe imię.

Doktor Whipple w osłupieniu słuchał tej niezrozumiałej dla niego rozmowy. Wywnioskował jednak, iż mówiono o czymś ważnym. Po tym, jak Nyuk Tsin oblała się rumieńcem, zrozumiał, że mówiono o niej. Nikt jednak nie wyjaśnił mu o co konkretnie chodziło. W końcu Mun Ki uklonił się. Ukloniła się również Ciotka Wu Chow. Razem odebrali wiersz i księgę genealogiczną. Mun Ki podał je Ciotce Wu Chow. Delikatnie dotknął jej dłoni i powiedział z dumą:

— Będziemy mieli wielu synów.

Mędrzec otrzymał sześćdziesiąt centów jako wynagrodzenie za wybranie imienia dla pierworodnego Kee. Mun Ki uważał, że były to dobrze wydane pieniądze. Jego syn z całą pewnością został wspaniale wyposażony na przyszłe życie. Doktor Whipple, który w owym czasie bardzo martwił się tym, czym jego dzieci i wnukowie zajmowali się na Hawajach, był pod jeszcze większym wrażeniem ceremonii. Uznał ją za przejaw siły Chińczyków.

— Mają hierarchię pokoleń i przestrzegają jej. Ich imiona mówią, jakie miejsce zajmują w tej hierarchii i czego oczekiwali po nich ich rodzice. Chińczyk żyje według określonego systemu i to całkiem dobrego systemu. Bez względu na to, gdzie pojedzie, jego imię jest zapisane w rodzinnej wiosce. Tam jest jego dom. My, Amerykanie, wędrujemy po całym świecie. Nie mamy imion, ani domu, ani stałego adresu. Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej o Chińczykach.

Tak więc, pomimo swoich sześćdziesięciu siedmiu lat i mnóstwa ważnych spraw, którymi musiał się zajmować, doktor Whipple rozpoczął swoje ostatnie badania naukowe: studia nad Chińczykami sprowadzonymi przez niego samego na Hawaje. Większą część naszej wiedzy o ludziach wschodu, którzy pracowali w tamtych latach na plantacjach cukru, zawdzięczamy jego notatkom. To właśnie Whipple rzucił cień strachu na innych plantatorów pisząc w „Honolulu Mail”: „Oszukujemy sami siebie sądząc, iż ci inteligentni, przedsiębiorczy i pracowicie ludzie zadowolą się pracą na planta-

cyjach. Są stworzeni do pracy jako księgowi i mechanicy w naszych miastach. Będą wspaniałymi nauczycielami, a wydaje mi się, że niektórzy staną się wpływowymi bankierami i przedsiębiorcami. Gdy tylko zostaną zwolnieni z kontraktów, udadzą się do naszych miast, by otworzyć tam sklepy. W coraz większym stopniu handel na prowincji będzie przechodził w ich ręce. Dlatego też powinniśmy znaleźć w porę innych pracowników, którzy zajmowaliby się naszymi polami. Chińczycy z całą pewnością nie zechcą dłużej nam służyć. Nauczą się czytania i pisania. Kiedy już to osiągną, zapragną mieć swoje miejsce w naszym rządzie.

Zapewne znajdą się tacy, którzy wzniosą krzyk i opowiedzą się przeciw takiemu rozwojowi wypadków. Ja jednak mogę temu tylko przyklasnąć. Społeczność hawajska wzmocni się, jeżeli właściwie skorzystamy z i obecności Chińczyków na wyspach. Ponieważ ja również nie byłbym zadowolony z pracy na polu i ciągłej, monotonnej harówki, cieszę się, kiedy podobny do mnie człowiek stara się polepszyć swoje życie. W swoim czasie, gdy zaangażowałem się w sprowadzenie Chińczyków na wyspy, wierzyłem, że kiedy wygasną ich kontrakty, powrócą do Chin. Teraz jestem przekonany, iż tego nie zrobią. Stali się częścią Hawajów i powinniśmy zachęcać ich, by poszli w nasze ślady. Niech się uczą. Niech zapoczątkują nowe branże przemysłu. Niech staną się naszymi współobywatelami. Dzięki nim, wymierająca rasa Hawajczyków może się odnowić".

Reakcja Honolulu była prosta i dramatyczna: „Należałoby wychłostać skurwysyna!"

— Sprowadziliśmy tych cholernych Chińczyków — grzmiał kapitan Hoxworth — bo sądziliśmy, że po pięciu, góra dziesięciu latach pracy na plantacjach wrócą do domów. Dobry Boże! whipple chce, żeby zostali! Toż to nieprzyzwoite!

Syn kapitana Jandersa, a obecnie współnik doktora whipple w J&W powiedział:

— Stary musiał zwariować! Jeśli Chińczycy opuszczą nas kiedy tylko będą mieli ku temu okazję i otworzą sklepy w Honolulu, dla nas, właścicieli plantacji będzie to prawdziwy problem. Mogę zabrać was na Nuuanu i pokazać z tuzin sklepów założonych przez ludzi, którzy powinni pracować teraz na moich polach.

Jednak najbardziej rozwścieczał Hawajczyków sprytny sposób w jaki Chińczycy, nie mając własnych kobiet, podkradali Hawajki. Żenili się z nimi i mieli dzieci. Chociaż dzieci z takich związków były wyjątkowo ładne i inteligentne, rozwścieczeni biali wydali prawa zabraniające mieszanych małżeństw. Jeden z edyktów zabraniał Chińczykom poślubienia Hawajek o ile nie przeszli na chrześcijaństwo. Szybkość, z jaką Chińczycy przyswoili sobie katechizm, była zadziwiająca. Często pierwszymi słowami, jakich nauczyE się po angielsku było wyznanie Wiary, wyjaśnienie tajemnicy Trójcy Świętej, Niepokalanego poczęcia i kalwińskiej doktryny przeznaczenia.

Jeden z kalwińskich pastorów powiedział innemu kalwinowi po przesłuchaniu kilku takich neofitów:

— Na własne uszy słyszałem jak ci ludzie odpowiadali na wszystkie ważne pytania. W końcu pokusiło mnie, żeby zapytać, „Co to wszystko znaczy?" Nigdy nie ośmieliłem się zadać tego pytania żadnemu z moich przyjaciół w Bostonie, zresztą tutaj także.

Chińczycy stawali się dobrymi chrześcijanami i nie czuli w związku z tym zahamowań. Chcieli mieć swoje kobiety. Nawrócenie nie wydawało im się

zbyt wygórowaną ceną. Ci szczęśliwcy, którzy ożenili się z Hawajkami mającymi własną ziemię i wzbogacili się na transakcjach tą ziemią, stali się założycielami bogatych chrześcijańskich rodzin. Dawali datki na kościoły wznoszone przez innych Chińczyków. Kiedy jednak na świat przychodził wnuk, ci mądrzy ludzie szli do sklepu Punti, aby nadano mu odpowiednie chińskie imię. Potem wysyłali to imię do rodzinnej wioski, gdzie wpisywano je do księgi przodków.

Jeśli zaś chodzi o Hawajki, to uważały Chińczyków za najlepszy materiał na mężów. Na całych wyspach nie było mężczyzn, którzy kochaliby kobiety i dzieci tak, jak długowłosi Chińczycy. Często, zmęczony całodzienną pracą w dokach dla „H&H”, szczupły Chińczyk wracał wieczorem do domu, by zająć się praniem, myciem dzieci i przygotowaniem kolacji. Tymczasem jego tłusta hawajska żona siedziała beczynnie. Chiński mąż przynosił prezenty i poświęcał swój czas na uczenie synów. Pilnował, żeby córki miały wstążki do włosów, a w niedzielę zabierał całą swoją gromadkę do kościoła. Na wyspach powszechnie uznawano, że mąż Chińczyk, to najlepsze, co mogło przytrafić się kobiecie. Przy takim mężu musiała tylko uśmiechać się, nosić piękne brokaty i wychowywać dzieci. Istniał pewien szczególny powód, dla którego Hawajczycy tolerowali małżeństwa swoich kobiet z Chińczykami: dzieci z tych związków były wspaniałymi ludźmi. Kiedy dorosły pierwsze dziewczęta z tych związków, całe Honolulu było pod wrażeniem ich urody. Miały długie, czarne i lekko falujące włosy, oliwkową cerę, piękne zęby. Coś tajemniczego kryło się w ich oczach. Były wyższe niż ich chińscy ojcowie i znacznie szczuplejsze od otyłych hawajskich matek. Łączyły w sobie chińską praktyczność z radosną bez troską Hawajczyków. Należały do szczególnej rasy i stały się chlubą wysp. Praktycznie każdy pisarz z Ameryki czy Europy, który przyczynił się do stworzenia mitu o urodzie Hawajek, miał na myśli owe dziewczęta. Ich urok usprawiedliwiał wszystko, co napisano o romantycznych Hawajach.

Chłopcy byli obiecujący pod innymi względami. Nauka przychodziła im z łatwością. Byli dobrzy we wszelkiego rodzaju grach i świetnie prowadzili interesy. Mieli także wyjątkowy talent do polityki. Bezwstydnie wykorzystując wrodzony urok, potrafili przekonać do głosowania na swojego kandydata. Na wszystko mieli gotową odpowiedź. Byli uczciwi. Ludzie nauczyli się to cenić.

Tak więc Hawajczycy, wymierająca rasa — czterysta tysięcy w 1778, czterdzieści cztery w 1878 — otrzymali zastrzyk świeżej, orientalnej krwi. Zaczęli się odradzać poprzez hawajsko-chińskie mieszanki. W późniejszych latach, pół krwi Hawajczycy mieli stać się najszybciej rozwijającą się częścią populacji wysp.

Kapitan Rafer Hoxworth, obserwując początek tego cudu, mówił w imieniu wszystkich swych przyjaciół, z wyjątkiem doktora Whipple:

— Każdy Chińczyk, który opuści plantację i zostanie domokrażcą, powinien natychmiast zostać deportowany. Natomiast każdy, który dotknie Hawajkę, powinien zostać powieszony.

W „Honolulu Mail” Hewletfowie przekazywali nie mniej drastyczne opinie: „Hawaje zrujnowane. Chińczycy uciekają z plantacji. Kto zbierze nasz cukier?”.

Doktor Whipple, który po opublikowaniu swojego artykułu spotkał się tylko z obelgami, zapisał w swoim dzienniku co następuje: „W 1824 roku byłem świadkiem jak na wyspie Ohau zapanowała odra powodując śmierć osiemdziesięciu procent mieszkańców, wkrótce potem zacząłem zastanawiać

się, co zrobić, aby ożywić rasę, którą tak pokochałem. Przewidywałem, że jedynie dopływ nowej, świeżej krwi może zapobiec wymarciu wspaniałych! ludzi, jakimi są Hawajczycy. Błędnie sądziłem, iż to silniejsi Polinezyjczycy z północy mogliby odwrócić ów zgubny proces. Sprowadziliśmy Polinezyjczyki i nic z tego nie wyniknęło. Później wierzyłem, że wystarczą Japończycy! Być może miałem rację, ale nie udało nam się zdobyć żadnych Japończyków! Teraz przybyli Chińczycy i stało się tak, jak przewidywałem. Jestem dumny z roli, jaką przyszło mi odegrać w ocaleniu Hawajczyków. Na razie, ludzie są przeciwko mnie. Ufam jednak, iż przyszłe pokolenia przyznają mi rację. Spro-f wadzenie Chińczyków na Hawaje było najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek j zrobiłem".

Podczas, gdy on pisał w oświetlonym gabinecie, w małym domku tuż obok, Mun Ki i jego żona płodzili kolejnego syna, Kontynent Europy.

Nyuk Tsin i jej mąż mieszkali na Hawajach od roku, kiedy chińską społecznością wstrząsnęły wiadomości przedostające się do Honolulu z wyspy Maui. Zatrudniono tam na plantacjach wielu Chińczyków. Oto co się wydarzyło, zgodnie z relacjami otrzymanymi przez Chińczyków: o zmroku, pewnego gorącego dnia, stary, kulejący duszpasterz z laską w ręku dostał się do jednej z prowizorycznie postawionych chińskich świątyń, wzniesionych dla robotników i przerwał modlitwy. Pewna kobieta, obecna podczas tego zajścia w świątyni mówiła:

— Ten mały człowieczek uderzał we wszystko na około swoją laską. Zrzucił posążek Kwan Yin, podarł złote papiery. Krzyczał na nas. Odmówiliśmy opuszczenia świątyni. Przecież to nasza świątynia. Zbudowaliśmy ją sami, bez niczyjej pomocy. Wówczas jego gniew skierował się na nas. Próbował nas bić i cały czas na nas krzyczał. Ale ponieważ to był starzec, z łatwością unikaliśmy jego ciosów.

Dla Chińczyków był to jeszcze jeden dowód na to, że ich życie na plantacjach nie będzie zbyt lekkie. Atak w świątyni na Maui wywołał wielkie oburzenie. Zarówno Punti jak i Hakka zadawali sobie to samo pytanie: „Czy biali nie szanują bogów?" Przepaść między białymi i Chińczykami pogłębiła się.

Dla białych, zajście w świątyni buddyjskiej było godne ubolewania. Plantatorzy na Maui i innych wyspach szybko zebrali znaczną kwotę pieniędzy, którą przekazali Chińczykom na przynajmniej częściowe pokrycie strat. Doktor Whipple w imieniu plantatorów starał się ułagodzić robotników. Po pewnym czasie, napięcie opadło. Przywrócono względnie dobre stosunki. Wszyscy biali zatrudniający Chińczyków zapewniali ich, że mogą swobodnie wyznawać swoją wiarę.

Tak w połowie lat sześćdziesiątych dziewiętnastego wieku na wyspach zapanowała prawdziwa swoboda religijna. Kongregacjoniści, Katolicy, członkowie Kościoła Episkopalnego, Mormoni, Buddyści i wyznawcy Konfucjusza żyli obok siebie w prawdziwej harmonii.

Kiedy przywrócono spokój wśród Chińczyków, biali zajęli się pomarszczonym Abnerem Halem. Młodzi ludzie ze starych rodów, takich jak Hewlettowie, Whipple'owie i Hoxworth'owie zebrali się w Honolulu, by zdecydować, co zrobić ze staruszkiem.

— Żałosny starzec wpadł z laską do świątyni krzycząc: „Obraza boska! Zepsucie!" — opowiadał szczerze ubawiony jeden z Hewlletów. — O mało

nie zniszczył wszystkiego, co udało nam się osiągnąć z Chińczykami. Musimy zmusić starego, żeby zaczął się porządnie zachowywać.

— O ile się nie mylę, przed laty zrobił to samo z Hawajczykami — wtrącił Bromley Hoxworth. — Pewnej sławetnej nocy, kiedy moja matka brała ślub ze swoim bratem, wpadł na ceremonię i zaczął wywijać tą swoją laską. Zniszczył totemy i wzniecił niezłe piekielko. On wciąż myśli, że walczy ze starymi hawajskimi bożkami.

— Ktoś musi mu powiedzieć, że czasy się zmieniły — nalegał jeden z braci Whipple. — Co innego nieszkodliwe niszczenie hawajskich bożków, a co innego rozbijanie Buddy, kiedy my stajemy na głowach, by utrzymać Chińczyków na plantacjach.

Wszyscy popatrzyli w stronę Davida Hale'a i zaproponowali:

— Czy nie mógłbyś z nim porozmawiać, Dave?

— Raczej nie. Nigdy nie potrafiłem dojść z ojcem do ładu.

— Powinniśmy zabrać go z Maui — zaproponował Brom Hoxworth. — Naprawdę, nie powinien zostawać tam sam. Rozrabia w kaplicy Rybaków i wtrąca się do Chińczyków. Staje się uciążliwy. Zgadza się z pozostałymi, że powinien z nim porozmawiać, Dave. Przekonaj go, że powinien zamieszkać w małym domku w Honolulu, gdzie moglibyśmy go mieć pod kontrolą.

— Już próbowałem. Micah też. Staruszek po prostu nie chce słuchać o wyjeździe z Maui. Gdy tylko poruszymy tę sprawę, odpowiada z uporem: „Tutaj jest mój kościół i moje groby”. I wtedy już nie ma dyskusji.

— Jakie groby? — zapytał Brom Hoxworth.

— Mojej matki i twojej prababki — wyjaśnił energiczny młody człowiek. — Bawi się tam w ogrodnika. Od czasu do czasu nalega by pozwolono mu wygłaszać kazania w kościele, który zbudował. Jestem jednak przekonany, iż pastor byłby zachwycony, gdyby ojciec zniknął z wyspy.

— Szczerze mówiąc — zauważył jeden z Whipple'ow — fakt, iż został sam na Maui rzuca cień na nas wszystkich. Wygląda to tak, jakbyśmy odcięli się od staruszka, jakbyśmy go nie chcieli, bo żyje w swoim własnym świecie. Naturalnie to nie prawda. Wiem, że mój ojciec zapraszał do nas wielebego Hale'a. Brom zrobił to samo. Micah oraz David prosili, żeby z nimi zamieszkał. Mamy więc czyste ręce. Mimo to, ludzie i tak wieszają na nas psy, bo pozwalamy mu mieszkać w tym jego małym, zapuszczonym domku.

— A jeśli teraz zacznie wtrącać się do spraw Chińczyków — zauważył młody Hoxworth — naprawdę będziemy musieli go stamtąd zabrać.

Zaproponowano, aby wysłać doktora Whipple do Lahaina, aby porozmawiał z Abnerem. Siwowłose przywódca Janders & Whipple" niechętnie wszedł na pokład „Kilauela” i popłynął przez wzburzony kanał do Maui. Ledwie ruszył w dół molo, zobaczył starego przyjaciela przebijającego się przez tłum i zagadującego jednego z marynarzy z promu.

— Czy słyszałeś jakieś wieści o dziewczynie imieniem Iliki? — pytał płaczliwym głosem.

— Nie, proszę pana — odpowiedział cierpliwie marynarz. Abner zadawał mu to samo pytanie, ilekroć prom przybijał na Maui.

Starzec smutnie pokręcił głową i zawrócił w stronę domu.

— Abner! — zawołał doktor Whipple.

Kulejący misjonarz zatrzymał się, odwrócił i popatrzył uważnie na gościa. Na początku nie rozpoznał szczupłego, energicznego mężczyzny w czarnym garniturze. Po chwili jego umysł przejaśniał.

— John — powiedział miękko, wciąż odmawiając odstępny dawnego miana „Brata”.

— Przyjechałem z tobą porozmawiać — wyjaśnił cierpliwie Whipple.

— Przyjechałeś dać mi reprimendę za zniszczenie świątyni tych barbarzyńców — odpowiedział trzeźwo Abner. — Nie trać czasu. Zakrwawione skały ofiarne na Hawajach były złe i trzeba je było zniszczyć. Na to samo zasługują czerwono-złote świątynie Buddy.

— Przespacerujmy się do naszego biura — zaproponował Whipple.

— Kiedyś rozmawialiśmy tutaj i dla mnie to miejsce jest wciąż dostatecznie dobre. — Abner usiadł na pniu drzewa kokosowego pod drzewem kou, skąd roztaczał się widok na drogę. — Niewiele statków wielorybicznych już tędy przepływa — zadumał się. — Czy widzisz szkielet statku, tam na rafie? To „Thetis”. Jakże dawno temu pływaliśmy na tym wyjątkowym statku, John! Ty i Amanda, ja i Jerusha. Potem, jak wiesz, statek przeszedł w posiadanie Malamy. Teraz rdzewieje na skałach, podobnie jak ty i ja.

— Dlatego chciałem się z tobą zobaczyć, Abner — powiedział cicho doktor Whipple. — Wszyscy twoi przyjaciele, a szczególnie ja, pragnęliby, abyś opuścił Lahaina i przyjechał do Honolulu zamieszkać z nami. Rdzewiejesz na rafie, bracie Abnerze. Chcemy zabrać cię do domu.

— Nigdy nie mógłbym opuścić Lahaina — odpowiedział z uporem w głosie stary człowiek. — Jerusza i Malama są tutaj. Nie mógłbym ich zostawić. Tutaj jest mój kościół i wszyscy, których nawróciłem. Codziennie widzę „Thetis”. — Na wspomnienie statku, który był przyczyną jego triumfów i nieszczęść, zasepił się. — Poza tym, spodziewam się wkrótce Iliki. Nie chciałbym być nieobecny w dzień jej przyjazdu — dodał żałośnie, jakby zdawał sobie sprawę, że jego argumenty słabną. — Spojrzał z dziecinnym triumfem na starego przyjaciela.

Doktor Whipple nieraz już widział jak umierają ludzie i umysły. Upór przyjaciela nie rozgniewał go.

— Abner, — tłumaczył spokojnie — młodzi właściciele plantacji nie chcą dopuścić, abyś zepsuł ich stosunki z Chińczykami.

— Te dzikusy z warkoczami czczą bożki, John. Mówię ci, widziałem to na własne oczy!

— Chińczycy w ogóle nie należą do ludzi, z którymi łatwo można dać sobie radę. Kiedy zniszczy się ich świątynie, mogą z tego powstać poważne problemy, bracie Abnerze.

— John, ty i ja pracowaliśmy przez wiele lat, aby wykrzewić z tych wysp pogaństwo. Teraz, na stare lata nie możemy siedzieć beczynnym i patrzeć jak dzieło naszego życia rozpada się.

— Bracie Abnerze, — doktor starał się używać logicznych argumentów — problem Chińczyków bardzo różni się od tych, jakie stały przed nami w przypadku Hawajczyków.

Umysł Abnera rozjaśnił się i starzec spojrział zimno na przyjaciela:

— Inny? — zapytał.

Doktor Whipple zauważył, że oczy Hale'a odzyskały dawną bystrość. Postanowił wykorzystać to na ile tylko się dało. Zaczął szybko mówić:

— Wiara Chińczyków jest starą i znakomitą formą religii. Budda i Konfucjusz żyli na długo przed narodzeniem Chrystusa, a system norm etycznych, który wytworzyli jest szlachetny. Nie można ich mylić ze zwykłymi pogańskimi rytuałami, jakich byliśmy świadkami po przybyciu na Hawaje. Co więcej, Hawajczycy byli pogrążeni w ignorancji i należało wskazać im

drogę do światła. Natomiast w Chinach cywilizacja kwitła już w czasach, kiedy Massachusetts było jeszcze dzikie i nie zamieszkałe. Nie potrzebują zatem takiej pomocy duchowej, jaką dawaliśmy Hawajczykom. Oni zawsze żyli jakby poza naszym społeczeństwem, na jego obrzeżach. Natomiast Chińczyków potrzebujemy. To właśnie najbardziej niepokoi młodych, włączając twoich synów, Micaha i Davida, którzy mnie tu przysłali. Całe nasze społeczeństwo liczy na dobre stosunki z Chińczykami. Nie można tolerować niczego, co naraża nas na utratę robotników na plantacjach. — Kiedy zaczynał, nie zamierzał uciekać się do gróźb, ale w ten właśnie sposób zakończył swoją przemowę. Abner nie zauważył tego. Już w połowie monologu, zorientował się, do czego zmierza jego przyjaciel. Odsunął się przerażony zniszczeniami, jakich dokonały w człowieku kierującym się niegdyś honorem i godnością, lata i dobrobyt. Kulawy misjonarz spoglądał na swego gościa z pogardą i litością. W końcu przemówił głosem smutnym niczym głos Jeremiasza lub Ezechiela:

— Kochany Johnie, wstyd mi, że dożyłem dnia, kiedy dobrobyt i troska o plantacje zmuszają cię do przyjazdu do Maui i oznajmienia mi: „Można było zniszczyć bożki Hawajczyków, bo oni nie pracowali na naszych plantacjach. Chińczyków potrzebujemy. Mają dla nas zarabiać pieniądze, więc należy uszanować ich pogańskich bożków”. Przykro mi być świadkiem zepsucia duszy dobrego człowieka, Johnie. Lepiej wsiądź na łódź i wracaj do domu.

Taki obrót rozmowy zaskoczył doktora Whipple. Ponownie spróbował gróźby:

— Twoi synowie mówią, że jeżeli nie ...

Abner Hale z godnością wstał na chwiejące się nogi i pożegnał gościa:

— Nie bałem się kapitanów statków wielorybnych ani ich rozwrzeszczanych marynarzy. Nie boję się też swoich własnych synów. Na świecie jest dobro i zło, Johnie. Jest Bóg całego wszechświata i pogańskie bożki. Nigdy nie miałem wątpliwości co do tego, po której stronie wystąpię, gdy nadejdzie Armageddon. Bożek to bożek i jeśli chrześcijanin podda się pokusie, by zarabiać na nim pieniądze, taki bożek tym bardziej powinien zostać zniszczony. Ezechiel rozkazał: „Tak mówi Wszechmogący Pan: nawróćcie się i odwróćcie od swoich bałwanów, i odwróćcie swoje oblicza od wszystkich swoich obrzydliwości”. Nie chcę z tobą więcej rozmawiać na ten temat, Johnie. Kiedy wyjdiesz, będę się modlił, aby przed śmiercią twoja dusza stała się znowu czysta. Tak czysta jak ta, którą przywiozłeś na te wyspy..., i którą zgubiłeś gdzieś na plantacjach cukru.

Mały misjonarz odwrócił się plecami do przyjaciela i zniknął w swoim małym, obskurnym domku. Doktor Whipple próbował jeszcze przekonać go, mówiąc:

— Abner, musisz pojechać ze mną do Honolulu.

Abner nie chciał go słuchać, a kiedy Whipple ruszył za nim do nędznego schronienia, w którym spędzał ostatnie dni swego życia, stary misjonarz zamknął mu drzwi przed nosem. Whipple słyszał, jak Abner Hale uklęknął opierając się o krzesło i zaczął modlić się za swego dawnego towarzysza z kajuty na „Thetis”.

Doktor Whipple powrócił do Honolulu. Wydał swoim zarządcom na Maui polecenie, aby trzymali Abnera Hale'a z dala od buddyjskich świątyń. Należało chronić Chińczyków przed dalszymi incydentami. Młodzi Hale'owie regularnie przysyłali zarządcom w Lahaima pieniądze. Dzięki temu ich ojciec miał

zapewnione dobre wyżywienie i opiekę medyczną. Dwa razy do roku błagali ojca, żeby przyjechał do Honolulu i zamieszkał z nimi. Dwa razy do roku ojciec im odmawiał.

W 1868 roku Nyuk Tsin i cała społeczność chińska na Hawajach zrozumiała, jakimi dziwnymi, barbarzyńskimi istotami byli biali. Do Honolulu dotarły wieści, że wiekowy ojciec Hale zmarł zapomniany i samotny na wyspie Maui. Trudno było uwierzyć w taką wiadomość. Nyuk Tsin spotkała się ze swoimi przyjaciółmi Hakka w sklepie Hakka. W tym samym czasie Mun Ki siedział w kucki w sklepie Punti, starając się zwrócić uwagę na tę okropną wiadomość. W obu sklepach mówiono:

— Zatem pozwolono, by ojciec tych wszystkich sławnych i bogatych ludzi umarł w nędzy?

— Tak. Byłem tam i widziałem jego stare, wyniszczone ciało na cmentarzu.

— Co ten starzec tam robił?

— Poszedł opiekować się grobem żony, a potem doglądał jeszcze grobu jakiejś hawajskiej damy. Wyglądało na to, że umarł pod wieczór. Upadł na grób Hawajki. Przeleżał tak całą noc.

— I mieszkał w małym, nędznym domku?

— Nie uwierzylibyście jak małym i brudnym.

— A przecież jego dzieci mają tutaj takie duże domy. Czy widzieliście domy jego dzieci?

— Nie. Czy są duże i ładne?

— Li Lum Fong pracuje dla jego syna Micaha i mówi, że dom Micaha należy do najpiękniejszych w Honolulu. Najstarsza córka starego wyszła za mąż za Hewletta, a oni mają przecież ogromne bogactwa. Jego druga córka wyszła za jednego z Whipple'ów. Ma duży dom. Drugi syn wziął za żonę pannę Whipple, więc jest bogaty.

— Czy są jakieś wnuki, z którymi starzec mógłby mieszkać?

— Rodziny mają dwoje wnuków i pięcioro, i pięcioro, i jeszcze sześcioro.

— I umarł sam?

— Umarł sam, opiekując się grobami, ale nikt nie opiekował się nim. Kiedy wypowiedziano te słowa, ostre podsumowanie braku szacunku

dla podstawowych wartości oraz własnych przodków, w obu sklepach zapanowała ponura atmosfera. Niektórym przypomniały one ich tęsknotę za domem przodków w dalekich Chinach. Siedzieli w kucki, kołysząc się do przodu i do tyłu. Na próżno usiłowali pojąć, dlaczego rodzina, w której było osiemnaścioro wnuków i która posiadała cztery domy, pozwoliła staremu człowiekowi umrzeć w samotności, bez jakiejkolwiek opieki. Czy nie obawiali się nieszczęść, jakie bez wątpienia sprowadza samotna śmierć starego człowieka? Podczas takich rozmów, Chińczycy często mieli ochotę powiedzieć: „Bardzo chciałbym zobaczyć teraz swojego ojca w Wysokiej Wiosce!”. Jednak milczeli i powracali do naprawdę ponurych dyskusji o Abnerze Hale'u.

— Czy to nie ten sam starzec, który niszczył chińskie świątynie?

— Tak. Widziałem go kiedyś biegnącego z kijem. Kulał, ale kiedy niszczył świątynie miał mnóstwo wigoru. Zarządcy na plantacjach musieli go pilnować. Ilekroć staruszek ruszał w stronę świątyni, krzyczeli: „Znowu nadchodzi!”. Biali wybiegali wówczas, chwyтали go i zabierali do domu.

— W tym przypadku można by sądzić, że to Chińczycy powinni pragnąć jego śmierci, lecz przecież to my go oplakujemy, podczas, gdy jego rodzina wcale o niego nie dba.

Jednak w ogromnych domach panował wszechogarniający, cichy smutek. Mormoński misjonarz powiedział Micah'owi:

— Ostatniego dnia swego życia, twój ojciec wyszedł na spotkanie promu i pytał o dziewczynę imieniem Iliki. Potem zerwał trochę kwiatów. Spotkałem go na drodze do cmentarza kościelnego. Groził mi laską i krzychał: Jesteście zgorszeniem. Należałoby wyrzucić was z wysp". Gdybym miał trochę rozumu, powinienem był pójść za nim. wydawał się słaby. Potykał się. Tak, często nie robimy tego, co należy. Przeszedłem obok, trzymając się z dala od jego laski.

Z pewnością poszedł do kościoła i próbował przekonać pastora, żeby znowu pozwolił mu wygłosić kazanie w niedzielę. Sam wiesz, zbyt odbiegał od tematu i kazania były beznadziejne. Pastor nie zgodził się. Wtedy widziano go po raz ostatni. Znalaziono go leżącego na grobie Alii Nui Maui, kobiety, którą jak rozumiem, sprowadził na łono kościoła.

Tej nocy miałem przecucie, że nie postąpiłem po chrześcijańsku mijając twojego ojca. Miałem zamiar sprawdzić czy bezpiecznie dotarł do domu. Nie udało mi się. W czasie porannego spaceru poszedłem do jego domu. Chciałem życzyć mu dobrego dnia. Nie zastałem go. Szybko udałem się na cmentarz. Spodziewałem się znaleźć go leżącego gdzieś po drodze. Jak już mówiłem, umarł na grobie.

Panie Hale, nie będę owijał w bawełnę. Powiedziano wiele ostrych słów na temat samotnej śmierci pańskiego ojca w Lahaina. Ja i wielu innych, wiemy, jak bardzo starał się pan ułatwić jego ostatnie dni. Był upartym człowiekiem. Nie pozwalał traktować się dobrze. Jego ostry język dał mi się we znaki. Pragnę pana zapewnić, że ludzie znają prawdę. Tylko głupcy z miasta mogą pana potępiać.

Jak już mówiłem, w czterech domach Hale'ów panował głęboki smutek. Dzieci pamiętały, że ojciec dbał o nie, kochał je, uczył i zmieniał im prześcieradła, kiedy miały gorączkę. Poświęcił całe życie, aby uczynić z nich wartościowych ludzi. Widziały go, w gniewie, jak trzymał je w małym, ogrodzonym ogródku. Pamiętały jego straszliwą rozpacz, kiedy wielebny Eliphalet Thorn zabrał je spod jego opieki. Od tamtego dnia, każde z dzieci Hale'a na próżno próbowało odwzajemnić ojcu miłość, jaką im dał. On jej nie chciał. Odrzucił swego najstarszego syna, Micaha, za to, że ów poślubił pół krwi Hawajkę. Szydził z Davida, bo ten nie chciał zostać pastorem. Gardził Lucy za poślubienie młodego Hewletta, który, chociaż sam biały, był przyrodnim bratem mieszzańca. Ignorował Esther, swoje ukochane dziecko, gdyż poślubiła Whipple, człowieka publicznie naśmiewającego się z misjonarzy. Cała czwórka pogrążyła się w głębokim smutku.

Ale wszyscy oni pochodzili z Nowej Anglii. Kiedy społeczność Honolulu zaczęła szeptać za ich plecami, potępiając ich za to, że zostawili biednego, na wpół obłąkanego ojca i pozwolili mu umrzeć w obskurnym szałasie w odległej Laihanie, Hale'owie poczuli konieczność pokazania się publicznie. Przyjmowali szyderstwa i szli dumnie, jakby nie słyszeli złośliwych uwag. Gdy nieznośne panie domów przysyłały im zaproszenia, żeby zobaczyć jak znoszą upokorzenia i ból, przyjmowali je. Bywali jak gdyby nigdy nic w towarzystwie, znosząc ze stoickim spokojem stawiane im zarzuty. Uważali to za swój obowiązek.

Chińscy służący, widząc to, byli jeszcze bardziej poruszeni. W swoich sklepach szeptali:

— Li Lum powiedział mi, że wczoraj wieczorem Micah Hale, pani Hewlett i pani Whipple poszli na przyjęcie. Proszę powiedz mi, wytłumacz, jak rodzina, która pozwoliła staremu, biednemu ojcu umrzeć w nędzy, bez opieki, może pokazywać się publicznie, śmiać i pić alkohol? I to zanim upłynął rok żałoby. Nie mają wstydu.

— Nigdy nie zrozumiesz tych ludzi. Są bez serca — zgadzali się Chińczycy.

Kiedy pyzaty syn Mun Ki, Azja, zaczął stawiać pierwsze kroki, dołączył do niego najpierw młodszy brat, Kontynent Europy, a później Afryka. Dzieciaki rozrabiały w kuchni, podczas gdy ich rodzice przygotowywali posiłki dla państwa Whipple. Narodziny dzieci spowodowały dziwną przemianę w stosunkach pomiędzy Mun Ki i jego żoną. Przed wieloma wiekami Konfucjusz zwrócił uwagę, jak trudno utrzymać harmonię między małżonkami: „Niech ci dwoje szanują się”.

Dlatego też w Chińskich rodzinach mąż niczego nie dawał żonie do ręki. Gdyby tak uczynił, znaczyłyby to: „Chcę ci to dać. Musisz to wziąć”. Zazwyczaj kładł więc przedmiot obok żony, a ona brała go, kiedy miała na to ochotę. Niektórzy ignorowali ten zwyczaj, ale istniał jeszcze jeden, którego przestrzegali wszyscy. Mędrzec ze sklepu Punti wytłumaczył go doktorowi Whipple. Mąż szanujący swoją żonę nigdy nie wypowiadał jej imienia ani publicznie, ani w domu. Gdy tylko dziewczyna wychodziła za mąż, stawała się po prostu żoną Mun Ki. To był jej zawód, jej życie. Po narodzinach dzieci, robiono wszystko, aby ukryć przed nimi jej prawdziwe imię. Na Hawajach nie było chyba Chińczyka, który znałby imię swojej matki. Nigdy go nie wymawiano.

W przypadku Mun Ki sprawę dodatkowo komplikował fakt, że Hakka nie była jego ślubną żoną, lecz zaledwie konkubina. Nazwanie jej matką byłoby obraźliwe. To prawda, urodziła trzech synów, j-adnak ich prawdziwą matką była oficjalna żona, dziewczyna Kung, która posłusznie została w Niskiej Wiosce. Zgodnie z chińskim zwyczajem, ona była matką każdego dziecka Mun Ki, bez względu na to, w jakiej części świata zostało ono urodzone.

Koścista Hakka została Ciotką Wu Chow, „Ciotką Pięciu Kontynentów” i pod tym imieniem znano ją w całym mieście. Uważała się za szczęśliwą. W wielu rodzinach konkubiny zwano pogardliwie „Tamta” albo po prostu „Ona”. Mun Ki nie chciał jej tak nazywać. Był pod wrażeniem przepowiedni uczonego Punti, mówiącej, że Nyuk Tsin miała dać mu wielu synów, którzy podzielą między siebie kontynenty. Ilekroć sprytny hazardzista nazywał żonę Ciotką Wu Chow, czuł dla niej miłość.

Żadne z jej dzieci ani wnuków nigdy nie poznało jej prawdziwego imienia. Żadne nie nazwało jej matką, gdyż Mun Ki zawsze przypominał chłopcom: „Wasza matka mieszka w Chinach”. Utwierdził w nich przekonanie, że w Niskiej Wiosce czeka na nich matka. To jej winni byE synowskie uczucie.

Któregoś roku z Kantonu przybył wędrowny fotograf. W niektórych wioskach rzucano w niego kamieniami, uważając go za czarownika zabierającego ludziom dusze przy pomocy czarów. W Niskiej Wiosce, wuj Chun Fat, który był w Kalifornii, powiedział pięknej żonie bratanka:

— Zrób sobie zdjęcie i wyślij je do kraju Pachnących Drzew.

Zrobiła jak kazał. Mali Kee dorastali patrząc na wiszące na ścianie brązowawe zdjęcie ładnie ubranej, wyglądającej niczym królowa, kobiety. Zdję-

cie wywoływało w nich silne uczucie synowskiego oddania. Silniejszego niż to, jakie kiedykolwiek czuli w stosunku do Nyuk Tsin.

Nyuk Tsin nie przejmowała się takimi rzeczami. Jak każda Hakka, miała dwa podstawowe pragnienia. Przede wszystkim chciała, aby jej synowie otrzymali odpowiednie wykształcenie i dla osiągnięcia tego celu była gotowa poświęcić wszystko. Po drugie, pragnęła posiadać własny kawałek ziemi. Osiągnięcie obu tych celów wymagało dużej ilości pieniędzy. Była w Honolulu zaledwie od kilku tygodni, kiedy zaczęła sprzedawać warzywa. Teraz, nie mówiąc nic państwu Whipple, brała do prania brudną bieliznę samotnych Hakka. Któregoś dnia doktor Whipple zapytał swoją żonę, Amandę:

— Amando, co te niebieskie ubrania robią na trawniku za domem?

— Nie mamy żadnych niebieskich ubrań — odpowiedziała i wszczęła dochodzenie.

— Nie będzie żadnego prania! — rozkazał doktor Whipple, ale do tego czasu, Nyuk Tsin udało się już zarobić trochę pieniędzy.

Następnie przerzuciła się na przygotowywanie posiłków dla chińskich kawalerów. Okazało się to całkiem dochodowym zajęciem do czasu, gdy Amanda Whipple zaczęła coś podejrzewać widząc wielu mężczyzn wchodzących tylną bramą na teren ich posiadłości.

— John, wybac mi złe myśli — powiedziała pewnej nocy — ale czy nie sądzisz, że nasza pokojówka jest... no wiesz... ci wszyscy mężczyźni...

— Jak by nie było to tylko druga żona naszego kucharza i być może on chce w ten sposób zarobić trochę więcej pieniędzy, — John, jakie to straszne!

Obydwoje zgodzili się, iż należy coś zrobić. Doktor Whipple zabawił się w detektywa. Któregoś dnia wszedł do salonu potykając się i dusząc ze śmiechu.

— Ach, ci wszyscy źli Chińczycy! — chichotał. — Amando, kapitan Hox-worth powinien zobaczyć, co się dzieje na naszym podwórku. Znalazłby tam dowód potwierdzający wszystkie jego podejrzenia.

— John! O czym ty mówisz?

— Pani Kee, o zgrozo, podaje gorące posiłki. Niezameżnym mężczyznom. — Pani Whipple zaczęła się śmiać mimo zakłopotania. W końcu zapytała:

— Dlaczego nasi służący próbują na wszelkie sposoby zarobić dodatkowe pieniądze? Przecież płacimy im dobrze.

— Chcą wykształcić swoje dzieci — wyjaśnił doktor Whipple.

— To bardzo im się chwali, ale nie dzięki prowadzeniu u nas restauracji. Po raz kolejny kazano Nyuk Tsin przerwać działalność. Jednak i tym razem udało jej się zebrać sporo pieniędzy.

Jej największe przedsięwzięcie rozpoczęło się, kiedy odkryła, iż można wyciągnąć pieniądze z dwóch akrów bagna znajdującego się na terenie Whipple'ów. Tym razem poszła do doktora Whipple i w straszliwym pidgin poprosiła:

— Czy mogłabym wykorzystać bagna?

— Do czego?

— Chciałabym uprawiać tam taro.

— Czy wy, Pake, jecie taro?

— Nie. Będziemy z niego robić poi.

— Ale przecież nie jadacie poi, prawda?

— Nie. Będziemy je sprzedawać tubylcom.

Doktor Whipple przeprowadził kilka wywiadów i okazało się, że Nyuk

Tsin miała dobry pomysł. Hawajczycy pracowali teraz w stajniach albo w warsztatach jako mechanicy. Nie chcieli już marnować czasu na wyrabianie poi, Tak więc zajęcie to przeszło na Chińczyków. Doktorowi przyszła do głowy dziwaczna myśl, którą podzielił się z Amandą:

— Mam te bagna od wielu lat i dopiero jakaś Chinka pokazała mi, co można z nimi zrobić. Im dłużej obserwuję tych ludzi, tym bardziej ich lubię.

Z upływem czasu, praca Nyuk Tsin na bagnach robiła na nich coraz większe wrażenie. Każdą wolną chwilę, po wykonaniu wszystkich obowiązków pokojówki, spędzała na poletku taro. Zawiażywała pod brodą stożkowy kapelusz, podwijiała niebieskie spodnie i na bosaka wchodziła w błoto. Budowała groble lepiej niż niejeden mężczyzna. Konstruowała ujęcia wodne i osuszała teren, aby go zorać, a potem zalać wodą potrzebną do uprawy taro. Doktor Whipple, obserwując jej pracę, myślał: Jest bardzo przywiązana do ziemi". Nie zdziwił się zatem, gdy pewnego upalnego dnia przyszła do niego, ocierając zabłocone dłonie kępkami trawy i poprosiła:

— Czy sprzeda mi pan te bagna?

— Skąd weźmiesz pieniądze? — zapytał. Zaskoczyła go, mówiąc ile już oszczędziła.

— Resztę dostanę za sprzedaż poi i rok po roku będę spłacać panu pieniądze.

Jej słowa ucieszyły doktora whipple. W taki sam sposób jego przodkowie z Nowej Anglii starali się zdobyć pieniądze, żeby posłać synów do college'u. Niestety, musiał ją rozczarować.

— Ta ziemia jest zbyt blisko domu. Nie mogę jej sprzedać, ale mógłbym d oddać trochę ziemi w dolinie.

— Czy moglibyśmy iść i obejrzeć tę ziemię? — zapytała Nyuk Tsin.

— Teraz? — Głód ziemi był w niej tak wielki, iż przeszłaby kilka kilometrów, byle zobaczyć to pole. Przez prawie pięćdziesiąt pokoleń Hakka tęsknili do żyznej ziemi w dolinie. Tutaj miała przed sobą taką ziemię i chciała za wszelką cenę wejść w jej posiadanie. Tego dnia doktor Whipple nie mógł z nią iść, a potem zapomniał o bagnach. Nyuk Tsin nie zapomniała.

Na jej drodze do zakupu ziemi stanęły dwie rzeczy. Po pierwsze mąż sprzeciwił się zakupowi ziemi, tłumacząc:

— Nie będziemy tutaj długo. Byłoby szaleństwem kupować ziemię, którą porzucimy wyjeżdżając do Chin.

— Chcę mieć własne pole — upierała się Nyuk Tsin.

— Nie — przekonywał Mun Ki. — Musimy oszczędzić jak najwięcej i zabrać pieniądze z powrotem do Chin, do Niskiej Wioski. Kiedy tam dotrzemy, wyślę cię do Wysokiej Wioski. Nie czułabyś się dobrze wśród Punti, a moja żona nie chciałaby cię w swoim domu.

— Co stanie się z chłopcami? — zapytała Nyuk Tsin.

— No cóż, są Punti, mają imiona Punti, zostaną ze swoją matką. Naturalnie dam ci trochę pieniędzy — dodał szybko widząc jej przerażenie. — Będiesz mogła kupić sobie kawałek ziemi w Wysokiej Wiosce i najprawdopodobniej będziemy się od czasu do czasu spotykać.

— Wolałabym mieć ziemię tutaj — prosiła Nyuk Tsin.

— Ciotko Wu Chow — sapnął rozgniewany Mun Ki — nie zostaniemy tutaj. Po drugie, wynikły pewne problemy z poi. Chińczycy, pomimo całego swojego sprytu nie potrafili wyprodukować podstawowego pożywienia na

tych wyspach. Taro Nyuk Tsin wyrosło wspaniale. Doktor Whipple nigdy nie widział piękniejszego. Zebrała je prawidłowo. Najpierw odcieła ciemne liście i sprzedała. Przypominały w smaku szpinak. Następnie obrała łodygi. Można je było gotować jak szparagi. Sprzedała kwiaty, przypominające trochę kapustę. Zostały duże, ciemne bulwy, z których wyrabiano poi. Surowe, zawierały kryształy tlenu i nie nadawały się do jedzenia. Natomiast po ugotowaniu i obraniu ze skóry, były smakowite, tyle, że wyglądały jak ser Roquefort. Właśnie te ugotowane bulwy zabierała Nyuk Tsin na specjalnie przygotowany stół o długości prawie dwóch metrów i miażdżyła przy pomocy tłuczka ze skały wulkanicznej. W końcu, uzyskiwała kleistą, lepką papkę — poi, najbardziej zadziwiającą skrobię świata. Była ona raczej alkaliczna niż kwasowa, łatwiej przyswajalna przez organizm niż ziemniaki, pożywniejsza niż ryż. Można ją było bez obaw podawać niemowlęciu. Starzy ludzie cierpiący na wrzody żołądka mogli rozkoszować się jej smakiem. Doktor Whipple, który podawał swoim gościom poi zamiast chleba i ziemniaków, określał ją jako Jedyne doskonałe pożywienie".

Hawajczycy uwielbiali poi i odetchnęli z ulgą, gdy Chińczycy wzięli na siebie uciążliwe przygotowywanie tego przysmaku. Jednak nie polubili poi przyrządzanego przez Nyuk Tsin i jej męża. Zgodnie ze zwyczajem panującym na wyspach, po przygotowaniu poi, na ulicy wywieszano małe, białe flagi. Kiedy Nyuk Tsin po raz pierwszy je wywiesiła, w kolejce ustawiło się wielu chętnych klientów. Później jednak narzekali, że jej poi nie było wystarczająco mdłe. Przepraszająco pytali czy trzymała wszystkie przybory kuchenne w idealnej czystości. Hawajczycy na codzień byli fanatycznie czysti, ale jeśli chodzi o przygotowanie poi, przechodzili samych siebie. Wystarczyło, żeby mucha przeleciała nad miseczką, a już wyrzucali całą zawartość. Po mieście rozeszła się rujnującą Nyuk Tsin wiadomość. Poi Chińczyków nie jest czyste. Co gorsza, są w nim grudki.

Były też inne problemy. Dolar, podstawowa waluta na wyspach dzielił się na trzy różne systemy monetarne. Dziesięć amerykańskich dziesięciocentów równało się jednemu dolarowi, podobnie jak osiem hiszpańskich reali i cztery angielskie szylingi. Co gorsza, szylingi można było łamać przy pomocy ochłodzonego dłuta na pół, co dawało osiem sześciopensówek na dolara. Ponieważ dziesięciocentówki i reale były mniej więcej tej samej wielkości, Hawajczycy starali się przekonać Chińczyków, iż dziesięciocentówki warte dziesięć centów były równie dobre jak reale warte dwanaście centów. Nyuk Tsin, z kolei próbowała zbierać reale i wypłacać dziesięciocentówki. Powodowało to nieustanne awantury.

Gdy państwo Kee po raz piąty przygotowali poi, upłynęło mnóstwo czasu od wywieszenia białych flag, zanim pojawił się pierwszy klient. W końcu przeszła ogromna Hawajka, wsadziła palec do miski z purpurową pastą i posmakowała. Z wyraźnym obrzydzeniem mruknęła:

— Wezmę trzy miary za pół ceny w dziesięciocentówkach

Tego było za wiele dla Nyuk Tsin. Ważąc ledwie jedną trzecią tego co jej klientka, skoczyła do przodu i zaczęła wypychać kobietę z powrotem na ulicę. Hawajka oganiała się od niej jak od muchy. Powstało znaczne zamieszanie. Doktor Whipple, który przyszedł na podwórze, zarządził:

— Nie będzie więcej sprzedaży poi.

Mun Ki był rozczarowany. Stracili szansę na zarobienie mnóstwa pieniędzy. Oskarżał żonę, że jest zbyt głupia i nie umie nawet przyrządzić poi. Czekają im jeszcze gorsze upokorzenie. Zostało im sporo obrzydliwie wy-

glądającego poi i oszczędna Nyuk Tsin kazała wszystkim jeść to zamiast ryżu. Jej mąż z trudem przełykał nie smakującą mu skrobię, krzywiąc się i przy tym straszliwie. Co więcej, ku swemu oburzeniu odkrył, że jego synowie wołają ją od ryżu.

— Dosyć tego! — krzyknął, rzucając o stół swoją miseczką. — Wracamy do Chin, gdy tylko wygaśnie kontrakt.

— Zapiszmy się na kolejne pięć lat — błagała Nyuk Tsin.

— Nie! — grzmiał Mun Ki. — Nie będę spokojnie znosił tego, że moi synowie wołają poi od ryżu. Nie są już Chińczykami. Gdyby Nyuk Tsin mu w tym nie przeszkodziła, wyrzuciłby całe poi. — Dobrze, Ciotko Wu Chow — J mruknął w końcu — zjem poi. Jednak kiedy już się skończy, wracam do Chin.

Wuj Chun Fat bez wątplenia zarobił milion dolarów w Kalifornii, ale nic nie wskazywało na to, by jego bratanek mógł mu dorównać na Hawajach.

Przynajmniej jedna dobra rzecz wyniknęła z katastrofy z poi. Nyuk Tsin, zawsze otwarta na eksperymenty, odkryła, że jeśli potnie na kawałki łydgi taro, zanurzy je w solance i obciąży kamieniami, po pewnym czasie zamarynują się. Były wysmienite z duszoną rybą i jarzynami. Dzięki temu odkryciu zyskała niespodziewane dochody ze swojego poletka taro. Sprzedała kwiaty jako warzywa, liście jako szpinak, a surowe bulwy oddała do królewskiej fabryki poi na Fort Street. Jednak łydgi zatrzymała dla siebie. Gdy już dobrze się zamarynowały, wkładała je do swoich koszy i brała na plecy bambusową tykę. Szła boso przez miasto zachwalając swoją chińską kiszoną kapustę. Doktor Whipple obserwował jak szybko otrząsnęła się po porażce i pewnego dnia powiedział:

— Pani Kee, czy pamięta pani to pole, o którym kiedyś rozmawialiśmy? Oczy Nyuk Tsin zapaliły się. Niecierpliwie czekała na jego słowa.

— Obejrzałem je. Nie jest wiele warte, więc nie sprzedam go pani. — Twarz Nyuk Tsin wyrażała taką rozpacz, że doktorowi Whipple zrobiło się wstyd swojego małego podstępu. — Dam go pani w prezencie, pani Kee — dodał szybko.

Nyuk Tsin miała wówczas zaledwie dwadzieścia dwa lata, ale czuła się jak stara kobieta, która żyła od dawna marząc o czymś, co teraz nagle się spełniło. Jej oczy o kształcie migdałów napęłniły się łzami. Ręce trzymała wzdłuż ciała. Pomyślała: „Mogłabym mieć ziemię, bogatą ziemię w Kraju Pachnących Drzew”. Na tę myśl łzy spływały jej po policzkach. Na głos powiedziała to, czego spodziewano by się po dobrej żonie:

— Ojciec Wu Chow mówi, że nie powinnam interesować się ziemią w tym kraju. Wkrótce wrócimy do Chin.

— Szkoda — odrzekł Whipple, gotów przejść nad całą, niezbyt ważną dla niego sprawą do porządku dziennego.

Jednak w umyśle upartej Hakka mocno utrwalił się odziedziczony po przodkach głód ziemi. Stała niczym ogłuszona patrząc jak doktor Whipple odchodzi, zabierając ze sobą szansę na ratunek — obietnicę ziemi. Pchana siłą mocniejszą niż ona sama, zawołała:

— Doktorze Whipple!

Stary naukowiec odwrócił się. Po brzmieniu głosu służącej zorientował się, że cierpiała i była zrozpaczona. Wrócił do niej i zapytał łagodnie:

— O co chodzi, pani Kee?

Przez chwilę wahała się. Po opalonej twarzy spływały łzy. Nie była w sta-

nie mówić. Jej usta poruszały się bezgłośnie, wreszcie, głosem jak zza grobu wyszeptwała:

— Kiedy Ojciec Wu Chow wróci do Chin, ja zostanę tutaj.

— Och, nie! — przerwał jej szybko doktor Whipple. — Zona musi zostać ze swoim mężem. Nie brałem pod uwagę darowania ci ziemi na innych warunkach.

Przerażająca myśl, iż być może straci ziemię dodała jej odwagi i wyznała mu szeptem:

— On nie jest moim mężem, doktorze Whipple.

— Wiem.

— Przywiózł mnie tutaj, żeby mnie sprzedać człowiekowi, którego widział pan po drugiej stronie ogrodzenia. Polubił mnie jednak, więc kupił mnie dla siebie.

Doktor Whipple przypomniał sobie scenę z biura imigracyjnego i wiedział, że Nyuk Tsin mówi prawdę. W głębi duszy nadal był pastorem i teraz pocieszał swoją służącą:

— Mężczyźni często biorą kobiety z różnych, dziwnych powodów, pani Kee, a potem zakochują się w nich. Tworzą razem szczęśliwe rodziny. Powrót z mężem do Chin to pani obowiązek.

— Ale kiedy tam dojedziemy, nie będę mogła zostać z nim w Niskiej Wiosce. Wstydziłby się moich dużych stóp.

— Co by się z panią stało? — zapytał coraz bardziej zainteresowany doktor Whipple.

— Musiałabym zamieszkać w Wysokiej Wiosce.

Sumienie doktora Whipple często cierpiało na widok niesprawiedliwości, których był świadkiem. Mimo to, według niego, spełnianie obowiązków prowadziło do zbawienia.

— W takim razie niech pani idzie do Wysokiej Wioski, pani Kee — powiedział łagodnie. — Niech zabierze pani ze sobą swoich synów i dobrze przeżyje swoje życie. Pani bóg pomoże pani.

— Moi synowie zostaną w Niskiej Wiosce — wytłumaczyła zachowując chłodną trzeźwość umysłu — a mnie nie wolno będzie widywać się z nimi.

Nie będą chcieli, aby ktoś wiedział, że jestem ich matką.

- Doktor Whipple oddalił się od chińskiej służącej. Przez kilka minut kopał butem trawę na trawniku. Potem wrócił i zadał jej kilka pytań. W jakich okolicznościach spotkała Kee? Czy rzeczywiście przywiózł ją na Hawaje, żeby ją sprzedać? Czy po powrocie do Chin zostanie wygnana od swojego męża i dzieci? Gdzie są jej rodzice? Kiedy usłyszał o jej porwaniu i o mrocznej przyszłości, jaka ją czekała, pomyślał przez chwilę i powiedział bez ogródek:

— Choćmy lepiej obejrzyć tę ziemię.

Otworzył wiklinową bramę i poprowadził bosonogą kobietę w stożkowym kapeluszu na głowie około dwóch kilometrów w dół doliny Nuuanu. W końcu dotarli do podmokłego, starego i leżącego odłogiem poletka, na którym niegdyś uprawiano taro. Większą jego część stanowiło błoto, spływające do Strumienia Nuuanu. Tamtego dnia doktor Whipple i jego służąca patrząc na owe poletko widzieli je takim, jakie mogło być. Odleglejsza część nadawała się pod uprawę taro. Na suchszej można było posadzić warzywa. W rogu można było wybudować mały domek. Za jakiś czas Honolulu rozrośnie się i obejmie te tereny. To był dobry kawałek ziemi. W tej chwili nie był wart wiele, ale jeśli poświęcono by mu trochę troski i energii, mógł przynieść fortunę.

— Oto pani ziemia, pani Kee. Dziwnie wyglądająca para uściśnęła sobie ręce i wróciła do dworu Whipple'ów.

Nyuk Tsin nie powiedziała mężowi o umowie z Whipple'm. Nie wspomniała również, że zamierza pozostać na Hawajach, kiedy on wyjedzie, ponieważ Mun Ki był dobrym człowiekiem. Dopóki był ze swoją konkubiną na obcej ziemi, był dla niej miły i dbał o nią. Jako realista wiedział, iż po powrocie do Chin w jego życiu nie będzie miejsca dla Nyuk Tsin, ale nie uważał, by] miało to wpływać w jakikolwiek sposób na obecne stosunki między nimi. Kochał Nyuk Tsin i ubóstwiał synów. Jego żona znów była w ciąży, a on się z I tego cieszył. Dobrze mu się powodziło jako prowadzącemu chi-fa, a poza tym wyrobił sobie opinię najlepszego gracza w mah-jongg w całym Honolulu. Bardzo polubił Whipple'ów, którzy byli wymagającymi, ale sprawiedliwymi pracodawcami i kiedyś powiedział doktorowi:

— Mam wrażenie, że wraz z przyjazdem tutaj rozpoczął się mój cykl sześciolatekni.

— Jaki cykl? — zapytał Whipple. Co prawda brak serca, jaki okazał Mun Ki planując przyszłość Nyuk Tsin wydawał się mu odrażający, ale mimo wszystko lubił tego bystrego młodego człowieka. Znajdował go nad wyraz interesującym.

— Chińczycy mówią: „Trzy lata pecha, sześć lat szczęścia” — wyjaśnił Mun Ki.

Gdy kucharz ruszył do swoich zajęć, doktor Whipple zaczął zastanawiać się na tym powiedzeniem. Mówiło wiele o Chińczykach.

— My chrześcijanie opieramy się na Starym Testamencie. — powiedział Amandzie. — po siedmiu latach tłustych następuje siedem lat chudych. W świecie panuje równowaga. Szczęście równoważy zły los i na odwrót. Podsumowuje to żydowsko-chrześcijańskie poczucie bezwzględnej sprawiedliwości. Chińczykom świat wydaje się szczęśliwszy: Jeśli wytrzymasz trzy złe lata, z pewnością przyjdzie po nich sześć dobrych". Stosunkowo wygląda to znacznie lepiej. Dlatego Chińczycy, których spotykam są takimi niepoprawnymi optymistami. My, Anglo-Sasi wciąż myślimy o nieszczęściach mających nadejść po szczęśliwych dniach. Chińczycy wiedzą, że dobro zawsze zwycięża zło w stosunku sześć do trzech.

Któregoś dnia, uderzyła go pewna myśl: „Za pięćdziesiąt lat moi potomkowie będą pracować dla Chińczyków!". Myśl ta przyszła mu do głowy, gdy patrzył na Nyuk Tsin odbudowującą kanały irygacyjne, zniszczone przez burzę. Cierpliwie doprowadzała wodę z powrotem na swoje poletko taro. Widząc, jak błotnisty strumyk użyźnia jej ziemię, zacisnęła dłonie i powiedział:

— Mówiłem o tym przez prawie pięćdziesiąt lat. Teraz zamierzam to zrobić. Pojechał do biura J&W" i wezwał wszystkich młodych Jandersów i Whipple'ów. Pokazał im mapę wyspy Oahu.

— Cztery piąte tego obszaru to pustynia — powiedział szorstko, przypominając im o tym, o czym od dawna wiedzieli. — Nie rośnie tam nic, oprócz kaktusów. Nie można nawet wypasć bydła. Pozostała jedna piąta ma wystarczająco dużo wody, ale teren jest zbyt stromy pod uprawę. Tak więc woda spływa do oceanu. Chłopcy, często mówiłem o wybudowaniu tamy, ujęciu wody w tym miejscu — wskazał na bogatą w wodę część wyspy — i poprowadzenie jej tutaj. — Wskazywał kilometr po kilometrze jałowe obszary. — Zaczynamy prace w tym tygodniu.

Pierwszy przemówił jeden z jego synów:

— Gdyby Bóg chciał, żeby na te suche tereny spadała woda, po prostu sprawiłby to. Każde przedsięwzięcie prowadzone wbrew Jego woli wydaje mi się krytyką Jego nieskończonej mądrości.

Doktor Whipple spojrzął na syna i odpowiedział:

— Mogę tylko zacytować przypowieść o talentach. Bóg nigdy nie chciał, aby marnowano potencjalne dary.

Jeden z młodych Jandersów, zacięty konserwatysta, argumentował:

— Nie mamy pieniędzy na ryzykowne przedsięwzięcia.

— Dobra firma musi się rozwijać — odpowiedział Whipple. Nie chcę, żebyście wykładali wasze pieniądze — dodał szybko, widząc, iż młodzi będą głosować przeciw użyciu przez niego funduszy J&W". — Zamierzam jednak zaryzykować własne pieniądze. Od was chcę jedynie wydzierżawić waszą bezwartościową ziemię na suchej części wyspy.

Gdy miał już pod kontrolą sześć tysięcy akrów jałowej ziemi, wynajął dwustu robotników, dziesiątki mułów. Rozpoczął zakrojone na szeroką skalę przedsięwzięcie, które miało przeobrazić pustynię na Oahu w kwitnącą, bogatą plantację cukru. Przy pomocy łopat i ciągniętych przez muły sań, wykopał siedemnastokilometrowy kanał irygacyjny. Cały czas utrzymywał odpowiedni spad, dzięki czemu woda spływała z gór w suche doliny. Jeśli kanał trafiał na swej drodze na jakąś głęboką rozpadlinę, Whipple kierował wodę w wąskie gardło szczeliny, a następnie przepuszczał przez rurę ułożoną na jej dnie. Rura kończyła się u wylotu doliny. Woda spływała z góry, z ogromną siłą przepływała rurą przez dno doliny i wypływała po jej drugiej stronie. Dzięki temu nie trzeba było używać pomp.

Kiedy kanał irygacyjny został ukończony, a jego wpływ na fortunę Whip-ple'ów był wyraźnie widoczny, doktor zebrał wszystkich partnerów J&W". Pokazał im mapę Ohau z zaznaczonymi na zielono terenami rolniczymi.

— Doprowadzamy wodę kanałami tak daleko, jak to tylko możliwe. Spójrzcie na mapę. Mimo to korzystamy z niecałych dwudziestu procent naszej ziemi. Dziewięćdziesiąt procent opadów nadal spływa do oceanu. Panowie, długo po mojej śmierci, ktoś wpadnie na pomysł, jak przebić się przez góry i przeprowadzić wodę na drugą stronę gór. Błagam was — proszę siwowłose naukowce — gdy tylko będzie to wykonalne, a prędzej czy później tak się stanie, nie wahajcie się. Użyjcie waszych funduszy. Zadłużcie się, jeśli będzie to konieczne. Pamiętajcie, ten kto kontroluje wodę, kontroluje całe Hawaje.

Jeden z bardziej konserwatywnych Jandersów, którego irytowała praca dla whipple'a, szepnął:

— Oni wszyscy dostają bzika na stare lata.

Firma zajęła się zarabianiem pieniędzy na kanale irygacyjnym Whippie'a. Zapomniano o jego wizji tunelu przeprowadzonego przez góry.

Nyuk Tsin i jej mąż, zatroskani nieudaną produkcją soi, zauważyli, że ulubieni przez nich goście ich państwa również mieli poważne problemy. Ilekroć kapitan Rafer Hoxworth jadał u Whipple'ów, na jego twarzy widzieli napięcie spowodowane chorobą jego uroczej żony. Chińczycy bardzo cenili Noelani, wysoką, postawną Hawajkę. W 1869 roku Nyuk Tsin, podająca suto kolacje, zorientowała się, że pani Hoxworth potrzebowała opieki medycznej. Kilka miesięcy później z coraz większym trudem znosiła długotrwałe siedzenie przy stole i Nyuk Tsin smuciła się z tego powodu.

Haole, jak nazywano białych na wyspach, nie rozumieli, co spowodowało taki stan u ich drogiej przyjaciółki. Tubylcy, kanakowie, znali odpowiedź. Mówili o podupadającej na zdrowiu siostrze: „Ho'olana i ka wai ke ola” — jej życie pływa po wodzie. Jeśli Noelani była tego świadoma, nie zdradzała się. Sprawiała wrażenie pogodnej, zadowolonej z życia Hawajki. Jej ruchy były pełne gracji, twarz spokojna. Przypominała brązową, nadmorską skałę rozświetloną słonecznymi promieniami. Wokół niej szemrały fale mężowskiej miłości i przyjaźni, jaką ją wszędzie darzono.

Noelani, prawdziwa alii, spała bardzo długo w ciągu dnia, by zachować siły na wieczór. Kiedy pod wystawny dom Hoxworthów na Beretania Street podjechał zaprzężony w dwa konie powóz ze sprowadzonym z Anglii woźnicą, była podniecona niczym dziecko. Wsiadając do środka rozkazała Anglikowi:

— Możesz zabrać mnie teraz do państwa Whipple, ale pośpiesz się.

Olśniewała swoją urodą. Wysoka, podkreślała jeszcze swój wzrost wtykając w srebrzystosiwe, wysoko upięte włosy długie grzebienie ze skorupy żółwia. Nosiła suknie z długim trenem, wijącym się przy każdym ruchu. Na środku trenu przyszywano małe kółko, które pasowało na środkowy palec jej lewej dłoni. Nazywano je kółkiem kanaka. Zachwyceni goście patrzyli jak zręcznie podrzucała prawą nogą tren i łapała lewą ręką kółko. Jej suknie zawsze uszyte były ze sztywnego brokatu i ozdobione brukselskimi koronkami. Stroiła się w korale, pierścienie i brosze z jadeitu wspaniale harmonizujące z jej ciemną skórą. Wszystko zakupione w Pekinie. Na sercu nosiła mały, złoty zegarek z Genewy, przypięty przywiezionym z Paryża motylem ze szlachetnych kamieni. W prawej ręce trzymała zazwyczaj kan-toński wachlarz z piór i kości słoniowej. Na wierzch narzucała sprowadzoną z Szanghaju etolę prawie półtorametrowej szerokości. Etola była naszywana czerwonymi różyczkami, a jej brzegi ozdabiała pekińskie frędzle ponad metrowej długości.

— Kobieta niższego wzrostu wyglądałaby w takim stroju jak karzelek, ale Noelani zawsze była olbrzymką — powiedział kiedyś kapitan Hoxworth, który uwielbiał kupować jej prezenty.

Kiedy wchodziła do pokoju, jej czarne oczy promieniały. Była wspaniałą kobietą. Symbolem dzielnej rasy. A teraz umierała. Kochała stroje i przyjęcia. Lubiała mieć dzieci przy sobie. Jeśli wieczorem miała wokół siebie mniej niż tuzin przyjaciół, czuła się samotna. Sądziła, że jej hawajscy przyjaciele opuścili ją w ostatnich dniach życia. Mówiła wówczas mężowi:

— Rafer, jedź do ciotki Mele i zobacz czy są tam jacyś goście.

Jeżeli byli, sprowadzano całą grupę do Howorthów, do Noelani mającej z dnia na dzień coraz większe problemy z oddychaniem.

Małżeństwa jej dzieci były udane i Noelani uwielbiała czternaścioro swoich wnuków. Malama, jej najstarsza córka naturalnie wyszła za mąż za błyskotliwego Micah Hale'a. Zarówno Bromley jak i Jerusha wybrali sobie za partnerów Whipple'ów, podczas gdy Iliki poślubiła młodego Jandersa. Tak więc kiedy Hoxworthowie spotykali się, reprezentowane były wszystkie największe rodziny na wyspach. Wiele rozmawiano o dawnych, dobrych czasach na Laha-ina. W jesienne wieczory Noelani najbardziej lubiła rozmawiać z Micah Halem, który zajmował obecnie ważną pozycję na Hawajach. Był nie tylko prezesem „H&H”, ale zajmował również miejsce w wyższej izbie legislatury. Był członkiem Tajnej Rady i administratorem Departamentu Interioru. Noelani często przypominała mu:

— Wciąż wspominam naszą pierwszą rozmowę w tamtą niedzielę w San Francisco. Obydwoje byliśmy pewni, że Ameryka wchłonie nasze wyspy. No cóż, jeszcze się tak nie stało i nie stanie się za naszych czasów. Kamehameha V nie sprzeda ani piędzi ziemi Stanom Zjednoczonym.

— Zjednoczymy się — zapewniał ją brodaty zięć. — Jestem tego pewniejszy niż kiedykolwiek przedtem, Noelani. Nasze przeznaczenie wkrótce się spełni.

— Mówisz mi to od dwudziestu lat i patrz co się dzieje. Twój kraj został rozdarty przez wojnę domową, a mój szczęśliwie rozwija się dalej. Tak było zawsze.

— Nie wierz w to Noelani — strofował ją Micah, głaszcząc brodę, jakby przemawiał przed legislaturą. — Każda fala bijąca o te brzegi, przynosi nowe świadectwa na to, że wkrótce będziemy jednym krajem. Spodziewam się tego w ciągu najbliższych dziesięciu lat.

— Skąd ta pewność? — naciskała Noelani.

— Z jednego, prostego powodu. Ameryka będzie potrzebowała cukru. Aby zapewnić sobie stałe dostawy cukru, będzie musiała przejąć te wyspy.

— Czy pracujesz nad tym? — zapytała starsza kobieta.

— Oczywiście, podobnie jak wszyscy rozsądnie myślący ludzie.

— Czy król o tym wie?

— Podchodzi do tego problemu trzeźwiej ode mnie. Pragnąłby, niepodległości dla Hawajów, ale jeśli nie będzie to możliwe, woli, aby to Stany Zjednoczone wchłonęły nasze wyspy.

— Cieszę się, że tego nie dożyję — powiedziała zmęczonym głosem Noelani, kiedy chiński służący wnieśli jedzenie.

Nyuk Tsin zawsze podziwiała czułość, z jaką kapitan Rafer traktował żonę podczas kolacji u Whipple'ów. Był ulubionym haole Chińczyków. Co prawda w czasie podróży na Hawaje znęcał się nad kulisami i wydzierał się na nich, ale poza tym okazał się ich wiernym przyjacielem. Mężczyzna, którego kopnął w twarz dostał dobrą pracę. Drugi, ten który złamał kostkę przy upadku do ładowni, dostał pieniądze na sprowadzenie żony. Zawsze był przy rozładunku statków statków „H&H” przywożących specjalne jedzenie dla Chińczyków. Lubił zapach dalekich krajów i był częstym gościem w sklepach Punti i Hakka. Klepał po pośladkach kobiety i żartował z mężczyznami. Jeśli miał przy sobie butelkę whisky, co zdarzało się dość często, otwierał ją, pociągał łyk, wycierał nadgarstkiem szyjkę i podawał butelkę Chińczykom. Kiedy wracała, pociągał kolejnego łyka. Zachowywał się swobodnie. Łatwo nawiązywał kontakty z ludźmi. Chińczycy bardzo to cenili. Posiadał też zdolność narzucania im swojej woli. Za to go szanowali. Prywatnie wściekał się na chińskie zagrożenie. Publicznie traktował ich przyzwoicie.

Największe wrażenie wywierała na nich miłość, jaką żywił dla swej hawajskiej żony. Wysoki, gburowaty kapitan, ze swymi siwymi bokobrodami nigdy nie wyglądał sympatyczniej niż wówczas, gdy jechał z Noelani na kolację do przyjaciół i pomagał jej wsiąść do powozu. W takich przypadkach szedł do powozu pierwszy, niosąc kaszmirowy koc, który układał na tylnym siedzeniu. Czekał, aż Noelani podejdzie do powozu, wyciągał prawą rękę, a ona opierała się na niej i z trudem wspinała do środka. Następnie okrywał jej nogi kocem, a na ramiona narzucał etolę. Zakończywszy całą tę operację przechodził na drugą stronę powozu. Zatrzymywał się przy koniach. Klepał je po bokach i gładził po pyskach. Nigdy nie obchodził

powozu od tyłu. wreszcie wsiadał do środka i sadowił się obok żony. Dawał znak woźnicy. Gdy przejeżdżali przez ulice miasta, pozdrawiał skinie-] niem głowy wieczornych przechodniów, Kapitan Hoxworth był, poza królem, najbardziej szanowanym człowiekiem na Hawajach, i wiedział o tym.

Listopadowe noce mogą być bardzo zimne na Hawajach. Dni są krótkie, a słońce zawieszono nisko na nieboskłonie. W listopadzie 1869 roku stało się oczywistym, że Noelani wkrótce będzie musiała zostać w łóżku, złożona swą ostatnią, przewlekłą chorobą.

— Nie potrafię ustalić przyczyny jej choroby, ale powinna przestać wychodzić na miasto — powiedział doktor Whipple.

— Noelani nie jest zwyczajną, przeciętną kobietą — odpowiedział kapitan Hoxworth. — Jest Alii Nui tych wysp i będzie jeździła ze mną lak długo, jak długo będzie miała na to dość sił. Uważa, że powinna przebywać wśród swoich ludzi.

Noce stawały się coraz chłodniejsze, a kapitan Hoxworth owijał swoją żonę w coraz większą ilość szali. Któregoś dnia, kiedy wydawała się szczególnie słaba i wyglądała jakby miała za chwilę zemdleć, zapytał ją:

— Kochanie, czy nie wolałabyś zostać dzisiejszej nocy w domu?

— Nie. Dlaczego miałabym zostać?

Pomógł jej wsiąść do powozu i pojechali, nie bezpośrednio Beretanią, ale na około przez King Street i Nuuanu. Pokazywał jej różne widoki, jakby była turystką, po raz pierwszy oglądającą Honolulu.

— Tutaj budujemy nowe magazyny „H&H” — wyjaśniał. — Zaproponowałem, abyśmy zakupili te tereny pod biura. A tam Chińczycy otwierają sklep z warzywami i mięsem.

Trzymał rękę na pulsie Honolulu, bijącym nowym życiem, a jednocześnie trzymał się blisko żony, z której ulatywała resztką energii. Tego wieczoru, na kolacji u Hewlettów, zamienił się przy stole miejscami, żeby być blisko niej, a kiedy zachwiała się powiedział spokojnie:

— Być może dziś wieczorem lady Noelani po raz ostatnie je kolację z przyjaciółmi.

Jednak stan zdrowia Noelani polepszył się. W grudniu oświadczyła mężowi, iż wieczorne wyjścia z domu razem z nim sprawiają jej przyjemność większą niż cokolwiek innego. Ósmego grudnia wieczorem pod dom podjechał powóz i kapitan zabrał żonę na kolarę do Whipple'ów. Kiedy Nyuk Tsin zobaczyła wchodzącą do jadalni Noelani, przeraziła się. Hawajka wyglądała niczym brązowy, skurczony duch.

W czasie kolacji kapitan Hoxworth zaszokował wszystkich poza Noelani.

— Kiedy matka Noelani, wielka Alii Nui Maui leżała na łożu śmierci, jej mąż przychodził na czworaka, żeby ją zobaczyć i przynosił jej maile ze wzgórz. Byłoby haniebnym uchybieniem, gdyby tak urocza hawajska dama nie miała łańcucha maile. Poprosiłem więc swoich ludzi, by przynieśli ze wzgórz maile. Chciałbym wręczyć je mojej Alii Nui.

Podszedł do drzwi, gwizdnął na woźnicę i Anglik przybiegł z łańcuchami maile. Kapitan zawiesił pachnące bluszcze na szyi żony. Potem odsunął od niej krzesło i powiedział wolno:

— Po raz pierwszy ujrzałem Noelani chyba w 1820 roku, kiedy była jeszcze dziewczynką. Płynęła w stronę brzegu na desce surfingowej. Nie miała na sobie kompletnie nic i wyglądała jak bogini, wiecie kiedy zobaczyłem ją po raz drugi? W 1833- Poszedłem do jej domu, zapukałem i pierwszymi słowami, jakie do niej powiedziałem były: „Noelani, przyszedłem znaleźć sobie żonę”.

A wiecie, jaki były jej pierwsze słowa? „Kapitanie Hoxworth, pójdę z panem na pański statek”. Udaliśmy się na „Carthaginian” i już nigdy mnie nie opuściła.

Uśmiechnął się do swojej żony i zwrócił się do młodzieży: — Dla was, kawalerów, mam jedną radę. Siedzicie na plaży tak długo, aż zobaczycie nagą, piękną hawajską dziewczynę surfującą do brzegu. Ożeńcie się z nią, a nigdy nie będziecie tego żałować.

wieczorem zabrał chorą do domu. Nigdy więcej nie zobaczono jej na ulicach Honolulu. Jej śmierć była dziwnym przejściem, tajemniczym zniknięciem. Żaden lekarz nie potrafił wyjaśnić dlaczego umierała, ale najwyraźniej takie było jej pragnienie. Odpływała w niebyt, jak rasa, z której się wywodziła. Pod koniec grudnia oznajmiła:

— Umrę na początku stycznia.

Smutna wiadomość szybko rozniosła się wśród społeczności Hawajów. Podczas zabaw karnawałowych przed domem Hoxworthów pojawiały się potężnie zbudowane, bose kobiety z naręczami kwiatów i mówiły:

— Przyszliśmy pograć się w smutku wraz z naszą siostrą.

Całymi godzinami siedziały przy niej bez słowa, a o świcie znikaly, zostawiając po sobie kwiaty.

Zanim Noelani umarła, wezwała do siebie brodatego zięcia, Micaha Hale, członka Tajnej Rady.

— Opiekuj się Hawajami, Micah — nakazała mu. — Udzielaj dobrych rad królowi.

— Zawsze, zanim mam z nim radzić, modłę się do Boga, aby pokierował moimi krokami — zapewnił ją.

— Nie chcę, żebyś był tylko pobożny — powiedziała. — Chcę, żebyś miał rację.

— Jedyne przez modlitwę mogę poznać, co jest słuszne.

— Czy nadal pragniesz przyłączyć Hawaje do Stanów?

— Dożyję tego dnia — upierał się. Noelani rozplakała się i powiedziała:

— To będzie smutny dzień dla Hawajczyków. W dzień swojego triumfu, Micah, bądź dobry i wyrozumiały dla swej żony. Naturalnie Malama będzie ci pomagać, ale w dniu, w którym zniszczysz królestwo Hawajów, będzie cię również nienawidzić.

Twardy zazwyczaj Micah, chciał być łagodny i wyrozumiały w chwili, kiedy po raz ostatni widział swą potężną teściową, ale niczym prorok z testamentu musiał dodać:

— Każdy kraj ma swoje przeznaczenie, Noelani, i tego przeznaczenia nie można uniknąć.

— Narody również mają swoje przeznaczenie, Micah, a nam nie dane było szczęście — odparła..

Skinął głową. Zamierzał wyjść, lecz Noelani zawołała go z powrotem i powiedziała:

— Chciałabym się z tobą razem pomodlić, Micah. — Micah ukląkł obok jej łóżka. — Boże, wesprzyj poczynania tego młodego, upartego brodacza — zaczęła. — Natchnij go łagodnością i prawością.

Podczas jej pogrzebu na starym cmentarzu Makiki, kapitan Hoxworth wzbudził spore zamieszanie, odmawiając opuszczenia jej grobu. Stał tam przez kilka godzin. Nie płakał. Nie rozpaczał. Po prostu stał nad grobem i spoglądał

ponad Honolulu na statki i na Diamentową Głowę. Na Waikiki był przyływ i widział z oddali drobne figurki ludzi na falach. Niebo było błękitne. Na horyzoncie pojawiły się małe obłoczki. Poniżej leżało morze; niespokojne, wzburzone morze, na którym spędził większość swojego życia.

Jakże było cudownie, myślał. Nie zmieniłbym ani jednego dnia. Nawet teraz, gdzieś tam żerują kaszaloty i ja jestem ich częścią. Łówcie swoje ofiary, kaszaloty! Niedługo pojawi się ktoś taki jak ja i wbije w was harpun. Używajcie życia póki możecie!

Kapitan Hoxworth nigdy nie cieszył się swoimi dziećmi. Pozwalał im rosnać swobodnie. Teraz, kiedy odeszła Noelani zamieniał się w idealną głowę rodziny. Weszło mu w nawyk odwiedzanie syna i czterech córek. Zasiadał z nimi przy stole. Emanował z niego urok i miłość. Mówił o dawnych czasach na Południowym Pacyfiku i o swoich przygodach w Chinach. Według niego, człowiek mógł poznać Boga dopiero po śmierci, chyba, że za młodu wyruszył na morze.

Służyć jako majtek, kiedy ma się trzynaście lat, poznać uderzenia wiatru i wrednego kapitana, znaleźć duchowe pocieszenie w forkasztelu. Krok po kroku zbliżać się do mostka kapitańskiego, a potem do posiadania własnego statku. Oto największy sprawdzian dla mężczyzny. Podczas takich zmagañ z losem człowiek poznaje swój stosunek do Boga. I nie zapominajcie o tym, młodzi ludzie, którzy nie musieliście zadawać sobie najmniejszego trudu, by zdobyć obecną pozycję w życiu. — Spoglądał ostro na swego syna, Bromle'a i zięciów: Jandersa, Whipple'a i Hale'a.

Dawno zauważył, że Micah ma największe zdolności z całej grupy. Na rodzinnych obiadach, na które młodzi chętnie przychodzili, coraz więcej z nim rozmawiał.

— Prowadzenie przedsiębiorstwa, Micah, to jak dowodzenie okrętem. Zdarzają się spiski przeciwko kapitanowi i on musi jej bezwzględnie tępić. Kopnięcie człowieka w twarz wydaje ci się odrażające, ale może się to okazać jedynym sposobem na utrzymanie kontroli nad statkiem. I tylko to się liczy — kontrola.

Według niego, w następnym dziesięcioleciu miała nastąpić seria wydarzeń, które mogły zadecydować o przyszłych losach Hawajów, a co ważniejsze, o przyszłości wielkich przedsiębiorstw.

— Nie zwracaj uwagi na kochanych, starych, tłustych królów. Oni nie mają żadnego znaczenia. Powinno się ich zatrzymać, aby zabawić ludzi. Ważne są „Hoxworth & Hale”, „Whipple & Janders” i Hewlertowie. Utrzymaj je na odpowiednim poziomie, a królowie będą musieli zaakceptować ten układ.

Zmartwił się, gdy okazało się, że Micah Hale nie zgadzał się z nim.

— Musimy rozwiązać problem tych zwariowanych królów — upierał się.

— Wpadam we wściekłość widząc jak marnują dobra tego królestwa. Teraz, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek przedtem, zamierzam coś z tym zrobić.

— Micah! — strofował go kapitan — zadowol się uczynieniem z „H&H” najpotężniejszej firmy na Pacyfiku. Królowie sami zajmą się sobą. Zapamiętaj moje słowa. Do diabła, ty będziesz prawdziwym królem i tylko to się liczy.

— Życie pod zwierzchnością królów nie leży w naturze Amerykanów — odpowiadał Micah z uporem.

— Ja ci powiem jakie jest przeznaczenie Ameryki — huczał Hoxworth.

— Jeśli Hawaje będą rozwijać się i zarabiać pieniądze, Ameryka nagle odkryje, że jesteście częścią jej przeznaczenia. Jeśli jednak pozwolisz firmom robić co tylko zechcą i okrawać nasze dziedzictwo, Ameryka będzie nas miała w nosie.

W rozmowach z Micah, stary kapitan lekcewał swego mało przedsiębiorczego syna, Bromley'a. Kiedy Micah kłócił się z nim na temat rządu na Hawajach, niesłusznie uznając go za ważniejszy niż zyskowe kierownictwo „H&H” oraz innych wielkich firm, Hoxworth zauważył, że pośród jego słuchaczy znajduje się jeden, który dorównuje mu inteligencją. Nie zwracając się do niego bezpośrednio, zaczął układać swoje uwagi w taki sposób, by zrozumiał je trzynastoletni syn Bromley'a, Whip. Cieszył się widząc jak bystry chłopak chwyta w lot jego słowa.

— Zawsze uważałem... — zaczął, zwracając się rzekomo do wuja chłopca, Eda Jandersa, który ożenił się z Iliki. Zdziwiał, jak kapitan Hoxworth nadawał swoim dzieciom imiona kobiet, które kiedyś kochał: Jarusza, Bromley, Iliki. Jego żona to rozumiała. — Zawsze uważałem, że życie mężczyzny powinno zaczynać się w wieku trzynastu lat. Powinien wypłynąć w morze albo zainteresować się jakimś wielkim przedsięwzięciem. Jego umysł powinien borykać się z tajemnicami wiary. Powinien przeczytać połowę mądrych książek, jakie przeczyta w ciągu całego swojego życia. Każda minuta utracona po trzynastym roku życia, ginie bezpowrotnie.

Kapitana fascynowało, iż mąż Iliki nie rozumiał ani słowa z tego, co usłyszał, podczas gdy jego wnuk, Whip Hoxworth rozumiał wszystko.

Kapitan zaczął zabierać chłopca na przejażdżki po Honolulu. Tego roku ludzie przyzwyczaili się do widoku przystojnego kapitana Hoxwortha parującego po ulicach w towarzystwie swego bystrego wnuka. Kapitan przedstawiał go swoim wspólnikom w interesach i wyjaśniał mu zasady załadunku statków. Pewnego dnia pastor zapytał:

— Kapitanie, czy chłopiec nie chodzi już do szkoły?

— W szkole nie dowie się tego, czego ja go uczę — odpowiedział Hoxworth.

Zabrał wnuka na nabrzeże, żeby zobaczył statki „H&H” przypluwające z Jawy i Chin. Zostawiał go na całe dnie w forkasztelu. Sam zajmował się w tym czasie innymi sprawami.

— Jeśli masz wyobraźnię, a sądzę, że masz, zrozumiesz, jak musiało wyglądać żeglowanie przed wynalezieniem masztu. Jest takie podniecające uczucie, które każdy człowiek morza musi sam odkryć — zawinięcie po długiej podróży do nieznanego portu. Whip, zapamiętaj to. Podróżuj po świecie. Zobacz zakazane miasta i zanurz się w nich.

Mówił to stojąc na śródpokładzie przerobionego statku wielorybniczego, ledwie widoczny w półmroku, po chwili dodał:

— Whip, dwie najwspanialsze rzeczy na świecie to zakotwiczyć w nieznanym porcie i pomyśleć: „Mogę uczynić to miasto moim” oraz zakotwiczyć u boku nieznannej kobiety i powiedzieć „Mogę uczynić tę kobietę moją”. Whip, kiedy umrę, nie chcę, żebyś pamiętał mnie takim, jakiego widziałeś mnie w kościele czy wieczorami, za wielkim biurkiem. Chcę, abyś zapamiętał mnie takim, jakim naprawdę jestem.

Zostawili swoją dwukółkę na nabrzeżu i Hoxworth poprowadził wnuka na zachód od tętniących życiem doków, aż doszli do podejrzanie wyglądających małych domków ustawionych wzdłuż wąskich uliczek.

— To jest Iwilei — wyjaśnił kapitan Hoxworth. — Aleja Szczurów. Tu ja jestem królem.

Jeżeli mówił prawdę, był królem Iwilei incognito, ponieważ nigdy nie wymawiano tu jego imienia. Minęło ich kilku Chińczyków, którzy wygrali w tym tygodniu w domach gry i kilku drobnych przedsiębiorców prowadzących

w Honolulu interesy. Byli zajęci swoimi sprawami. Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła się w oczy młodemu Wipowi Hoxworthowi, było to, że w Iwilei nie rozmawiali ze sobą nawet mężczyźni, którzy się znali. Zupełnie jakby za sprawą czarów ludzie stawali się niewidzialni, gdy tego chcieli.

— Często tu przychodzę — wyjaśniał stary kapitan i wprowadził wnuka do podejrzanego baraku, którego wnętrze było oświetlone i urządzone ze smakiem. Chińczyk prowadzący ten lokal sprowadzał dziewczęta z Makao. Ukłonił się z szacunkiem Hoxworthowi, który powiedział:

— Chcę zobaczyć wszystkie dziewczęta.

W chwilę później ustawiło się przed nimi prawdziwie międzynarodowe towarzystwo w szlafrokach i zawojach. Hiszpanka z Valparaiso, która nie nosiła we włosach wysokich grzebieni. Włoszka z Neapolu, która przyплыnęła do Honolulu na statku wielorybniczym. Irlandka z Dublina, która znała kapitana Hoxworth i teraz pocałowała go na przywitanie. Whipowi spodobała się ta dziewczyna, a ona, widząc to, uśmiechnęła się do niego. Były jeszcze dwie Chinki i Jawajka. Wydawały się wyniosłe i niedostępne.

— Która z nich jest najmłodsza? — zapytał kapitan.

— Ta Chinka — odrzekł opiekun tych cudów natury.

— Czy mówi po angielsku?

— Nie, nie musi.

— Dzisiaj musi. Idź i znajdź mi możliwie najmłodszą dziewczynę, ale musi znać angielski. Chcę, żeby wytłumaczyła chłopakowi pewne sprawy.

Kiedy właściciel wyszedł, by przeszukać zaułki Iwilei, Chinki i Jawajka odeszły. Pozostałe, znające angielski, zebrały się wokół kapitana i jego wnuka, podziwiając chłopca.

— Ile ma lat? — zapytała miła Irlandka.

— Trzyście — odparł Hoxworth, obejmując pytającą dziewczynę. — Trzyście lat to najwyższy czas, by mężczyzna przekonał się jak cudowne są kobiety. A ile ty miałaś lat, Noreen, kiedy odkryłaś uciechy z mężczyznami?

— Trzyście — odpowiedziała wesoła Irlandka.

— A ty Constanza?

— Ja miałam dwanaście. Na tyłach katedry w Neapolu.

— Ja miałem czternaście — wyznał przeprasząco Hoxworth. — To było w twoim rodzinnym mieście, Raquilla. Właśnie dlatego zawsze kochałem Valparaiso. Przyплынаłem na statku wielorybniczym. Pewnie was to nie zainteresuje, ale szpiegowałem marynarzy, żeby zobaczyć dokąd idą z taką determinacją. Wszedłem za nimi i powiedziałem: Ja też". Śmiali się, kiedy rzuciłem na stół moje szylingi, ale potem traktowali mnie z większym szacunkiem. Ciebie również będą traktować z większym szacunkiem, Whip. Nie będą wiedzieli, że tu byłeś. To musi pozostać tajemnicą. Po prostu, będziesz wiedział o czymś, czego inni nie wiedzą. Ta wiedza czyni mężczyzn. Nie mając jej, są tylko chłopcami... przez całe życie. Obawiam się, że twój ojciec i twoi wujowie są chłopcami. Cholera, chcę, żebyś ty był mężczyzną.

Właściciel burdelu wrócił z Chinką, której wiek trudno było określić, ale która wyglądała młodziej niż pozostałe dziewczęta. Miała na sobie czarną tunikę i białe spodnie od pizamy. Była bosa, a włosy miała splecione w długi warkocz. Jej wygląd wydawał się chłopcu, jej przyszłemu klientowi, bardzo egzotyczny. Spoglądał na nią z wyraźną ciekawością. Zobaczyła speszoną, choć chętną twarz, uśmiechnęła się i zbliżyła się do niego o krok.

— Ja lubie pokazać mu rzecz — powiedziała.

Młody Whip natychmiast przestraszył się i chociaż nie cofnął się, nie wy-

stąpił do przodu. Dziadek objął po ojcowsku lewym ramieniem Chinkę, a prawym wnuka.

— Pamiętasz, jak mówiłem ci o statkach kotwiczących w nieznanymi portach? Każdy może mieć dość odwagi, by pokochać dziewczynę tej samej rasy, co on. Aby być prawdziwym mężczyzną, musisz spojrzeć prosto w oczy brązowych i żółtych dziewcząt, każdej, jaką napotkasz i powiedzieć: Jesteś kobietą i będziesz moja". Mężczyzna musi odkryć, że nie można niczego zyskać kochając jedną kobietę. Tu chodzi o wyobrażenie kobiety. Bądź miły dla tej ślicznej Chincezki. Ona nauczy cię pierwszych kroków, które doprowadzą cię do wielkiego odkrycia.

Dając dziwacznej parze swoje błogosławieństwo, popchnął ich w stronę ciemnego korytarza wiodącego do prywatnych pokoi. Zniknęli, trzymając się za ręce. Pochwycił Irlandkę i zawołał:

— Cholera, Noreen, jakie to podniecające! wyobraź sobie, pierwszy raz! Chinka doprowadziła Whipa do półki i pokazała wyposażenie.

— Ładne, myślisz?

— Naprawdę fajne — wyjąkał, mocniej ściskając jej dłoń. Odepchnęła go i stanęła przed nim.

— Z kobietą można mieć przyjemność. Widzisz? — powoli ściągnęła czarną tunikę, rzuciła szeleszczący jedwab na krzesło i uśmiechnęła się do Whipa. Położyła drobne, ciemne dłonie na piersiach i zaczęła rytmicznie poruszać biodrami. — To stworzone dla mężczyzn — wyjaśniła.

Bez dalszych objaśnień Whip podszedł do niej. Odsunął jej dłonie i zastąpił je swoimi. Instynktownie podniósł drobne piersi do ust. Kiedy to robił, dziewczyna ściągnęła spodnie. Kapitan Hoxworth ucieszyłby się, gdyby widział, jak niewielu wskazówek potrzebował jego wnuk.

Pod innymi względami chłopak na prawdę potrzebował, by ktoś nim pokierował. W szkole niczym się nie wyróżniał. Dziadek zaskoczył go, zmuszając do czytania długich i trudnych książek, takich jak „Pendennis” i „Jane Eyre”, podczas gdy uczniowie w Pumahou walczyli z „Oliwierzem Twistem” i „Legendą Sleepy Hollow...”. Kapitan Hoxworth uczył go również o konieczności ciągnięcia zysków z każdego przedsięwzięcia. Jego zasada w interesach była prosta: Jeśli sprzedajesz, nigdy nie rozdawaj próbek. Niech sukinsyny płacą. Uważaj na swoich pomocników, w przeciwnym razie ukradną ci spod nosa prawa do firmy”.

Stary kapitan wbijał wnukowi do głowy zwłaszcza jedną lekcję: „Życie przez siedemdziesiąt lat to wspaniała przygoda. Masz teraz trzynaście lat. Prawdopodobnie zostało ci jeszcze pięćdziesiąt siedem świąt Bdzęgo Narodzenia. Za każdym razem ciesz się nimi, jakby to miały być twoje ostatnie święta. Jeśli tego nie zrobisz, na Boga, twój ostatni dzień nadejdzie wcześniej. Masz przed sobą tylko dwa i pół tysiąca sobót. Znajdź sobie dziewczynę i ciesz się nią. Nigdy nie traktuj dziewczyny lekceważąco. Możesz już nigdy więcej z nią nie spać, ale właśnie ona może okazać się tą, którą będziesz wspominał jako najlepszą. Ale, do cholery, Whip, nie stań się starym, słabym człowiekiem zanim nadejdzie twój czas. Nie bądź jak twój ojciec i twoi wujowie. Nawet nie potrafimy sobie wyobrazić, jakie będą Hawaje za dwadzieścia albo za pięćdziesiąt lat. Może nikt nie będzie uprawiał trzciny cukrowej. Może statki nie będą już potrzebne. Może całe to miasto i wzgórza staną się częścią Chin. Ale nie bój się zgadywać. Bądź zawsze na gorze toczącego się koła, zamiast ciągnąć się na dole.

Po tej przemowie, Whip uszczęśliwił starego kapitana. Wizja Hawajów należących w przyszłości do Chin nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia, ale przypomniała mu o Iwilei i powiedział odważnie:

— Chciałbym znowu zobaczyć tę Chinę.

— Ja również — zagrział dziadek i uwiązawszy konie, poprowadził Whipa do Alei Szczurów. Kiedy dotarli do burdelu, nie znaleźli tamtej Chinki. Whip uśmiechnął się do potężniej od niego zbudowanej Irlandki, ale dziadek krzyknął:

— Na Boga, nie! Noreen należy do mnie.

Popchnął w jego stronę Raquellę z Valparaiso. Hiszpance tak spodobał się jasnooki młody chłopiec, że kiedy zostali sami rzuciła się na niego niczym tygrysica. Walczył z nią, pozostawiając na jej plecach czerwoną pręgę, aż w końcu z kuszącym westchnieniem radości, ściągnęła go na podłogę i nauczyła rzeczy, o których miało pojęcie najwyżej kilku mężczyzn w Honolulu.

Dziwne, lecz kiedy opuszczali tego dnia Iwilei, nie myślał o kobietach, tylko o nieznanach portach, o nigdy nie kończącej się walce i o statkach. O statkach, podróżach w odległe części kuli ziemskiej, skąd można przywieźć do domu dziwnych ludzi i obce wyroby.

— Nie chcę wracać do Punahou — oświadczył tego wieczoru przy ogromnym stole u dziadka.

— A co chcesz robić? — zapytał jego nienagannie zachowujący się ojciec, którego główne zajęcie polegało na ukrywaniu swego pół hawajskiego pochodzenia.

— Chcę iść na morze — odpowiedział młody Whip.

— Tak też będzie — obiecał dziadek. Dotrzymanie tej obietnicy okazało się niezwykle trudne. Przez chwilę wydawało się, że nadęci wujowie, którzy nie znali dziewczyn z Iwilei, wygrają.

— Chłopak musi ukończyć Punahou, żeby dostać się do Yale — nalegał Bromley Hoxworth.

— Do diabła z Yale — krzyczał kapitan Hoxworth. — Yale nigdy nie przydało się na nic mężczyznom, którzy nie zostali wcześniej ukształtowani przez własne doświadczenia. Twój chłopak jest ulepiony z innej gliny, Bromley. Jego miejsce jest na morzu.

— Musi otrzymać wykształcenie, które przygotowuje go do jego przyszłych obowiązków w „H&H” — obstawał przy swoim Bromley.

— Posłuchajcie mnie, ślepcy! — wydzierał się kapitan. — Właśnie dlatego chcę go posłać na morze. Chcę, aby zdobył wiedzę, jaka mu będzie potrzebna do właściwego prowadzenia firmy. Dla waszego dobra chcę, żeby został majtkiem okrętowym. W tym bojaźliwym towarzystwie musi znaleźć się ktoś, kto nie będzie się bał. Kto będzie potrafił spojrzeć na rzeczy inaczej, po nowemu. Ta kłótnia zaczyna mnie nużyć.

Wujowie poparli Bromle’a. Brodaty Micah był szczególnie przekonujący ze swoją teorią o nastaniu na Hawajach nowej epoki, która wymagała mądrego i konserwatywnego sposobu zarządzania.

— Powinniśmy skonsolidować się i trzymać się naszych pozycji, dopóki nie wprowadzimy tych wysp na amerykańską orbitę. Ostrożność, ciężka praca i zdolności intelektualne, oto, co będzie potrzebne. Bromley ma rację. W Yale można zdobyć te zalety.

— Jedno wielkie gówno — odpowiedział ze swego honorowego miejsca za stołem kapitan Hoxworth. — Zdolności, do których się odwołujesz, Micah, możesz z łatwością kupić za sto pięćdziesiąt dolarów meksykańskich rocznej

pensji. A wiesz dlaczego można kupić je tak tanio? Ponieważ ten wasz Yale zawsze wypuszcza więcej mężczyzn tego typu niż rynek pracy może przyjąć. Co innego odważny mężczyzna, wyszkolony na morzu i potrafiący walczyć... — Wstał od stołu i ruszył do drzwi z wyraźnym obrzydzeniem. — Takich ludzi nie kupisz tanio. Nikt ich nie produkuje w dużych ilościach.

Wujowie trzymali Whipa z dala od dziadka, w obawie, że stary, uparty kapitan mógłby wysłać chłopaka z Honolulu na jednym z wielu statków towarowych „H&H”. Aby temu zapobiec, zaczęli przygotowywać wyjazd Whipa do Nowej Anglii. Na spokojnej stacji miał przygotowywać się do wstąpienia do Yale. Jednak pewnego marcowego ranka 1870 roku kapitan Hoxworth wykrył, gdzie trzymano jego wnuka. W pośpiechu podjechał tam swoją dwukółką i powiedział:

— Szybko Whip, mamy tylko kilka minut.

— Kilka minut na co?

— Płyniesz do Suez.

Prawie czternastoletni, silny i wysoki na swój wiek chłopak popatrzył z uśmiechem na dziadka.

— Nie mam tu żadnych ubrań.

— Chodź tak, jak jesteś. Bardziej docenisz ubranie, jeśli będziesz musiał na nie zapracować.

Pojechali szybko do doków, gdzie Whip automatycznie ruszył w stronę jednego ze statków „H&H”, gotowego do wyjścia w morze. Dziadek pochwycił go za ramię i zawrócił.

— Na Boga, Whip — powiedział z szyderstwem w głosie. Czy naprawdę myślisz, że wysłałbym cię na jednym z moich statków? Tym popłyniesz, synu — oznajmił wskazując na stary, trójmasztowy statek wielorybiczny z Salem w Massachusetts. Statek nie miał szczęścia w poprzednich latach. Został wprowadzony do eksploatacji, kiedy szczytowy okres połowów wielorybów już minął. Nie mogąc sobie znaleźć miejsca pośród statków wędrujących po morzach, zmieniał wciąż branżę. Trzy razy zmieniał takielu-nek, teraz pływał jako brygantyna. Udawał się do Manili po ładunek mahoniu na budowę pałacu dla kedyfa Egiptu. Zgodnie z planem, statek powinien był wypłynąć już pół godziny temu, ale ponieważ stale spóźniał się w stosunku do rozkładu, nie było to dla załogi nowe doświadczenie. Mimo wszystko, kiedy Rafer Hoxworth przyprowadził wnuka, kapitan nie był w najlepszym humorze.

— Oto chłopiec, o którym panu mówiłem — powiedział Hoxworth.

— Wygląda na silnego — burknął gburowaty kapitan. — Pod pokład!

— Chciałbym pomówić z nim przez chwilę — poprosił Hoxworth.

— Nawet przez sześć — zgodził się kapitan.

Rafer Hoxworth szybko znalazł się w forkaasztelu, pochwycił wnuka za ramię i powiedział pospiesznie:

— Kiedy opuścisz port, Whip, ten gburowaty facet na górze stanie się panem twego życia i śmierci. Jego słowo jest prawem. To nie cherlawy profesor z Yale. Jest twardy i okrutny. Jeśli okażesz się tchórzem nie oczekuj współczucia ani od niego, ani ode mnie. Teraz posłuchaj, jeśli wdasz się w bójkę, a na pewno się wdasz, pamiętaj o jednym. Walcz, aby zabić. Nie ma żadnych zasad. Kiedy twój przeciwnik dostanie już tęgie lanie i będzie leżał na pokładzie, zawsze kopnij go w twarz. Jak wstanie, nie będzie mógł przechwalać się,

że prawie mu się udało. Poobijaj go i pokieruszuj, zetrzyj na miazgę. Niech pamięta, kto był górą. A kiedy już z nim skończysz, bądź wspaniałomyślny. Pomóż mu wstać.

— Whip, zasmakowałeś Chinki i Hiszpanki, ale są jeszcze setki innych, wypróbuj je. Tego jednego w życiu nie będziesz żałował. Chcę, żebyś wrócił do domu jako mężczyzna.

Czas mijał szybko, a młodzieniec na próżno modlił się, by ta chwila trwała bez końca. Był bardzo przywiązany do dziadka, ale ostatnie pytanie jakie zadał zaskoczyło ich obu.

— Dziadku, skoro tak bardzo lubisz te dziewczęta w Iwilei, co czułeś do Noelani? Nie mogę tego zrozumieć.

Przez chwilę zapanowało milczenie, a potem Rafer powiedział:

— Kiedy matka Noelani umarła, ważyła prawie dwieście kilogramów. Twoja prababka. Każdego dnia jej mąż wczółgiwał się na kolanach do jej chaty i dawał jej łańcuchy maile. Tak powinien postępować mężczyzna.

— Ale jak można kochać jednocześnie mnóstwo dziewcząt i jedną kobietę?

— Czy patrzyłeś kiedyś na wieczorne niebo, Whip? Na te wszystkie śliczne gwiazdki? Można wyciągnąć rękę i dotknąć każdej z nich. A potem wschodzi księżyc, wielki, idealny. To coś zupełnie innego.

Uściskał dłoń wnuka i wyskoczył na pokład. Pomachał gburowatemu kapitanowi i zniknął w dokach.

Stary statek wielorybiczny jęczał i skrzypiał, gdy odrzucono cumy. Od gór leżących za Honolulu powiał świeży wiatr. Podróż rozpoczęła się.

Gdy odkryto, co zrobił Hoxworth, cała społeczność Honolulu była rozwścieczona. Bromley Hoxworth i zięciowie starego rozważali możliwość wypłynięcia jednym ze statków należących do „H&H”, dogonienia wielorybnika na morzu i zabrania chłopca, lecz Hoxworth zauważył:

— Chłopak podpisał papiery, a znając kapitana tego statku, nie miałobyście wątpliwości, że Whip wydestanie się stamtąd tylko na jeden z dwóch sposobów: albo zginie na morzu i opuści statek nogami do przodu, owinięty w płótno, albo odsłuży swoje jak na męczyznę przystało.

Z biegiem czasu Honolulu przestało tak surowo oceniać starego kapitana. Ludzie zaczęli mówić o nim z czułym rozbawieniem, uznając go za tego, kim był w rzeczywistości: za pierwszego spośród mieszkańców wysp. Gdy wchodził do banku, traktowano go z szacunkiem. Gdy wchodził do kościoła, pastor mu się kłaniał. W bibliotece, którą zawsze wspomagał hojnymi datkami, traktowano go jak świętego patrona nauki. Chińczycy w Honolulu mówili o nim: „słodki, uprzejmy staruszek”.

Umarł w czerwcu 1870 roku w podeszłym wieku i powszechnie szanowany. Przy jego łożu śmierci byli Hale'owie, Jandersowie, Whipple'owie i Hox-worthowie, przywódcy Hawajów. On jednak w ostatnich chwilach myślał o swoim wnuku. Whip w tym czasie miło spędzał czas w burdelu w Manili, mając u swego boku małą pół krwi Chinę przywiezioną z Sajgonu.

Wieczorem, po pogrzebie kapitana Rafera Hoxwortha, doktor Whipple, mający już siedemdziesiąt jeden lat, ale wciąż jeszcze silny i zdrowy, zastał w domu czekającą na niego Nyuk Tsin. Podejrzał, że w końcu wyzbyła się swoich uprzedzeń i przyszła po pomoc medyczną w związku ze swym odmiennym stanem. Było jednak inaczej.

— Mun Ki mieć chora noga. Ty pomóc — powiedziała i poprosiła o

lekarstwo przeciw wysypce, będącej wynikiem pracy na poletku taro. Doktor Whipple dobrze znał takie podrażnienia. Występowały dość często, gdy noga obsunęła się i wpadła w bagno na poletkach taro. Dał Nyuk Tsin słoiczek z maścią, ale pomyślał: „Z wiekiem staję się niedbały. Powinienem sam obejrzyć tę nogę”. Kilka miesięcy później nie mógł darować sobie tego zaniedbania.

Nyuk Tsin zaaplikowała mężowi maść i zgodnie z jej przewidywaniami podrażnienie zniknęło po kilku dniach. Mun Ki nadal pracował jako kucharz.

Po czterech dniach doktor przypomniał sobie o przepisanej maści i zapytał do zwyczajnie:

— Jak noga?

— Bardzo za dobrze — zapewnił go Mun Ki.

Jednak po jakimś czasie kucharz znowu doświadczył dziwnego uczucia w prawej nodze i początki tego samego w lewej. Po raz kolejny stało się dla niego jasne, że amerykański lekarz bardzo mało wiedział o ludzkim ciele. Tym razem natarł się chmśldmi ziołami. Parzył je w nocy, aby nie widział tego nikt poza żoną. I tym razem lekarstwo zadziało. Podrażnienie przeszło. Mun Ki był zadowolony. Przysiągł sobie nie radzić się więcej doktora Whipple.

Niestety w czerwcu zauważył mały wrzód na dużym palcu prawej stopy. Ten nie chciał poddać się działaniu chińskich ziół. Kiedy pokazał go żonę, poprosiła:

— Użyj maści białego lekarza.

Mun Ki wiedział, że to bez sensu. Mimo wszystko pozwolił Nyuk Tsin posmarować palec maścią. Ku jego zaskoczeniu, wrzód zagoił się idealnie.

— Zobaczysz — ostrzegął żonę — lekarstwa białych niczego nie leczą. Za tydzień się odnowi.

Ku jego osobistej satysfakcji tak właśnie się stało. Ranka pojawiła się i wyglądała znacznie gorzej niż poprzednio. Wypił więcej chińskich ziół. Wrzód jakby trochę się zagoił, ale tym razem odnowiła się dawna swędząca wysypka. Wkrótce przeniosło się również na jego lewą nogę. Potem, ze zdziwieniem zauważył małą plamkę na palcu wskazującym. Ukrył to przed doktorem Whipple. Nie potrafił jednak ukryć tego przed żoną.

Nyuk Tsin nie potrafiła sobie później przypomnieć, kiedy po raz pierwszy padło pomiędzy nimi owo straszliwe słowo. Pamiętała natomiast przerażenie w jakim żyli. Nie mówili o tym i życie toczyło się normalnie, aż do pewnego dnia, kiedy rankiem usłyszała jak mąż drapie nogi. Podeszła do niego odważnie, wzięła za ręce i powiedziała:

— Ojciec Wu Chow, muszę iść do chińskiego lekarza. Odwrócił od niej wzrok i wpatrując się w podłogę, zgodził się:

— Tak, lepiej idź do niego.

Po podaniu obiadu, Nyuk Tsin wymknęła się przez bramę ogrodową i pospieszyła do chińskiej świątyni. Po wielu ukłonach zapaliła kadzidła przed współczującym wizerunkiem Lu Tsu, którego mądrości zaufała:

— Ojciec Wu Chow odczuwa swędzenie, które nie przechodzi, a na palcu ma wrzód. Boimy się Lu Tsu i mamy nadzieję, że znasz lekarstwa, które nam pomogą.

Modliła się długo. Potem odszukała kapłana, o wygolonej głowie i miłym wyrazie twarzy. W ręce trzymał bambusowy pojemnik z prawie stu kawałkami drewna. Ostrożnie zatoczył bambusem łuk, powtarzając starą modlitwę. Powoli jeden z kawałków drewna odczepił się od pozostałych. Był to numer czterdzieści jeden, zawierający element nadziei. Kapłan napi-

sał na kawałku papieru „czterdzieści jeden” i dał go Nyuk Tsin za dziesięć centów.

wzięła swoją receptę do małego, obskurnego domku w Alei Szczurów, po drugiej stronie rzeki, wręczyła ją zielarzowi.

— A, czterdzieści jeden, to dobre lekarstwo. Masz dzisiaj szczęście.

Za jego plecami stały pudełka z cennymi ziołami. Odsypał łyżeczkę z pudełka oznaczonego numerem czterdzieści jeden i powiedział:

— Musisz zaparzyć to i pić z mocną herbatą. Pijąc, pomódl się. To na ciążę?

— Nie — odpowiedziała szczerze. — To dla ojca Wu Chow.

Wyraz twarzy doktora nie zmienił się, ale pomyślał szybko: „Jeszcze jeden boi się przyjść osobiście”.

— To bardzo dobre lekarstwo na swędzenie nóg — zwrócił się do Nyuk Tsin.

— Cieszę się — powiedziała Nyuk Tsin, nie zwracając uwagi na fakt, że nie wspominała, co dolega mężowi.

Kiedy miała wyjść, lekarz dodał jak gdyby nigdy nic:

— To na pewno wyleczy twojego męża. ale gdyby tak się nie stało, pamiętaj, znam wszystkie lekarstwa.

Gdy tylko Nyuk Tsin wyszła, lekarz wbiegł w sąsiednią uliczkę i zawołał:

— Sing! Sing! Idź za nią.

— Za kim? — zawołał wałkoń o imieniu Sing.

— Za tą Hakka o wielkich stopach.

Jednak Nyuk Tsin pospiesznie udała się inną trasą do domu i szpieg nie wypatrzył jej tego dnia. Zdał zielarzowi sprawozdanie ze swojej porażki. Ten tylko wzruszył ramionami.

— Ona tu wróci.

Lekarstwo numer czterdzieści jeden nie poskutkowało. Nyuk Tsin była coraz bardziej przerażona.

— Ojciec Wu Chow, musisz iść ze mną do chińskiego lekarza — błagała.

— Boję się.

— Powiedział, że zna wszystkie lekarstwa — zapewniła męża. Pozmywała wszystkie naczynia i ułożyła dzieci do snu pod opieką innej Chinki, poprowadziła powoli Mun Ki ulicą Nuuanu i przez rzekę do Aleji Szczurów. Wyglądali dziwnie. Nyuk Tsin w swojej czarnej tunice i spodniach nie szła posłusznie za swoim mężem. Zgodnie ze zwyczajem Hakka szła u jego boku. Była jego żoną i jeśli jej podejrzenia były słuszne, Mun Ki będzie w najbliższej przyszłości potrzebował jej bardziej niż kiedykolwiek. Wyczuł to i cieszył się, że jego silna żona idzie obok niego.

Kiedy dotarli do Aleji Szczurów. Nyuk Tsin, zobaczyła baraki dziewcząt i poczuła jak wzbiera w niej wdzięczność dla człowieka, który nie sprzedał jej do burdelu, lecz zatrzymał dla siebie. Przerażona myślą o tym, jak mogło wyglądać jej życie, gdyby Mun Ki jej nie kupił, przysunęła się do niego bliżej. Gdy uliczka zwężyła się, wzięła go nawet za rękę. W pierwszym odruchu chciał ją odepchnąć, ale nie zrobił tego. Czuł jej palce, delikatnie zamykające się na jego chorym palcu wskazującym. Zrozumieli się bez słów. Poprzez ten gest Nyuk Tsin mówiła: „Bez względu na diagnozę lekarza, zostanę z tobą”.

Lekarz od razu domyślił się, czego się obawiali i był pewien, że zarobi dużo pieniędzy. Uśmiechnął się do przygnębionej pary i zapylął w Punti:

— Czy lekarstwo wyleczyło swędzenie?

— Nie — odpowiedziała Nyuk Tsin. — Poza tym, Ojciec Wu Chow ma wrzód na palcu u nogi.

— Chciałbym zobaczyć ten wrzód — odpowiedział.

Odsunął zasłony. Promienie słońca padły na podłogę. Lekarz uklęknął. Wiedział czego ma się spodziewać, ale kiedy zobaczył wrzód i otaczające go zbieleiałe ciało, cofnął się w przerażeniu. Nyuk Tsin zauważyła to.

— Czy są jakieś inne wrzody? — zapytał przyciszonym głosem lekarz.

— Na jeszcze jednym palcu u nogi, na tym. Poza tym bolą go golenie — wyjaśniła Nyuk Tsin w łamanym Punti.

Lekarz z ponurym wyrazem twarzy obejrzał pozostałe rany. Otarł dłonie, jakby chciał oczyścić się z jakiejś straszliwej plagi. Nyuk Tsin zobaczyła także i ten gest.

— Czy to mai Pake, chińska choroba? — zapytała odważnie. — Tak — wyszeptał lekarz.

— O bogowie w niebiosach, nie! — jęknął Mun Ki. Przez moment drżał, niczym mały, przerażony chłopiec błagający ojca o pomoc. — Co mam zrobić?

Wrodzona chciwość przytłumiła w lekarzu wszelkie ludzkie odruchy. Zrobił bardzo poważną minę, w gruncie rzeczy wcale nie był lekarzem, tylko robotnikiem rolnym, który nie lubił ciężkiej pracy, i zapewnił Mun Ki:

— Doprawdy, nie ma się czego obawiać. Mam niezawodny środek na mai Pake.

— Naprawdę? — zawołał dziko Mun Ki. — Może pan wyleczyć te rany?

— Naturalnie! — zapewnił go z uśmiechem lekarz. — Mam kilku pacjentów i żaden z nich nie musiał zgłosić się do białych lekarzy.

Nyuk Tsin obserwowała uważnie lekarza i wiedziała, że kłamał. Dlatego też powiedziała otwarcie:

— Ojciec Wu Chow, ten człowiek kłamie. Powinniśmy natychmiast oddać się w ręce białych lekarzy.

Mun Ki usłyszał zwrot „powinniśmy oddać się w ręce”. Nyuk Tsin zamierzała dzielić z nim chorobę. To było więcej niż potrafił wytrzymać. Rozpłakał się.

— Chodź — powiedziała odważnie Nyuk Tsin. — Pójdziemy porozmawiać z doktorem Whipple.

Lekarz z Iwilei, widząc, że może stracić bogatego pacjenta zaprotestował:

— Czy taki szacowny Punti zrezygnuje z szansy ratunku, ponieważ jego głupia żona Hakka myśli, że wie o mai Pake więcej niż ja? Czy pomyślał pan, co oznacza zgłoszenie się do białych lekarzy? — Zaczął roztaczać przed nimi przerażające obrazy: — Zaaresztują pana. Mała łódka na przystani. Klatka na pokładzie. Podróż na wyspę. Pańska żona jest w ciąży. A jeśli to będzie syn? Przecież nigdy nie zobaczy pan swojego syna. Czy pomyślał pan o tym. I dlaczego, skoro ja mam pewne lekarstwo.

Naturalnie Mun Ki myślał o tych wszystkich okropnościach. Teraz, kiedy usłyszał je wypowiedziane na głos, zrobiły na nim straszliwe wrażenie. Ciężko oparł się o stół i wymamrotał:

— Czy to naprawdę mai Pake?

— To jest mai Pake — powtórzył chłodno lekarz. — Chińska choroba. Jeśli nie będzie się pan leczył moimi ziołami, za miesiąc pańska twarz zacznie puchnąć. Pańskie oczy zajdą mgłą. Pańskie nogi i ręce zaczną odpadać kawałek po kawałku. Zobacz biedaku, co dzieje się już teraz. — Pochwyił dłoń Mun Ki i przebił igłą jego wskazujący palec. Mun Ki nie poczuł bólu. — Masz mai Pake, przyjacielu — powtórzył szarlatan. — Biali lekarze nazywają tę chorobę trądem — dodał, widząc, jak pacjent trzęsie się ze strachu.

— Jesteś pewien?

— Każdy biały lekarz zorientuje się, że jesteś trędowaty i wiesz, co wówczas będzie? Klatka na statku.

— Czy naprawdę możesz mnie wyleczyć? — pytał błagalnie Mun Ki.

— Wyleczyłem wielu pacjentów z mai Pake — odrzekł zielarz.

— Nie, Ojciec Wu Chow — błagała Nyuk Tsin, w głębi duszy przekonana, iż lekarz był zwykłym oszustem.

— Zamilcz głupia kobieto! — krzyknął na nią sprytny lekarz. — Czy chcesz pozbawić męża jedynej szansy ratunku?

Nyuk Tsin nie mogła teraz nic zrobić. Stała cicho w kącie i pomyślała: „Mój biedny, naiwny mąż. Odda temu złemu człowiekowi wszystkie nasze pieniądze, a i tak w końcu będziemy musieli uciekać w góry”.

Mun Ki w milczeniu podjął decyzję. ;

— Spróbuję pańskiego lekarstwa.

— Potrwa to trochę czasu — odpowiedział sprytny lekarz — ale musisz mi zaufać, a będziesz zdrow. Ile pieniędzy przyniosłeś ze sobą?

— Mun Ki, ogarnięty paniką otworzył sakiewkę i pokazał lekarzowi nędzny zapas dziesięciocentówek, reali i szylingów.

— Starczy na pierwszą porcję ziół, a nawet na trochę więcej — oświadczył z zadowoleniem lekarz. — Widzisz, to nie będzie tak drogo kosztowało.

Gdy Nyuk Tsin zaczęła zabierać z sakiewki reale, doktor zakrył dłonią monety i zaproponował:

— Dam wam za to więcej ziół, żebyście nie musieli tak szybko wracać do Iwilei.

— Czy te zioła pomogą? — dopytywał się nerwowo Mun Ki.

— Nie masz się czego obawiać — zapewnił go lekarz. Po chwili Mun Ki i jego żona wyszli od lekarza i z torebką pełną ziół udali się do domu.

Teraz byli innymi ludźmi. Dawne obawy stały się rzeczywistością. Mun Ki był trędowaty. Prawo surowo nakazywało, by resztę życia spędził na wygnaniu, na poplejonej wyspie trędowatych. Różnił się od innych ludzi, tym że był bezpowrotnie skazany na śmierć. Cierpiał na jedną z najokropniejszych chorób znanych ludzkości. Odpadną mu palce u rąk i u nóg. Jego ciało zacznie się psuć. Będzie go można wyczuć po zapachu z dużej odległości, tak jak zwierzę. Twarz mu opuchnie, zacznie się łuszczyć i obrośnie włosami. Oczy będą mu się świeciły jak u sowy. Potem odpadnie mu nos i usta. Ropiejące rany zniekształcą policzki i wyżrą podbródek, aż pozbawiony twarzy, bezkształtny, bez rąk i stóp umrze w mękach. Był trędowaty. O tym właśnie myślał Mun Ki upalnego lipca tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku, kiedy to otumaniony i przerażony, powracał z Iwilei.

Jego żona dzielnie kroczyła obok niego, trzymając go za chorą rękę. Jej myśli nie były tak skomplikowane. Zostanę przy nim, a jeśli go złapią i odeślą na wyspę trędowatych, ja także tam pojedę, myślała. W tej myśli znalazła pocieszenie i w ciągu kilku następnych miesięcy ani razu od niej nie odstępowała. Kiedy zaprowadziła swojego otepiałego męża z powrotem do kuchni doktora Whipple'a zrobiła dokładnie to, co zalecił jej znachor. Zaparzyła cuchnące zioła i zmusiła męża, żeby je wypił. Wyssała ropę z palca, który znachor przekuł zabrudzoną igłą. Następnie położyła Mun Ki do łóżka i podała mu ugotowaną kolację.

— Mun Ki nie czuć się dobrze — wyjaśniła w przestronnej jadalni.

— Czy mam go obejrzeć? — spytał doktor Whipple.

— Nie — odparła — on wkrótce wyzdrowieć.

Lekarstwo znachora na niewiele się zdało i Nyuk Tsin nie mogła dopuścić,

aby ktokolwiek zobaczył jej chorego męża, zwłaszcza, że tego roku rozpoczęto powszechną obławę na trędowatych. Jakież sto sześćdziesiąt osób zostało odtransportowanych na wyspę, na wieczyste wygnanie i powolną śmierć. Podejrzliwi strażnicy opracowali do perfekcji sposoby, za pomocą których chwytaE w zasadzkę niczego nie spodziewających się trędowatych. — Wystarczy, że spojrzę takiemu w oczy i już rozpoznam chorobę — chwalił się jeden z nich. — Mają szkliste oczy. Tego się nie da nie zauważyć.

— Zgadzam się, ale to widać dopiero w późniejszym stadium choroby. Problem polega na tym, żeby dostrzec to wcześniej, zanim inni zostaną zarażeni — dowodził drugi. — Trzeba patrzeć czy twarz nie jest opuchnięta. Opuchlizna to pewny znak.

— Nie — sprzeciwił się pierwszy — jest tylko jeden pewny znak. Kiedy witasz się z takim człowiekiem, wbij paznokiec w jego dłoń. Jeżeli nawet nie mrugnie, jest trędowaty.

Nyuk Tsin obserwowała męża i z ulgą stwierdziła, że ani jego oczy, ani twarz nie zdradzały choroby. Jednak drżał częściej niż przedtem, a wrzody na nogach powiększały się.

Ktoś je zauważy i doniesie na policję, myślała. Aby temu zapobiec poszła do chińskiej świątyni. Ignorując Lu Tsu, który ją zdradził, uklękła przed posągami Kwan Yin, bogini miłosierdzia.

— Pomóż mi, o szlachetna Kwan Yin — modliła się. — Spraw, żeby Ojciec Wu Chow pozostał wolny. Pomóż mi go ukryć.

To były naprawdę złe lata dla Hawajów. Przed przybyciem białego człowieka nie znano owej strasznej choroby, jaką był trąd. Potem, w niezgłębiony sposób, alii zarazili się nią. Najprawdopodobniej od jakiegoś przepływającego przez Hawaje żeglarza, który został zakażony na Filipinach. Począwszy od tysiąc osiemset trzydziestego piątego roku, trąd szalał wśród szlachetnie urodzonych na wyspie, tak że potajemnie zwany był mai alii, chorobą szlachetnie urodzonych. W tym samym czasie, gdy na wyspy przybyli Chińczycy, złośliwy morderca zaatakował prostych ludzi. Od tamtej pory choroba zyskała sobie nazwę mai Pake. W stronach, z których przybyli Hakka i Punti, trąd był rzadko spotykany. Nie był typowo chińską chorobą, lecz niefortunna nazwa przyłgnęła. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku, gdy złapano Chińczyka chorego na trąd, środki jakie podejmowano przeciw niemu często bywały znacznie surowsze niż w przypadku innych. Dlatego też, odkąd zwiększono nagrody, szpiedzy działali bardzo aktywnie wśród Chińczyków.

W tamtych latach, porządni skądinąd ludzie, obserwowali twarz wroga, a kiedy zauważyli choćby liszaj czy egzemę, donosili na niego. Policja ścigała go, aresztowała i zamykała w klatce. Od takiego wyroku nie można się było odwołać. Nie było nadziei. Nie było ucieczki. Skazany miał tylko jedną szansę na odrobinę dobroci i pomocy podczas długich lat na wygnaniu. Jeśli jakaś zdrowa osoba świadomie postanawiała towarzyszyć mu do kolonii trędowatych, miała do tego prawo. Takimi ludźmi kierowała nadzieja, że przynajmniej trochę umilą nieszczęśnikowi oczekiwanie na nieuchronną śmierć. Nazywano ich kokua, pomocnikami. W większości były to Hawajki, które poświęcały życie, by pomóc innym. Czasami one także zarażały się i umierały na wygnaniu. Słowo kokua nabrało specjalnego znaczenia. Gdy na Hawajach mówiono o jakiejś kobiecie „Ona była

kokua", uznawano, że doznała specjalnego błogosławieństwa, nie znanego nigdzie indziej na świecie.

W połowie września stało się jasne, że zioła znachora nie pomagają Mun Ki. Pewnego dnia Nyuk Tsin, będąca w ciąży z piątym dzieckiem, po skończonym posiłku wieczornym odesłała dzieci i podeszła do męża. Ukłękła przed nim i oznajmiła mu, co postanowiła ponad miesiąc wcześniej.

— Ojcie Wu Chow, będę twoją kokua.

Przez kilka minut nie odzywał się. Nie patrzył nawet na klęczącą przed nim kobietę. Podniósł jedną z jej igieł i wbijał ją po kolei w każdy palec lewej dłoni. Powtórzył tę operację dwa razy.

— Nie mam w nich czucia. ,

— Czy ukryjemy się w górach? — zapytała. <

— Nikt mnie jeszcze nie wykrył — odrzekł. — Może w następnym tygodniu zioła pomogą.

— Ojcie Wu Chow — przekonywała — ten lekarz to oszust. -Zamknął jej usta dłonią i powiedział:

— Spróbujmy jeszcze raz.

— Nie mamy już prawie pieniędzy — błagała. — Musimy zostawić coś dla dzieci.

— Proszę — wyszeptał. — Mam przeczucie, że tym razem zioła zadziałają.

Zabrała ostatnie zaoszczędzone centy i reale, i w upalny wrześniowy wieczór poszła do Iwilei. Gdy wchodziła w Aleję Szczurów, zauważyła dwóch mężczyzn, którzy ją obserwowali. Biorąc, mnie za jedną z dziewcząt, pomyślała w pierwszej chwili. Szybko jednak zorientowała się, że nie patrzyli na nią w taki sposób. Poraziła ją nagła myśl: „To szpiegzy. Patrzą, kto odwiedza lekarza. Jeśli doniosą na Mun Ki, dostaną za to pieniądze”. Szybko skręciła w inną uliczkę, potem w jeszcze jedną i w końcu wślizgnęła się do domu lekarza.

Był wesoły i pełen nadziei.

— Czy twój mąż czuje się lepiej?

Coś w jego głosie, kazało Nyuk Tsin zachować tego dnia ostrożność.

— Jest panu bardzo wdzięczny, doktorze — skłamała. — Wszystkie wrzody zniknęły i częściowo przeszło swędzenie w nodze. To dla nas ogromna ulga.

Lekarz wyraźnie zdziwił się i zapytał:

— Mimo to chcesz jeszcze ziół?

— Tak — odrzekła Nyuk Tsin udając radość. — To jednak nie było mai Pake, ale rany po podrażnieniu od taro.

— Gdzie mieszka ozdrowieniec? — zapytał zwyczajnie lekarz napełniając słoik ziołami. Sposób, w jaki zadał pytanie, przekonał Nyuk Tsin, że współpracował ze szpiegami z ulicy. Podawał im nazwiska swoich pacjentów. Dzięki temu, kiedy zarażeni Chińczycy wydali ostatni grosz na jego zioła, oddając ich policji, mógł wyciągnąć od rządu kilka dodatkowych reali.

— Mieszkamy na Plantacji Malama — powiedziała cicho.

— Ładna plantacja — odpowiedział lekarz. W którym obozie?

— W drugim — odpowiedziała, ale gdy lekarz ostrożnie wręczył jej zioła i sięgnął po ostatni grosz jej rodziny, nie potrafiła się dłużej powstrzymać. Zabrała z powrotem pieniądze. Pochwyciła niebieski słoik. Roztrzaskała jego górę i wbiła potłuczone szkło w twarz lekarza. Szkło rozcięło mu skórę, a przygotowane przez niego lekarstwo dostało się do oczu, powodując nieznośny ból. Mężczyzna zaczął krzyżeć. Nyuk Tsin rzuciła mu pieniądze prosto w twarz i wyszeptała chrapliwym od nienawiści głosem:

— Myślałeś, że mnie oszukasz? Donosisz na policję. Ty świnió, ty, świnió, ty świnió!

Powodowana ślełą furią rzuciła kilkoma garnkami z ziołami o ziemię. Kopała je po podłodze bosymi stopami. Ponownie pochwyciła rozbity słoik i ruszyła w kierunku lekarza, który kulejąc uciekł na zaplecze swojego gabinetu. Pospiesznie wyszła i pobiegła boczną uliczką, ale zatrzymała się na chwilę. Zerknęła na dom lekarza i zobaczyła dwóch szpiegów idących z pomocą swemu wspólnikowi. Bocznymi drogami wróciła do domu doktora Whipple. Zanim weszła przez bramę, przespacerowała się kilka razy po ulicy, sprawdzając czy ktoś jej nie śledził. Wróciła do męża z pustymi rękami i oznajmiła:

— Lekarz był szpiegiem. Miał zamiar donieść na nas dziś wieczorem. Jego pomocnicy czekali tam.

— Co zrobiłaś? — zapytał Mun Ki.

— Mam nadzieję, że wybiłam mu oko.

Tej nocy w jej głowie powstał nowy plan. Po podaniu kolacji, opuściła posiadłość Whipple'ów. Poszła do rodzin Chińczyków, którzy razem z nią przybyli na Hawaje na pokładzie „Carthaginian”. Traktowali się oni wzajemnie jak bracia.

— Czy weźmiecie do domu jednego z synów waszego brata, Mun Ki? — pytała każdego z nich.

Prawie zawsze Chińczycy słuchali, spoglądali na Nyuk Tsin i pytali:

— Czy to mai Pake?

Żaden człowiek nie zdradziłby swojego brata, więc Nyuk Tsin bez obaw, odpowiadała uczciwie:

— Tak.

— Czy zamierzasz zostać jego kokua? — pytał mężczyzna, a usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, mówił albo: „Wezmę jedno z twoich dzieci”, albo: Ja nie mogę wziąć dziecka, ale chodźmy porozmawiać z Ching Gar Foo. Jestem pewien, że on weźmie jedno z dzieci”.

Zauważyła jednak, iż wzdrygali się, gdy podchodziła do nich bliżej.

Przed północą Nyuk Tsin znalazła w różnych rodzinach miejsce dla swoich dzieci; ustaliła, kto dostanie jakie sprzęty domowe. Doszła do porozumienia z kucharzem Hewlettów. Kiedy narodzi się jej dziecko, miała odesłać je do niego, do Honolulu. Wracając do domu, czuła ulgę. Mogła powiedzieć mężowi, że ich synowie będą mieli zapewnioną opiekę.

Weszła na teren Whipple'ów i ku swemu zdziwieniu zobaczyła światło palące się w jej domu. Zaczęła biec. Wpadła do małej drewnianej chaty. Doktor Whipple stał z lampą w ręku przy łóżku jej męża.

Amerykański lekarz i Chinka spojrzeli na siebie z szacunkiem. Nyuk Tsin zauważyła łzy, spływające po policzkach siwowłosego mężczyzny. Uniósł rękę Mun Ki i wskazał na wrzody. Spojrzała na miejsce, które wskazał doktor Whipple i musiała odwrócić wzrok.

— To trąd — odezwał się po chwili doktor. — Wiedziałaś o tym?

— Tak.

— Rozumiem — odpowiedział. Postawił lampę na podłodze i zaczął ją wypytywać.

— Czy to źli ludzie donieśli panu? — zapytała w odpowiedzi na jego pytania.

— Nie — zapewnił ją. — Uświadomiłem sobie, że nie widziałem Mun Ki od dłuższego czasu. Przypomniałem sobie jego swędzące nogi. Leżałem

w łóżku, pani Kee i nagle przez głowę przemknęła mi myśl: „Mun Ki choruje na trąd”. Dlatego przyszedłem tutaj. Niestety, miałem rację.

— Jutro rano on odejść?

— Tak — stwierdził rzeczowo doktor Whipple, ale straszliwy sens wypoju wiedzianych słów poraził go. — Pomódlmy się, pani Kee — dodał drżącyr głoŝem.

Uklęknął w małej chacie i poprosił słuŝącą, aby uczyniła to samo. Złóŝył dłonie Mun Ki w sposób, w jaki czynią to chrzeŝcjanie i zaczął się modlić:

— Współczujący i litościwy Boŝe, wejrzyj na swego uniŝonego słuŝę i wlej odwagę w serca tych ludzi. Daj jutro Mun Ki siłę, aby jego bogowie! mogliby być z niego dumni. Pomóŝ pani Kee zrozumieć i zaakceptować! rzeczy, które muszą nastąpić. — Jego głoŝ załamał się. Przez chwilę nie mógł mówić. Potem zdławionym głoŝem błagał dalej. — Litościwy Boŝej wybacz mi straszliwy obowiázek, który muszę dopełnić. Wybacz mi Panie, proszę, wybacz mi.

Skończywszy modlitwę, opadł na podłogę i wydawało się, ŝe nie znajdzie dość sił, by wstać. Jednak wstał.

— Czy wiesz, co muszę teraz zrobić? — zapytał Nyuk Tsin.

— Tak, doktorze. Jutro policja.

— Muszę — powtórzył ze smutkiem. — Ty i dzieci możecie tu zostać jak długo zechcesz — zapewnił ją.

— Ja kokua — odpowiedziała. Odwrócił od niej twarz. Moc zawarta w tym słowie poraziła go. Wiedział,

co ono oznaczało: wygnanie, okropności kolonii trędowatych, utrata synów. Nie miałbym dość odwagi, pomyślał. Potem przypomniał sobie, ŝe to Mun Ki miał zamiar porzucić Nyuk Tsin po powrocie do Chin. Chciał zabrać jej dzieć. Teraz ona dobrowolnie szła z nim jako kokua. Powoli podniósł głowę. Spojrzał na Nyuk Tsin. Była niska. Miała rzadkie włosy, skoŝne oczy i brązowe zmarszczki dookoła ust, ale była jego siostrą. Podeszedł do niej i pocałował ją w policzki mówiąc:

— Powinienem być wiedzieć, ŝe zostaniesz kokua. — Odwrócił się, by otrzeć łzy. — Dobrze, co możemy zrobić dla twoich dzieci? — zapytał jak przystało na misjonarza.

— Dziś noc ja umieŝcić jeden chłopiec tu, drugi tam. Wszystkie umieŝcić. Powiedziała mu, która rodzina weźmie pod opiekę które dziecko, a potem spytała:

— Jutro policja?

— Tak. Na litość boską, muszę to zrobić.

— Ja widzieć, doktor. Dawno temu ja mówić mąż: „Iść na policja”. Ale mieliśmy nadzieja.

— Bóg przebaczy tym, którzy mają nadzieję — powiedział starzec. Gdy tylko wyszedł, Mun Ki wstał z łóŝka z niebywałą energią.

— Uciekniemy w góry! — zaklinał się. — Policja nigdy nas nie znajdzie.

— Co będziemy jedli?

— Zabierzemy ze sobą jedzenie — wyjaśniał. Przed oczami miał wizję wolności w górach. On i Nyuk Tsin nie będą pracować dla nikogo. Moŝe nawet rany się zagoją. — Szybko! — krzyknął. — Musimy stąd zniknąć zanim przyjdzie policja.

Nyuk Tsin spoglądała na męża z niedowierzaniem. Jak mógł ludzić się, ŝe uda mu się zniknąć bez śladu w górach za Honolulu? Policja będzie na jego tropie w ciągu szeŝciu godzin, a każdy Hawajczyk widzący wspinają-

cych się pod górę Chińczyków będzie wiedział, iż mają mai Pake. To było śmieszne, szalone, równie nie praktyczne jak wiara w zioła tamtego znachora — oszusta. Miała zamiar mu to powiedzieć, lecz nagle ujrzała go w nowym świetle, jako nietrwałą mieszaninę ziemi, kości, szalonych pragnień, długiego warkocza i rąk, z których wkrótce zacznie odpadać ciało. Potrafił być w jednej chwili bardzo mądry, a w drugiej zachowywał się idiotycznie, tak jak teraz. Kochał dzieci i starców, ale często zapominał o ludziach w swoim wieku. Był sprytnym hazardzistą pełnym nadziei. Przedtem miał nadzieję, że znachor go wyleczy, teraz, że las go ukryje. Jednak ponad wszystko był jej mężem. Nie ważne, że był Punti. Wybrał ją i kochała go bardziej niż własnych synów. Jeśli opanowało go szalone pragnienie spróbowania swego szczęścia jeszcze raz, w górach, pójdzie z nim. Był uparty i czasami naiwny, lecz zasługiwał na miłość.

O drugiej w nocy, Nyuk Tsin skończyła chować przed dziećmi wszystkie rzeczy, którymi mogłyby zrobić sobie krzywdę. Potem podeszła po kolei do każdego z synów śpiących na długiej ławie. Poprawiła ich ubrania. Chciała, żeby rano, kiedy przyjdą tu obcy, prezentowały się dobrze. Posłała swoje łóżko. Dopiero wtedy wzięła za rękę męża i wyprowadziła go z posiadłości Whipple'ów. Ruszyli w stronę gór znajdujących się za Ohau. Nie odeszła nie zauważona. Doktor Whipple nie mógł zasnąć. Obserwował dom Chińczyków, spodziewając się próby ucieczki. Kiedy jednak ujrzał szczupłą kobietę, prowadzącą za rękę skazanego na śmierć męża, nie zatrzymał ich ani nie wszczął alarmu. Gdy Nyuk Tsin, odwróciła się i zamykała bramę, żeby psy nie uciekły, on modlił się: „Boże mniej litość nad tymi, którzy mają nadzieję”.

W pierwszej chwili miał zamiar natychmiast zabrać dzieci do domu, ale pomyślał: „To mogłoby kogoś obudzić. Poza tym jestem pewien, że Nyuk Tsin upewniła się, aby były bezpieczne”. Siedział więc w oknie, pilnując domu, w którym spały dzieci.

Po jakimś czasie, jego sumienie, nie stępione przez czterdzieści osiem lat spędzonych w tropikach, kazało mu zachować się rozsądnie. Dzieci nie mogą zostać w zarażonym domu ani chwili dłużej, pomyślał. Jeśli zabiorę je teraz, może uratuję je od tej straszliwej choroby. Jeśli poczekam jeszcze godzinę, może być za późno. Tak więc zabrał ze sobą żonę i obydwójce w ciemnościach udali się do domu Chińczyków. Delikatnie, żeby ich nie przestraszyć, obudzili dzieci. Rozebrali je. Nie chcieli niczego zabierać z zarażonego domu. Zanieśli chłopców do siebie.

Doktor Whipple spojrział na zegarek i pomyślał: „Nyuk Tsin i jej mąż mają dwie godziny przewagi. Chyba mogę już wezwać policję”. Posłał jednego ze sług na komisariat. Kiedy policja zjawiała się, zameldował:

— Mun Ki ma trąd. Trzeba spalić dom oraz wszystko, co się w nim znajduje. — Własnymi zapalkami podpalił dom Chińczyków i szałas kuchenny. Następnie wskazał na dolinę Nuuanu i dodał:

— Sądzę, że poszli w stronę tamtych wzgórz.

Przez cały ranek spodziewał się, że za chwilę ujrzy policję prowadzącą dwoje Chińczyków, ale pościg przedłużał się. Minęło południe i nadszedł wieczór, a służący Whipple'ów wciąż byli na wolności. Doktor dziwił się. Rankiem następnego dnia udał się na policję, aby dowiedzieć się, co się wydarzyło.

— Nie ma po nich ani śladu — wyjaśnił oficer.

— Jestem pewien, że poszli do Nuuanu — zapewnił go doktor.

— Nawet jeśli tak się stało, zniknęli tam bez śladu — odrzekł policjant. Doktorowi przemknęła przez głowę straszliwa myśl.

— Czy sprawdzaliście u stóp Pali?

— My także pomyśleliśmy, że mogli zdecydować się na samobójstwo — odpowiedział policjant. — Dokładnie sprawdziliśmy skały Pali. Nie skoczyli.

Mijał dzień za dniem. Nikt nie potrafił rozwiązać zagadki tajemniczego zniknięcia Chińczyków. Nyuk Tsin i jej żyjącemu marzeniami mężowi udało się dokonać cudu, na który liczył Mun Ki. Uciekli w góry i zniknęli. Na szczęście dla chińskiego zielarza-szarlatana i jego dwóch szpiegów, donieśli oni na Nyuk Tsin zanim zrobił to doktor Whipple.

— Z całą pewnością ukrywa męża, który jest mai Pake.

Dostali więc nagrodę i zielarz często powtarzał swoim znajomym:

— Gdybym poczekał do następnego ranka, trędowaci zniknęliby, a ja nie dostałbym pieniędzy. Dowodzi to, iż zawsze trzeba spełniać swoje obowiązki bez ociągania się. Nie wolno pozwolić, by jakiś próżniak wylegiwał się w łóżku do rana.

Pod koniec tygodnia policja przyszła do doktora Whipple i oświadczyła:

— Przeszukaliśmy każdy szalas stąd aż po brzeg morza. Nie znaleźliśmy Chińczyków. Zastanawialiśmy się czy pańscy służący nie zawrócili i nie schronili się gdzieś tutaj. Mówił pan o przygotowaniach, jakie poczyniła ta kobieta, aby zaopiekowano się jej dziećmi. Które rodziny wybrała?

Szczegółowe rewizje w domach wymienionych przez doktora Whipple ludzi nie dały żadnego rezultatu. Policjanci oświadczyli:

— Mamy tu do czynienia z prawdziwą zagadką. Nyuk Tsin i jej mąż w jakiś tajemniczy sposób stali się niewidzialni.

Tak zakończyły się aktywne poszukiwania trędowatego.

Owej nocy, kiedy Nyuk Tsin wyprowadziła męża z posiadłości Whipple'ów, odwróciła się i zamknęła bramę, żeby psy nie uciekły. Ruszyli szybkim krokiem w stronę gór. Nyuk Tsin szła przodem, a Mun Ki podążał kilka kroków za nią i widział jej duże, nie obwiązane stopy. W noc taką jak ta, kobieta może mieć duże stopy, pomyślał. Ten stary punkt sporny pomiędzy Punti i Hakka przypomniawszy mu, że już nigdy nie zobaczy swojej wioski. Zasmucił się i stracił cały optymizm.

— Wkrótce zacznie świtać — odezwał się. — Znajdą nas.

Jego żona, zrazu przeciwna tej nedorzeczej próbie ucieczki, teraz poganiała męża, mówiąc:

— Jeśli uda nam się dotrzeć przed świtem chociaż do tych niższych wzgórz, będziemy bezpieczni. — Zaczęła wymyślać fortele, z których jeden zastosowała nad ranem. — Schowamy się w tamtych zaroślach przy drodze, gdzie nikt nie będzie nas szukał.

— Mamy tam siedzieć cały dzień? — zapytał jej niezbyt rozsądny mąż.

— Tak. Przepływa tam mały strumyk, a ja zabrałam kulki zimnego ryżu. Podeszli do zarośli okrężną drogą, żeby nie zostawiać wyraźnych śladów.

Gdy o wschodzie słońca na drodze pojawili się podróżni, żaden z nich nie zauważył trędowatego i jego kokua. Nie zauważyli ich również przejeżdżający obok policjanci. Nie widzieli ich idące do szkoły dzieci. Przez cały dzień dzielna Nyuk Tsin trzymała męża w ukryciu. Dość długi czas spali. Potem Nyuk Tsin obudziła się. Przeraziła się widząc jak przez sen ciałem Mun Ki wstrząsają dreszcze. Trądowi towarzyszyła zimnica. Nigdy już nie będzie mu ciepło. Zawsze będzie drżał na całym ciele.

Tej nocy Nyuk Tsin obudzik męża, policzyła kulki ryżu i ruszył z nim w stronę gór. Nie wiedziak dokąd idzie. Kierowak się tylko jednym: im dłużej uda im się uniknąć policji, tym dłużej będą wolni. Każdy mógł zrozumieć tak prostą doktrynę. Czuli coraz większy głód i chłód. Słabli, ale ona ciągnęła ich obydwój do przodu. W ten sposób, przez trzy dni unikali pościgu, lecz byli bliscy śmierci z głodu i wycieńczeni.

— Nie mam już sił — zaprotestował chory.

— Oprzyj się na moim ramieniu — odrzekła Nyuk Tsin.

Tej nocy, Mun Ki, szedł opierając się na ramieniu żony i udało im się posunąć do przodu, w stronę nieznanego celu. Jednak stało się jasne, że następnej nocy Mun Ki już nie da rady iść. Rano, jego żona ułożyła go w małym, ukrytym przed ludzkimi oczami wąwozie. Obmyła jego twarz i wyruszyła w poszukiwaniu jedzenia.

W ciągu dnia padało. Nyuk Tsin szła przez błotniste góry zbierając korzenie i na próżno usiłując pochwycić jakiegoś ptaka. W tym samym czasie jej chory mąż leżał na zimnej, mokrej ziemi. Wkrótce był cały mokry. Było mu jeszcze zimniej niż przedtem. Spędzili ponurą, głodną noc, nie mając do jedzenia nic, oprócz kilku korzeni. Nie został nawet cień nadziei. Mun Ki postanowił o świcie wyjść na drogę i czekać, aż znajdzie go policja.

Nyuk Tsin miała jednak inny plan. Na godzinę przed wschodem słońca oznajmiła swemu drżącemu mężowi:

— Wu Chow, zostań tutaj, a ja obiecuję, że znajdę jedzenie i pomoc. Wygkdziła wokół niego wilgotną ziemię i z rozpaczą spostrzegła, że znów

będzie padać. Mimo to poprosiła, aby był dobrej myśli, gdyż niedługo wróci. Czołgając się ostrożnie wśród drzew rosnących wzdłuż drogi, szukała wąskich ścieżek odchodzących od niej w stronę wzgórz. Wkrótce natrafiła na jedną z nich. Była dobrze wydeptana. Nyuk Tsin poszła nią przez kilkaset metrów, aż natrafiła na polanę, na której stał szalasz z traw. Przed szalaszem spokojnie siedziała ważąca mniej więcej sto pięćdziesiąt kilogramów Hawajka. Nyuk Tsin ostrożnie, lecz nie okazując strachu, podeszła powitać grubą kobietę. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta, by wytłumaczyć swe niespodziewane pojawienie się na poknie, Hawajka zapytała:

— Czy to ty jesteś tą trędowatą Chiną?

— Mój mąż, który ukrywa się w wąwozie ma trąd — odpowiedział po hawajsku Nyuk Tsin. Ogromna kobieta zaczęła kołysać się do przodu i do tyłu na krześle, i zawodzić:

— Auwe, auwe! Mai Pake jest straszna. — Następnie spojrzała na Chinę i powiedziała:

— Od trzech dni codziennie przychodzi tu policja i pyta o was.

— Czy mogłybyście dać nam trochę jedzenia? — poprosiła Nyuk Tsin.

— Naturalnie! — zawołała kobieta. — Nie mamy wiele. Kimo! — zawołała nagle i z niskiego szalasu wyłonił się gruby, ospały Hawajczyk. Nie miał na sobie koszuli, a rozpadające się marynarskie spodnie podtrzymywał w pasie kawałek sznurka. Nie był ogolony ani umyty. Najwyraźniej spał w swoich spodniach od kilku miesięcy. Miał jednak dużą, miłą i roześmianą twarz.

— Co się stało, Apikela? — zapytał używając jej zaczerpniętego z Biblii imienia — Abigail.

— Mai Pake ukrył się w wąwozie — wyjaśniła Apikela. — Nie jadł od czterech dni.

— W takim razie lepiej dajmy mu trochę jedzenia! — odpowiedział Kimo, biblijny Jakub. Szybko wszedł z powrotem do szałas. Wkrótce pojawił się ponownie, niosąc liść agawy pełen poi, kilka pieczonych owoców drzewa chlebowego i kilka kawałków kokosa.

— Nie mamy ryżu — zażartował.

— Zabiorę to dla chorego — odpowiedziała Nyuk Tsin.

— Pójdę z tobą — zaproponował Kimo.

— To niekonieczne — zaprotestowała Nyuk Tsin. Nie chciała, by ci dobrzy ludzie mieli przez nią kłopoty z policją.

— Jak masz zamiar sama go tu przynieść? — zapytał Kimo. Nyuk Tsin nie mogła uwierzyć własnym uszom. Nie patrząc na Kimo zapytała miękko:

— Czy będą zatem mogła ukryć go tu... na kilka dni?

— Oczywiście — zaśmiała się Apikela, kołysząc się do przodu i do tyłu. — Cholerna policja!

— To straszne, łapać chorych ludzi i zsyłać ich na samotną wyspę — zgodził się Kimo. — Jeśli człowiek ma umrzeć, niech umiera wśród przyjaciół. Umrze szybko i nikt z tego powodu nie zbiednieje. — Pokaż mi, gdzie leży ten biedak — powiedział zawijając jedzenie.

— Nie, Kimo — zaprotestowała Apikela wstając. — Ja pójdę. Jeśli na drodze jest policja, lepiej żeby to mnie przesłuchiwali. Mogę powiedzieć, że idę do pracy. Jeśli natomiast przyjdą tutaj, nie będą niczego podejrzewać widząc cię jak zawsze śpiącego w domu.

Kimo przez chwilę rozważał jej słowa. Zgodził się ze swoją sprytną żoną. Sprawy będą wyglądały lepiej, jeśli nie odstąpią od codziennej rutyny. Tak więc udał się z powrotem do łóżka. Gruba Apikela wolno szła ścieżką. Nyuk Tsin skradała się równoległe do niej, ukryta w tropikalnym lesie. Kobiety przeszły krótki odcinek, gdy nagle Apikela zatrzymała się. Dała znak Chince i powiedziała:

— Lepiej by wyglądało, gdybym miała na szyi dwa łańcuchy maile. Idź do Kimo i poproś go o nie.

Zawiesiwszy na szyi łańcuchy z pachnącego pnącza, ruszyła dalej. Jej plan okazał się wyśmienity. Kiedy dotarły do drogi, nadjechała konno policja.

— Czy widziałaś mai Pake? — zapytali Apikelę.

— Nie — odrzekła obojętnie.

— Co robisz tak wcześnie poza domem, Apikelo?

— Zbieram pnącza maile, jak co dzień. Zobaczyli łańcuchy maile i uwierzyli jej.

— Gdybyś zobaczyła na swojej polanie Chińczyków, wyjdź na drogę i zawiadom nas.

— Dobrze — zgodziła się potężna kobieta i powoli ruszyła dalej. Teraz Nyuk Tsin poszła przodem. Całe szczęście, że przyspieszyła. Kiedy

doszła do wąwozu, Mun Ki już tam nie było. Zniknął. Przeżyła chwilę trwogi, lecz szybko znalazła jego ślady. Szedł w stronę drogi. Chciał oddać się w ręce policji. Szybko ruszyła za nim. Zobaczyła go, gdy miał już wdrapać się pod górę, wyjść na drogę i wołać na przechodniów. Skoczyła do przodu, pochwyciła go za nogi i ściągnęła z powrotem do lasu.

— Przyniosłam jedzenie — sapnęła zdyszana.

— Gdzie jest to jedzenie — zapytał, pewien, że puste ręce żony oznaczają jedno — podstęp.

— Tam! — odrzekła Nyuk Tsin wskazując na majaczącą za drzewami po-

stać ogromnej kobiety w brązowej, przypominającej namiot sukience uszytej z przywiezionego z Bostonu materiału. Miała na szyi łańcuchy maile, a jej dużą brązową twarz rozświetlał beztrioski uśmiech.

— Kim ona jest? — spytał szeptem Mun Ki.

— To Apikela — odpowiedział żona i wysunęła się z zarośli, dając hawajskiej zbieraczce maile znak, aby weszła do lasu. Potężnie zbudowana kobieta, zobaczywszy straszliwy stan trędowatego, zapłakała. Podała Nyuk Tsin tobolek z jedzeniem. Przytuliła do ogromnych piersi drobnego Chińczyka i wyszeptwała:

— Zaopiekujemy się tobą.

Przez prawie miesiąc Apikela i jej gnuśny mąż, Kimo, przechowywali Chińczyków w swoim domu, dzieląc się z nimi marnymi zapasami pożywienia, jakie posiadali. Było ich teraz czworo i Apikela musiała codziennie chodzić do lasu zbierać maile. Jej mąż zręcznie przygotowywał pnącza do sprzedaży. Rozszczepiał gałąź i wycinał soczysty miąższ. Pozostawiał jedynie giętke części, które można było splatać w wieńce i łańcuchy. Od czasu do czasu zawoził maile do Honolulu i sprzedawał handlarzom kwiatów. Za zarobione pieniądze szedł na bilard, kupował trochę owoców drzewa chlebowego, trochę wieprzowiny i ryżu. Ponieważ Hawajczycy rzadko jadali ryż, jego zakupy wywoływały czasami komentarze. Kimo zbywał je mówiąc:

— Przerzucam się na ryż, żeby być tak mądrym jak Chińczycy. Pewnego dnia, gdy Kimo powrócił do domu z ryżem, Nyuk Tsin zagryzła wargi i zapytała go:

— Kimo, dlaczego robicie to dla nas?

— Kiedy byliśmy dziećmi — wtrąciła się Apikela — chodziliśmy do kościoła. Często mówiono nam, że Jezus kochał trędowatych i że dobrego człowieka można poznać po sposobie, w jaki traktuje chorych. Żaden trędowaty nie odszedł od Jezusa nie otrzymawszy pomocy. Żaden nie zostanie odegnany od domu Kimo i Apikeli.

— Jak długo jeszcze możemy się tu ukrywać? — zapytała Nyuk Tsin.

— Dopóki twój mężczyzna nie umrze — odpowiedziała rezolutnie Apikela. Żyli tak jeszcze przez tydzień. Potem jakiś szpieg w sklepie w Honolulu

skojarzył fakty i pomyślał: „Kimo nigdy przedtem nie sprzedawał takich ilości maile. Nigdy przedtem nie kupował też ryżu. To Kimo ukrywa trędowatych Chińczyków!” Następnie człowiek ów udał się na policję i powiedział:

— Jestem pewien, że Kimo i Apikela, mieszkający na polanie po drodze do Pali, ukrywają mai Pake.

Tak więc dzięki umiejętności logicznego myślenia szpieg otrzymał sowitą nagrodę. Policja jeszcze tego samego popołudnia podczołgała się do polany. Gdy wyskoczyli z ukrycia i natarli, Nyuk Tsin pochwyciła kij i próbowała ich odegnąć. Apikela mocowała się z riimi, a Kimo krzyczał:

— Kim był złoczyńca, który nas zdradził?

Natomiast słaby, trzęsący się Mun Ki wyszedł z nędznego szałas z trawy i poddał się. Policjanci tak bardzo ucieszyli się ze złapania zbiegów, że chcieli od razu zabrać ich do Honolulu.

— Pozwólcie nam przynajmniej podziękować tym dobrym ludziom — poprosiła po hawajsku Nyuk Tsin, ale nie zgodzili się na to. Odciągnięto pojmanych ścieżką w stronę drogi. Nyuk Tsin spojrziała za siebie. Zobaczyła dwójkę potężnych Hawajczyków, płaczących za pojmanymi przyjaciółmi.

Kiedy doktor Whipple usłyszał o pojmaniu jego chińskich służących, szybko udał się do miejsca, gdzie w odosobnieniu trzymano schwytanych trędowatych, zanim odsyłano ich na wyspę trędowatych. Odszukał Nyuk Tsin i jej męża.

— Szkoda, że nie udało wam się uciec — powiedział do nich po hawajsku. — Przykro mi widzieć was tutaj.

— Czy zabrał pan dzieci do nowych domów? — zapytała Nyuk Tsin.

— Czy nadal chcesz zostać kokua? — odpowiedział Whipple.

— Tak.

— Jeśli chcesz, możesz opuścić to miejsce do chwili, gdy statek zawinie do portu.

Zawiózł ją do domu i pokazał czworo tłustych, roześmianych dzieci w amerykańskich ubraniach. Zaczęła się śmiać i powiedziała:

— Nie wyglądają wcale na Chińczyków.

Przygarnęła je i powiedziała, że teraz zaprowadzi je do nowych domów, lecz doktor Whipple zabrał ich wszystkich do powozu. Razem wyruszyli spełnić tę smutną misję. Gdy zatrzymali się przed pierwszym domem, domem Punti, przekazała syna i poprosiła:

— Wychowajcie go na dobrego człowieka.

— To będzie trudne, ale spróbujemy — odpowiedział Punti.

— Nauczcie go mówić wszystkimi językami używanymi na wyspach — powiedziała przy drugim domu, domu Hakka i Hakka niechętnie wziął dziecko.

Przy trzecim domu, kolejnym domu Punti, błagała:

— Wychowajcie go w szacunku dla ojca.

W ostatnim domu, należącym do Hakka, ponownie prosiła:

— Nauczcie go mówić wszystkimi językami.

Następnie doktor zawiózł ją do domu Hewlettów. Odszukała tam kucharza i jego żonę. Rozmawiała z nimi o nienarodzonym jeszcze dziecku.

— Chowajcie to dziecko jako swoje własne. Nadajcie mu swoje nazwisko. Uczcie je, aby szanowało was jak prawdziwych rodziców.

— Kiedy dziecko zostanie tu dostarczone? — zapytali.

— Przybędzie pierwszym statkiem z kolonii trędowatych — odparła Nyuk Tsi, a przyszli rodzice zadrżeli z przerażenia.

W drodze powrotnej do miejsca odosobnienia dla trędowatych, doktor Whipple podjechał do doliny Nuuanu, do ziemi, którą podarował Nyuk Tsin. Położył kamienie na rogach siedmioakrowego pola i zapewnił Nyuk Tsin:

— Pani Kee, zarejestrowałem ten kawałek ziemi w sądzie i zapłaciłem za nią podatek. Kiedy pani mąż umrze, a to stanie się zapewne niedługo, będzie pani mogła tu wrócić, założyć warzywnik i zabrać dzieci z powrotem.

Nyuk Tsin popatrzyła z powozu na podmokłe pole. Wydało jej się ono niezwykle piękne.

— Zawsze będę pamiętała ten kawałek ziemi — powiedziała po hawajsku. Kiedy jednak doktor Whipple zawrócił konie, zobaczył dwoje potężnie

zbudowanych Hawajczyków idących w ich stronę. Zobaczywszy w powozie Nyuk Tsin, zaczęli krzyknąć:

— Pake! Pake! Przyszliśmy po dzieci!

Biegli tak szybko, jak pozwalała im na to tusza i ujęli za ręce swą przyjaciółkę.

— Pozwolisz chyba, byśmy wychowywali dla ciebie dzieci — błagali. Nyuk Tsin rozważała przez chwilę tę dziwną prośbę. Żałowała, że nie

było przy niej teraz Mun Ki. Miała jednak pewność, iż zgodziłby się z jej wnio-

skarni: „Rodziny Punti i Hakka mogą znudzić się wychowywaniem dzieci, chociaż razem płynęliśmy na „Carthaginian”. Apikela i Kimo będą kochać je zawsze”. Tak więc Nyuk Tsin przemówiła w imieniu całej rodziny:

— Oddamy wam dzieci.

Poprosiła doktora Whipple, by zabrał ją z powrotem, do domów, w których zostawili dzieci i wytłumaczyła Chińczykom:

— Tak będzie lepiej. Apikela i Kimo zajmą się wszystkimi dziećmi. Mam jednak nadzieję, że ze względu na mego męża dacie im od czasu do czasu trochę pieniędzy.

— Pieniądzy? Na utrzymanie dzieci? — gruba Apikela była zaskoczona. Nyuk Tsin pomyślała o tym, jakie to wszystko dziwne. Chińczycy, którzy mieli dobre prace niechętnie przyjmowały do siebie jedno dziecko. Natomiast Ha-wajczycy, chociaż ubodzy, niezmiennie znajdowali miejsce dla jednego, trojga, a nawet pięciorga dzieci. Po raz ostatni widziała swoich chłopców, gdy odchodzili w stronę Pali. Jednego z nich niosła Apikela, drugiego Kimo. Dwaj pozostali szli beztrąsco z tyłu.

Zespół lekarzy zebrał się, aby zaświadczyć, że Mun Ki naprawdę jest trędowaty i powinien zostać skazany, na dożywotnie wygnanie, bez prawa do odwołania się. Napisali w raporcie: „Daleko posunięty przypadek trądu. Wrzody zewnętrzne i wewnętrzne. Odosobnienie na Kalawao konieczne.” Dokument podpisano. Trzech lekarzy wyszło, a doktor Whipple zwrócił się do skazańca:

— Mun Ki, dokądkolwiek udaje się człowiek, stoi przed nim wyzwanie. Staraj się być jak najlepszym człowiekiem, a twoi bogowie spojrzą na ciebie łaskawie. I niech mój Bóg w niebiosach chroni cię. Zegnaj. — Skłonił się ze smutkiem właściwym ludziom będącym świadkami drastycznych zmian w życiu i poszedł do domu.

Dwa dni później, czterdzieścioro skazanych na wygnanie trędowatych zebrano i poprowadzono przez Honolulu w stronę nabrzeża. Tam czekał na nich statek, „Kilauela”. Gdy szli ulicami, mieszkańcy cofali się w przerażeniu. Niektórzy spośród chorych kuśtykali na nogach pozbawionych palców. Twarze innych, tępo wpatrzone przed siebie, nie miały policzków. Ich nosy i usta odpadły. Skazańcy w ciszy podeszli do „Kilaueli”, małego statku o wyporności czterystu ton i brudnym, okopconym pokładzie. Najpierw załadowano bydło, które miało popłynąć do kolonii trędowatych. Statek kołysał się lekko pod jego ciężarem. Gdy pojawili się trędowaci, opuszczono trap i zemdlony widokiem trędowatych policjant, zapędził ich na pokład. Kiedy jednak nadeszła chwila rozstania z rodzinami, na nabrzeżu rozległy się straszliwe lamenty.

— Auwe! Auwe! — zawodziły kobiety, którym zabierano mężów.

— Żegnaj synu! — krzyczał stary mężczyzna. Jego twarz była skąpana we łzach.

— Spotkamy się w niebie, u chłodnych wód! — płakała siostra, której brata wpychano na „Kilauelę”, statek do piekieł.

— Auwe, auwe! — płakali patrząc jak chorzy z trudem, przerażeni i drżący wspinali się po trapie.

W pewnym sensie, lamenty i płacze pozostających na brzegu wynikały z tradycji. Były sformalizowane. Ale o dźwiękach dochodzących z pokładu „Kilaueli” nie można było tego powiedzieć. Bezradni trędowaci stali przy burtach i wykrzykiwali żalosne pożegnania. Skazane na wygnanie kobiety machały na pożegnanie rękami pozbawionymi palców. Twarze krzyczą-

cych mężczyzn były zniekształcone i pełne ran. U niektórych choroba posunęła się tak dalece, że nie mogli stać o własnych siłach. Ich jęki łączyły się i wtapiały w ogólne zawodzenie.

Od czasu do czasu, pomiędzy owymi czterdziestoma osobami zdarzał się ktoś, kto budził ogólną litość i instynktowny wybuch rozpacz. Pierwszym takim nieszczęsnym przypadkiem był mak, może dziesięcioletni, pełna energii dziewczynka. Nikt z rodziny nie żegnał jej, kiedy opuszczak nabrzeże. Na jej twarzy widać było pierwsze rany, pewny znak tego, że wkrótce choroba opanuje całe jej ciało. Jednak oszołomiona, postawiła nogę na pokładzie kołyszącego się delikatnie „Kilauela”, nie rozumiejąc jak straszliwy był to krok. Starsza kobieta, także skazana na wygnanie, powodowana litością schyliła się, by pocieszyć dziewczynkę. Dziecko zobaczyło zbliżającą się do niej, pozbawioną policzków twarz i krzyknęło z przerażenia. Nie zdawało sobie sprawy, że wkrótce będzie wyglądało podobnie.

Następny był mężczyzna znany w całej okolicy ze swych umiejętności pływackich. Wysoki i przystojny, o rozbudowanej klatce piersiowej i mocnych ramionach. Wielu przyszło zobaczyć jak odpływa na wyspę, z której żaden trędowaty nie powrócił. Zatrzymał się przy trapie. Odwrócił się i pomachał przyjaciółom na pożegnanie okaleczoną dłonią. Jego stan poruszył wszystkich. Ludzie zaczęli krzyczeć: „Auwe! Auwe!”. Ten powszechny wyraz smutku wzruszył go. Ukrył twarz. Płacze i lamenty jeszcze się wzmożyły.

Trzeci przypadek był całkowicie różny od dwóch poprzednich; tak straszliwy, iż nikt ośmielił się lamentować i zawodzić. Była to piękna, młoda mężatka z kwatkami wpiętymi we włosy. Na jej ciele nie dało się zauważyć żadnych oznak choroby. Jej stopy i palce były czyste. Nie miała wrzodów na twarzy, lecz jej oczy były zaszkłone. Dobrze zorientowany tłum wiedział, że choroba zbiera się w środku jej ciała, gotowa w każdej chwili wybuchnąć ze straszliwą siłą przemieniając je w jedną wielką ranę. Czekająca ją straszliwa śmierć — całkowity rozpad. Ci, którzy patrzyli jak powoli, z gracją szła po trapie, zachowali swój smutek dla siebie.

Dziewczyźnie nie dane było odjechać w spokoju. Jej mąż wybiegł z tłumu gapiów i próbował dostać się na trap, krzycząc:

— Kinau, Kinau, będę twoim kokuą.

Strażnicy powstrzymali go, a żona, nosząca imię jednej z najlepszych królowych Hawajów, spojrzała na niego i z widocznym współczuciem zawołała:

— Nie możesz do mnie dołączyć, Keakikahiki.

Z godnością weszła na „Kikuelę” i rozkazała strażnikom zabrać z nabrzeża jej męża. Tępym wzrokiem patrzyła, jak go zabierają. Jeśli słyszała jego pełne rozpacz krzyki, nie dała tego po sobie poznać. Zniknął z pola widzenia wciąż krzycząc:

— Kinau, Kinau! Będę twoim kokuą.

Załadowawszy skazanych na banicję Hawajczyków, policja przyprowadziła Chińczyka — Mun Ki. Ponieważ choroba, na którą cierpiał zwano mai Pake, ludzie uznali, iż to właśnie on winien był dzisiejszej tragedii. Złorzeczyli mu. Samotny, patrząc przed siebie, szedł przez wrogi tłum. W końcu dotarł do trapu. Wówczas pojawiło się dwoje Hawajczyków, którzy przyszli go pożegnać. Byli to Kimo i jego żona, Apikek. Nie okazując strachu, objęli trędowatego i pocałowali w policzki. Chudy, drżący na całym ciele Chińczyk z ulgą wszedł na pokład. Miał nadzieję, że doktor Whipple przyjdzie go pożegnać, ale doktor nie miał już siły patrzeć na pożegnanki ludzi, których pomógł skazać. W grupie odpływającej tego dnia było ponad dwadzieścia osób badanych

przez niego na komisji lekarskiej. W dni, kiedy w morze wypływała „Kilauela” zostawał w domu i modlił się.

Gdy Mun Ki bezpiecznie znalazł się na pokładzie, kapitan zawołał:

— Otworzyć klatkę!

Dwóch marynarzy podeszło do wiklinowej klatki zbudowanej na pokładzie i otworzyło ją. Inni marynarzy, uważając, by przypadkiem nie dotknąć któregoś z trędowatych, warknęli:

— Dobra, wchodzić do środka.

Klatka nie była duża, a wejście do niej niskie. Jeden po drugim, ludzie zatrzymywali się, wczolgiwali do środka i szukali dla siebie miejsca. W końcu zamknięto za nimi wiklinowe drzwi do klatki, a kapitan zapewnił ich:

— Przez cały czas będzie czuwał przy was strażnik. Gdybyśmy zaczęli tonać, otworzy klatkę.

Podczas gdy lokowano na pokładzie trędowatych, dwaj marynarze z kubłami wody mydlanej myli poręcze trapu. Po tym, na statek mogli wejść zdrowi pasażerowie. Szybko zeszli pod pokład, uciekając przed smrodem wydzielanym przez czterdziestu trędowatych. Wówczas kapitan zawołał:

— Dobrze, kokua na pokład!

Z zawodzącego tłumu wyszło około dwanaścioro kobiet i mężczyzn. Szli trochę oszołomieni i po kolei chwyтали się świeżo wymytych poręczy trapu. Byli to kokua. Ludzie, którzy na Hawajach, pod koniec dziewiętnastego wieku dawali dowód na to, jak głębokie znaczenie ma słowo „miłość”. Kiedy kokua wchodził na pokład „Kilauela”, komisarz policji pytał wyraźnie:

— Czy wiesz co robisz zgłaszając się na wyjazd do kolonii trędowatych? Jeden z mężczyzn odpowiedział:

— Wolę jechać tam z moją żoną, niż pozostać bez niej na wolności. Patrząc na nich, nikt nie spodziewałby się, że byli zdolni do tak głębokiej

miłości. To prawda, były wśród nich stare kobiety. Przeżyły już swoje życie i można było zrozumieć, że chcą jechać ze swymi trędowatymi mężami, z którymi spędziły tyle lat. Byli starsi mężczyźni żonaci z młodymi dziewczętami, ofiarami choroby. To również można było zrozumieć. Jednak wśród kokua znajdowali się różni ludzie. Szli na pokład, by uściskać kobiety i mężczyzn nie wyróżniających się wyjątkową urodą. Ludzie na nabrzeżu pytali sami siebie: „Dlaczego zdrowy mężczyzna poświęca swoje życie dla takiej kobiety?”. Na to pytanie można było znaleźć tylko jedną odpowiedź — miłość.

Nikt nie został kokua dziesięcioletniej dziewczynki. Nikt nie poszedł na wygnanie za piękną Kinau. Natomiast, kiedy policjanci przepuścili Chinkę, Nyuk Tsin, wszyscy byli zdumieni. Po raz drugi dwoje ogromnych Hawajczy-ków, Kimo i Apikela, wystąpiło z tłumu. Apikela zawiesiła na ramionach swej drobnej, żółtoskórej przyjaciółki sznur maile i powiedziała:

— Będziemy kochali twoje dzieci.

Wciągnięto trap. Bydło wpędzone na pokład zaczęło żałośnie ryczeć. Tłum na nabrzeżu zaczął krzyczeć:

— Auwe! Auwe!

„Kilauela”, ze swoim strasliwym ładunkiem, wypłynęła w morze. Kiedy doktor Whipple, w swoim gabinecie na wyspie, usłyszał pożegnalną syrenę okrętową „Kilaueli”, zaczął się modlić:

— Niech Bóg zlituje się nad nimi.

Spośród wszystkich, którzy słyszeli dźwięk syreny okrętowej, tylko on wiedział, co czekało Nyuk Tsin i Mun Ki. Widział kolonię trędowatych.

Wyspa Molokai, na którą wieziono trędowatych, byk pod wieloma względami jedną z najpiękniejszych wysp hawajskich. Leżała na błękitnych wodach Pacyfiku niczym ogromna rękawica. Jej rozłożone palce skierowane były na wschód, w stronę Maui. Południową część wyspy stanowiły łąki pokryte w większości wyschniętą trawą. Opady na Molokai należały do rzadkości. Na północy znajdowały się najwspanialsze klify na wyspach. Całymi kilometrami wznosiły się nad wzburzonym morzem, czasem na kilkaset metrów. Po ich kamiennych ścianach spływały setki wodospadów. Pośród skał znajdowały się doliny wbijające się nawet na kilometr w głąb łądu. Wąskie i niedostępne, kończyły się w miejscu, gdzie zaczynały się formacje granitu. Po skałach biegały białe kozy. Tak więc z łodzi nadpływającej od północy widać było wspamale klify, mieniające się w słońcu wody wodospadów i figlujące na skałach białe kozy. W spokojne dni, marynarze, nie mając nic do roboty, strzelali w stronę klifów. Patrzyli, jak dzikie kozy z łatwością skakały po skałach, na które żaden człowiek nie ośmieliłby się wspiąć. Tak więc, niezamieszkałe północne wybrzeże Molokai było całkowicie odcięte od łagodnych, pokrytych łąkami równin na południu, gdzie mieszkało około dwóch tysięcy zdrowych mieszkańców wyspy.

Od wspaniałego, choć odosobnionego, północnego wybrzeża, odchodził kciuk wielkiej rękawicy. Mały, zielony półwysp został uformowany miliony po tym, jak powstała wyspa. Gdy wulkany, odpowiedzialne za wypiętrzenie się Molokai, wygasły, na oceanie nastąpiła opóźniona erupcja. Nie spowodował jej wybuch wielkiego wulkanu i stygnąca lava nie uformowała nowej wyspy. Wulkan zadowolony z wyniesieniem na powierzchnię morza i dodaniem do głównej wyspy kształtnego półwyspu. Z jego trawiastych brzegów można było spoglądać na wschód i na zachód, w stronę wznoszących się ku niebu klifów. Było to majestatyczne miejsce. Poezja stworzona przez przyrodę. Od początków historii Hawajów, mieszkali tu szczęśliwi rybacy. Stworzyli osadę i nazwali ją Katewao.

Potem, w 1865 roku, w tym samym roku, kiedy Kee opuścili Chiny, hawajski rząd zrozumiał, że choroba zwana mai Pake jest straszliwą, złośliwą epidemią. Fakt, iż trąd nazwano chińską chorobą zakrawał na ironię. Nie tylko nie przyszedł on z Chin, ale dodatkowo Chińczycy wcale nie byli wyjątkowo podatni na tę chorobę. Należało jednak przeprowadzić jakąś kwarantannę, więc na odseparowanym od wyspy półwyspie zorganizowano kwarantannę. Trąd był zakaźny. Wiedząco o tym dobrze. Nikt nie znał na niego lekarstwa. Zatem w swej rozpaczliwej gorliwości medycyjni doradcy rządowi poradzili: „Przynajmniej możemy odizolować chorych”. Zdesperowani, ścigali trędowatych. Hawajczycy żyjący na Kakwao zostali na zawsze wygnani z półwyspu. „Kikuek” rozpoczął swoje rejsy do lazaretu. W całej historii ludzkości nie było równie diabelskiego miejsca w równie niebezpiecznym otoczeniu.

Pierwszego dnia listopada 1870 roku, „Kikuek” zatrzymała się przy wschodnim brzegu półwyspu. Zrzucano kotwicę około stu metrów od skalistej linii brzegowej. Statek powoli wznosił się i opadał, unoszony falami przyboju. U góry, wśród skał beztrudno skakały kozy. Kapitan rozkazał usunąć balustrady z jednej burty i marynarze zaczęli zrzucić do morza skrzynie z soloną wieprzowiną, wędzonym łososiem i suszonym poi. Trędowaci z Kakwao wypłynęli po zrzuceniu w ten sposób ładunek i zaczęli holować go do brzegu. W kolonii nie było mok, przy którym można by przycumować.

Teraz, z przedniej części pokładu zaczęto sprowadzać bydło. Pośród głośnych ryków, marynarze spędzili bydło do morza, a trędowaci dosiedli ich grzbie-

tów i pokierowali je do brzegu. Od czasu do czasu przerażone zwierzę strącało jeźdźca z grzbietu i płynęło w otwarte morze. Wytrawni pływacy potrafili jednak dogonić je i zmusić do zawrócenia ku brzegowi. Jakiś marynarz, znudzony podziwianiem zmagających się z bydlęciem, wystrzelił z muszkietu w kierunku skał. Z klatki trędowaci widzieli kozy, skaczące z jednego załomu na drugi, unoszące się w górę niczym pieśń. Te białe zwierzęta stały się dla nich na zawsze symbolem utraconej wolności.

Opuszczono łódź ratunkową. Trzech marynarzy zasiadło u wiosł. Komisarz policji, który musiał towarzyszyć trędowatym, kazał otworzyć klatkę. Wywoływał ich po imieniu i pilnował, by każdy z chorych mężczyzn i kobiet wsiadał do łodzi. Na tym kończyła się odpowiedzialność rządu w stosunku do lazaretu. Kapitan patrzył, jak łódź odpływała do brzegu, pozbywała się ludzkiego ładunku i powracała. Dopilnował załadowania na łódź następnej grupy chorych. W ten sposób, czterdziestu trędowatych znalazło się na wyspie bez zapasów ubrań, jedzenia, pieniędzy czy lekarstw.

Kiedy skazani znaleźli się na brzegu, komisarz policji formalnie zwrócił się do kokua:

— Możecie teraz zejść na ląd i dołączyć do swoich mężów i żon, ale pamiętajcie, robicie to ze swojej własnej woli. Rząd nie będzie wtrącał się w to, co robicie. Czy chcecie zejść na brzeg i mieszkać z trędowatymi?

Przerażeni kokua jak zahipnotyzowani wpatrywali się w rozciągający się przed nimi widok. Ledwie mogli wydobyć głos.

— Ja chcę — wyjąkał stary mężczyzna i wsiadł do łodzi.

— Ja też — oświadczyła młoda kobieta i z drzeniem poszła w ślady starca. W końcu komisarz zapytał Nyuk Tsin:

— Czy robisz to z własnej woli?

— Tak — odpowiedziała.

Łódź ruszyła do brzegu. Nyuk Tsin zbliżała się do osady trędowatych w Kalawao.

Zbliżali się do zielonego półwyspu. Nyuk Tsin ze zdumieniem zauważyła, że nie ma na nim żadnych domów. Zapytała po hawajsku jednego z wioślarzy:

— Gdzie są domy.

— Nie ma domów — odpowiedział starając się nie patrzeć jej w oczy. Rzeczywiście nie było żadnych domów. Żadnych, które zasługiwałyby

na taką nazwę. Było kilka chat z trawy i kilka ruin domów pozostawionych przez wypędzonych pięć lat wcześniej wyspiarzy. Nie było jednak domów, szpitala, sklepu, budynków rządowych, kościoła, dróg, lekarza czy pielęgniarek. Ogarnięta paniką Nyuk Tsin spoglądała na niezagospodarowane otoczenie i szukała jakichś oznak życia społecznego. Nie było policji. Nie było urzędników, duszpasterzy, matek z rodzinami. Nikt nie sprzedawał ubrań, nie przyrządzał poi.

Dziób łodzi dotknął brzegu, ale żaden z pasażerów nie poruszył się. Marynarze czekali. Po chwili jeden z nich, jakby zawstydzony, że bierze udział w tej ponurej scenie, powiedział:

— To jest Kalawao.

Przerażeni tym, co ich czekało, kokua wysiedli z łodzi i wyszli na brzeg.

— Aloha — zawołali marynarze i łódź odpłynęła. „Kilauela” wypłynęła z powrotem na otwarte morze. Nyuk Tsin, starając się odszukać Mun Ki, krzyknęła do stojących na brzegu:

— Gdzie jest szpital?

Jej wołanie usłyszał potężnie zbudowany, wysoki Hawajczyk, zwany

przez trędowatych na Kalawao Dużym Saulem z Biblii. Nie miał nosa i kilku palców, ale nadal był silnym człowiekiem. Podszedł do Nyuk Tsin i krzyknął po hawajsku:

— Tu nie ma prawa. Nie ma niczego poza moimi rozkazami. Wszyscy nowo przybyli byli równie przerażeni jak Nyuk Tsin, lecz Duży

Saul zignorował ich. Wskazał okaleczoną ręką na parę Criińczyków i oznajmił:

— Wy sprowadziliście tu mai Pake! Będziecie mieszkać osobno.

— Gdzie? — zapyłała Nyuk Tsin.

— Osobno — powtórzył olbrzym. Jego oczy spoczęły na młodej Kinau, która wciąż miała we włosach kwiaty. Podszedł do niej i oznajmił:

— Ta kobieta jest moja.

Przerażona Kinau odsunęła się od ogromnego mężczyzny pozbawionego nosa i o zdeformowanych rękach. Wzdrygnęła się. Duży Saul, chcąc dać jej lekcję, przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta.

— Jesteś moją kobietą — oznajmił po raz wtóry.

Nyuk Tsin spodziewała się, że ktoś, wszystko jedno kto, wyjdzie z tłumu i powali olbrzyma na ziemię. Nic podobnego się nie stało. Powoli uświadomiła sobie okrutną prawdę o Kalawao. Nie tylko ona. Duży Saul trzymając przy sobie drżącą Kinau, popatrzył na nowo przybyłych i powtórzył:

— Tu nie ma prawa.

Rzeczywiście nie było. W całym Kalawao nie przestrzegano ani prawa ludzkiego, ani bożego. Nie było żadnych lekarstw. Nie było nawet pewnego źródła wody pitnej. Można było liczyć na jedzenie tylko wtedy, gdy marynarze z „Kilaueli” pamiętali o wyrzuceniu zapasów i bydła na brzeg. Prawdę mówiąc, trędowatych przywożono tutaj nie dając im niczego, oprócz wyroku śmierci. Co robili przed śmiercią nie obchodziło nikogo.

Jeśli któryś z przybyłych na wyspę myślał inaczej, później zmieniali zdanie. Kinau było nadzwyczaj piękną dziewczyną, a fakt, że nie miała otwartych ran na ciele czynił ją wyjątkową wśród społeczności trędowatych. Duży Saul i jego awanturniczy kompani podniecili się jej urodą. Nie potrafili czekać do zmroku, kiedy zazwyczaj zdarzały się takie rzeczy. Od razu zaciągnęli ją za jakiś mur, pozostałość po chacie rybaków. Dwaj, którzy towarzyszyli Saulowi, należeli do najbardziej zaawansowanych przypadków trądu na wyspie. Ich ciała gniły i odpadały. Myśleli jednak: „Hawaje pozbyły się nas. Nikogo nie obchodzi nasz los, a i tak wkrótce umrzemy”. Okaleczonymi rękami zdarli z Kinau ubranie.

— Proszę! Proszę, nie! — błagała, ale nic nie było w stanie powstrzymać trzech wygłodzonych mężczyzn. Obnażywszy ją, napawali się pięknem jej ciała. Dotykali go i badali śmiejąc się. Potem, kolejno dwóch z nich trzymało ją, a trzeci gwałcił. W końcu zemdląca.

Przez pięć dni Duży Saul i jego wspólnicy trzymali ją dla siebie. Potem mogli ją mieć wszyscy, którzy byli dość silni, aby przyłączyć się do grupy Saula. Ujrzawszy nagie, nie oszpecone chorobą ciało Kinau, nie potrafili powstrzymać pożądania. Opanowani wspomnieniami dni, gdy byli zdrowi, nie zważali na nic.

Od czasu do czasu Duży Saul zostawiał dziewczynę. W tym czasie zajmował się wydawaniem decyzji dotyczących życia trędowatych w kolonii. Uparł się, że Nyuk Tsin i jej mąż muszą trzymać się z daleka od reszty społeczności. Tak więc zamieszkali poza granicami osady. Przez pierwsze sześć dni spali na gołej ziemi. Znaleźli porzucony mur i za pomocą liści oraz gałęzi sklecieli chatę. Na wyspie nie było drewna. W deszczowe dni ziemia stawała się mokra i

spali w wodzie. Mun Ki, którym i tak wstrząsały dreszcze, o mało nie umarł na zapalenie płuc. Nyuk Tsin, nie mając żadnych narzędzi, gołymi rękami usypała podwyższenie z ziemi. Wyścieliła je gałązkami i liśćmi. W ten sposób zbudowała łóżko, do którego nie podchodziła woda, chyba że opady były wyjątkowo obfite.

Chińczykom nie pozwalano podchodzić do beczek z jedzeniem, dopóki inni nie zaspokoili swoich potrzeb. Dodatkowo, Duży Saul rozkazał, aby wydawano im tylko połowę przysługujących innym racji żywnościowych. Gdyby nie zapobiegliwość Nyuk Tsin, przymieraliby głodem. Zbierała na rafie małe, jadalne ślimaki, a w jednej z dolin znalazła poletko taro. Z gałęzi zebranych na skałach zbudowała mały podziemny piec i piekła taro. Życie z dala od innych miało pewne plusy. Z całą pewnością Kee powodziło się lepiej niż innym, jej godnym litości trędowatym, którzy nie mogli już chodzić.

W 1870 w Kalawao było ponad sześćdziesiąt takich nieszczęśników. Ich stopy odpadły. Ręce zamieniły się w owrzodzone kikuty. Czołgali się po osadzie i żebrali o jedzenie, którego nie mogli ani zdobyć, ani przygotować. Przerażające cienie ludzi. Często nie mieli twarzy. Zostały im tylko oczy i głosy, które na zawsze zapadały w pamięć. Nie mieli lekarstw, łóżek, żadnej opieki.

Czołgali się po plażach Kalawao, a kiedy nadchodził dzień wyznaczony przez Pana, umierali. Zazwyczaj nie mieli nawet grobu. Ich ciała zostawiano, dopóki nie pozostały z nich tylko kości. Zасыpywano jej w płytkim dole.

Czasami władze Honolulu zapominały przysłać chorym nowe zapasy żywności. W takich chwilach, w osadzie panował terror. Duży Saul oraz jego kompani zarządzali wszelkimi resztkami pożywienia. Jeśli ktoś próbował się im przeciwstawić, bronili swoich praw przy użyciu siły. Zwiększała się śmiertelność. Każdego dnia umierało cztery, pięć osób. Beznoga kobieta mogła przez cały dzień leżeć na drodze bezskutecznie błagając o jedzenie i picie. Nikt jej nie słuchał. Ludzie mieli tylko nadzieję, że kiedy nadejdzie chłód nocy, kobieta umrze. Zazwyczaj tak właśnie się działo. Jej umęczone ciało leżało w jednym miejscu przez kilka dni, aż Duży Saul rozkazał komuś jej zabrać.

Na Kalawao nie było prawa ani ludzkich uczuć. Sytuację pogarszały regularne rejsy „Kilaueli” dostarczającej na wyspę nowych trędowatych, którzy nie przywozili ze sobą niczego. Duży Saul stawał przed nimi i oznajmiał straszliwą prawdę:

— Tutaj nie ma prawa. Przez sześć tygodni piękna Kinau trzymana była niczym więzień. Przez ten czas ponad osiemnastu mężczyzn rozkoszowało się jej nietkniętym chorobą ciałem. Potem wypuszczono ją i mógł ją mieć każdy, kto miał na to ochotę.

Pozwolono jej założyć skąpą sukienkę, ale sposób, w jaki ją nosiła świadczył o tym, że Bóg zmiłował się nad nią i postradała zmysły. Nie pamiętała, co się z nią działo. Chodziła jak we śnie. Nie potrafiła skoncentrować się na teraźniejszości. Tak więc przez trzy czy cztery miesiące, jeśli jakiś mężczyzna zapragnął jej, po prostu zabierał ją do swojego legowiska. Zabawiał się z nią dopóki mu się nie znudziła. Wówczas wypuszczał ją. Snuła się niczym duch, w przekrzywionej sukience, bez kwiatów we włosach, aż ktoś inny jej nie zapragnął. Kobiety na Kalawao czuły dla niej litość, ale miały swoje własne problemy.

Nikt nie opiekował się biedaczką.

Czwartego miesiąca, w lutym 1871 roku, złośliwy trąd drzemiący do tej pory w ciele Kinau, wybuchnął z ogromną siłą. W ciągu kilku tygodni zamieniła się w maskarę; chodzącego trupa o chudej, oszpeconej wypryskami twa-

rzy, odpadających ustach i gnijących piersiach. Mężczyźni nareszcie zostawili ją w spokoju, ale ona w obłędzie zdjęła sukienkę i pokazywała nagie, rozpadające się ciało. Spacerowała powoli od Dużego Saula do jego pierwszego, a potem drugiego przybocznego i prosiła płaczliwym głosem:

— Teraz ja chciałabym kochać się z wami.

Stała się tak uciążliwa dla całej społeczności, że mężczyźni nie mogli już znieść jej widoku. W końcu Duży Saul powiedział:

— Ktoś powinien walnąć ją w głowę.

Pewnej ciemnej nocy ktoś to zrobił. Jej ciało leżało na drodze przez dwa dni, zanim ją pochowano.

Żadna kobieta nie była bezpieczna w Kalawao. Duży Saul i jego ludzie mogli wziąć sobie każdą. Te, które lądowały na plaży Kalawao bez mężczyzn opiekujących się nimi, przechodziły przez koszmar. Zazwyczaj ich choroba była w początkowym stadium rozwoju i wielokrotnie gwałty dokonywane przez mężczyzn bez twarzy i rąk były dla nich nie do zniesienia. Nie mogły jednak przed tym uciec. Tak więc Kalawao pełne było kobiet, które popadły w swego rodzaju odretwienie i płacząc pytały:

— Za co Bóg mnie tak karze?

Ale kobiety również miały swój udział w degradacji Kakwao. Wiele pięknych jeszcze kobiet myślało: „Społeczeństwo odrzuciło mnie. Nie ma tu prawa i nikogo nie obchodzi, co robię”. Takie kobiety pomagały mężczyznom destylować wódkę z korzeni albo mętne piwo z batatów. Czasem przez cały tydzień wszyscy w kolonii trędowatych upijali się do nieprzytomności. Klęli głośno na całą osadę, awanturowali się, wykrzykiwali sprośności pod adresem zdrowej części społeczeństwa. Wreszcie, nadzy i przepelnieni żądzą, kochali się ze sobą przy aplauzie podnieconych współtowarzyszy niedoli. Właśnie kobiety rozpoczynały te orgie i one najlepiej się podczas nich bawiły. W tamtych czasach, gdy nie było na wyspie kapłanów ani przedstawicieli prawa, często można było zobaczyć na wpół nagą kobietę, która po kilku dniach pijaństwa pojawiała się w miejscu publicznym i krzyczała:

— Mogę kochać się z czterema mężczyznami, a kiedy już z nimi skończę, będą umierać z wyczerpania.

Natychmiast pojawiali się ochotnicy. W dzikim porywie sprawdzali jej możliwości. Po wszystkim, zasypiała na gołej ziemi, pogrążona w pijackim, ciężkim śnie. Jeśli w nocy padał deszcz, nikt nie podchodził, by ją okryć. Nim minęło kilka lat, umierała, ale nie na trąd, lecz na gruźlicę.

Gdyby w owych czasach ktoś zapragnął ujrzyć całkowitą degradację człowieczeństwa, człowieczeństwa taplającego się we wksnym brudzie, musiałby pojechać do Kakwao. Półwysep dotknęło nie tylko przekleństwo trądu, ale także ludzkiej głupoty. Półwysep dzielił się na dwie strony. Wschodnią, gdzie wiały chłodne wiatry i gdzie bezustannie padały deszcze oraz zachodnią, o znacznie lepszym, ciepłym klimacie. Kolonię trędowatych założono na wschodnim brzegu i rząd upierał się, by zachodnią stronę pozostawiono nie zamieszkałą. We wschodniej części, słońce późno wschodziło spoza klifów i chowało się za nimi wczesnym popołudniem. Zachodnia część półwyspu była słoneczna. O dziwo, chociaż z klifów spływała ponad setka wodospadów, do osady trędowatych nie doprowadzono wody. Na początku odrobinę wody dostarczała stara, wysłużona rura, ale szybko rozpadła się. Tak więc trzeba było chodzić kilka kilometrów po wodę. Często umierający ludzie, którym

nikt nie towarzyszył na wyspie, przez ostatnie dni swego życia bezskutecznie błagali o odrobinę wody.

Przez sześć straszliwych lat nikt spośród urzędników na Hawajach nie znalazł czasu, aby zająć się tymi problemami czy przeznaczyć na ich rozwiązanie choćby najdrobniejszej sumy. W dawnych czasach mówiono: „Co z oczu, to z serca”. W historii ludzkości nie było chyba dobitniejszego przykładu ilustrującego owo powiedzenie niż kolonia trędowatych w Kalawao. Rząd wydał rozporządzenie: „Trędowatych należy wydalić”. Jakby podjęcie decyzji i uwięzienie trędowatych rozwiązywało problem.

Było by niesprawiedliwe, gdyby ktoś powiedział, iż podczas owych tragicznych, pierwszych lat nikt nie przejmował się losem trędowatych. Dzielni kapłani chrześcijańscy z innych wysp czasami odwiedzali Kalawao. Dawali śluby umierającym, którzy nie chcieli przeżyć swoich ostatnich dni w grzechu. Katolicy księża i Mormoni od czasu do czasu przeprawiali się do osady. Ich wizyty pamiętano bardzo długo. Doktor Whipple, mając siedemdziesiąt lat przyjechał, żeby sprawdzić, czego potrzeba trędowatym. W raporcie napisał: „Wszystkiego”.

W pewnym okresie grupa pobożnych trędowatych zorganizowała wspólnotę kościelną. Czytając Biblię, natrafili na pełen nadziei fragment, w którym apostoł Jan opowiada:

„A przechodząc, ujrzał człowieka ślepego od urodzenia. I zapytali go uczniowie jego, mówiąc: Mistrzu, kto zgrzeszył, on czy jego rodzice, że się ślepym urodził?

Odpowiedział Jezus: Ani on nie zgrzeszył ani jego rodzice (...) splunął na ziemię i ze śliny uczynił błoto, i to błoto nałożył na oczy ślepego.

I rzekł do niego: Idź i obmyj się w sadzawce Syloe. (...) obmył się i wrócił z odzyskanym wzrokiem.”*

Trędowaci nazwali swój kościół Syloe. Nie mogli jednak wybudować budynku, ponieważ Honolulu nie przysyłało drewna na Kalawao. Dzięki temu kościołowi żyła w nich nadzieja. Każdy trędowaty był przekonany, że gdzieś na świecie musiała istnieć jakaś sadzawka, lekarstwo lub maść, która go wyleczy.

Ponieważ Nyuk Tsin była w ciąży, Duży Saul i jego kompani nie zwracali na nią uwagi. Zbliżał się czas rozwiązania i Nyuk Tsin zupełnie o nich zapomniała. Miała na głowie inne problemy. Przede wszystkim martwił ją brak wody. Zastanawiała się, co zrobi jej mąż, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Miał tylko jedno małe naczynie na wodę. Poza tym nie mieli jak rozpałić ognia, by podgrzać wodę.

Poproszę o pomoc którąś z hawajskich kobiet — obiecywał Mun Ki. — One mają wiadra.

Niestety Duży Saul zabronił zbliżać się do szałasów Chińczyków i Nyuk Tsin urodziła swego piątego syna w warunkach, na które nie narażano by nawet zwierząt. Nie mieli wody, czystych ubranek dla dziecka, jedzenia, które przyspieszyłoby pokarm. Dziecko nie miało łóżeczka. Leżało na ziemi. Nie było nawet czystej słomy dla młodej matki. Mimo to, wydała na świat małego zdrowego mężczyznę o skośnych oczach. Wtedy dopiero zaczęły się jej największe zmartwienia.

* (Ewangelia Świętego Jana, 8,9)

Nie wiadomo, w jaki sposób można zarazić się trędem. Wiele kokua żyło przez lata w bliskim kontakcie z trędowatymi i nic im nie było. Styczność z chorym o niczym nie przesądzała. Nyuk Tsin dowiedziała się jednak, że jeżeli dziecko poniżej ósmego roku życia pozostanie przez dłuższy czas wśród trędowatych, z pewnością zachoruje. Pielęgnowała więc niemowlę najlepiej jak umiała i modliła się o szybkie przybycie „Kilaueli”. Czekała, uczyniła wszystko, by jej syn był silny. Wystawiała go na podmuchy wiatru, aby go z nimi oswoić. Karmiła go ciągle, aby był zdrowy. Wymierzała mu tęgie klapsy, aby uodpornić go na szok. Nocami zaś tuliła go na wątych piersiach. Kochała to dziecko do szaleństwa.

Gdy w końcu przyплыła „Kilauela”, czuła podniecenie, ale postanowiła działać rozważnie. Gdy tylko do brzegu dobiła pierwsza szalupa z trędowatymi, zbliżyła się i zawołała do jednego z wiosłarzy:

— Moje dziecko ma być zabrane na statek. — Zrobiła przy tym ruch, jakby chciała wsiąść z dzieckiem do szalupy.

Marynarze z „Kilaueli” bali się przeraźliwie, że któregoś dnia trędowaci z Kalawao zechcą przechwycić ich statek i podjąć próbę ucieczki. Ruch Nyuk Tsin wydał im się początkiem takiej próby. Marynarz, do którego się zwróciła, błyskawicznie przewrócił ją na ziemię przy pomocy wiosła i krzyknął do towarzyszy:

— Odbijać! Odbijać!

Gdy byli już bezpieczni na morzu, Nyuk Tsin, chroniąc swego syna, wstała i zawołała za nimi:

— To tylko moje dziecko ma znaleźć się na pokładzie.

— Zapytamy kapitana — odkrzyknął jeden z marynarzy. Powróciwszy z kolejnym ludzkim ładunkiem, zapytał:

— Gdzie jest ta Pake z dzieckiem?

Nyuk Tsin o mało nie potknęła się, tak szybko biegła i była bliska łez, gdy marynarz odepchnął podawane mu dziecko.

— Kapitan chce wiedzieć, dokąd mamy zabrać dziecko? — zapytał.

— Do Doktora Whipple w dużym domu — odpowiedziała natychmiast Nyuk Tsin.

— Stary doktor zmarł w zeszłym miesiącu — warknął marynarz i przygotował się do odpłynięcia.

Nyuk Tsin, zaskoczona tą wiadomością, rozpaczliwie poszukiwała innego rozwiązania.

— Oddajcie dziecko Kimo i Apikeli, zbieraczom maile.

— A gdzie oni do cholery mieszkają? — zapytał marynarz i łódź wróciła na statek.

Przyplywając po raz kolejny, marynarze oznajmili zrozpaczonej kobiecie, że lepiej będzie, jeśli nie zabiorą ze sobą dziecka. Nie mieli pojęcia, co z nim zrobić po zawinięciu do Honolulu. Poza tym na pokładzie nie było mamki i dziecko nie miałoby nic do jedzenia przez cały dzień. Nyuk Tsin próbowała wytłumaczyć, że kapitan może oddać dziecko jakiemukolwiek Chińczykowi. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, przygotowała woreczek z poi, które dziecko mogło ssać. Mimo to, szalupa odbiła od brzegu. „Kilauela” zaczęła przygotowywać się do wyjścia na pełne morze. Nyuk Tsin, ogarnęła paniką. Nie wiedząc, co robi, weszła do wody. Trzymając dziecko w ramionach podjęła beznadziejną próbę dopłynięcia do statku.

Gdy tylko znalazła się w wodzie, wysmienity hawajski pływak, który przybył na a wyspę razem z Mun Ki, zauważył jej straszliwą sytuację. Wsko-

czyl do wody, odebrał jej dziecko i ruszył szybko w stronę statku. Kapitan dojrzał jak mężczyzna płynie. Kazał zatrzymać na chwilę silnik i poczekał, aż brązowoskóry siłacz dosięgnie liny okrętowej, podciągnie się do góry, poda dziecko marynarzowi. Gdy pływak zawrócił i spokojnie ruszył w stronę kolonii trędowatych, „Kilauela” dała sygnał gwizdkiem. Spłoszone kozy wspięły się wyżej po zboczach. Nyuk Tsin i jej mąż, Mun Ki stali na brzegu, podczas gdy ich syn, Australia, odpływał. Mimo to, wszyscy, którzy stali na brzegu wiedzieli, że bez względu no to, gdzie dziecko zostanie zabrane i komu oddane, będzie mu lepiej niż w Kalawao.

W” siódmym miesiącu od chwili ich przyjazdu do Kalawao, Duży Saul i jego kompani zaczęli zagrażać Chińczykom. Nyuk Tsin przysła do siebie po ciąży. Mężczyźni zaczęli przyglądać się jej i mówili między sobą: „ Mężczyzna mógłby się z nią niezłe zabawić. Poza tym, nie jest zarażona”.

Tak więc pewnej nocy trzech z nich wpadło do szałasu z trawy i usiłowało porwać Nyuk Tsin. Nyuk Tsin i jej mąż już dawno przygotowali się na taką ewentualność. Napastnikom stawilo czoła dwoje Chińczyków walczących zaostrzonymi kijami. Była to zacięta walka prowadzona w całkowitej ciszy. Chory Mun Ki wstał z łóżka z liści, by przeciwstawić się Dużemu Saulowi. Nyuk Tsin przy pomocy zaostzonego kija kłula i biła dwóch pozostałych.

Raz pochwyciły ją w pasie ręce do połowy przeżarte przez chorobę. Poczula zepsuty oddech ciągnącego ją trędowatego. Z całej siły pchnęła do tyłu kij. Mężczyzna krzyknął z bólu i puścił ją. Teraz było dwóch napastników przeciw dwojgu Chińczykom. Nyuk Tsin instynktownie, niczym zwierzę w dżungli, zignorowała swego przeciwnika i skoczyła w stronę Dużego Saula. Z ogromną siłą dźgnęła go w głowę. Musiała trafić w ucho albo w miękką część skroni, bo ostry kij wszedł z łatwością, głęboko. W tej samej chwili Mun Ki wbił swój kij i Duży Saul jęknął.

Trzymając się w miejscach, gdzie zadano mu rany, odszedł w ciemność nocy, potykając się.

— Tych dwoje Pake zabiło mnie!—krzyczał.

To odwróciło uwagę jego kompana, który pobiegł pomóc szefowi. Trzeci z napastników zniknął w ciemnościach z Młkucentymetrowym kawałkiem kija wystającym z lewego oka.

— Pake zabili mnie! — zawodził Duży Saul. Obudził całą osadę. Zanim, śmiertelnie ranny, dotarł do miejsca oświeconego pochodniami, zebrali się tam wszyscy, którzy mogli jeszcze chodzić. Patrzyli jak z trudem łapiąc oddech walczy ze śmiercią. Potem w ciszy odeszli, pozostawiając na środku straszliwe zwłoki. Tylko nieliczni nie cierpieli z powodu Dużego Saula i teraz, ujrawszy jego przeżarte trądem ciało leżące w kurzu, zostawili je tam z radością. Jego oślepiiony kompan odszedł w noc i w Kalawao zapanowała cisza.

Dla obydwójga Chińczyków była to straszliwa noc. Nie wiedzieli jak społeczność trędowatych zareagowała na śmierć Dużego Saula i oślepienie jego pomocnika. Tuląc się do siebie w ciemnościach nie zdawali sobie sprawy, że wszyscy w Kalawao wiedzieli w jaki sposób zmarł olbrzym.

— Poszedł zgwałcić tę Pake, a jej mąż zabił go. Dobrze zrobił.

Nad ranem zaczęło padać. Smutne krople spadały na trawiasty dach i spływały po podłodze szałas. Najpierw po ziemi płynęły wąskie strużki wody, potem połączyły się tworząc małą rzeczkę. Robiło się coraz gorzej. Nyuk Tsi szepnęła do swego drżącego towarzysza:

— Postąpiliśmy słusznie, Ojciec Chow. Inni powinni byli to zrobić lata temu.

— Czy zostały nam jeszcze jakieś kije? — zapytał Mun Ki.

— Zgubiłam oba — wyznała żona.

— Został mi jeden, a jeszcze jeden leży ukryty pod liśćmi. Kiedy rano przyjdą nas pochwycić, powinniśmy walczyć do śmierci.

— Ja również tak uważam — odparła Nyuk Tsin. Poszła w kąć nędznego szałas i z błotnistej ziemi podniosła broń. Czekali w ciszy, nie wiedząc, kiedy ludzie Dużego Saula ponownie zaatakują.

— Cieszę się, że przyjechałam tu z tobą, Ojciec Wu Chow. Czułam się zaszczycona walcząc u twojego boku.

— Zapomniałem, że jesteś Hakka — odpowiedział.

Deszcz wzmógł się i przez chwilę wydawało im się jakby słyszeli trędowatych, zbierających się do ataku. Ale to był tylko szelest wody spływającej po zboczach klifów.

— Czy wybaczyłeś mi moje brzydkie stopy? — zapytała Nyuk Tsin.

— Już ich nie zauważam — odrzekł jej mąż. Tulili się do siebie. Noc była ciemna i zimna.

— Musisz mi obiecać Ciotko Wu Chow — poprosił Mun Ki — że jeśli uda ci się kiedyś stąd wydostać, będziesz wysyłała mojej żonie w Chinach tyle pieniędzy, ile tylko zdołasz.

— Obiecuję.

— Musisz dopilnować, aby wpisano imiona moich synów do księgi rodowej w mojej wiosce.

— Zrobię tak.

— Gdy będziesz pisać do wioski, nie musisz wspominać, że jesteś Hakka. To by zakłopotало moją żonę.

— Nie powiem nic pisarzowi — przyrzekła Nyuk Tsin.

— Musisz również przyrzec, że pochowasz mnie na zboczu góry.

— Zrobię to tak, jak gdybyśmy byli w Chinach.

— Obiecaj też, że przyprowadzisz chłopców na mój grób.

— Zrobię tak — zgodziła się Nyuk Tsin.

— Kiedy nadejdzie świt, zginiemy, Ciotko Wu Chow i wszystkie twoje obietnice nie będą nic znaczyły. Mimo to, czuję się lepiej.

Siedzieli tak przez długą, deszczową noc, a kiedy nadszedł chłodny, szary świt, hazardzista Mun Ki powiedział:

— Nie czekajmy na nich dłużej. Wyjdźmy im na spotkanie.

Dwoje Chińczyków wyszło z nędznego szałas, każde z nich trzymało w prawej ręce zaostrzony kij.

Z przerażeniem zobaczyli leżące na błotnistej ścieżce martwe ciało Dużego Saula. Wiedzieli, że to skazuje ich na odwet ze strony pozostałych członków gangu. Bez względu na wszystko, ostrożnie podeszli do wioski. Kije trzymali podniesione, przygotowane do końcowej walki. Ku ich zaskoczeniu, hawajscy trędowaci nie cofnęli się powodowani wrogością. Podeszli w ich stronę, gotowi do pojednania. Śmiercionośne kije powoli opadły. W końcu dwoje Chińczyków zostało otoczonych przez skazanych na śmierć mężczyzn i kobiety mówiących:

— Postąpiliście słusznie.

Jedna z kobiet, nad którymi znęcał się Duży Saul i jego banda, a która z uporem utrzymywała się przy zdrowych zmysłach, powiedziała:

— Na Kalawao będzie panowało prawo i porządek.

Przez sześć lat, skazani na śmierć ludzie byli wyrzucani na plażę, nie uzyskując, poza pojedynczymi przypadkami, żadnej pomocy od społeczeństwa, które ich odrzuciło. Odnowa lazaretu w Kalawao datuje się od chwili, gdy zdeterminowana kobieta, której ducha nie złamał trąd, gwałt ani poniżenie, znane tylko nielicznym, powiedziała uroczyście: „Na Kalawao będzie panowało prawo i porządek”.

Zawiązała się luźna organizacja składająca się z ludzi odpowiedzialnych za podział żywności; grupa odpowiedzialna za dostarczanie do wioski wody i nieformalna policja broniąca kobiety przed bezsensownymi gwałtami. Samotnym dziewczętom przybywającym na wyspę nakazywano, aby szybko wybrały sobie mężczyznę i żyły z nim. Kiedy młoda mężatka sprzeciwiała się, mówiąc: „Ależ ja jestem zamężna i kocham swojego męża”, starsze kobiety odpowiadały poważnie:

— Opuściłaś świat. Jesteś w poczekalni do piekła. Wybierz sobie mężczyznę. Ostrzegamy cię.

Niektóre kobiety przechodziły od jednego umierającego mężczyzny, do drugiego, ale dobrowolnie, a nie przy użyciu gwałtu.

Dzieci wygnane do kolonii trędowatych bez rodziców oddawano pod opiekę kokuom, które opiekowały się nimi jak własnymi i karmiły je. Jedno prawo było najważniejsze: kiedy starzy ludzie byli bliscy śmierci, nie wolno już było zostawiać ich na dworze. Musieli mieć jakieś schronienie.

Nawet po tym, jak osada trędowatych zorganizowała się i wprowadziła porządek, nie otrzymywała żadnej większej pomocy od rządu w Honolulu. Nadal wyrzucano trędowatych na plażę i pozostawiano tam, aby umarli. Nie było lekarstw, drewna, pocieszenia.

W 1871 roku w kolonii znalazł się Hawajczyk, który czytał wiele książek i zorganizował prawdziwy rząd. Pierwsza decyzja nowego rządu dotyczyła dwojga Chińczyków. Nie musieli już żyć samotnie u podnóża klifów. Pozwolono im zamieszkać z pozostałymi. Trędowaci pochwalili tę decyzję. Wszyscy zgadzali się, że w Kalawao przypomniano sobie o ludzkich uczuciach w dniu, kiedy Mun Ki zdecydował się uratować żonę przed gwałcicielami albo umrzeć.

Zorganizowano prymitywny szpital, w którym nie było lekarzy, tylko trędowate pielęgniarki. Kobiety potrafiące czytać i pisać otworzyły szkołę dla dzieci urodzonych w lazarecie.

Komitet błagał rząd o regularne dostawy żywności — dwóch i pół kilograma mięsa tygodniowo na każdego mieszkańca oraz dziesięć kilo warzyw i poi. Czasami otrzymywali to, o co prosili. Założono ogrody i zapewniono zaopatrzenie w wodę, a kobiety nalegały: „Na Kalawao będzie panowało prawo i porządek”.

Nadal nie było domów i ponad połowa trędowatych przez całe lata spała pod krzakami, nie mając łóżek ani pościeli. Naturalnie umierali szybciej, niż można by się tego spodziewać nawet po chorych na trąd. W pewnym sensie było to błogosławieństwo. Mimo to nawet ci, których ciała znajdowały się w stanie całkowitego rozkładu, chodzące trupy, tęsknili za własnym domem. Za szłaś z dachem z traw, który dałby im złudzenie, że są wciąż istotami ludzkimi.

Dlatego w 1871 roku, po pięciu tygodniach życia w osadzie, ale na gołej ziemi, Nyuk Tsin zdecydowała:

— Ojciec Wu Chow, zbudujemy sobie dom.

Jej chory mąż zaczął już tracić palce u rąk i nóg. Nie mógł jej pomóc, ale zrobiła wszystko, aby wydawało mu się, iż to on buduje. Koncentrując jego

myśli na przyszłości, omawiała z nim każdy etap budowy. Codziennie szła do starego hawajskiego domu i przynosiła stamtąd ciężkie kamienie. Stała, trzymając je w ramionach, aż on zdecydował, gdzie powinna je położyć. Po jakimś czasie, ściana była gotowa. Dwoje Chińczyków miało przynajmniej ochronę przed wiatrami hulającymi po Kalawao w porze deszczowej.

Następnie wyszukała belkę i kilka desek na dach. Było to trudne zadanie, ponieważ rząd w Honolulu wciąż zapominał o dostarczeniu trędowatym drewna, które trzeba było sprowadzać z Oregonu. Chociaż przywódcy kraju byli chrześcijanami i chociaż ich serca krwawiły na wspomnienie niedoli trędowatych, myśleli: „Ci chorzy na mai Pake wkrótce umrą. Doprawdy, dlaczego mielibyśmy marnować na nich pieniądze? „

Aby zdobyć cenne drewno, Nyuk Tsin ustawiła męża na brzegu morza. Czekał i modlił się nie tylko o to, żeby woda przyniosła drewno, ale i żeby okazał się szybszy niż inni i zdołał je pochwycić. Któregoś dnia dowlókl się dumnie do domu ciągnąc długi kawał drewna i ustawili na miejscu belkę, która miała podpierać dach.

Teraz dwoje Chińczyków mogło położyć się w swoim domu podczas burzy, patrzeć na belkę i myśleć: „Wkrótce nie będzie już na nas padał deszcz”.

Podczas gdy mąż czuwał na brzegu, Nyuk Tsin nauczyła się wspinać na niższe klify. Po jakimś czasie stała się równie zwinna jak koza. Przeskakiwała ze skały na skałę w poszukiwaniu małych drzewek, nadających się na belki na dach. Jednak kozy pasty się na tych skałach od tak dawna, że zachowało się niewiele drzew w miejscu, gdzie niegdyś rósł las. Ilekroć zwinna Chinka ujrzała jedno z nich, wspinała się po skałach, jakby prowadziła z kozami wyścig o cenny skarb.

Były to dni radości i rozpaczy. Cieszył ją widok Mun Ki biorącego aktywny udział w życiu, które przypadło im w udziale. Nyuk Tsin sama czuła dumę, gdy wysoko w górach wyrывała z korzeniami drzewo. Ale wieczorami, kiedy małżonkowie zbierali trawę pili i pletli matę na swój przyszyły dach, ogarniało ich wyczerpanie.

— Mamy matę na dach — płakał często Mun Ki — ale nie możemy znaleźć belek, do których moglibyśmy ją doczepić.

Były to dni, kiedy misjonarze, doradcy króla mówili:

— Nie powinniśmy marnować pieniędzy na Kalawao.

Pewnego dnia, morze wyrzuciło na brzeg deskę, dostatecznie długą, aby po podzieleniu jej na kawałki, starczyło na cały dach. Przez chwilę Mun Ki sądził, że zabezpieczył ją dla siebie. Niestety, potężnie zbudowany mężczyzna, Palani, który miał jeszcze zdrowe nogi, pochwycił ją. Tak więc Chińczycy nadal spali w domu bez dachu. Mieli jednak więcej szczęścia niż wielu innych i wiedzieli o tym. Mieli ściany, które chroniły ich od wiatru. Mieli belkę na dach. MieE gotowe maty z trawy pili.

Co więcej, mieli swego rodzaju spokój duchowy. Mun Ki, siedząc na brzegu morza w oczekiwaniu na dryfujące drewno, często spoglądał na skały, gdzie jego żona każdego dnia narażała życie poszukując drzew. Nastąpiła w nim zmiana. Nie był tego świadom, ale Nyuk Tsin zauważyła, że jej mąż nie wstydził się już jej siły i wyglądu. Kiedyś nawet posunął się do tego, by przyznać niechętnie:

— Patrzyłem jak wspinałaś się po skałach. Ja bałbym się tam wspiąć.

Było to dla niej wielką pociechą. Jednak duchowy spokój wynikał z czegoś innego. Dopóki dwoje Chińczyków znajdowało się poza społecznością trędowatych, wiązała ich narzucona przez warunki zewnętrzne lojalność. Gdyby

walczyli ze sobą, nie byłoby dla nich nadziei. Teraz, gdy stali się pełnoprawnymi członkami społeczności, gdy poznano jak byli mądrzy i lojalni, z powrotem przeobrazili się w zwykłych ludzi, w męża i żonę. Mogli kłócić się o to, jak powinni zbudować dom. Czasami, gdy jego uparta żona Hakka wyprowadzała go z równowagi, Mun Ki wychodził w gniewie z domu. Kuśtykał na pozbawionych palców stopach na plażę, gdzie przesiadywał z umierającymi hawajczykami i zwierzał się:

— Żaden mężczyzna nie zrozumie kobiet.

Cierpiący mężczyźni wyliczali wówczas wszystkie swoje porażki z kobietami. Potem, kiedy dzień chylił się ku końcowi, włókł się z powrotem do domu i czekał na Nyuk Tsin. Kiedy słyszał jej kroki, czuł radość. Przy okazji jednego z takich pojednań, wyznał:

— Gdybyś nie byk moją kokua, dawno już bym nie żył. Doktor Whipple miał rację. Dokądkolwiek idziemy, zawsze stają przed nami nowe wyzwank. Dzisiaj komitet poprosił mnie, aby zajął się rozdziałem żywności. Wiedzą, że jestem uczciwy. Prawdę mówiąc — dodał z dumą — zostałem członkiem komitetu.

Martwili się o jedno — co stało się z ich dzieckiem. Wypytujac marynarzy z „Kilauela”, nie dowiedzieli się niczego. Któryś z nich pamiętał jak przez mgłę, że dziecko oddano jakiemuś mężczyźnie jeszcze w dokach w Honolulu. Być może był to Chińczyk, ale nie miał pewności. Doktor Whipple nie żył i Nyuk Tsin nie mogła zwrócić się do nikogo z prośbą o przeprowadzenie dochodzenia w tej sprawie. Tak więc Chińczycy przeżywali miesiące niepokoju, pogłębionego jeszcze przez relacje jednego z nowo przybyłych trędowatych.

— Znam Kimo i Apikelę. Zbierają maile, ale wychowują tylko czworo chińskich dzieci.

Rodzice denerwowali się, lecz Nyuk Tsin często powtarzak:

— Gdziekolwiek przebywa, na pewno jest mu lepiej niż tutaj.

Dzięki szczęśliwemu odkryciu, Mun Ki znalazł ucieczkę od zmartwień. Pewnego dma jak zwykle trzymał straż na plaży. Miał nadzieję, że morze wyrzuci więcej drewna. Nagle zauważył zadziwiające podobieństwo pomiędzy małymi, czarnymi kamykami wulkanicznymi, a płytkami używanymi do gry w fan-tan. Zaczął je zbierać. Kiedy mkł już ponad sto kamyków tej samej wielkości, zajął się żmudnymi poszukiwaniami całkowicie pkskiej skały. Co prawda nie udało mu się znaleźć takiej, ale natknął się na kamienną płytę. Oszlifował jej powierzchnię drugim kamieniem. Gdy wszystko było gotowe, rozłożył na płycie kamyki, zebrał je w chore ręce, rzucił z powrotem na płytę i odliczył czwórkami. Po wielu próbach, doszedł do wprawy w odgadywaniu wyniku i potrafił z dużą dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, czy na płycie pozostanie jedna, dwie, trzy, czy cztery płytki. Ćwiczył przez kilka dni, a potem zawołał paru Hawajczyków i pokazał im grę. Przez pierwsze dni sprawdzał jak daje sobie radę przeciwko nim i to jeden z Hawajczyków zaproponował pierwszy:

— Moglibyśmy zorganizować prawdziwą grę.

— Tak sądzisz? — zapytał jak gdyby nigdy nic.

Ponieważ nikt nie mkł pieniędzy, zaczęli rozglądać się po plaży w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby posłużyć jako żetony. Trafili na żółte nasiona, które obsypały się z krzewu rosnącego na wyspie. Doskonale zastępowały monety. W ten sposób rozpoczęły się słynne rozgrywki w fan-tan trędowatych

w Kalawao. Mun Ki był bankierem. Zdziwiająco, z jaką zręcznością potrafił pochwycić kilka przypadkowych kamyków swymi okaleczonymi rękami i ocenić czy ich liczba była parzysta, czy nieparzysta. Kiedy stawiano zakłady, zawsze udawało mu się schować jeden z kamyków pomiędzy kciukiem, a okaleczonym palcem wskazującym. Jeśli większość jego przeciwników obstawiała parzystą liczbę kamyków, rzucał ukryty kamyk. W ten sposób zmieniał wynik i zgarniał pulę. Jeśli jednak obstawiano liczbę nieparzystą, zatrzymywał ukryty kamyk i znowu wygrywał.

Gra ciągnęła się przez tygodnie. Ponad tuzin mężczyzn było tak nią podnieconych, że codziennie, po wschodzie słońca spieszyli na plażę. Tam skośnooki chiński hazardzista czekał na nich, gotowy przyjąć wyzwanie. Grali tylko o żółte nasiona, mimo to, przy większych stawkach wszyscy przeżywali katusze nadziei. Po pewnym czasie jeden z mężczyzn, zwany Palani, od biblijnego Pawła, zaczął zbierać większość ziaren. Gdy Mun Ki zauważył to, był zadowolony. W dniu, w którym Palani wreszcie zgarnął nasienne bogactwo innych trędowatych, jego chiński przeciwnik oznajmił Nyuk Tsin:

— Palani złapał bakcyła, tak jak to zaplanowaliśmy. Módl się za mnie. W następnych dniach Palani zaczął obstawiać nieparzyste, Mun Ki rzucał

ukryty kamyk. Zawsze, kiedy Hawajczyk zdecydował się zaryzykować dużą ilość nasion, i postawić na konkretną liczbę, powiedzmy trzy, dla Mun Ki wyciągnięcie parzystej liczby nie stanowiło żadnego problemu. Wynik równał się dwa lub cztery, ale nigdy trzy.

Powoli, kupka z nasionami należącymi do Palani malała, ale Mun Ki wiedział z doświadczenia, że przygotowanie frajera, którego chce się obskubać, wymaga dużo cierpliwości i wprawy. Czasami Palani triumfował. Jednak na dłuższą metę tracił. Pewnego popołudnia Mun Ki bezwzględnie ogrzał Palani, pozostawiając go z nędzną garstką nasion. Gra wzbudzała ogromne podniecenie wśród trędowatych. Wielu z nich stało, przyglądając się jak Chińczyk w końcu całkowicie pokonał swego adwersarza. Hawajscy kibice, zaczęli wówczas wyśmiewać pokonanego. O to właśnie chodziło Mun Ki. Gdy kpiny sięgnęły szczytu, Chińczyk zapytał spokojnie:

— Palani, a może zagramy na innych warunkach? Ty masz belkę. Ja także. To śmieszne, że żaden z nas nie może zbudować dachu. Postawię swoją belkę przeciwko twojej.

Wśród zgromadzonych rozszedł się nerwowy szept. Mun Ki modlił się, aby Hawajczyk podjął wezwanie. Tak się stało, ale warunki postawione przez Palaniego zaskoczyły go.

— Dobrze, zagram o drewno jutro.

Mun Ki starał się ukryć radość, ale potężny Hawajczyk dodał po chwili:

— I jutro nie będziemy podnosić kamyków rękami. Użyjemy do tego kubka. Ty nie będziesz ich liczył, Mun Ki. Zrobi to Keoki.

— Nie wierzysz mi? — zapytał Mun Ki.

Potężny Hawajczyk popatrzył uważnie na hazardzistę.

— Będziemy używać kubka — powtórzył i odszedł z przyjadółmi. Mun Ki siedział samotnie wpatrując się ponuro w kamienie na skale do

gry w fan-tan. Przypominał sobie każde spotkanie z Palani.

Wszystko zaczęło się owego dnia, kiedy zobaczyłem drewno na plaży, myślał. Miał zdrowe nogi, więc pobiegł i zdobył je dla siebie. Musiałem okazać swoją wśdekłość. Przez cały czas wiedział, co planowałem. Pozwalałem mu wygrać, a potem ogrywałem. Zły człowiek! Przez cały czas, kiedy drażniłem go, tak naprawdę, to on bawił się ze mną. Pozwalał, abym najpierw dawał mu

wygrywać, a potem go ograbił z wygranej. Sądziłem, że wciągam go w pułapkę i zmuszam do gry o drewno. Tymczasem to on mnie podszedł i zmusił do postawienia swojej belki. Ci cholerni Hawajczycy.

Zmartwiony, pokuśtykał do domu. Popatrzył na bezcenną belkę i zdał się na łaskę swojej żony.

— Jutro możemy stracić nasz dach — powiedział poważnym głosem.

— Jeszcze nie mamy dachu — odrzekła Nyuk Tsin.

— Ale mamy belkę do jego podtrzymania — zauważył ponuro Mun Ki. — I możemy ją stracić.

— Naszą belkę? — wykrzyknęła żona.

— Bądź cicho, Nyuk Tsin — błagał.

— Co zrobiłeś? — krzyknęła znowu, przypierając go do ściany. — Czy grałeś o nasze drewno?

— Będziemy mieć szansę — zapewnił ją i wytłumaczył jej jak podczas gdy sądził, że zwabił tępego olbrzyma, Palani, w pułapkę, w rzeczywistości sam w nią wpadł.

— Och, mężu! — krzyknęła Nyuk Tsin i zaczęła płakać. Pocieszał ją i spędzili noc, zastanawiając się nad swoimi szansami teraz, kiedy Palani nalegał na uczciwą grę.

O świcie, po nieprzespanej nocy, Mun Ki kreślił patykami znaki na mokrym piasku. Nagle spojrzął na żonę. Na jego grubych, zdeformowanych chorobą ustach pojawił się uśmiech.

— Dziś zaczyna się dla nas szczęśliwy okres — zapewnił ją i przestał się zamartwiać belką. — Trzy lata temu założyliśmy poletko taro. To był początek naszych kłopotów. Straciliśmy pieniądze. Rozchorowałem się. Oszukał nas chiński doktor i musieliśmy opuścić dom. Minęły trzy lata. Teraz rozpocznie się dla nas okres pomyślności, Nyuk Tsin! — wykrzyknął triumfalnie. Dzisiaj wygram belkę Palaniego, a w nocy będziemy spać pod własnym dachem.

Pelen nadziei, zaciągnął Nuk Tsin do skały fan-tan, gdzie czekali już Palani i Hawajczycy. Kamienie leżały na skale. Obok stał kubek z uchwytem. Ustalono, że gra zostanie poprowadzona w następujący sposób: Palani zbierze kamyki w kubek. Keoki, mający odgrywać rolę sędziego, obserwowany uważnie przez Mun Ki, będzie zbierał kamyki czwórkami, aż do ustalenia wyniku końcowego. W międzyczasie, Mun Ki postawi na parzyste lub nieparzyste, przy czym dodatkowo ustali konkretną liczbę. Jeśli postawi na parzyste, wybierze liczbę cztery i na skale pozostaną cztery kamyki, zdobędzie dwa punkty za odgadnięcie liczby parzystej oraz cztery dodatkowe punkty za odgadnięcie konkretnej liczby. Z drugiej strony, mógł postawić na liczbę nieparzystą i na cztery. Dzięki temu, jeśli wynik końcowy równałby się czterem i tak zdobyłby cztery punkty. Potem, on miał rzucać kamyki, a Palani obstawiać. Ten, który jako pierwszy zdobędzie sto punktów, wygra dach przeciwnika.

Palani, szczęśliwy, że w końcu zmierzy się z Chińczykiem w uczciwej walce, miał pewność wygranej. Z drugiej strony, Mun Ki, przepelniony radością, gdyż właśnie rozpoczął się dla niego sześćioletni okres szczęścia, także nie wątpił w swoją wygraną. Patrzył jak ogromny Hawajczyk zbiera kamyki, trzyma je w górze i czeka na zakład.

— Nieparzyste i trzy — zawołał Mun Ki.

Kamyki złożono przed sędzią. Koło obserwujących grę zacieśniło się. Walkę o belkę do podparcia dachu oglądał tłum straszliwych postaci. Niektórzy spośród mężczyzn nie mieli rąk, inni stóp. Niektórym odpadły wargi. Wielu nie miało nosów. Cuchnęło od nich charakterystycznym zapachem trędowatych.

Brązowe skóry często pokrywały chorobliwe białe plamy. Wypadały im włosy, czasami oczy. Byli kfiykaturami mężczyzn. Przekłęci przez naturę tak bezwzględna, że tylko nieliczni nie będący trędowatymi, mogli to sobie wyobrazić. Gracze w fan-tan byli w rzeczywistości żywymi trupami. Na ich widok, zdrowi czuli na ciele ciarki. Byli martwi od chwili, gdy ich ciała wyrzucono na plażę w Kalawao. Martwi, zapomniani, porzuceni.

Jednak teraz, w promieniach słońca śmiali się, a sędziemu pozwolono pełnić tę funkcję, chociaż palce odliczające po cztery kamienie były okaleczone, ponieważ był znany z uczciwości.

— Nieparzyste i jeden — wykrzyknął. — Dwa punkty dla Pake. Tłum wiwatował.

Kiedy przyszła pora, aby Mun Ki zebrał kamyki, wyszła pewna trudność. Był w stanie zebrać kamyki kikutem dłoni, ale nie miał dość palców, żeby unieść kubek, po dwóch próbach zwrócił się z prośbą do tłumu i uzyskał zgodę. Przekazał kubek Nyuk Tsin. To ona zebrała kamyki.

— Nieparzyste i trzy — krzyknął Palani. Gdy sędzia policzył kamyki, oznajmił:

— Parzyste.

— To nasz szczęśliwy rok! — wykrzyknął radośnie Mun Ki i zaczął wyjaśniać, jak zgodnie z Chińskimi wierzeniami po trzech latach nieszczęść następuje sześć lat szczęścia. — Wczorajszej nocy zaczął się dla nas sześcioletni okres szczęścia — zachichotał. Przy następnym ruchu Palaniego zdobył sześć punktów. Postawił na parzyste i dwa. Właśnie tyle kamyków pozostało na skale.

W połowie gry Mun Ki prowadził pięćdziesiąt do trzydziestu dziewięciu. Zdziwiał się z jaką łatwością zdobywał punkty.

— To nasz szczęśliwy rok! — powtarzał w podnieceniu. Kiedy słońce zaczęło mocno prażyć, nie było już wątpliwości, że Palani straci swój dach. Mimo to, grał do końca. Chińczyk wygrał uczciwie sto do osiemdziesięciu trzech. Ogromny Hawajczyk wstał, rozprostował kości i powiedział:

— Sam zaniósę belkę do twojego domu.

Hawajczycy, ci którzy mogli chodzić, utworzyli pochód i zanieśli drewno Palaniego do kamiennych ścian zbudowanych przez Nyuk Tsin. Pocięli drewno na kawałki i zrobili z niego deski na dach. Ci, którzy byli dość zdrowi i zwinni, weszli na górę, przyczepili deski na miejsce i przymocowali do nich maty z trawy pili. Przed wieczorem dach był gotowy. Mun Ki spoglądając na niego z dumą wyjaśnił wszystkim:

— To jest naprawdę mój szczęśliwy rok.

Nyuk Tsin ujrzawszy rozczerwanie na zniekształconej twarzy Pakniego, nie radząc się męża, podeszk do niego i oznajmił:

— W naszym domu znajdzie się miejsce dla jeszcze jednej osoby. — Wzię-k Palaniego za rękę i wprowadził go do środka.

Tłum widząc ten gest, zaczął wiwatować, a potem ciekawie czekał na reakcję Mun Ki, ale ten wykrzyknął tylko:

— To jest początek moich sześciu lat szczęścia.

Zabranie do domu umierającego Pakniego, było jedną z najlepszych rzeczy, jakie Nyuk Tsin kiedykolwiek zrobił. Był żeglarzem i łgał jak z nut. Podczas burz, siadał w ciemnej chacie i opowiadał Chińczykom o dalekich krajach. Nyuk Tsin wydawało się cudowne, że jeden człowiek mógł tyle w życiu doświadczyć.

— Azja, Afryka, Ameryka — wykrzykiwał — to wspaniałe miejsca warte obejrzenia.

Gdy mówił, Mun Ki i jego żona wyobrażali sobie odległe kontynenty i doceniali niewyobrażalne skarby, jakie ich synowie mieli otrzymać. Pewnej nocy Mun Ki poprosił:

— Kiedy wrócisz do chłopców, Ciotko Wu Chow, naucz ich czytać. Powinni dowiedzieć się o wszystkim, co nam opowiada Palani. — Cieszę się, że przybyłem do Kraju Pachnących Drzew — powiedział nawet kiedyś. — Mężczyzna powinien przeżywać wielkie przygody.

Opowieści z forkaasztelu snute przez Palaniego pobudzały wyobraźnię Nyuk Tsin. Teraz widziała, o ile lepiej jest żyć z sąsiadami niż bez nich, jak to się działo, kiedy pędziła życie żony Hakka w Honolulu. Czasem, podczas deszczowych nocy, troje ludzi mieszkających pod tym samym dachem znajdowało dziwną radość ze swojego towarzystwa. Tak zaczęła się zadziwiająca służba Nyuk Tsin w Kalawao. Gdy Palani umarł, pomogła go pogrzebać i sprowadziła pod swój dach małżeństwo. Umarli, i znowu pomagała przy pogrzebie. Ludzie zaczęli nazywać ją Pake Kokua. Zawsze po przybyciu nowej łodzi z trędowatymi, pomagała wyrzuconym na niegościnnie plaże Kalawao. Szła między nich i mówiła, pokazywała jak mogą ułatwić sobie życie podczas kilku pierwszych tygodni, kiedy będą musieli spać na ziemi pod gołym niebem. Uczyła ich jak budować domy i dzień po dniu wspinała się po skałach w poszukiwaniu drewna dla innych. Najlepszą rzeczą, jaką robiła było to, że przez jakiś czas trzymała w swoim domu każdą dziewczynę, która przybyła na wyspę. Dziewczyna była u niej bezpieczna jak w starożytnych, świętych sanktuariach hawajskich istniejących jeszcze zanim na wyspy przybyli biali. Podczas tych dni, Nyuk Tsin przyprowadzała dziewczynie całą masę ewentualnych przyszłych mężów i mówiła poważnie:

— Przybyłaś tu, by umrzeć. Zrób to z godnością.

Wiele małżeństw, o ile można tak nazwać te związki, było zawartych i skonsumowanych pod dachem Nyuk Tsin. Wieści o Pake Kokua dotarły do Honolulu.

Ze swej strony, Mun Ki rozkoszował się swoimi chwilami szczęścia. Nadał prowadził fan-tan i cieszył się, gdy pewnego razu statek przywiózł bliskiego śmierci Chińczyka z Kantonu. Przez dwa lata udawało mu się ukrywać w Iwi-lei, zanim nie wydał go zielarz — oszust, który w ten sam sposób potraktował Mun Ki. Godzinami grali w fan-tan, a Mun Ki nalegał:

— Proszę, zbieraj kamyki kubkiem.

Potem, trąd zbierający się dotąd w jego ciele, nagle wybuchnął ze straszliwą siłą w wielu miejscach. Nie był już w stanie wychodzić z domu, który zbudowała dla niego Nyuk Tsin. Nie mogła dać mu żadnych lekarstw ani na straszliwe rany, które otworzyły się na jego ciele, ani na atakujące go zapalenie płuc. Nie mogła podawać mu zróżnicowanego jedzenia. Mieli tylko soloną wołowinę i poi. Nie było kocy, żeby przygotować mu miękkie łóżko. Ale pozostawała jeszcze troskliwa opieka Nyuk Tsin. Okropne dni mijały jeden po drugim. Śmierć opóźniała się. Nyuk Tsin siedziała przy mężu i słuchała jego ostatnich instrukcji.

— Masz wysłać mojej żonie pieniądze — przypomniał jej. — A kiedy chłopcy ożenią się, wyślij wiadomość do wioski. Próbuj realizować wszystkie swoje marzenia, bo to są moje szczęśliwe lata.

Gdy śmierć zbliżała się, stał się bardzo łagodny. Biedny, wycieńczony cień człowieka, duch, oznajmił gubernatorowi osady:

— Gra fan-tan należy teraz do ciebie.

— Kocham cię. Ty jesteś moją prawdziwą żoną — powiedział Nyuk Tsin i umarł.

Wygrzebała jego grób w piaszczystej glebie, wybierając miejsce na zboczu wzgórza, tak jak sobie tego życzył. Nie wiały tam wiatry, a chociaż nie było drzewa, przynajmniej był kamień nagrobny, na którym mógł odpocząć duch w czasie podróży do i z grobu.

Nyuk Tsin zamieniła teraz swój dom na szpital. Nie widywano już leżących na dworze chorych, okaleczonych ludzi. Opiekowała się nimi do ostatniej chwili. Czasami przez pięć lub sześć dni pod rząd nie widziała ani jednego całego człowieka. Zajmowała się tymi, o których nawet Bóg zapomniał. Nie odrażał jej żaden stopień rozkładu. Rząd w Honolulu nie był w stanie przysłać wygnanym lekarstw, bandaży ani nawet skalpeli, którymi można by odcinać odpadające kończyny. Nyuk Tsin wypracowała więc własne metody. Wielu Hawajczyków błogosławiło ją i nazywało Pake Kokua. Gdyby ktoś zapytał ją, „Pake, dlaczego pracujesz tak ciężko dla Hawajczyków?”, odpowiedziałyby: „Ponieważ Kimo i Apikela przyjęli mnie do siebie”.

W owych dniach wyrobiła w sobie pewne przyzwyczajenie. Każdego wieczora, zanim zapadł mrok, siadała w odosobnieniu i zdejmowała ubranie. Sprawdzała, czy nie pokazały się objawy trądu. Zaczynała od twarzy, potem oglądała piersi i boki. Uważnie lustrowała ręce i nogi. W końcu podnosiła swoje duże stopy i przyglądała się każdemu palcowi z osobna. Zadowolona, że i tego dnia nie zauważyła objawów trądu, ubierała się i szła do łóżka. Musiała robić to przed zapadnięciem ciemności, ponieważ rząd w Honolulu nie potrafił znaleźć funduszy na lampy i oliwę dla trędowatych. Kiedy przychodziła noc, lazaret tonął w piekielnych ciemnościach. Świat stawał się zły. Ale Nyuk Tsin, chociaż z nikim nie związana, nie musiała się niczego ani nikogo obawiać. Spała spokojnie, wiedząc, że jak na razie nie jest trędowatą.

Na początku 1873 roku przysłano Nyuk Tsin wiadomość, iż w nagrodę za pomoc, jakiej udzieliła Kalawao, wolno jej będzie powrócić do cywilizacji. Naturalnie jeśli po jej przybyciu do Honolulu trzech lekarze zaświadczą o jej dobrym stanie zdrowia. Wiadomość ta wywołała wiele dyskusji pomiędzy trędowatymi. Przeważała jedna reakcja: chociaż było im smutno, nikt nie odmawiał jej prawa do wyjazdu. Zanim przyplłynął statek, ta dwudziestosześcioletnia chińska dziewczyna włóczyła się po całym półwyspie Kalawao. Wspięła się na wygasły krater wulkanu, przeszła na zachodnią stronę półwyspu, gdzie według niej, niewielka osada Kalaupapa stworzyłaby znacznie lepsze warunki dla trędowatych niż leżące na wschodzie Kalawao. Przede wszystkim, patrzyła na wznoszące się ku niebu klify zdobiące otaczające półwysep i obserwowała igrające na swobodzie kozy.

— Nigdy nie sądziłam, że opuszczę Kalawao — powiedziała sama do siebie. — Oby ci, którzy zostają mieli w przyszłości godziwe życie.

W dniu wyjazdu Nyuk Tsin, mała „Kilauela” zacumowała u stóp klifów. Skrzynie i bydło zostało wyrzucone do morza. Przyplłynęła łódź ze skazanymi na wygnanie i chociaż Nyuk Tsin zamierzała popłynąć na statek pierwszą łodzią, teraz zmieniła zdanie. Chodziła pomiędzy drżącymi z przerażenia nowo przybyłymi. Łamanym hawajskim wyjaśniała im jakie są warunki w Kalawao. Kiedy łódź przybiła do brzegu po raz ostatni, marynarze musieli ją ostrzec:

— Hej, Pake! Lepiej chodź już, co?

Idąc w stronę łodzi, spotkała wysiadającego z niej małego, białego człowieka w czarnej szacie duchownej. Nosił okulary, a jego oczy były osadzone blisko siebie. Miał włosy zaczesane prosto do góry jak u chłopca. Płynąc razem z bydłem, ubrudził się. Miał brud za paznokciami. Wysiadając na brzeg Kalawao, oddychał głęboko jak w transie. Patrzył w przerażeniu na obraz roztaczający się przed jego oczami.

— Jestem ojciec Damien — zwrócił się do gubernatora Kalawao. — Przybyłem wam służyć. Czy możesz pokazać mi dom, w którym mam się zatrzymać?

Nyuk Tsin była zbyt zaskoczona tym, że biały dobrowolnie przybył pomagać trędowatym i nie potrafiła w porę wykrztusić z siebie: „Możesz wziąć mój dom!” Zanim ta myśl przyszła jej do głowy, marynarze już wciągali ją do łodzi. Odpłynęła. Widziała, jak trędowaci tłumaczyli księdzu, iż w Kalawao nie ma domów i razem z innymi nowo przybyłymi, będzie musiał spać na ziemi, pod drzewem.

Po powrocie z lazaretu, Nyuk Tsin oświadczyła pragnienie, by odzyskać dzieci. Gdy tylko „Kilauela” przycumowała, wybiegła na nabrzeże; szczupła, dwudziestosześcioletnia wdowa, Chinka o rzadkich włosach ubrana w niebieski kaftan, niebieskie spodnie i spiczasty kapelusz z trzciny bambusowej zawiązany pod brodą. Miała białe stopy. Po ośmiu burzliwych latach spędzonych na Hawajach, posiadała tylko to, co miała w tej chwili na sobie. Ani szczoteczki do zębów, ani kaftana na zmianę. Naturalnie pozostało jej jeszcze siedem akrów bagnistej ziemi, od doktora Whipple'a. Idąc w górę doliny Nu-uanu, nie zatrzymała się, aby przyjrzeć się tej ziemi. Pomyślała tylko: „Wieczorem będę musiała przekopać to pole”.

Szła do leśnego domu Kinio i Apikeli. Wreszcie dotarła do ścieżki odchodzącej od głównej drogi. Zagłębiła się w bujną roślinność i zaczęła biec. Wiatr zwił do tyłu kapelusz, który teraz zwisał za sznurek na jej szyi. Wybiegła na polanę, na której powinny być dzieci, ale rodzina znajdowała się w domu i doszła prawie do drzwi, zanim Apikela ją zauważyła.

— Pake! Pake! — wykrzyknęła ogromna Hawajka i pobięła ją uściskać. Nyuk Tsin spoza jej ramienia liczyła dzieci. Doliczyła się tylko czterech

chłopców w wieku od siedmiu do czterech lat. Stali w cieniu, wystraszeni przybyciem intruza.

— Gdzie jest piąty chłopiec? — zapytała Nuk Tsin, z trudem łapiąc oddech.

— Nie ma piątego — odrzekła Apikela.

— Nie dostaliście ze statku mojego dziecka?

— Nie słyszeliśmy o żadnym dziecku.

Nyuk Tsin była zrozpaczona utratą najmłodszego syna, ale jednocześnie czuła radość na widok pozostałych synów. Stała samotnie w małym domku z trawy. Popatrzyła najpierw na Apikelę, potem na zaspanego Kimo i w końcu na swoich czterech synów. Na chwilę zapomniała o zaginionym chłopcu. Ruszyła w stronę dzieci, jakby chciała je przytulić. Dwóch najmłodszych naturalnie cofnęło się do tyłu, bo nie znali jej. Starsi, ponieważ słyszeli, że ich matka była trędowata. Nyuk Tsin, wyczuwając ten drugi powód, zatrzymała się. Odwróciła się do Apikeli i powiedziała:

— Dobrze opiekowałaś się moimi dziećmi.

— Sprawiało mi to radość — zaśmiała się potężna Hawajka.

— Jak zdołałaś jej wykarrrrnić — zapytała Nyuk Tsin sycąc oczy widokiem krzepko wyglądających synów.

— Zawsze można wykarmić dzieci — zapewnił ją Kimo. — Czasami pracowałem. Czasami Chińczycy dawali nam trochę pieniędzy.

— Czy oni mają piąte dziecko?

— Nigdy o tym nie wspominali — odpowiedziała Apikela.

Ogromna kobieta zauważyła jak bardzo chłopcy bali się swojej matki. Przytuliła ich do siebie, jak zwykła to robić. Kiedy znaleźli się już w jej objęciach, wysunęła brzuch i otworzyła ramiona, które pochłoneły Nyuk Tsin w swoich czeluściach. Stało się coś dziwnego. Teraz ta drobna, wychudzona Chinka bała się trądu. Zamiast przytulić swoich synów, wycofała się, jakby była nieczysta. Chłopcy patrzyli w milczeniu, a ona stała z rękami schowanymi za siebie, żeby broń Boże ich nie dotknąć.

— Boję się — przyznała pokornie i Apikela zabrała dzieci.

Po hałaśliwym posiłku, podczas którego chłopcy rozmawiali wesoło z Kimo, a Apikela zadała z tuzin bezsensownych pytań o Kalawao, Nyuk Tsin powiedziała:

— Muszę obejrzeć swoją ziemię.

Szybkim krokiem ruszyła ku odległemu o prawie siedem kilometrów podmokłemu poletku. Nie zatrzymała się tam. Poszła dalej, zobaczyć się z rodzinami Punti i Hakka. Nie znali losów jej syna. Ponieważ były to rodziny z „Car-thagenian”, czuli się zobowiązani, aby pomóc wdowie po Mun Ki. Zebrali dla niej zestaw narzędzi ogrodowych, trochę nasion, torbę z ziarnem taro oraz bambusową tyczkę z przyczepionymi do niej dwoma koszami. Tak zaopatrzona, wróciła na swoje pole. Pracowała na nim prawie do północy.

Jego niższą, bagnistą część otoczyła rowami. Doskonale nadawała się po uprawę taro. Dzięki tak stworzonemu systemowi irygacyjnemu, osuszyła wyżej położone tereny. Woda odsłoniła dobrą aluwialną glebę. Nyuk Tsin wykopała grządki i przygotowała to miejsce na zasadzenie chińskich warzyw. Pozostawał jeszcze trochę mniejszy kawałek. Mogły tam rosnąć warzywa spożywane przez haole. W ten sposób, pierwszej nocy Nyuk Tsin wypracowała system, który miała stosować przez wiele lat: taro dla Hawajczyków, chińska kapusta i groch dla Chińczyków oraz fasola i irlandzkie ziemniaki dla haolii. Wiedziała, że wszyscy muszą jeść.

Każdego dnia o świcie brała na ramiona bambusową tyczkę. Zawieszała na niej dwa kosze. Zakładała swój stożkowy kapelusz i boso szła do swojego ogrodu. Kiedy warzywa dojrzały, napełniała kosze i wyruszała na długie wędrówki po ulicach Honolulu. Bez względu na to, ile zarobiła w danym domu, pieniądze jej nie interesowały. Interesowało ją czy nie ma tam około czteroletniego Chińskiego chłopca. Nie znalazła syna, ale rozwinęła całkiem dochodowy handel warzywami.

Po zmroku, Nyuk Tsin nadal pracowała, porządkując swoje pole. Kiedy wschodziły gwiazdy, ostrożnie zbierała do koszy wszystkie warzywa, których nie sprzedawała. Zarzucała je na ramiona i przemierzała siedem kilometrów w górę doliny do polany, gdzie jej synowie leżeli już w łóżkach, pogrążeni we śnie. Były dni, kiedy wcale ich nie widywała. Siadała wówczas i rozmawiała z Kimo i Apikele o ich przeszłości.

Pewnej nocy, w powrotnej drodze padał deszcz. Z trudem niosła swój ciężar w górę doliny. Dotarła do domu zziębnięta i przemoczona. Przypomniała sobie owe dni w osadzie trędowatych, gdy Palani opowiadał im o szerokim świecie.

Obudziła chłopców i stanęła przed nimi, mokra, zabłocona. Dzieci przecierały oczy i starały się zrozumieć, co mówiła. Ledwie mówiły po chińsku, a jej hawajski nie był biegły, mimo to wyjaśniła:

— Gdzieś w Honolulu jest wasz brat...

Chłopcy zaczęli się wiercić. Kazała im stać spokojnie, ale nie rozumieli.

— Hej wy, kanaki! — krzyknęła Apikela. — Cisza! Wasza ciotka do was mówi! Cholerni Pake!

Chłopcy stali w milczeniu.

— Wasz ojciec pragnął, abyście podzielili między siebie cały świat — przemówiła Ciotka Wu Chow. — Chciał, abyście się uczyli i byli mądrzy. Powiedział: „Pracujcie ciężko, a świat będzie należał do was”.

Wzięła za rękę najstarszego syna i wyciągnęła go na środek pokoju, mówiąc:

— Azjo, musisz uczcić pamięć swojego ojca ciężką pracą. Zaspany chłopiec pokiwał głową, nieświadom składanej obietnicy. Powtarzała ojcowski rozkaz każdemu z synów po kolei:

— Pracuj ciężko.

Po chwili dodała, zwracając się do słuchających jej uważnie chłopców:

— Pomożecie mi w odnalezieniu waszego brata Australii.

— A gdzie on jest? — zapytał Azja.

— Nie wiem — odpowiedziała Ciotka Wu Chow — ale musimy go odnaleźć. Kiedy zaspani i zdezorientowani chłopcy wrócili do łóżka, usiadła z Ha-

wajczykami. Starła się dowiedzieć, który z jej synów zapowiadał się na najinteligentniejszego. Była to niesłychanie ważna sprawa, ponieważ Nyuk Tsin była w stanie opłacić staranne wykształcenie w Ameryce tylko dla jednego z nich. Należało zatem jak najwcześniej wybrać kandydata i skoncentrować się na zapewnieniu mu dobrych warunków nauki.

— Jak sądzisz, który z nich jest najlepszy? — zapytała Kimo.

— Ja lubię Europę — odpowiedział Kimo.

— Owszem, lubisz go — zgodziła się Nyuk Tsin — ale który z nich jest najmądrzejszy?

— Ameryka — odpowiedział olbrzym.

Nyuk Tsin również tak uważała. Mimo to zapytała Apikelę:

— Czy sądzisz, że Ameryka ma odwagę, by walczyć?

— Afryka walczy najdzielniej — odrzekła Apikela.

— Ale którego z chłopców posłałabyś na kontynent?

— Amerykę — powiedziała Apikela bez chwili wahania.

W 1875 roku Nyuk Tsin miała już zaoszczędzonych prawie dwadzieścia pięć dolarów. Gdyby jej dochody wzrastały nadal w takim tempie, byłaby w stanie wykształcić wszystkich synów. Zdawała sobie jednak sprawę, iż miała poważne zobowiązania. Kiedy uzbierała pełne dwadzieścia pięć dolarów, zabrała ze sobą synów i udała się do sklepu Punti.

— Chcę, żebyście dobrze zrozumieli to, co robimy — powtarzała kilka razy.

W sklepie ustawiła chłopców tak, by nawet sześciolatek Ameryka mógł śledzić transakcję, która miała za chwilę nastąpić.

W tamtych latach Chińczycy nie korzystali z banków, ponieważ nie było banków prowadzonych przez Chińczyków. Żaden człowiek wschodu nie powierzyłby białemu swoich pieniędzy. Majątek trzymano w ukryciu, dopóki nie zebrano znacznej sumy. Wówczas niesiono oszczędności, podobnie jak zrobiła to Nyuk Tsin, do sklepu Punti albo Hakka. Z całkowitym zaufaniem przeka-

zywano je właścicielowi sklepu. Ten, za trzy procent od sumy, przekazywał je sobie tylko znanymi sposobami do Niskiej Wioski, jak teraz albo do Wysokiej Wioski, jeżeli adresatem był Hakka. Wybuchły wojny i rewolucje. Hawaje przeżywały lata prosperity i zastoju. Ludzie umierali. Piraci przechwytywali statki, ale pieniądze wysyłane ze sklepu Puntí w Honolulu zawsze docierały do niskiej Wioski.

— Te pieniądze są przeznaczone dla żony Kee Mun Ki — wyjaśniła Nyuk Tsin właścicielowi sklepu.

Skinął głowę.

— Dla wdowy w Niskiej Wiosce. Powiedz jej, że jako oddani synowie, jej czterej chłopcy przysyłają pieniądze... i wyrazy synowskiego oddania.

Właściciel ponownie skinął głową i zaczął pisać.

Gdy ukończył list, napisany dziwnymi znaczkami, które na Hawajach potrafili odczytywać tylko nieliczni, Nyuk Tsin z dumą wręczyła go synom i powiedziała:

— Wysyłacie pieniądze do swojej matki. Musicie to robić dopóty, dopóki ona żyje. Jesteście jej to winni.

Mali chłopcy z opadającymi na plecy warkoczami, w czystych ubrankach, z powagą przekazywali sobie list. Każdy z nich w jakiś sposób wyobrażał sobie Chiny i matkę siedzącą w czerwonej szacie, otwierającą list i znajdującą w środku pieniądze. List wrócił do właściciela sklepu. Nyuk Tsin ustawiła chłopców w rzędzie i powiedziała:

— Pamiętajcie, dopóki wasza matka żyje, musicie spełniać ten obowiązek.

Chłopcy zrozumieli. Gigantyczna Apikela była dla nich matką, ponieważ śpiewała im piosenki i całowała. Ciotka Wu Chow przynosiła jedzenie i w pewnym sensie też była dla nich jak matka. Jednak prawdziwa matka, jedyna, która tak naprawdę liczyła się, mieszkała w Chinach.

Ponieważ Nyuk Tsin uznała ten dzień za stracony, postanowiła sprawdzić pewną wiadomość, która bardzo ją zafascynowała. Poprowadziła swoich czterech rozpromienionych chłopców z powrotem do doliny Nuuanu, a potem weszła z nimi do mniejszej doliny, gdzie na polu stał duży budynek. Budynek należał do Kościoła Anglikańskiego.

Religia ta, łagodna, pełna wspaniałych ceremonii, ostro kontrastowała z ponurym, obcym sercem Hawajczyków kalwinizmem. Gdy hawajskie alie odkryły ją, wkrótce większość z nich nawróciła się na wiarę Kościoła Anglikańskiego. Uwielbiały piękne śpiewy, woń kadzideł i bogate szaty.

Jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobili angielscy misjonarze było otwarcie nowej szkoły, do której teraz zbliżała się Nyuk Tsin. Ku ogólnemu zdumieniu, Anglicy oznajmili:

— Do naszej szkoły będziemy przyjmować również chińskich chłopców. Sam pomysł, by przyjąć większą liczbę Chińczyków do dużej, dobrej szkoły

w Punahou w 1875 roku byłby uważany za odrażający i zbyt drogi dla Chińczyków. Dlatego najzdolniejsi spośród nich udawali się do lolani, gdzie teraz Nyuk Tsin prowadziła synów.

Powitał ją jeden z najdziwniejszych ludzi, jacy zamieszkiwali Hawaje — Uliasutai Karakoram Blake. Wysoki, chudy Anglik miał długie, zwisające wąsy i był kompletnie łysy, chociaż miał dopiero dwadzieścia osiem lat. Urodził się przedwcześnie, kiedy jego żądni przygód rodzice, pochodzący z hrabstwa Shropshire w Anglii, podróżowali z karawaną wielbłądów poprzez Mongolię. Stało się to gdzieś w drodze pomiędzy miastem od którego otrzymał pierwsze imię, a miastem, od którego pochodziło jego drugie imię. Lubił wy-

jaśniać, że: „ wytrząsło mnie przed czasem przez ciągle kołysanie i podskoki wielbłądów, które praktycznie rozwały miednicę mojej świętej matki". Dorastał mówiąc po chińsku, rosyjsku, mongolsku, francusku, niemiecku i angielsku. Teraz był także mistrzem pidgin. Przeróżający fanatyk dyscypliny, a jednocześnie człowiek kochający dzieci. Już dawno temu nauczył się, żeby nie mówić po chińsku z ludźmi wschodu mieszkającymi na Hawajach. Mówili przeważnie w narzeczu kantońskim albo w Punti. Nie znał tych języków. Ny-uk Tsin przemówiła do niego w Hakka, dosyć podobnym do Mandaryna i mógł ją zrozumieć. Natychmiast ją polubił.

— Chcesz więc zapisać tych czterech obiecujących Leo-tse do naszej szkoły?

— To nie są Leo-tse — poprawiła go. — Ich nazwisko rodowe brzmi Mun Ki. Uliassutai Karakoram Make, który wymagał, aby wszyscy znajomi nazywali go pełnym imieniem i nazwiskiem, spojrział srogo na Nyuk Tsi i zapytał:

— Czy w kufrach Mun Ki znajdują się jakiegokolwiek pieniądze?

— Mun Ki nie żyje — odpowiedziała.

Blake przełknął to. Lubił praktyczne kobiety. Mimo to, po raz trzeci spróbował ją zmiękczyć:

— Czy ma pani jakikolwiek powód, by wierzyć, że osieroceni synowie Mun Ki mają choćby najmniejsze zdolności naukowe?

Nyuk Tsin myślała przez chwilę, a potem odpowiedziała:

— Ameryka może się uczyć. Pozostali nie są zbyt błyskotliwi. Uliassutai Karakoram skłonił się głęboko, tak iż prawie wycierał podłogę swymi długimi wąsami.

— Madam — wykrzyknął — uczę w Iolani od trzech lat, ale pani jest pierwszą matką, która potrafiła ocenić swoje dzieci w sposób zbliżony, do mojego. Szczerze mówiąc, pani synowie nie wyglądają na szczególnie błyskotliwych, ale uniżenie witam Azję, Europę, Amerykę i Afrykę w naszej szkole.

Wymienił bardzo formalne uściski rąk z każdym z chłopców, a następnie wydarł się w pidgin:

— Wy lepiej mnie słuchać, albo ja złoić wasze skóry. Chłopcy uwierzyli w jego słowa.

W późniejszych latach, kiedy na Hawajach weszły w życie formalne zasady zatrudniania, żaden łysy nauczyciel nie posiadający rekomendacji, z blisko dziesięciocentymetrowej długości wąsami i na dodatek nazywający się Uliassutai Karakoram Blake, nie zostałby zatrudniony w szkole. Jednak w 1872 roku, Iolani potrzebowało nauczycieli, a w Blake'u znaleziono człowieka, który miał pozostawić po sobie niezatarty ślad.

Gdy biskup po raz pierwszy spojrział na przerażająco wyglądającego młodego człowieka, zapytał:

— Jakie ma pan przygotowanie do nauczania?

— Zostałem wychowany na wielbłądzim mleku, sir — odpowiedział Blake. Odpowiedź byk tak bezsensowna, że został przyjęty.

Gdyby Blake został zatrudniony w dobrej szkole, takiej jak Punahou, nie miałoby znaczenia czy posiadał właściwe kwalifikacje, czy nie. Po ukończeniu Punahou, będącej w owych czasach najlepszą szkołą na zachód od Illinois, jego uczniowie udaliby się do Yale. Tam zaradzono by ewentualnym niedopatrzonom. Poza tym, gdyby nauczyciele nie spełniali właściwie swoich obowiązków, rodzice byli w stanie nadrobić wszelkie braki. Natomiast w Iolani uczniowie otrzymywali wykształcenie od nauczycieli albo nie otrzymywali go wcale. Wkład Blake'a polegał na tym, że pomimo swoich długich wąsów i przerażającej dbałości o szczegóły dotyczące an-

gielskich manier, kształcił Chińczyków. Uczył ich mówić piękną angielszczyzną, jednocześnie przeklinając ich w pidgin, gdy tego nie robili. Nawrócił ich na anglikanizm, chociaż sam pozostał buddystą. Uczył ich pływać po zatoce łodzią, twierdząc, iż nikt kto nie ma łodzi i konia nie może być džentelmenem. Ponad wszystko, nie traktował ich jak Chińczyków. Zachowywał się tak, jakby mieli prawo prowadzić banki, startować w wyborach do legislatury czy posiadać ziemię.

Działo się to w czasach, kiedy wielu ludzi na Hawajach z obawą spoglądało w przyszłość. Nie chcieli, aby Chińczycy chodzili do szkół ani prowadzili duże przedsiębiorstwa. Szczerze bali się intelektualistów i ludzi interesu ze wschodu. Mieli nadzieję, że Chińczycy zadowolą się pracą na plantacjach, nie będą mieli większych aspiracji. Ich nadzieje okazały się płonne. Gdy zobaczyli jak ich marzenia padają w gruzach, a Chińczycy pojawiają się we wszystkich dziedzinach życia publicznego, popadali w panikę. Próbowali forsować idiotyczne przepisy, popędzające wszystkich Chińczyków albo zabraniające im wykonywania niektórych zawodów. Owi przerażeni ludzie powinni byli zrobić coś znacznie prostszego. Powinni byli zastrzelić Uliassutai Karakoram Blake'a.

W dniu kiedy chiński robotnik na plantacji zaoszczędził dzięki ciężkiej pracy kilka pensów potrzebnych, aby wysłać syna do Iolani, rozpoczęła się swego rodzaju rewolucja i nic na świecie nie mogło jej powstrzymać. Gdy Blake nauczył pierwszego chińskiego chłopca alfabetu, skazał na zagładę stary system terminu u mistrza. 'Chłopiec, potrafiący czytać, prędzej czy później natrafi na książkę, która natchnie go jakąś ideą, a chłopiec natchnięty taką ideą może osiągnąć wszystko. Na Hawajach nie traktowano wówczas Chińczyków zbyt dobrze. Szaleńcy rozpętujący piekło na plantacjach — gangi nadzorców — często zabawiały się wiążąc dwóch Chińczyków za warkocze i katując ich obu w tym samym czasie. Inni, pijani, przywiązywali Chińczyka za warkocz do ogona końskiego i poganiali konia. Chińczycy mścili się, aż szaleńcy przyjęli zasadę: „Nigdy nie chodź na pole, gdzie pracuje więcej niż sześciu Chińczyków z maczetami. Nigdy”.

Pewnej nocy, rozwścieczony Chińczyk, z jakiegoś nie znanego powodu, z krzykiem wdarł się do sypialni konsula francuskiego i zmasakrował go przy pomocy noża. Nie były to łatwe czasy, a Chińczycy w żadnym wypadku nie przypominali owych opisanych niegdyś przez „Honolulu Mail” potulnych ludzi Wschodu. Potrafili być chciwi. Błyskawicznie mścili się za obelgi. Poza tym zdecydowanie nie godzili się na przedłużenie umów o pracę, na podstawie których mieli zarabiać trzy dolary za czternaście godzin ciężkiej pracy dziennie.

Wzajemne stosunki były napięte. Chiński eksperyment nie powiódłby się, gdyby Uliassutai Karakoram Blake po cichu nie uczył swoich chłopców:

— Te same cnoty, które wychwała się w Chinach, doprowadzą was do sukcesu na Hawajach. Uczcie się. Słuchajcie swoich rodziców. Oszczędzajcie pieniądze i zadawajcie się tylko z uczciwymi ludźmi.

Przykładał także duże znaczenie do mądrości każącej dostosować się do zwyczajów przestrzeganych przez większość społeczeństwa:

— Obetnijcie warkocze — radził — i ubierajcie się jak Amerykanie. Wstąpcie do ich kościołów. Zapomnijcie, że jesteście Chińczykami.

— Skoro my powinniśmy porzucić buddyzm, dlaczego pan tego nie zrobi? — zapytał jeden z chłopców.

— Kiedy wyjadę z Hawajów — odpowiedział Uliassutai — wrócę do An-

gli, gdzie pozwala się na wiele swobód. Wy natomiast nigdy nie opuścicie tych wysp. Będziecie musieli żyć wśród Amerykanów, a oni gardzą większością swobód, więc przystosujcie się.

Był trudnym, upartym człowiekiem i zmienił całą rasę.

Nyuk Tsin idąc do pracy o świcie, zabierała ze sobą swoich czterech synów. Zanim otwarto szkołę, pracowali z nią na polu. Gdy zbliżał się czas lekcji, moczyła szmatę w mętnej wodzie pokrywającej poletko taro i myła chłopców. Potem, wysyłała ich do szkoły. Pod koniec dnia, wracali, by pracować na grządkach warzyw. Po zmroku razem wracali do domu. Tam potężny Kimo czekał na nich z gorącą kolacją. Po roku tak ostrego reżimu, Kimo, zmęczony ilością pracy wykonywanej przez Chińczyków, zaproponował:

— Może opuścilibyśmy ten dom i zbudowali mały domek na poletku z warzywami. Wówczas nikt nie będzie musiał chodzić tyle kilometrów, a ja będę miał bliżej do sal bilardowych.

Nyuk Tsin zastanawiała się przez chwilę i odpowiedziała:

— Nie chciałabym oddać nawet centymetra poletka z warzywami pod domek.

— Ale — argumentował Kimo — w zamian za małeńki skrawek ziemi w warzywniku, będziesz miała mnóstwo ziemi tutaj.

— Jeżeli tak zrobimy — sprzeciwiła się Nyuk Tsin — Apikela będzie musiała iść bardzo daleko po maile. Potrafię chodzić znacznie lepiej niż Apikela.

— Chodziło mi o to — wyjaśnił Kimo — że Apikela przestałaby wówczas zawracać sobie głowę zbieraniem maile i mogłaby ci pomóc w uprawie warzyw. W ten sposób, chłopcy mieliby więcej czasu na naukę.

Plan wydawał się bardzo rozsądny. Następnego dnia Nyuk Tsin poprosiła Kimo, aby towarzyszył jej na poletko z warzywami. Olbrzym pokazał jej, jak mało ziemi zająłby dom. Przypomniał, ile ziemi może zyskać na zamianie. Spontanicznie powiedziała:

— Dobrze.

Rozebrali dom w górze doliny i przez kilka nocy spali na gołej ziemi. Przez ten czas budowali dom na polu. Wkrótce na ulicy Nuuanu stanął pierwszy z domów rodziny Kee. Był nędzny i przeciekał, ale mógł swobodnie pomieścić pięcioro Chińczyków i dwoje Hawajczyków. W pewnym sensie, dzięki tej przeprowadzce los uśmiechnął się do Kee.

Pewnego dnia, Nyuk Tsin szła w górę doliny, na swoje nowe pole, które nie wydawało takich plonów jak to położone niżej. Nagle zatrzymał ją jadący dwukółką młody, przystojny mężczyzna. Miał około dwudziestu lat.

— Czy ty jesteś Pake, do której należy to pole? — zawołał do niej. Odpowiedziała, że tak. Zatrzymał konia i wysiadł.

— Jestem Whip Hoxworth — wyciągnął rękę na powitanie. — Chciałbym zobaczyć twoje pole, jeśli nie masz nic przeciwko.

Przywiązał konia do drzewa i poszedł za nią, kopnął ziemię. Pochylił się. Wziął grudkę ziemi w rękę i roztarł ją między palcami.

— Pake — powiedział — przywiozłem z Formosy około stu sadzonek ananasa. O mało nie przypłaciłem tego życiem. Próbowałem sadzić je na niżej położonych gruntach, ale nie wyszło. Wydaje się, że to wzniesienie bardziej przypomina warunki, w jakich ananasy rosną na Formosie. Powiem ci, co zrobimy. Dam ci te rośliny, które jeszcze żyją. Jeśli je uratujesz, będą twoje. W zamian chcę trochę owoców i trochę nasion.

— Czy da się sprzedać ananasy? — zapytała podejrzliwie Nyuk Tsin. Whip Hoxworth odwrócił się i pokazał w dół na dolinę. Drzewa zasłaniały widok, ale to mu nie przeszkadzało.

— W każdym z tych domów będą chcieli kupić twoje ananasy, Pake. Więc jak, umowa stoi? Zawarli umowę. Młody Whip Hoxworth miał nosa. Górne pole Nyuk Tsin miało dokładnie taką ziemię, jakiej potrzebowały ananasy z Formosy. Były znacznie słodsze i pod każdym względem lepsze od łykowatych i zwyrodniałych roślin sprowadzonych przed pół wieku na wyspy. Teraz Nyuk Tsin codziennie wracała z górnego pola obładowana ananasami, które rozprawiała po całym mieście. Warzywa z niżej położonego pola również przynosiły zyski, ale przede wszystkim, jej czterej synowie mieli czas na naukę.

Tylko jedno przedsięwzięcie, uprawa taro, wciąż nie udawało się Nyuk Tsin. Sprzedawała bulwy tubylcom. Liście kupowali wszyscy, którzy chcieli gotować je jako warzywa. Łodygi marynowała i podawała ze smażonymi rybami. Ciągnęła potrójny zysk z uprawy taro, mimo to nie była zadowolona. Dała namówić się Kimo i Apikeli na ponowne gotowanie korzeni i produkcję poi. Tym razem wszystko poszło należycie. W rezultacie otrzymali bogate, lepkie poi o kolorze wrzosu, na widok którego każdemu Hawajczykowi ciekła ślinka. Wytworzył się spory rynek na to Pake poi, jak zaczęto je nazywać. Jednak niewielu Hawajczyków mogło je kupić. Kimo i Api-kela pracowali ciężko przy uprawie taro i kiedy nadchodził czas posiłku, byli wygłodzeni. Nyuk Tsin, jedząc kilka garstek zimnego ryżu z odrobiną marynowanych łodyg taro, z przerażeniem patrzyła na ilości pożywienia pochłaniane przez swych ogromnych współlokatorów. Kimo, ważący teraz ponad sto pięćdziesiąt kilogramów, doczłapywał do wiader z poi, nakładał sobie kwartę, albo i więcej, a potem podawał Apikeli podobną porcję. Zjadali pół tuzina ryb, trochę zimnej wieprzowiny, upieczony owoc drzewa chlebowego i resztki oregońskiego łososia z puszki. Przy tym, maczali dwa palce, zgięte na kształt haczyka na ryby, w poi i zwinnym ruchem podnosili je do ust. Głośno i z lubością zlizywali poi, delektując się zapachem smakowitej papki. Jedząc, spoglądali na siebie i uśmiechali się.

Nyuk Tsin z przerażeniem spostrzegła, że nawet część jej poi nie trafiała na rynek. Jednak nie narzekała. Ci wspaniali, łagodni ludzie opiekowali się jej dziećmi, kiedy mieszkała w osadzie trędowatych. Czują, że nawet teraz nie dałaby sobie rady bez nich. Zajmowali się chłopcami, prali, przynosili do domu ploteczki z salonu bilardowego, uprawiali poi. Mimo to, praktyczna Nyuk Tsin czuła, że musi się jakoś zabezpieczyć. W końcu oświadczyła Kimo:

— Chciałabym kupić waszą ziemię w górze doliny.

— Kupić? — zdziwił się Kimo. — Przecież i tak możesz ją mieć.

— Może byłoby lepiej, gdybym kupiła ją zgodnie z prawem.

— Ziemia jest twoja — upierała się Apikela.

— Czy możemy iść do biura geodezyjnego i podpisać dokumenty? — zapytała Nyuk Tsin. — Zapłacę wam.

Potężna Apikela podniosła do góry swoją chińską przyjaciółkę i posadziła ją sobie na kolanach, mówiąc:

— Kimo i ja nie mamy co zrobić z tą ziemią. Nie mamy dzieci.

— Macie czterech synów — poprawiła ją Nyuk Tsin.

— Świetny pomysł! — wykrzyknął Kimo. — Damy ziemię naszym chłopcom. Tak więc udali się w trójkę do biura geodezyjnego i zarejestrowali sprzedaż górnych pól braciom Kee. Kiedy biały w biurze zapytał przez tłumacza

o cenę, dwoje potężnych Hawajczyków popatrzyło na niego z zakłopotaniem.

— Musimy wymienić jakąś cenę — wyjaśnił urzędnik — w przeciwnym razie transakcja nie będzie prawomocna.

Nyuk Tsin zaczęła mówić o torebce z centami, realami i kawałkami australijskiego złota, które zaoszczędziła, ale Kimo przerwał jej.

— Sprzedajemy ziemię w zamian za tyle poi, ile tylko damy radę zjeść. Nyuk Tsin również o tym myślała. Tak też zarejestrowano umowę. Nyuk Tsin prowadziła teraz dziwne, chociaż typowo hawajskie życie. Jej

czterech synowie mówili głównie po hawajsku i angielsku. Porozumiewała się z nimi tylko w łamanym hawajskim. Nauczono ich, że ich matką jest kobieta mieszkająca w dalekich Chinach. Apikelę uważali za mamę, podobnie jak ona uważała ich za synów. Nikt w domu nie znał nawet imienia Nyuk Tsin. Hawajczycy nazywali ją po prostu Pake, a dla dzieci była ciocią. Dom pod względem jedzenia, języka i radości był typowo hawajski. Jeśli chodziło o naukę, interesy i religię, był amerykański. Jednak pod względem synowskiego posłuszeństwa i szacunku dla nauki był chiński.

Nyuk Tsin popadła w rutynę. Pierwszego marca chodziła do biura i płaciła podatek od swoich dwóch posiadłości. Najcenniejszą rzeczą stało się dla niej pudełko, w którym trzymała swoje kwity. Stanowiły dla niej swego rodzaju potwierdzenie obywatelstwa. Dowodem na to, że miała prawo pozostać w Kraju Pachnących Drzew.

We wrześniu i w czerwcu prała swoje ubranie, nie miała ubrania na zmianę. W towarzystwie swoich czterech synów szła porozmawiać o ich postępach w nauce z Uliassutai Karamoramem Blake. Uliassutai Karakoram z przyjemnością rozmawiał z nią po chińsku i oznajmiał, że chłopcy świetnie dawali sobie radę w szkole. 2 zadziwiającym uporem powtarzała zawsze to samo pytanie:

— Który z moich synów jest najinteligentniejszy?

Wysoki, gwałtowny mężczyzna zastanawiał się przez chwilę i odpowiadał:

— Ameryka.

Cieszyła się, że jej błyskotliwy syn dobrze się uczy. Uwielbiała wyobrazać sobie dzień, w którym wyruszy na kontynent, aby kontynuować naukę, opłacaną przez resztę braci.

W kwietniu i październiku, Nyuk Tsin szła do sklepu Punti z odpowiednią ilością dolarów. Wysyłała je do rodziny Kee Mun Ki w Niskiej Wiosce. Za każdym razem zabierała ze sobą synów, chociaż oznaczało to, iż będą nieobecni w szkole. Wpoila im jedną zasadę: „Synowskie obowiązki są jeszcze ważniejsze niż wykształcenie. Jesteście braćmi i musicie ciężko pracować, by oddać hołd należny waszemu ojcu i jego rodzinie”. Każdy z chłopców musiał dotknąć pieniędzy, zanim zostały przekazane właścicielowi sklepu, i listu, będącego wynikiem transakcji.

— Teraz możecie iść do szkoły — mówiła potem.

Czasami wydawało jej się dziwnym, że przekazywała im stare wartości chińskie nie w Hakka, lecz łamanym hawajskim. Wartości były jednak oczywiste i chłopcy rozumieli je.

Tak płynęły lata Nyuk Tsin, Pake Kokua, Cioci. Miała jedną bluzkę, jedną parę spodni i jeden wiklinowy kapelusz. Nie miała nawet butów. Należały do niej jeszcze bambusowa tyczka, dwa kosze, nie przynosząca zysków fabryka poi i dwie działki ziemi, które pewnego dnia miały być warte ponad milion

dolarów. Ta szczupła Chinka brała udział w cichej rewolucji. Jej czterech bystrych synów uczyło się w Iolani. Kiedy, umocnieni przez nauki Uliassutai. Blake'a i wspierani zdrowym rozsądkiem swojej Cioci, będą gotowi, aby włączyć się w gospodarcze życie Honolulu, prawie nic nie będzie w stanie ich powstrzymać.

Pewnego dnia, w 1879 roku, prowadząc swoich synów do kościoła Episkopalnego, zobaczyła wchodzącą do kościoła hawajską rodzinę z siedmiorgiem dzieci. Jeden z chłopców wyglądał na Chińczyka. Zaczęła przyglądać mu się uważnie i doszła do wniosku, że musiał mieć około ośmiu lat. Był w wieku jej zaginionego I syna. Nie miała pewności czy chłopiec rzeczywiście był Chińczykiem, nie wyróżniał się na tle swoich hawajskich siostr i braci. Po zakończeniu nabożeństwa, odesłała chłopców do domu pod opieką trzynastoletniego Azji, dyskretnie poszła za hawajską rodziną do ich domu. Był to okazały budynek na Beretania Street i ośmiolatek zdawał się czuć tam jak u siebie. Próbowała zapytać przechodnia o nazwisko tej rodziny, ale nie zrozumiał jej.

Zmieniła swoją stałą trasę i maszerowała dodatkowe kilka kilometrów, aby mieć oko na hawajski dom. Po jakimś czasie dowiedziała się, że chiński chłopiec chodził do szkoły, wydawał się być inteligentnym i znano go tylko z hawajskiego imienia. Któregoś dnia zaniósła swoje ananasy na werandę domu. Usiłowała wciągnąć matkę dzieci w rozmowę, ale ta nie chciała kupić ananasów.

Wyczerpawszy wszystkie możliwości, jakie przychodziły jej do głowy, postanowiła porozmawiać szczerze z Apikelą. Już miała to zrobić, gdy intuicja podpowiedziała jej, iż ogromna Hawajka stanie po stronie wychowującej dziecko rodaczki. Lecz, Kimo spodobałaby się tego rodzaju przygoda. Zabrała go na stronę i powiedziała:

— Dowiedz się kim są ci ludzie.

— Nie muszę się dowiadywać — odpowiedział po prostu. — To dom gubernatora Kelolo Kanakoa.

— Dowiedz się, skąd mają chińskie dziecko.

— Dobrze — odpowiedział Kimo i ruszył do salonu bilardowego. Wkrótce powrócił i oznajmił:

— Gubernator był w dokach, kiedy przyplłynął statek z dzieckiem. Nikt nie wiedział, co z nim zrobić. Gubernator naturalnie powiedział: „Ja go wezmę”. Tak też zrobił.

Kimo wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Czy to nie jest proste?”. Nagle zrozumiał, o co chodziło Nyuk Tsin.

— Chłopiec należy do Kekolo — ostrzegł. — On go wykarmił. On go wychował.

— Ale mały jest Chińczykiem — argumentowała Nyuk Tsin. — To twój syn, ale należy do gubernatora.

Mimo rosnącego podniecenia, Nyuk Tsin cierpliwie rozumowała:

— Nie oddałam dziecka gubernatorowi. Wysłałam go do was, żebyście trzymali go u siebie, aż do mojego powrotu.

— Jakie znaczenie ma kto dostał dziecko? — zapytał Kimo. — Chłopiec ma dom i rodziców, którzy go kochają. Ma kolegów do zabawy i dość jedzenia. Czy to naprawdę ma jakieś znaczenie?

— Chcę, żeby wyrósł na Chińczyka — nie poddawała się Nyuk Tsin. Była coraz bardziej zła.

— Nie rozumiem — oświadczył obojętnie Kimo. — Kiedy byłem mały, mój ojciec zawsze miał u siebie dwóch lub trzech marynarzy, którzy uciekli ze swoich statków. Ukrywali się na naszym polu w górze doliny. Szwedzi, Ame-

rykanie, Hiszpanie, to nie miało znaczenia. Czasami mieli dzieci z moimi siostrami. Gdzie teraz są te dzieci? Nie wiem. Moje siostry też nie wiedzą. Czy są Hiszpanami, czy Hawajczykami? Kogo to obchodzi?

Nyuk Tsin nie potrafiła przekonać Kimo. Wbrew zdrowemu rozsądkowi zawołała Apikelę. Jej podejrzenia sprawdziły się. Ogromna Hawajka instynktownie stanęła po stronie hawajskiej matki dziecka.

— Musisz pomyśleć o tym, jak bardzo żona gubernatora musiała pokochać tego chłopca.

— Ma przecież sześcioro własnych — odrzekła zrozpaczona Nyuk Tsin.

— Nie wszystkie są jej dziećmi — oznajmiła triumfalnie Apikela. — Niektóre porzucono na ulicy, a o ile wiem, jedno pochodzi z Maui.

— Zamierzam odzyskać mojego syna — powtórzyła z uporem Nyuk Tsin.

— Pake — ostrzegła ją Apikela — on nie jest już twoim synem.

— Czy czterej pozostali też nie są już moimi synami? — zapytała Nyuk Tsin, zanim zdążyła zastanowić się nad tym, co mówi.

— Nie, Pake — odpowiedziała miękko Apikela — nie są tylko twoi. Teraz są również moimi synami.

Nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów, aby wyjaśnić, że dla Hawajczyków stosunek między rodzicami a dziećmi był nader płynny. Synostwo nie zależało od więzów krwi, lecz więzów uczuciowych. Nigdy nie pozostawiano dzieci na pastwę losu. Niektóre z najbardziej wzruszających opowieści o historii Hawajów rozpoczynały się od tego, że wieśniaczka usłyszała płacz małej dziewczynki pozostawionej na pewną śmierć na brzegu morza przez alii. Wieśniaczka pokochała dziecko i wychowywała je jak własne aż do chwili, gdy wybuchła wojna lub nastąpiło inne, równie ważne wydarzenie. Wówczas dowiadywano się, kim była naprawdę piękna dziewczyna wychowana przez wieśniaczkę. Była to bardzo powszechna historia. Zdarzało się to dość często. Apikela nie potrafiła wyjaśnić tego wszystkiego swojej chińskiej przyjaciółce, ale dodała:

— We wszystkich hawajskich rodzinach jest jakieś dziecko, które zostało gdzieś znalezione. Przyniósł je przyjaciel i to wszystko.

— W takim razie moi chłopcy nie są moimi synami? — zapytała z uporem Nyuk Tsin.

— Nie tylko twoimi — powtórzyła potężna Apikela.

Drobna Chinka, wychowana w tradycyjnym dla Hakka szacunku dla rodziny, patrzyła na swą ogromną hawajską przyjaciółkę, wychowaną w łagodniejszej kulturze pełnej miłości. Każda z tych kobiet reprezentowała mądrość swojej rasy. Żadna nie chciała się poddać, ale jak zawsze Hawajka uczyniła pierwszy gest, by zażegnać kłótnię.

— Pake, przecież mamy czterech chłopców. To chyba wystarczy dla dwóch matek.

Gruba Hawajka powiedziała to wierząc w to, co mówiła. Nyuk Tsin gardziła takim pomysłem. Był dla niej wytłumaczeniem tego, że Hawajczycy wymierali, podczas gdy Chińczycy rozwijali się. Nie potrafiła jednak zignorować świadectwa miłości widocznego na szczęśliwych twarzach jej synów. Życie w zawieszeniu pomiędzy hawajską miłością, a chińskim poczuciem obowiązku służyło im.

W końcu Nyuk Tsin pozwoliła, by Apikela wzięła ją w ramiona. Olbrzymka przytuliła ją, jak gdyby była jej córką.

— Teraz, gdy już się uspokoiłyśmy — powiedziała — chodźmy zobaczyć się z żoną gubernatora.

Apikela, Kimo i Pake statecznie szli ulicą Nuuanu, potem Beretanią. Następnie skręcili w stronę Diamentowej Głowy.

— Ja będę mówiła — powiedziała Apikela miękko, kiedy dotarli do domu gubernatora.

— Ta Pake uważa, że twoje siódme dziecko jest jej synem — wyjaśniła i żonie gubernatora, jak gdyby była ambasadorem dworu Pola Taro z Nuuanu na dworze Beretanią Street.

— Prawdopodobnie jest jego matką — zgodziła się od razu żona gubernatora. — Zdaje mi się, że mąż znalazł chłopca na łodzi.

— Pake chciałaby zabrać syna ze sobą do domu — dodała łagodnie Apikela. Żona gubernatora spojrzała w dół na swoje dłonie i zaczęła płakać.

— Uważamy go za swojego syna — odezwała się wreszcie.

— Widzisz! — powiedziała Apikela i wycofała się z rozmów. Według niej, nie było już nic do dodania.

Ale Nyuk Tsin dopiero rozpoczynała walkę.

— Doceniam to, co zrobiliście dla chłopca. Jest czysty i wygląda na inteligentnego. Jest jednak moim synem i chciałabym...

— Jest tu szczęśliwy — wyjaśniła szybko żona gubernatora.

— Jest moim synem — nie poddawała się Nyuk Tsin. Czowała się otoczona przez masę chmur i bezkształtnej piany. Mogła ją odepchnąć, ale zawsze wracała i dławiła ją. Trójka potężnych Hawajczyków powalała ją i ; niszczyła swoją miłością.

— Ale myślimy o nim jak o naszym synu — przemówiła ponownie żona gubernatora.

— Co powiedziałby sędzia, gdybym poszła do sądu? — postraszyła Nyuk Tsin.

Teraz żona gubernatora i Apikela zaczęły płakać.

— Nie trzeba wciągać w to sądu — powiedziała ta pierwsza. — Apikela j mówi, że masz przy sobie czterech synów. Dlaczego nie zostawisz piątego u j nas? Bardzo go kochamy.

— Jest moim synem — powtórzyła z uporem Nyuk Tsin, ale to nie znaczyło wiele dla trójki Hawajczyków. Najwyraźniej chłopiec był synem na różne sposoby i ta szczupła Chinka nie potrafiła tego zrozumieć.

W tym momencie wszedł sam gubernator, wysoki, przystojny mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Miał wspaniałomyślne podejście do wszystkich ludzi. Cierpliwie wysłuchał najpierw Apikeli, potem swojej żony, a w końcu Nyuk Tsin.

— Więc to ty jesteś Pake Kokua?

— Tak — odpowiedziała Nyuk Tsin.

— Każdy Hawajczyk winien ci jest dług wdzięczności, Kokua — oficjalnie wyciągnął do niej rękę. — To było osiem lat temu. Poszedłem w jakimś interesie do doków. Nie byłem wtedy jeszcze gubernatorem, dopiero co przyjechałem z Maui. Przyplłynął statek. Jeden z marynarzy miał płaczące dziecko i powiedział: „Co mam zrobić z tym dzieckiem?”. „Nakarmij go” — poradziłem mu. „Nie mam cyków”, odpowiedział. Zabrałem więc chłopca do domu. — Zrobił znaczącą przerwę i dodał:

— Jest dla nas jak syn.

— Teraz ja chcę go z powrotem — powiedziała z mocą Nyuk Tsin.

— Sądzę — mówił dalej gubernator ignorując jej słowa — że było by bardzo dobrą rzeczą, gdyby chiński chłopiec wychowywał się nadal w tym domu, pomiędzy Hawajczykami. Obydwie rasy powinny się lepiej zrozumieć. — Przerwał na chwilę. — Kocham tego chłopca jak własnego syna. Nie mógłbym go stracić.

— Sędzia odda go mnie — powiedziała zimno Nyuk Tsin. Gubernatorowi lzy naszły do oczu.

— Czy nie masz innych dzieci?

— Mam czworo.

— W takim razie zostaw chłopca u nas, Pake. Proszę, nie mów więcej o sędzie.

Żona gubernatora przyniosła herbatę. Posadzono Nyuk Tsin na najlepszym krześle obitym brokatem. Kimo zapytał czy gospodarze nie mają przypadkiem trochę poi. Rozmowy trwały przez cztery godziny i mała Chinka została pokonana przez miłość.

Zawołano jej syna. Był duży, inteligentny i silny. Nie powiedziano mu, że ta dziwna Chinka w bluzie i spodniach jest jego matką. Nazywał .tak żonę gubernatora. Po jego wyjściu, wysunięto wiele propozycji. Nyuk Tsin zgodziła się na co następuje: jej piąty syn będzie nadal mieszkał u gubernatora, ale trzeba mu powiedzieć kim jest jego prawdziwa matka. Tu Nyuk Tsin zaczęła bardzo gmatwać sprawę ponieważ nalegała, aby chłopcu nadano chińskie imię, Oh Chow, „Kontynent Australia" i żeby dwa razy do roku w towarzystwie braci udawał się do sklepu Punt i wysłać pieniądze swojej prawdziwej matce w Chinach.

— Prawdziwej matce? — zapytał gubernator.

— Tak — wyjaśniła Nyuk Tsin. — Jego prawdziwa matka jest w Chinach. Ja jestem tylko jego ciotką.

— Myślałem, że to ty go urodziłaś na Kalawao — zdziwił się gubernator.

— Tak było — zapewniła go Nyuk Tsin. — Mimo to, jego matka jest w Chinach.

Gubernator wysłuchał jej cierpliwie i poprosił:

— Czy mogłabyś to wyjaśnić?

Nyuk Tsin powtórzyła dziwaczną opowieść, z której niewiele zrozumiał.

Nyuk Tsin zabrała Australię do sklepu Punt, skąd posłano jego imię do Niskiej Wioski. Na Hawajach nadal znano go jako Keoki Kanakoa, syna ostatniego gubernatora Honolulu. Spotkał swoich braci, Azję, Europę, Afrykę i Amerykę i wrócił do swojego dużego domu. Nyuk Tsin, której imienia nigdy nie poznał, nazywał Ciotką. Mgliście rozumiał, że w Chinach ma prawdziwą matkę której ma obowiązek posyłać dwa razy do roku pieniądze.

Nyuk Tsin nalegała na jeszcze jedną rzecz. Cztery akry najlepszej ziemi gubernatora Kanakoa w dolinie Manoa miały zostać oficjalnie przepisane na chłopca Australia Kee, zwanego też Keoki Kanakoa. Był to wówczas teren podmokły i zalesiony. Nyuk Tsin oczyściła go i zasadziła ananasy.

Miała wówczas trzydzieści dwa lata. Gdyby nie jej rzadkie włosy i chuda figura, możnaby ją uznać za atrakcyjną kobietę. Chociaż Chińczykom straszliwie brakowało kobiet, zaledwie dwieście czterdzieści sześć kobiet na dwadzieścia dwa tysiące mężczyzn, nikt nawet nie myślał, żeby wziąć Nyuk Tsin za żonę. Okazała się mężobójczynią, a poza tym najprawdopodobniej była trędowata.

Żyła więc duchowo z dala od swoich synów i swojej społeczności. Co wieczór, gdy pozostali byli już w łózkach, rozbierała się i przy świetle małej lampki uważnie oglądała każdy centymetr swojego ciała. Oddychała z ulgą i mówiła sobie:

— Nie mam trądu.

Uniknęła trądu, nic więcej się nie liczyło.

Kiedy Whipple Hoxworth powrócił na Hawaje w tysiąc osiemset siedemdziesiątym siódmym roku, przywiózł ze sobą, jako dorobek siedmiu lat spędzonych poza domem, tylko sto sadzonek ananasa i torebkę zapasowych nasion. Przez te lata stał się jednak człowiekiem, który w przyszłości miał odmienić Hawaje. Stał się wysoki i szczupły. Miał szybki refleks i bystry dowcip. Poza tym doskonale walczył na pięści. Po swoim dziadku ze strony ojca, kapitanie Raferze Hoxworthie, odziedziczył graniczącą z bezczelnością pewnością siebie, natomiast po dziadku ze strony matki, doktorze Whipple, doskonale maniery. Przejawiał również inne cechy obu tych mężczyzn.

Podobnie jak kapitan Rafer, młody Whip miał niezaspokojony apetyt na kobiety. Po Chince, która dała mu pierwszą lekcję, gdy miał trzynaście lat, spędzał w portach czas w towarzystwie różnych kobiet. Wydał na nie wszystkie pieniądze zarobione podczas owych siedmiu lat i nie żałował ani pensa. Uczynił bowiem niezwykle ważne odkrycie: potrafił uszczęśliwiać kobiety.

Jako drugi oficer był zapraszany na oficjalne przyjęcia w Perth, Colombo czy Bangoku. Czasami wchodząc do salonu czuł kontakt nawiązujący się pomiędzy nim a niektórymi kobietami. Noc mijała, a on stał patrząc w milczeniu, zuchwale na potencjalną partnerkę. Prosił ją do tańca i mówił jej słowa skromne, lecz pełne ognia. Atmosfera stawała się tak przesycona napiętnością, że kiedy zostawali sam na sam, kobieta rzucała mu się w ramiona zachęcając by zrobił z nią wszystko, na co ma ochotę, chociaż zaledwie kilka godzin wcześniej nie wiedzieli jeszcze o swoim istnieniu. Wchodząc na przyjęcie, zatrzymywał się na chwilę w drzwiach i myślał: „Która to będzie dzisiejszego wieczoru?”. Zawsze znajdował jakąś kobietę.

Podczas długich dni spędzonych na morzu Whip nigdy nie myślał o „rękawicze damy” czy „drogiej pannie Henderson”. Myślał o dziewczętach jak o silnych, młodych zwierzętach, nagich, rozciągniętych na łóżku. Takimi on je lubił i takimi lubiły być, kiedy z nim przebywały. Były radosnymi towarzyszkami zabawy i myślenie o nich w innych kategoriach równałoby się dla niego stracie czasu.

Nie czynił rozróżnień na panny i mężatki. Nie czuł szczególnej przyjemności z doprawiania żonatym mężczyznom rogów. Nie miał żadnych preferencji co do narodowości czy koloru skóry. Jeśli w Suezie nie został zaproszony na wieczorek do domu francuskiego szlachcica, zadowalał się wizytą w domu schadzek. Preferował prostą i bezpośrednią metodę zdobywania partnerek, ale potrafił być również szarmancki. Jeśli natknął się na młodą nieśmiałą dziewczynę, którą uznał za wartą zachodu, był gotów ukorzyć się przed nią niczym prawdziwy adorator z książek. Posyłał jej kwiaty i słodycze. Pisał krótkie, napięte liściki. Nie szczędził trudu, gdyż pamiętał radę swojego dziadka: „Kiedy twoja prababka, Malama, umierała, ważyła ponad dwieście kilogramów. Jej mąż codziennie wczółgiwał się do jej chaty na kolanach i przynosił łańcuchy maile. Tak powinien postępować mężczyzna.” Młody Whip napiętnie kochał kobiety. Zdawał sobie sprawę, że kobiety uzupełniały jego życie i był gotów zrobić prawie wszystko, by je uszczęśliwić.

Jak można się było tego spodziewać, zachowanie Whipa po jego powrocie z siedmioletniej wyprawy morskiej zaskoczyło Honolulu. Przeraził dziewczęta z rodzin Hale'ów i Hewlettów usiłując zademonstrować każdej z nich swój persko-egipski styl miłości. Jak twierdził, nauczył się go podróżując z karawaną wielbłądów do zabytków starożytności. Biedne dziewczęta nie rozumiały, o czym mówił przystojny, młody człowiek. Zauważały jednak ogromną

determinację, z jaką starał się zdjąć ich bieliznę. Wkrótce córki misjonarzy wolały, aby ich kuzyn Whip nie odprowadzał ich do domu.

Dość wcześnie Whip zauważył, że jedna z jego bliskich kuzynek, Nancy Janders, nie pozostawała nieczuła na jego umizgi. Wdali się w haniebny związek, który zakończył się, gdy pewnego razu, o piątej nad ranem odkryto całkiem nagiego Whipa w sypialni kuzynki. Nancy nie dała zastraszyć się rodzicom. Krzyczała, że młoda dziewczyna ma prawo poznać mężczyzn. Jeszcze tej samej nocy powóz Whipa znalazł się przed burdelem w Zaułku-Szczurów w Iwilei. Whip wdał się w bójkę o arabską dziewczynę. Nóż jakiegoś marynarza rozciął mu lewy policzek. Następnego dnia ojciec Nancy Janders wysłał ją na kontynent. Młody Whip zaczął romans z piękną dziewczyną, pół krwi Hawajką i pół krwi Portugalką. Jej dziadek trafił na Hawaje przez Azory. Wywiązał się między nimi piękny romans, podczas którego dziewczyna otwarcie jeździła z Whipem ulicami miasta, a który zakończył się jej pospiesznym i utrzymanym w tajemnicy wyjazdem do Kalifornii, gdzie urodziła dziecko.

W tym czasie, młodzi ludzie zamieszkujący Honolulu nadali już Whipowi przydomek. Stało się to po awanturze, podczas której Whip walczył przed budynkiem „H&H” na Fort Street z trzema angielskimi marynarzami. Jego surowy ojciec zbiegł na dół ze swojego biura w samą porę, żeby zobaczyć jak jego wyrodny syn leży na ulicy ogłuszony kombinacją brytyjskich ciosów w głowę i brytyjskich kopniaków w krocze. Barman z pobliskiego baru potraktował leżącego chłopaka kubłem zimnej wody. Pokonany w walce zaczął dochodzić do siebie. Poczul pulsujący ból w kroczu.

— Ktoś mnie znowu kopnął! — zawył.

Spojrzał w górę i zobaczył patrzącą na niego w dół brodatą twarz ojca. Żałował, że nie może zemdleć z bólu i upokorzenia. Zamiast tego poderwał się na równe nogi i odszedł kuśtykając.

Od tamtego czasu nazywano go „Dzikim Whipem”. Whip zdawał się hołdować zasadzie, że należy dorosnąć do swojego przezwiska, bez względu na to, jakie by ono nie było. Nie pił wiele, nie wdawał się zbyt chętnie w bójki na pięści. Pod wieloma względami był porządnym młodym człowiekiem. Chociaż nie szukał kłopotów, nie starał się też ich unikać. Wyrobił sobie charakterystyczny gest. Kiedy zapowiadało się na bójkę, wzruszał kilka razy ramionami, robił kilka leniwych kroków do przodu i rzucał się w wir walki. W normalnych warunkach, z wiekiem straciłby przydomek. Nauczył się unikać ogólnych bójek. Pod tym względem jego dzikość znacznie się zmniejszyła. Jednocześnie zwiększyła się jego namiętność do kobiet i to właśnie bezustannie wciągało go w kłopoty. Często przypominał sobie jak dziadek mawiał z uśmiechem: „Dziewczeta są niczym śliczne, małe gwiazdki. Można wyciągnąć rękę i dotknąć każdej z nich”. Zdolność Dzikiego Whipa do sięgania i dotykania była niewyczerpana. Jeśli chodzi o kobiety, był nieodrodnym wnukiem Rafera Hoxwortha.

Miał również pewne cechy dziadka ze strony matki, doktora Whipple'a. Oprócz męskiej urody swego szarmanckiego przodka, odziedziczył po nim zainteresowanie nauką. Wszędzie gdzie bywał podczas siedmiu lat spędzonych na morzu, Whip badał rośliny, nauczył się kochać miejscowe kwiaty, zbierał okazy drzew i owoców, które według niego mogły przyjąć się na Hawajach. Pewne trzy odkrycia dały mu satysfakcję równą tej, jaką odczuwał wskazując do łóżka z nową dziewczyną. Zachwyił się orchideami rosnącymi w malajskiej dżungli. Zebrał kilka tuzinów najpiękniejszych okazów orchidei purpurowych, czerwonych i złotych. Wysłał je z Singapuru do domu na pokła-

dzie jednego z frachtowców „H&H”. Rosły teraz w szklarni, którą zbudował na tyłach domu Hoxworthów na Beretania Street. Było typowe dla ich właściciela, że po powrocie na Hawaje rozdawał je każdemu, komu się podobały. Młody Whip zarabiał prowadząc statki i pracując na plantacjach. Rzadkie okazy roślin sprowadzone przez niego na wyspy były dostępne dla każdego, kto się nimi zainteresował. Tak więc kiedy w późniejszych czasach Hawaje zasłynęły ze swoich orchidei, było to wynikiem osobistego zamiłowania Whipa Hoxwortha do piękna. Przywiózł także kwiaty imbiru i dwie odmiany rajskiego ptaka. Wszystko to rozdawał.

To on przywiózł na Hawaje ananasy, zarówno te z Formosy, jak i z Gwinei. Pierwsze przyjęły się dzięki pomocy chińskiej handlarki warzywami, pani Kee. Drugie, kwaśniejsze, a więc smaczniejsze, niestety nie zdomowiły się na wyspach. W późniejszych latach jeszcze dwa razy próbował je sadzić, ale bez rezultatu. Kazał swojemu agentowi szukać nowej odmiany, która łączyłaby w sobie cechy ananasów z Formosy i z Gwinei, lecz nie udało się jej znaleźć.

Jego największym wkładem w owym czasie było sprowadzenie drzewa, któremu nadano później jego imię. Znalazł je w pobliżu Bombaju. Posmakował jego owoców i zawołał:

— Musimy mieć to drzewo na Hawajach.

Wysłał do domu cztery sadzonki, ale umarły. Rozkazał sprowadzić jeszcze cztery i zasadzić je w Kona, na dużej wyspie. I te się nie przyjęły. Sprowadził jeszcze cztery, każdą w wannie pełnej ziemi z Bombaju. Te wyrosły. Owoce miały złoto-czerwoną, twardą skórkę z zielonymi plamkami. W środku spoczywała duża, płaska pestka otoczona wyśmienitym, żółtym mięszem. Kiedy dojrzały, sąsiedzi zapytali jaką to dziwną rzecz wyhodował tym razem.

— Uważajcie — powiedział lakonicznie — za chwilę spróbujecie króla owoców.

Zerwał jeden z owoców i rozciął go wzdłuż długiej osi. Wbił nóż w drzewo. Pochwyił owoc obydwoma rękami i zaczął przekręcać obie połówki w przeciwnych kierunkach. Owoc rozerwał się. Po raz pierwszy Hawajczycy posmakowali smakowitego odkrycia Whipa.

— Smakuje jak pieczone banany z dodatkiem jabłek — osądził jeden z mężczyzn.

— Trochę przypomina gruszkę z odrobiną terpentyny — powiedział inny.

— Co to jest, Whip?

— Bombajskie mango — odrzekł Hoxworth.

— Dawno temu mieliśmy tu owoce mango, — zauważył rozmówca Whipa — ale o ile sobie przypominam były włókniste. Prawie nie dało się ich jeść.

— Są mango i mango — zgodził się Whip. — Cała sztuka polega na tym, żeby znaleźć dobre, a potem dbać o nie.

W późniejszych latach wielu gardziło Dzikim Whipem Hoxworthem. Stał się bezwzględny dyrektorem, podobnie jak jego dziadek. Przemiana „H&H” ze zwykłej dobrze prosperującej linii morskiej w największą firmę na wyspach nie przyszła łatwo. Jeśli ludzie nienawidzili Whipa, mieli ku temu powody. Jednak nikt nie zapominał o jego największym darze dla Hawajów. Ilekroć głodny człowiek sięgał po mango Hoxwortha, przekrawał i wysysał jego aromatyczny miąższ, instynktownie oddawał cześć Dzikiemu Whipowi. Przywieziono inne odmiany, ale Hoxworth pozostał tym, czym nazwał go jego odkrywca, królem, owoców.

Upewniwszy się, że mango przyjęło się na wyspach i rozdawszy przyjaciołom kilkaset sadzonek, Whip zainteresował się sprawami „H&H”. Tam od razu natknął się na swego brodatego, poważnego wuja, Micaha Hale’a, symbol prawości i moralności. Wuj postanowił, że nie pozwoli, aby dzikie eskapady młodego bratanka położyły się cieniem na dobrym imieniu firmy. W związku z tym, nie było dla Whipa miejsca. Kiedy zaczął starać się o pracę, ponury wuj popatrzył na niego sponad brody i oznajmił:

— Swoim postępowaniem zgorszyłeś wszystkie dziewczęta w naszej rodzinie, młody człowieku. Nie ma tu dla ciebie miejsca.

— Nie staram się o żonę, tylko o pracę — sapnął Whip.

— Mężczyzna, który nie nadaje się na męża, nie nadaje się do pracy. Przynajmniej nie do pracy w „H&H” — odpowiedział wuj Micah wygłaszając jedną z fundamentalnych zasad polityki firmy. Podobnie jak większość wielkich imperatorów w historii, Hale’owie, Whipple’owie i Jandersowie zauważyli, że należy działać na dwóch płaszczyznach. Płodzili inteligentnych synów, którzy mieli kontynuować dzieło ojców oraz piękne córki, które miały zwabiać młodych, zdolnych mężów do firmy. Nigdy nie rozstrzygnięto czy wielkie rodziny Hawajów kwitły dlatego, że sprzedawały cukier po dobrych cenach, czy dlatego, że oddawały swoje córki właściwym mężczyznom.

— Nie ma dla ciebie miejsca w „H&H” — powiedział nieodwołalnie wuj Micah.

Whip odwołał się do swojego ojca, ale ten wrażliwy i zagubiony słabeusz nie miał zamiaru walczyć z Micah, kontrolującym przedsięwzięcia rodziny.

— Twoje zachowanie było... — zaczął płaczącym głosem ojciec Whipa.

— Wypchaj się — odpowiedział na to jego syn.

Rodzina przeprowadziła wiele dyskusji na ten temat, ale wuj Micah oznajmił twardo:

— Nasz sukces na Hawajach zawdzięczamy nieposzlakowanej opinii. W naszych firmach nigdy nie było skandalu i dopóki ja je kontroluję, nie będzie. Uważam, że Whip powinien wrócić na morze. Sprawiedliwie splećmy jego część udziałów, ale musi trzymać się z dala od Hawajów.

Wtedy mądry Micah wymyślił doskonałe rozwiązanie problemu. Pamiętał jak jego bratanek lubił hodować rośliny. Zaproponował kompromis. Dziki Whip nie będzie miał nic wspólnego z przedsięwzięciami „H&H”. Zostanie to ogłoszone publicznie, tak aby poważni ludzie, tacy jak Micah Hale i Bromley Hox-worth nie ponosili odpowiedzialności za jego przyszłe wyczyny. W zamian otrzyma cztery tysiące akrów rodzinnej ziemi i będzie mógł z nią zrobić, co mu się żywnie podoba.

Gdy zgromadzenie Hoxworthow i Hale’ow ogłosiło to postanowienie swemu wyrodnemu synowi, Dziki Whip uśmiechnął się uroczo, przyjął cztery tysiące akrów i powiedział spokojnie:

— Chryste, będziecie tego jeszcze szczerze żałować.

Zapręgnął! dwa dobre konie i pojechał na zachód obejrzeć nowo otrzymane ziemie. Wyjechał z miasta. Strząsnął z nosa kurz i patrzył na puste, nie porośnięte nawet trawą wzgórze po jego prawej stronie. Ponad nimi wznosiło się ku niebu pasmo gór Koolau i tak daleko, jak wzrok sięgnął, nic nie rosło. Minął Peral Harbor. Dojechał do miejsca, pomiędzy górami Koolau i pasmem Waianaes, gdzie teren opadał. Przed nim leżała jego ziemia. Była pusta, jałowa, nie przynosiła żadnych zysków. Patrząc na nią przypomniał sobie słowa, jakimi wuj Micah opisywał pustynie na zachodzie Ameryki, które przemierzał w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku: „Obszary, na których nic nie rosło, nawet trawa”.

Uśmiechając się ponuro, Dzikie Whip przywiązał konie do skały, gdyż w pobliżu nie było żadnych drzew. Zaczął dokładnie oglądać swoje dziedzictwo. Odsunął nogą wierzchnią warstwę wypalanej trawy i porostów. Ukazała się bogata, czerwona gleba. Dziadek Whipple wytłumaczył mu kiedyś, że była ona rezultatem stopniowego rozpadu skał wulkanicznych. Jest bogata w żelazo, myślał Whip. Prawdopodobnie, gdyby doprowadzić tu wodę, wszystko rosłoby tu jak szalone.

obejrzał się za siebie na Pearl Harbor. Zobaczył bezużyteczne dla rolnika połączenie słonej morskiej wody. Spojrzał w niebo. Nie było żadnych chmur. Rzadko docierały tu chmury deszczowe. Potem, przez przypadek zerknął na prawo, w stronę pasma Koolau. Ponad szczytami kłębiło się mnóstwo ciemnych chmur, przygnanych przez zachodnie wiatry. Czuł zapach spadającego z nich deszczu. Naturalnie padało po drugiej stronie gór. Deszcz spływał z impetem po stromych zboczach gór, a potem dalej, do morza. Trochę tej wody pochwylił w swoje kanały irygacyjne jego dziadek Whipple, ale lwią część nadal była równie bezużyteczna jak słone wody Pearl Harbor.

Właśnie wtedy wpadł na swój wspaniały plan. „Dlaczego by nie wykopać tunelu przez góry i nie sprowadzić tu wody?. Wyobraził sobie system kanałów i rowów skonstruowanych w celu przeprowadzenia cennej wody na jego ziemie.

— Wybuduję tunel! — przyrzekł. — Uczynię tę ziemię tak żyzną, że łodzie wuja Micah będą przy niej niczym.

Wyciągnął palec wskazujący w stronę pasma Koolau i oznajmił olbrzymom skalnym:

— Któregoś dnia przebiję się przez wasze wnętrza. Strzeżcie się.

O dziwo fortuna Whipa powstała w inny sposób. Gdy zorientował się, że nie jest mile widziany w firmie rodzinnej, postanowił opuścić Hawaje. Uczynił to w sposób, który wszyscy zapamiętali. Nigdy nie zapomniał przyjemnych chwil spędzonych ze swoją chętną kuzynką, Nancy Janders, która nadal przebywała poza wyspą, na wygnaniu. Teraz, przed planowanym wyjazdem, zaczął zalecać się do jej ślicznej młodszej siostry, Iliki. Był to szalony romans, chociaż Whip od czasu do czasu spędzał noce w Aleji Szczurów z pewną małą Francuzeczką. Zakończył się tym, że Iliki przekradła się w męskim przebraniu na pokład brytyjskiego frachtowca. W drodze do San Francisco kapitan dał im ślub. Kiedy głowy rodzin usłyszały o tym skandalu, modlili się, aby młoda Iliki znalazła szczęście, na które ich zdaniem nie miała szans. Natomiast przebywająca w Ameryce starsza siostra Iliki, Nancy na wieść o małżeństwie Whipa i Iliki krzyknęła:

— Niech ich szlag trafi! Mam nadzieję, że wspólne życie będzie dla nich piekłem.

Nie było dla Dzikiego Whipa. Zaznał wiele rozkoszy ze swoją kuzynką. Iliki przechodziła katusze. Ku swej konsternacji i zażenowaniu odkryła, że jej mąż nie miał zamiaru porzucić zwyczaju odwiedzania lokalnych burdeli. W San Francisco miał kilka szalonych afer miłosnych z mężatkami o nieposzlakowanej dotąd opinii i dwa dłuższe związki z hiszpańskimi kurtyzanami z portowych przybytków złej sławy. Pod innymi względami był dobrym mężem. Kiedy w tysiąc osiemset osiemdziesiątym roku przyszedł na świat jego syn, nalegał, aby nazwać go Janders Hoxworth, po ojcu żony. Czerpał widoczną radość z niedzielnego spaceru do kościoła. Szedł trzymając pod rękę żonę i popychając wózek z ubranym w koronki synem.

Pod koniec tysiąc osiemset osiemdziesiątego roku, w drodze do Honolu-

lu, odwiedziła ich Nancy. Stała się uznaną nowojorską piękną. Nie minęło wiele czasu nim jej nienawiść do Whipa przemieniła się z powrotem w namiętą miłość.

Na początku, Whip po cichu wykradał się do hotelu Nancy, gdzie splatali się w dzikich, namiętych uściskach. Biedna Nancy nie potrafiła opanować uczuć tłumionych przez ostatnie trzy lata. Leżała całkiem rozebrana na łóżku i czekała na idącego po schodach hotelowych Whipa. Gdy tylko wszedł i zamknął za sobą drzwi na klucz, zrywała się, rzucała na niego i całowała namiętnie. Śmiejąc się, przewracała go na łóżko. Czasami trzymała go u siebie niczym więźnia przez cały dzień. W końcu siostra, Iliki, zorientowała się, co się działo.

Młoda, urocza żona nie wiedziała, jak powinna postąpić w tej sytuacji. Czy ma wdrzeć się do pokoju hotelowego i stanąć twarzą w twarz z parą zdrajców, czy też płakać w ukryciu. Ten problem rozwiązał się sam. Pewnego dnia niespodziewanie wróciła wcześniej z zakupów i zastała w domu Whipa, którego zaciągnęła tam Nancy. Nancy rozebrała go w pokoju Iliki i wepchnęła do jej łóżka. Kiedy Iliki weszła do pokoju, patrzyli na nią przykryci jej własnym prześcieradłem. Nikt nie zrobił żadnej sceny.

— Ja miałam go pierwsza — nadąsała się Nancy — i teraz postanowił zostać ze mną.

— Ubierz się — powiedziała Iliki, zaskoczona swoim opanowaniem.

— Whip i ja zamierzamy żyć razem — oświadczyła Nancy ubierając się. Iliki nie zadawała sobie nawet trudu, by klócić się z mężem. Wiedziała, że

wszystkie jego obietnice nie miały wartości. Był inny niż reszta mężczyzn. Kochała go i ze smutkiem uświadomiła sobie prawdę o nim. Nigdy nie zostanie dłużej z żadną kobietą. Będzie miał bardzo samotne życie, pomyślała.

Opuściła San Francisco razem ze swoim synem, Jandersem i na pokładzie liniowca „H&H” wróciła do Honolulu. Spędziła tam resztę swojego długiego życia jako rozwódka. Zrobiła dużo dobrego dla społeczności. Muzeum Historii Naturalnej kwitło głównie dzięki jej zabiegom.

Jej mąż Whip i jej siostra Nancy bawili się wesoło w San Francisco. Whip otrzymał rozwód, ale nie ożenił się z Nancy, ponieważ, jak zauważył: „Nigdy nie będzie dobrym mężem”. Nancy wystarczał seks i z radością żyła z nim na jego warunkach. Nie przejęła się odkrywając pewne fakty świadczące o tym, że jej partner współżył także z kilkoma dobrze znanymi dziewczętami z dzielnicy portowej. Poza namiętymi chwilami spędzonymi gdy wracał po długiej nieobecności, najbardziej lubiła chodzić z nim do ludzi budujących tunele.

Była to dziwna grupa całkowicie poświęconych swojej pracy ekspertów zawsze gotowych walczyć z naturą. Przekonali Whipa, że jeśli zdoła zebrać wystarczającą ilość pieniędzy, mogą przebić się przez góry Koolau i doprowadzić wodę na suche tereny. Potajemnie wysłał na Hawaje inżyniera geologa. Ten, pod pozorem zbierania okazów ptaków, przeszedł całe góry Koolau i stwierdził, że przewiercenie tunelu nie powinno stanowić większego problemu.

— Według mnie — oznajmił po powrocie — góry są zbudowane z poziomych warstw skalnych. Jeżeli się nie mylę, nie tylko otrzyma pan wodę spływającą kanałami do tunelu, ale górne warstwy skalne powinny dostarczyć jej drugie tyle. Pod tym względem mogłoby to być bardzo dochodowe przedsięwzięcie.

— Jak długi musiałby być ten tunel?

— Około trzynastu kilometrów.

— Czy można wybudować taki?

— To po prostu kwestia pieniędzy — odpowiedział inżynier. — Jeżeli ma pan pieniądze, mogę kupić dynamit.

— Ile pieniędzy potrzeba w tym przypadku?

— Cztery miliony.

— Niech pan o mnie nie zapomina — powiedział Whip.

Raport inżyniera geologa zdawało się przynieść rozwiązanie problemu, jaki Whip miał z ziemią. Nie miał wówczas czterech milionów dolarów, lecz zawsze istniała szansa, że zdobędzie je w przyszłości. Dlatego postanowił powrócić na Hawaje.

— Gdybym była tobą, nie robiłabym tego, Whip — powiedziała Nancy Janders.

— Dlaczego?

— Cóż, tam jest Iliki. To będzie dla ciebie kłopotliwe. Poza tym, ja nie mogę wrócić z tobą.

— Nie sądzę, byś powinna wracać — zgodził się chłodno Whip.

— Powinnaś zacząć szukać dla siebie mężczyzny, Nancy — wrócił do tematu kilka dni później.

— Już ze mną skończyłeś? — zapytała Nancy.

— Nie ma dla ciebie miejsca na Hawajach — odrzekł szczerze. — Jak stoisz z pieniędzmi?

— Rodzina przysłała mi mój udział — zapewniła go.

— Nancy — powiedział prawie przyjaźnie — mam nadzieję, że od tej chwili twoje życie będzie cudowne. Teraz lepiej załóż coś na siebie.

Minęło zaledwie kilka godzin od jej wyjścia, gdy ktoś zapukał do pokoju hotelowego Whipa. W drzwiach stał mały człowieczek w płaszczu sięgającym prawie do kostek.

— Nazywam się Overpeck, Milton Overpeck. Słyszałem, że jest pan zainteresowany wierceniem tunelu.

— Zgadza się — odparł Whip. — Proszę usiąść, panie Overpeck... Lubi pan whisky?

— Lubię każdy alkohol.

— Zajmuje się pan tunelami?

— Cóż, i tak, i nie — odpowiedział mały człowieczek i przełknął potężną ilość whisky. — Rozumiem, że chce pan wiercić tunel, aby zyskać wodę — zapytał pokaszlując.

— Jest pan dobrze zorientowany, panie Overpeck. Jeszcze jedną whisky?

— Słuchaj, synu, jeżeli liczysz na to, że upijesz mnie i uda ci się wykiwać mnie w interesach, lepiej od razu daj sobie spokój. To niewykonalne.

— Zaproponowałem z czystej gościnności — zapewnił go Whip.

— Nigdy nie przyjmuję tego rodzaju dowodów gościnności o ile gospodarz nie dołącza do mnie. Chlapij sobie jednego karniaka i możemy pogadać.

Dwaj mężczyźni, dwudziestoczteroletni Wip Hoxworth i pięćdziesięcioletni Milton Overpeck przez kilka godzin pili czystą whisky. W tym czasie mały inżynier zainteresował Wipa swoją zupełnie nową teorią dotyczącą wody. Wypił trzy czwarte butelki, ale jego oczy były nadal jasne. Najwyraźniej wiedział o Hawajach więcej niż Whip, przynajmniej o wyspie Oahu.

— Moja teoria brzmi następująco — wyjaśniał używając poduszek, książek i gazet, by zbudować z nich wyspę. — Ten wulkan tutaj i ten drugi utworzyły wyspę Oahu. To oczywiste. Przy erupcjach, jeden nałożył się na drugi. Według mnie skały wulkaniczne są porowate, a więc cała podstawa skalna Oahu jest porowata. Cała woda z opadów natychmiast spływa do morza.

— Inżynier, którego tam posłałem wspominał coś o porowatych skałach — przypomniał sobie Whip.

— Nie interesują mnie góry widoczne na powierzchni — sapnął Overpeck. — tylko te pod powierzchnią. Jeśli, jak podejrzewam, następowało podnoszenie się i opadanie całego masywu ... — przerwał i popatrzył na przyjaciela. — Przepraszam, jesteś pijany. Wróćmy do tego nad ranem. Nie śpij dzisiaj na poduszce. Zostaw wszystko, tak jak jest — dodał na odchodnym.

Whip, ledwie patrząc na oczy, próbował skoncentrować się na konstrukcji znajdującej się w jego pokoju.

— Co to wszystko ma wspólnego z tunelem? — zapytał.

— A skąd ja mam wiedzieć — odpowiedział Overpeck. — Ja zajmuję się studniami.

Pokazał się znowu o siódmej rano rzeźki jak ptak. W San Francisco panowały chłody. Płaszcz Overpecka zawijał mu się koło kostek. Zaskoczył Whipa całkowicie ignorując stos poduszek, książek i gazet.

— Najlepiej jak panu pokażę studnie, jakie wykopieemy na Hawajach — powiedział wesoło.

Poprowadził Whipa w dół Market Street, skąd ponure promy odpływały na drugą stronę zatoki. Po długim spacerze przez Oakland, stanęli przed studnią, którą ostatnio wykopał. Z niekłamanym podziwem wskazał na pompę wystającą z ziemi. Wytryskiwał z niej w powietrze, wysoki na cztery metry, słup wody.

— Czy tryska tak przez cały czas? — zapytał Whip.

— Dzień i noc — zapewnił Overpeck.

— Dlaczego tak się dzieje?

— To studnia artezyjska.

— Ile litrów dziennie?

— Prawie cztery miliony.

— Na jak długo starczy wody?

— Na zawsze.

O tym właśnie marzył Dzikie Whip. Stałe źródło. Przedtem, jedynym sposobem wydawało mu się przekopanie tunelu przez góry. Jeśli Overpeck miał rację, woda znajdowała się pod jego stopami, ale jeśli chodziło o interesy Whip był jednocześnie odważny i ostrożny. Był gotów podjąć niemal każde ryzyko, by tylko dostać wodę, jednak żądał przynajmniej uczciwej szansy na to, że przedsięwzięcie zakończy się sukcesem.

— Dlaczego ciągnąłeś mnie aż tutaj, żeby pokazać mi tę studnię? Dlaczego nie pokazałeś mi takiej w San Francisco?

— Źródła artezyjskie nie występują wszędzie — odpowiedział Overpeck.

— A jeśli na moim terenie na Hawajach nie ma takiego źródła?

— Moje zadanie polega na zgadywaniu, gdzie te źródła się znajdują. Sądzę, że pod twoją ziemią jest woda.

— Dlaczego tak uważasz?

— Tłumaczyłem ci to wczoraj przy pomocy poduszek i gazet.

— Lepiej wracajmy do hotelu — zaczął Whip. — Ale poczekaj chwilę. Jak ci się udało zrobić tę studnię?

— Dzięki specjalnej instalacji, którą wynalazłem.

— Jak głęboko zszedłeś?

— Na czterdzieści sześć metrów.

— Chcesz sprzedać tę instalację?

— Nie.

— Tak też myślałem.

Mężczyźni wrócili na prom. Whip patrzył na zimne, wietrzne wzgórza San Francisco i wyobrażał sobie, że to Hawaje. Ogarnęło go podniecenie. Według tego, co mówił Overpeck, warstwa skał więziła ogromne złoża słodkiej wody pod niziną Oahu. Whip czuł jak pot występuje mu na czoło.

— Co pan proponuje, panie Oyerpeck? — zapytał obojętnie.

— Pocisz się synu. Jeśli znajdę wodę, zyskasz miliony dolarów, prawda?

— Tak.

— Jestem ryzykantem, panie Hoxworth. Chcę ziemię sąsiadującą z pana terenem.

— Ile?

— Pan zapłaci za dostarczenie na miejsce instalacji. Da mi pan trzy dolary dniówki. Zanim zaczniemy, kupi pan tysiąc akrów ziemi. Jeśli znajdę wodę, odkupię ją od pana po cenie, jaką pan za nią zapłacił. Jeśli nie, ziemia zostaje u pana.

— Jakie mamy szanse?

— Jest pewien sposób, dzięki któremu możemy sprawdzić czy mam rację, nie wydając przy tym ani centa.

— Jaki?

— Proszę przez chwilę pomyśleć. Jeśli pod pana ziemią naprawdę znajdują się zbiornik z bezustannie uzupełnianą wodą, jej nadmiar musi gdzieś odpływać. Myśląc logicznie, odpływa pod poziomem morza, ale część musi przeciekać ponad najwyższą warstwą skał. Proszę wrócić na swoją ziemię i oznajmić ludziom, że zamierza pan hodować bydło. Proszę spacerować po najwyższych położonych obszarach, aż znajdzie pan źródło. Wtedy niech pan chodzi w tę i z powrotem na tym samym poziomie. Jeżeli znajdzie pan z pół tuzina takich źródeł, wtedy nie ma mowy o hazardzie, panie Hoxworth. Wtedy będzie pan miał pewność.

— Niech pan jedzie i sprawdzi — zaproponował Whip.

— Ludzie mogliby się czegoś domyślić. Cena ziemi poszłaby w górę. Whip zastanowił się na tym trafnym spostrzeżeniu i podjął szybką decyzję.

— Proszę sobie kupić dobrego byka i zabrać go ze sobą na wyspę. Powiemy, że ma mi pan pomóc w rozpoczęciu hodowli bydła. Ludzie będą mi współczuć. Mnóstwo osób poszło już z torbami podejmując takie próby na jałowych gruntach. Trzeba dwadzieścia akrów ziemi, żeby wyżywić jedną krowę. Nikt nie zarabia na tym pieniędzy.

Trzy tygodnie później mały pan Overpeck przybył na Honolulu z bykiem i oznajmił „Honolulu Mail”, iż zamierza pomóc panu Whipple'owi Hoxworthowi w rozwinięciu hodowli bydła na dużym rancho na zachód od miasta. Wyprowadził swojego byka na puste, bezużyteczne tereny i natychmiast powiedział Whipowi:

— Kup tamtą ziemię dla mnie.

Whip kupił ziemię praktycznie za bezcen. Następnego dnia doszedł do wniosku, że padł ofiarą sprytnego małego człowieczka. Przeszli zarówno ziemię Whipa jak i Overpecka i nie znaleźli źródła.

— Dlaczego do cholery zawracałeś mi głowę całą tą bzdurą? — zapytał młody człowiek.

— Dzisiaj nie spodziewałem się znaleźć żadnych źródeł. — odparł spokojnie Overpeck. — Wiem jednak gdzie wystąpią po następnej dużej burzy w górach.

W trzy dni po tym, jak rozwiały się chmury deszczowe, idąc wzdłuż linii określonej przez Overpecka, znaleźli wyraźne dowody na istnienie podziemnych zasobów wody. Stali na wzgórzu spoglądając na jałowe, puste połacie ziemi. Cztery tysiące akrów należało do Whipa, a tysiąc do Overpecka.

— Stoimy na kopalni złota, panie Hoxworth — odezwał się mały człowieczek. — Nie mam najmniejszych wątpliwości, że tu pod nami znajduje się woda. Niech pan kupi tyle ziemi, na ile będzie pana stać.

Osiem tygodni później pojawił się na Hawajach. Tym razem już bez bydła, ale ze skrzyniami pełnymi różnych urządzeń.

— Inwestycja pana Hoxwortha w bydło przyniesie straty, o ile nie znajdziemy jakoś wody — oświadczył w „Honolulu Mail”.

Ustawił wysoką na trzy i pół metra, drewnianą konstrukcję w kształcie piramidy. Na jej dole znajdowały się dwa potężne żelazne koła połączone ze sobą osią, na której zwiżała się lina, kiedy obracano koła. Lina szła w górę, do wierzchołka konstrukcji. Była przerzucona przez belkę i zwisała w dół. Jej koniec został przymocowany do ciężkiego, żelaznego wiertła. Pracowicie Overpeck kręcił kołami, aż wciągnął żelazne wiertło na szczyt konstrukcji. Następnie puścił linę i odskoczył. Wiertło spadło w dół, wbijając się w ziemię i skałę. Podciągnął wiertło do góry i ustawił w odpowiedniej pozycji. Potem dał się słyszeć świst i wiertło po raz kolejny wdarło się w skałę.

— Ile czasu to zajmie? — zapytał Hoxworth, zdziwiony ilością pracy, jaką trzeba będzie włożyć w to przedsięwzięcie.

— Dużo.

— Czy masz dość siły?

— Wiercę za milion dolarów — odpowiedział żyłasty, mały człowieczek. — Muszę mieć siłę.

Mijały dni i tygodnie. Zdeterminowany inżynier wciąż wiercił. Tempił wiertła o twardą warstwę skał. Ostrzył je ręcznie i wbijał ponownie.

— Powinieneś mieć silnik — narzekał Whip widząc niewielki postęp prac.

— Kiedy dostanę trochę pieniędzy, kupię silnik — sapnął Overpack. Whip zobaczył tego człowieka w nowym świetle.

— Przez całe życie byłeś splukany, prawda?

— Ano tak. Przez całe życie czekałem na człowieka takiego jak ty.

— Czy dostaniesz się do wody?

— Tak.

Na głębokości sześćdziesięciu metrów wiertło natrafiło na warstwę mającego ponad milion lat skamieniałego mułu oceanicznego, twardego jak diament. Whip stawał się coraz bardziej zniechęcony i przygnębiony. Bał się chodzić po Honolulu. Ludzie i tak nienawidzili go za to, co zrobił Iliki Janders i wyśmiewali się z jego pomysłu utworzenia hodowli bydła. Na początku, kiedy ludzie, którzy sprzedali Whipowi swoją ziemię zobaczyli, że Overpeck wierci, zapadła konsternacja.

— Czyżby Whip przechytrzył nas? Czy dowiedział się, że pod tymi skałami jest woda?

Te obawy ucichły. Żadnej wody nie było.

— Zeszli już na siedemdziesiąt pięć metrów i zaczyna brakować im lin — donosili szpiedzy.

Czternastego września tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku Milton Overpeck przebił się przez ostatnie pięć centymetrów skały i nagle pojawiła się słodka woda. Dosięgnęła powierzchni i wytrysnęła do góry, sięgając szczytu czterometrowej konstrukcji Overpecka. Pięćdziesiąt milionów litrów wody dziennie. Czterometrowy słup wody bił w górę dzień po dniu, miesiąc po miesiącu.

Zobaczywszy ten cudowny widok, Whip ożywił się i zaczął krzyczeć:

— Musimy oszczędzać tę wodę!

— Synu, będzie tak płynąć do końca świata — zapewnił go malutki pan Cwerpeck.

Wybrali olbrzymie zagłębienie terenu i wypełnili je wodą. Resztę roz-dystrybuowali po całym obszarze. Wywiercili dodatkowe studnie, wszystko ręcznie.

— Overpeck, to bez sensu. Nie powinieneś tyle pracować — mówił Whip. — Kupmy silnik, który odwali za ciebie całą robotę.

— Skończę te studnie — odpowiadał uparty człowieczek — i nigdy więcej nie zabiorę się do żadnej pracy. Wynajmę pokój w hotelu, wydzierżawię ci moją ziemię i będę wiódł beztrudne życie.

Tak się stało. Nie przewidział jednak naturalnego na Hawajach obrotu spraw. Jedna z dziewcząt Jandersów wyczuła go. Sprawdziła czy rzeczywiście posiadał ziemię, o której mówił i poślubiła go. W ten sposób jego tysiąc akrów ziemi wróciło do wielkiej koalicji Hoxworthów — Whipple'ów — Hale'ów — Jandersów — Hewlettów.

Whip pracował jak szalony zagospodarowując swoje tereny. Miał już wówczas sześć tysięcy akrów plus tysiąc wydzierżawionych od Overpecka. Dzięki pompom i systemowi kanałów, wszędzie docierała woda. Wykupił starą plantację cukru Malama i przeniósł zarówno jej nazwę, jak i działalność na swoją ziemię. Potem, kierując się genialnym zmysłem do interesów, w wieku dwudziestu sześciu lat, przekazał cały zarząd plantacji cukru Janders & Whipple" i wyruszył zwiedzać świat.

Pod koniec tysiąc osiemset osiemdziesiątego trzeciego roku wrócił do Honolulu z ładunkiem nowych drzewek pomarańczowych z Malajów, wspinałymi nasionami kawy z Brazylii, zaskakująco piękną, ogrodową odmianą kwiatu imbiru, czerwoną i bardzo ostrą, oraz z wysoką, ciemnowłosą hiszpańską żoną — Alomą Duarte Hoxworth. Żona wkrótce urodziła mu syna i uparła się, żeby nazwać go Jezus Duarte Hoxworth. Honolulu nazywało go Jadey, od pierwszych liter imion.

Aloma stanowiła na wyspie swego rodzaju sensację. Była z natury egzotyczna. Zgodnie z jej słowami, dni spędzane przez jej męża na rozrywkach w Aleji Szczurów miały dobiec końca. Łatwiej jej było wydać takie rozporządzenie niż dopilnować, aby mąż go przestrzegał. Tak więc pewnej nocy, kiedy Whip wrócił do domu po kilku godzinach spędzonych przyjemnie z chińską prostytutką, Aloma Duarte próbowała pociąć go na kawałeczki przy pomocy noża. Rozcięła mu paskudnie lewy policzek, lecz zanim zdołała zaatakować ponownie, popchnął ją na ścianę z taką siłą, że straciła oddech. Potem pobił ją. Miała złamaną szczękę i nadgarstek.

— Nikt nie będzie podchodził do mnie z nożem — wyjaśnił publicznie. Kiedy niegdyś piękna kobieta doszła do siebie, postanowiła wnieść do

sądu sprawę o pobicie. Przeciw niej świadczył jednak niemy świadek — szrama na policzku Whipa i prawnicy poradzili jej, żeby dała spokój. Wycofała pozew, wówczas odwiedzili ją Micah Hale, Bromley Hewlett i Mark Whipple. Oświadczyli, że są gotowi zapewnić jej stosowną dożywotnią pensję, o ile zgodzi się wyjechać z wysp.

— Nie ma tu dla ciebie miejsca — wyjaśnił Micah.

— Zabieram Jadeya ze mną — postraszyła.

— Whip nie zgodzi się na to — ostrzegł jej teść.

— Jadey jest mój — szalała Aloma Duarte.

— Jego miejsce jest tu, na wyspach — przekonywał ją Micah.

W końcu wyjechała na takich warunkach, jakie zaproponowała jej rodzina i z taką pensją, jaką jej obiecano. W Nowym Jorku powiedziała przyjaciółce:

— Bardziej bałam się tych trzech brodaczy niż mojego męża. On rzuca się na ciebie z pięściami, natomiast oni potrafią zagadać na śmierć. Na Hawajach prawie wszystko dzieje się pod ich dyktando. Ale przynajmniej okazali się hojni.

Tymczasem na zachód od Honolulu, jałowe niegdyś niziny, na których trzeba było dwudziestu akrów, żeby wyżywić krowę, przerodziły się w najżyźniejsze tereny rolnicze na świecie. Łodygi cukru rosły na półtora metra i pęczniały od soku. Nie było już widać czerwonej, wulkanicznej ziemi, ani wody, którą wydobył spod ziemi Whip. Widać było tylko pieniądze.

Wtysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku Nyuk Tsin nie mogła już dłużej odkładać decyzji dotyczących jej synów. Bacznie obserwując Ah Chow, Au Chow, Fei Chow, Mei Chow i Oh Chow, zdawała sobie sprawę jak trudne i ważne będzie jej zadanie. W Iolani, szkole prowadzonej przez Kościół Anglikański, jej synowie otrzymali najlepsze wykształcenie, jakie mogła zdobyć dla nich na wyspach. Gdyby dostali się do Ponahou, mogliby nauczyć się więcej i zaprzyjaźnić się z dziećmi misjonarzy, które miały w przyszłości rządzić Hawajami. Zarówno za względów finansowych jak i społecznych było to niemożliwe. Chłopcy doskonale dawali sobie radę w drugorzędnej szkole.

Teraz starsi byli gotowi do podjęcia dalszej nauki. Każdy z nich zasługiwał na college i uniwersytet. Byli inteligentni, zapobiegliwi i bystrzy. Mieli dobre maniery. Ich warkocze były zadbane, a paznokcie wyczyszczone. Mieli zdrowe zęby i czystą skórę. Dość dobrze dawali sobie radę w sporcie. Mówili doskonale w czterech językach: Puntii, Hakka, hawajskim i angielskim. Każdy z nich wykazywał wyjątkowe zdolności w zakresie matematyki i myślenia abstrakcyjnego. Wybranie spośród nich tego, na którego miał w przyszłości spaść ciężar opieki nad całą rodziną był naprawdę trudnym zadaniem.

Nyuk Tsin nie mogła się zdecydować, który z chłopców ma pojechać do Ameryki i jaki powinien obrać kierunek studiów. Dlatego na początku tysiąc osiemset osiemdziesiątego piątego roku zajęła się tą sprawą. Rozpoczęła od rozmowy z Ultessutafem Karakoram Bkke'em. Nie pomógł jej zbyt wiele. Wysunął dwa sprzeczne ze sobą kryteria. Jako Anglik zaklinał się:

— Nie warto łożyć na wykształcenie chłopca, jeśli nie jest dobry w sportach. Taki jest Europa. Ma ducha walki i refleks. Odpowiadając patrzy prosto

w oczy. Miły, dobrze ułożony chłopiec. Można mu ufać. Gdy dorośnie, będzie bogatym człowiekiem.

Tyle można było zrozumieć, ale gdy Uliassutai dodał, że:

— Naturalnie Ameryka jest jedynym miejscem na świecie, gdzie może powieść się w życiu człowiekowi o kurzym mózdzku, o ile ma dobry charakter. Wszędzie indziej potrzebna jest jeszcze inteligencja, a spójrzmy prawdzie w oczy Ciotko Wu Chow, twój syn Europa to osioł. Obawiam się, że to przesądza sprawę. Jedynie Ameryka przejawia inteligencję potrzebną naukowcom. Z drugiej strony, nie brałbym go pod uwagę. W ogóle nie daje sobie rady w sportach. Prawdopodobnie przez całe życie będzie klepał biedę. Skończy jako myśliciel, albo ktoś tego rodzaju. Nie marnowałbym pieniędzy na kształcenie go, chociaż we Francji mógłby zostać nawet członkiem gabinetu.

Nyuk Tsin zgadzała się z jego opinią co do obu chłopców. Europa zyskiwał przyjaciół dokądkolwiek się udał. Był miłym, zgodnym chłopcem. Nie miał głowy do książek, ale był idealnym synem. Ameryka był najwyraźniej najzdolniejszy, ale nieśmiały, skryty i czasami przerażał ją. Cała ta zagmatwana tyrada Bkke'a oznaczała jedno — nie potrafił dokonać wyboru.

Apikela i Kimo wyrazili się jasno.

— Tylko Australia — oświadczyli stanowczo. — Tak pięknie mówi po hawajsku, jakby już był wykształcony.

Gdy Nyuk Tsin próbowała dowiedzieć się od nich czegoś na temat jego charakteru, pracowitości, czy talentu do interesów, odpowiadali spokojnie:

— Tylko Australia się nadaje. Kiedy śpiewa, słowa pieśni brzmią wspaniale.

— Spędzacie z chłopcami więcej czasu niż ja. Co w nich widzicie? — zapytała Nyuk Tsin.

Znowu padła bezpośrednia odpowiedź:

— Australia będzie miał szczęśliwe życie. Ma taki uroczy uśmiech i potrafi się śmiać.

Ilekcio chłopiec wymykał się z domu swoich hawajskich rodziców i odwiedzał dom Kee, Nyuk Tsin słyszała jak żartował z Kimo i Apikelą. Pewnego razu oznajmiła mu:

— Być może pojedziesz uczyć się do Ameryki.

— Mnie się tutaj podoba — odpowiedział.

Jego przyjaciele dzielili się na cztery mniej więcej równe grupy: Punt, Hakka, Hawajczycy i Haole. W Iolani został wybrany przewodniczącym klasy i śpiewał w chórze.

— A więc wysłalibyście Australię do college'u? — naciskała Nyuk Tsin.

— Tak — odpowiedziała potężna Apikela. — Dobrze by się tam bawił.

— Ale wysłalibyśmy go tam po to, żeby się uczył — przypomniała jej Nyuk Tsin.

— Nie trzeba przemęczać jego zmęczonej główki — zaśmiała się Hawajka.

Spółeczność chińska także miała jasno wyrobione zdanie. Częściowo dlatego, że Azja był najstarszy i należał mu się szacunek, o ile nie popełni jakiegoś karygodnego czynu. Główny powód był inny. Azja otworzył już restaurację na Hotel Street i doskonale dawał sobie radę z prowadzeniem interesów.

— Temu chłopcu można ufać — mówili Punt. — Mądrze kupuje i sprzedaje. Ma dwiętnaście lat, a jest już lepszym biznesmenem niż mój dwudziestopięcioletni syn.

— Od kilku lat obserwujemy twoich synów — powiedzieli Hakka. — Pozostali są bardziej Hawajczycami niż Chińczykami. Azja jest inny. Ma duszę Chińczyka i da sobie radę w życiu.

Niewielu Chińczyków miało inne zdanie, a kiedy Nyuk Tsin zaaranżowała dla niego małżeństwo z dziewczyną Punti, której ojciec posiadał ziemię, jeszcze głębiej wrósł w społeczność chińską. Azja Kee miał stać się wpływowym człowiekiem.

Pozostawał jeszcze średni syn, Afryka. Nie wyróżniał się ani w sporcie, ani w nauce. Nie miał talentu ani do interesów, ani do śpiewu. Jego twarz była kwadratowa. W przeciwieństwie do swoich braci, warkocz upinał w węzeł na karku. Bił się z każdym, kto wszedł mu w drogę, ale nie był nadmiernie agresywny. Zanim podjął jakąś decyzję, długo zastanawiał się i wahał. Kiedy już raz coś postanowił, dopinał tego. Głęboko ukrywał swoje uczucia. Nie żywił specjalnych względów dla Uliassutai Blake' a, Apikeli czy Ciotki Wu Chow. Obserwował ich i znał ich siłę. Nie znał ich miłości. Bracia rzadko wołali, żeby przyłączył się do zabaw, ale często pytali go o plan lekcji na następny dzień. Matka obserwowała go z uwagą i doszła do następującego wniosku: „Afryka, ze swoim uporem, ma w sobie głębię, której brak pozostałym”.

Miała prawie tyle samo kłopotów z ustaleniem właściwego kierunku studiów. Pod tym względem Uliassutai miał wyrobione zdanie:

— Światem rządzą ci, którzy wiedzą jak nim manipulować, Ciotko Wu Chow. Zdolny człowiek ma do wyboru tylko dwa uczciwe zawody. Powinien zostać mesjaszem i poprowadzić nas w wieczną ciemność, albo studiować prawo, a wówczas Bóg jeden wie, co może osiągnąć. Gdybym był prawnikiem, wystartowałbym w wyborach do parlamentu. Jeśli twój syn zostanie prawnikiem, będzie mógł nauczyć cię jak oszukiwać rząd, a wkrótce wszyscy będziemy musieli się tego nauczyć. Prawnik, Ciotko Wu Chow. Tylko prawnik.

— Który z moich synów najlepiej nadawałby się na prawnika?

— Ameryka — odpowiedział. Ona też tak myślała.

Kimo i Apikela nie potrafili jej pomóc. Zastanawiali się nad tym przez dłuższy czas. W końcu Kimo zapytał:

— Dlaczego tacy wspaniali chłopcy mieliby kimkolwiek zostawać? Azja ma restaurację, Europa ma sklep a Australia więcej przyjaciół niż ktokolwiek inny w szkole. Lubią Hawaje. Pasują tutaj. Dlaczego mielibyśmy zawracać im głowy tymi wszystkimi wielkimi rzeczami?

Nyuk Tsin, która bardzo ceniła sobie opinię swoich grubych przyjaciół, zapytała:

— Ale czy wolelibyście prawnika, lekarza, czy dentystę? Hawajczycy pomyśleli przez chwilę i odpowiedzieli:

— Dla Hawajczyka, prawnika. Oni wygłaszają takie wspaniałe mowy. Dla Pake, chyba lekarza. Lekarz zarabia dużo pieniędzy.

Chińczycy podchodzili do tematu praktycznie. Prawie wszyscy Punti radzili studia medyczne.

— Lekarz jest zawsze szanowany. Staje się przywódcą całej społeczności. Poza tym potrzebujemy chińskiego lekarza.

— Żeby zostać lekarzem, trzeba studiować dwa lata dłużej — zauważyli Hakka. — Zostawmy to haolom. Twój syn powinien zostać dentystą. Nauka trwa krócej, a na dłuższą metę pieniądze są takie same.

Pewnego gorącego dnia w tysiąc osiemset osiemdziesiątym piątym roku, Nyuk Tsin śpieszyła w dół Nuuanu. Niosła na tyczce dwa kosze pełne ananasów i zastanawiała się nad otrzymanymi radami. Wahała się pomiędzy prawnikiem, a lekarzem i pomiędzy Azją i Ameryką. Nagle wóz z beczkami piwa

piwa ciągniony przez dwa konie, wpadł z ogromną prędkością na Hotel Street Chi i zahaczył o słup podtrzymujący dach chińskiej restauracji należącej do Azji gra Kee. Słup przewrócił się, podobnie jak drugi, który nie wytrzymał dodatkowego ciężaru. Cały dach zawalił się i spadł na Hotel Street. Nikt nie został ranny. Jakiś Hawajczyk pochwycił konie za lejce i bez trudu uspokoił je.

Azja znajdował się akurat w restauracji. Wybiegł na zewnątrz. Krzyczał i przeklinał konie, które nieoczekiwanie zamieniły jego jadalnię w ruinę. Nyuk Tsin szybko podeszła.

— Widziałam je! Widziałam! — krzyczała zwiększając jeszcze zamieszanie.

— Nie prowadźcie koni z powrotem! — krzyczał policjant. — Zawróćcie je i zabierzcie stąd!

Kiedy zwierzęta cofnęły się, huknął:

— Zawróćcie je! Przedstawiciel J&W" pospieszył wyjaśnić wszystkim, że to wina woźnicy, który zatrzymał się, aby popatrzeć na grę w bilard i że zostanie on wyrzucony z pracy.

Pośród tego zamieszania, Nyuk Tsin ujrzała swojego syna Afrykę. W chwili, kiedy zdarzył się wypadek, pomagał w restauracji brata przy zmywaniu naczyń. Teraz spokojnie chodził wśród tłumu i uspokajał Chińczyków.

— Spokojnie, Ciotko Wu Chow! — powiedział stanowczo. — Nie trzeba już krzyżeć. Nikomu nic się nie stało. Czy widziałaś, co się stało? Gdzie wtedy stałaś?

Policjant użerał się z mężczyzną, który pochwycił konie. Starał się zmusić go, aby je zawrócił i odprowadził dalej od ludzi. W tym czasie, Afryka Kee spokojnie spisywał nazwiska świadków.

— Nigdzie nie było widać woźnicy? — pytał wszystkich. — Widziałeś jak wóz uderzył w słupy?

Zanim Afryka dotarł do przedstawiciela J&W", ów wyparł się już zeznań o grze w bilard. Historia nie różniła się znacznie, ale Afryka miał spisane nazwiska wszystkich, którzy słyszeli pierwszą wersję. Zniszczenia nie były duże i rekompensata pieniężna wypłacona niechętnie przez J&W" nie była pokaźna. Dokonano napraw, a pieniądze dołożono do oszczędności, dzięki którym Afryka Kee miał pojechać do Michigan żeby zostać prawnikiem.

Miał siedemnaście lat, kiedy Ciotka Wu Chow podjęła w końcu decyzję. Rodzina nie miała dość gotówki, żeby żyć dostatnio na Hawajach, a co dopiero wysłać chłopca do Ameryki. Jednak w tamtym okresie Nyuk Tsin rozpoczęła kilka przedsięwzięć. Z jej polecenia, Azja i Europa, posiadający już własne interesy, pożyczili pieniądze na pokrycie kosztów podróży. Sprzedawała ananasy sześć godzin dziennie. Uprawiała pola osiem godzin dziennie i zostawiała sobie dwie na prowadzenie obserwacji. W końcu, kiedy mędrzec ze sklepu Punti zapewnił ją, że nadszedł właściwy czas, umyła zabłocone stopy, wyczyściła niebieskie ubranie, zawiązała wdowią chustkę na rzadkich włosach i założyła kapelusz. Potarła policzki, żeby wyglądać jak najlepiej i wyszła nie mówiąc nikomu dokąd idzie. Poszła na ulicę Nuuanu, gdzie kupiła torbę brązowych, ciągnących cukierków pokrytych makiem.

Trzymając torbę w ręku, weszła na ruchliwą Hotel Street, w samym sercu Chinatown. Skręciła w lewo. Minęła restaurację Azji i sklep Europy. W labiryncie baraków szukała wąskiej uliczki. W końcu znalazła ją. Pomodliła się do Kwan Yin o pomoc w przedsięwzięciu i weszła pod bambusowe tyczki podtrzymujące pralnię po drugiej stronie ulicy. W końcu dotarła do drzwi kuchennych domu odróżniającego się trochę od pozostałych. Był to dom rodziny

Ching, najbogatszych Hakka w Honolulu. Odwiedziny Nyuk Tsin w tym domu graniczyły z zuchwałością. Zapukała i cierpliwie czekała, aż wysoka, dobrze ubrana pani domu otworzyła drzwi i spojrzała w ciemność, aby rozpoznać gościa. Wysoka kobieta milczała.

— Niech spadnie na ciebie tysiąc błogosławieństw tej znamiennej nocy, droga teściowo — powiedziała z szacunkiem Nyuk Tsin. Tytuł miał znaczenie czysto grzecznościowe i nie implikował żadnego pokrewieństwa, więc bogata kobieta przyjęła go jako zupełnie naturalny.

— Wejdz, droga szwagierko — odrzekła. — Czy już jadłś?

To także była formułka grzecznościowa, więc Nyuk Tsin zgodnie ze zwyczajem odpowiedziała:

— Jadłam, a ty?

Wyposażenie kuchni zrobiło na niej duże wrażenie. Dwa okna były dostatecznie wysoko, żeby pieniądze rodziny Chin nie wyciekały przez nie. Drzwi nie były ustawione naprzeciwko siebie, dzięki czemu nie uciekał smok szczęścia. Ziemia przed domem nie opadała w dół, żeby nie odpłynęła z niego pomyślność. W kuchni znajdował się ceglany piec, na którym zawsze stał czajniczek z herbatą. Teraz pani Ching nalewała Nyuk Tsin małą filiżaneczkę starej herbaty. Filiżanka nie była zbyt duża, żeby nie okazać Nyuk Tsin nadmiernego szacunku, ani zbyt mała, żeby nie ściągnąć na rodzinę Ching posądzenia o skąpstwo.

— Proszę usiądź, droga szwagierko — powiedziała bogata kobieta.

Jej wygląd zewnętrzny w niczym nie zdradzał fortuny, którą kontrolowała. Nie nosiła biżuterii, nie była umalowana i nie miała grzebieni we włosach. Jej prosta sukienka przypominała ubranie noszone przez Nyuk Tsin. Miała białe stopy. Uważne oko gościa potrafiło znaleźć dowody na zamożność pani Ching; jej kuchnia była pełna jedzenia! Z bambusowych tyczek zwisały trzy szynki i pięć suszonych kaczek. Na ich dziobach zbierały się kropelki aromatycznej oliwy. Następnie główki białej kapusty, kosze warzyw i torby orzechów. W kuchni było pełno rzeczy, które tak kochają bogaci ludzie i pani Ching odsunęła część przedmiotów znajdujących się na stole, żeby zrobić miejsce dla torby ze słodyczami przyniesionej przez Nyuk Tsin. Żadna z kobiet nie powiedziała ani słowa na temat torby, ale każda aż do bólu zdawała sobie sprawę z jej obecności. Gdy rozpoczęła się rozmowa, patrzyły z fascynacją na słodycze.

— Co cię sprowadza tej znamiennej nocy do mego ubogiego domu, droga szwagierko? — zapytała nienaturalnie słodkim głosem.

Nyuk Tsin siedziała ze spracowanymi rękami złożonymi na łonie i brązowymi stopami na podłodze.

— Ponieważ nie jestem tak bogata jak moja szanowna teściowa, nie mogę sobie pozwolić na wynajęcie posłańca. Zachowałam się więc bezwstydnie i złamałam zasady dobrego wychowania. Przyszłam prosić o twoją córkę, Siu Kim.

Pani Ching nie okazała zdziwienia, lecz podświadomie cofnęła się do tyłu i zabrała ręce daleko od słodyczy. Nyuk Tsin zauważyła to i poczuła się urażona. Mimo to, uśmiechała się szczerze do swojej gospodyni. W końcu, po chwili zakłopotania, pani Ching odezwała się jedwabistym głosem:

— Wydawało mi się, że twój syn Ah Chow ma już żonę.

— Ma, droga teściowo — odpowiedziała spokojnie Nyuk Tsin, wypuszczając pierwszą z przynęt przygotowanych na ten wieczór. — Udało mi się skojarzyć jego małżeństwo z panną Lam.

— Punti, jak mi się zdaje? — odezwała się pani Ching.

Nyuk Tsin skromnie spuściła oczy i wyznała:

— Tak, to Punti, ale wniosła w posagu dużo złota i teraz mój syn ma własną restaurację.

— Ma ten budynek na własność? — zapytała zaskoczona pani Ching.

— Całkowicie — potwierdziła stanowczo Nyuk Tsin — z tym, że nasza rodzina kontroluje dochody.

— Rozumiem, że twój drugi syn zamierza poślubić Hawajkę.

— Rzeczywiście — wyznała Nyuk Tsin.

Poczekala, aż pani Ching wyrazi swoje oburzenie i dodała cicho:

— Znalazłam mu Hawajkę z kilkoma dużymi polami.

— Naprawdę? I ziemia należy teraz do rodziny?

— Tak.

— Hmm — dziwiła się pani Ching. Pochyliła się troszeczkę do przodu i rozmowa toczyła się dalej. — Twój najmłodszy syn bawi się głównie z Hawajczykami. Zapewne któregoś dnia poślubi jedną z nich.

— Jest wiele hawajskich dziewcząt, które lubią mojego syna i na szczęście wszystkie mogą wnieść w posagu dużo ziemi — powiedziała Nyuk Tsin.

Potem, aby ustawić się na równej stopie, co pani Chin, dodała odważnie:

— Skoro moja rodzina nie wraca do Chin, chcę, aby moi synowie tutaj znaleźli sobie żony.

— Dlatego pozwoliłaś najstarszemu synowi ożenić się z Punti?

Nyuk Tsin nie zamierzała pozwolić się zahukać. Z dużą pewnością siebie oświadczyła:

— Chcę, żeby moja rodzina żyła nowym życiem, a nie takim, jakie ty i ja wiodłyśmy w Wysokiej Wiosce.

Pani Chin wyczuła w tej uwadze naganę i powiedziała obojętnie:

— Chcesz stworzyć rodzinę, do której uczciwa dziewczyna Hakka, taka jak moja Siu Kim, nie chciałaby wejść. Nie pozwoliłabym jej wyjść za mąż za twojego syna.

Była to bardzo ważna uwaga. Oschła, ale Nyuk Tsin nie wiedziała czy pani Ching zerwała negocjacje, czy starała się podważyć pozycję Nyuk Tsin. Wówczas, gdyby doszło do rozmowy o pieniądzech, strona dziewczyny mogłaby zarządzać większą częścią kwoty. W każdym bądź razie, Nyuk Tsin doszła do wniosku, że najwyższy czas zdetonować pierwszą bombę. Wypuściła ją delikatnie, pozwalając jej eksplodować pomiędzy szynkami i kaczkami.

— Zdaję sobie sprawę, czcigodna teściowo, iż kobieta tak bogate jak ty może nie chcieć wydać tak pięknej dziewczyny jak Siu Kim za chłopca z rodziny tak biednej jak moja. Jednakże jest coś, co przeoczyłaś. Wczoraj mędrzec w sklepie Punti postawił mojemu synowi Afryce horoskop — oznajmiła i położyła na zatłoczonym stole, tuż obok torby ze słodyczami, zwój papieru. — Kiedy horoskop został ukończony, mędrzec popatrzył na niego z przyjemnością i powiedział: „W całym moim życiu nie widziałem lepszego horoskopu dla młodego człowieka”. Tak właśnie powiedział.

Obydwie kobiety, z których żadna nie potrafiła czytać, oglądały cenny kawałek papieru i pani Ching zapytała ostrożnie:

— Jesteś pewna, że to horoskop twojego syna?

— Tak.

— I daję dobrą wróżbę?

Nyuk Tsin skromnie spuściła wzrok i popatrzyła na swoje stopy. Miękkim głosem powiedziała:

— Pieniądze, wiedza, pozycja lepsza, niż mędrca w Chinach, długie

pełne powodzenia życie, wiele dzieci — tak brzmi przepowiednia dla mego syna.

Kobiety siedziały w milczeniu. Każda z nich zdawała sobie sprawę, że leżało przed nimi coś niesłychanie rzadkiego. Patrzyły na kawałek papieru. W końcu pani Ching wstała.

— Droga szwagierko, zrobię jeszcze trochę herbaty.

Te słowa sprawiły Nyuk Tsin ogromną radość. Wymazały wszystko, co zostało do tej pory powiedziane. Nadal trzymała oczy skromnie spuszczone w dół. Nie patrzyła jak pani Ching parzyła świeżą herbatę, zamiast podać starą wciąż stojącą na piecu i nalewała ją do filiżanek z pięknej chińskiej porcelany. Dla Nyuk Tsin była to chwila największego triumfu w życiu i z przyjemnością wypila łyżeczek wspaniałej herbaty.

— Siu Kim — zaczęła pani Ching — jest wyjątkową dziewczyną i prosiło o nią ponad dwunastu mężczyzn. Niektórzy z nich byli całkiem bogaci.

Nyuk Tsin piła swoją herbatę i uprzejmie pozwalała wychwalać walory córki. Patrząc ponad filiżanką herbaty, młoda kobieta spojrzała na torebkę ze słodyczami i pomyślała: „Pozwolę jej jeszcze wychwalać córkę przez pięć minut, a potem wypuszczę następną przynętę”.

Kiedy pani Ching skończyła wyjaśniać dlaczego, z czystej przyzwoitości, musi zachować Siu Kim dla mężczyzny bogatszego niż Afryka Kee, Nyuk Tsin powiedziała obojętnym głosem:

— Nie codziennie Hakka taka jak Siu Kim ma okazję wyjść za mąż za mężczyznę, który pojedzie uczyć się w dobrym college'u w Ameryce i zostanie prawnikiem. Wydaje mi się, że jako jej matka, powinnaś wykorzystać taką okazję i dodać jeszcze wysoki posag.

Pani Ching zaniemówiła usłyszawszy taką wiadomość. Potrafiła jednak wspaniale negoq"ować. Nawet nie drgnęła jej powieka.

— Jak kobieta handlująca warzywami może pozwolić sobie na posłanie syna do Ameryki? — zapytała jedwabistym głosem.

Nyuk Tsin natychmiast odparowała cios:

— Posiadamy ziemię w górze Nuuanu. Posiadamy ziemię w lesie oraz na Maa. Azja ma własną restaurację, a Europa wpłacił już pokaźną sumę, aby wybudować budynek w miejscu, gdzie znajduje się jego sklep. Każdy z moich synów pracuje, podobnie jak ja i jestem pewna, że mamy dosyć pieniędzy, żeby posłać Afrykę do Michigan.

Pani Ching była wyraźnie wstrząśnięta tą przemową. Teraz ona sięgnęła po amunicję większego kalibru.

— Przyszłość twojego syna zapowiada się... ciekawie. Ale jego ojciec był trędowaty.

Nyuk Tsin nie drgnęła.

— W pierwszym rządzie byłam w stanie skojarzyć tak korzystne małżeństwo z Hawajką, która wniosła do naszej rodziny tyle ziemi, ponieważ Hawajczycy znają mnie jako Pake Kokua. Powiedzieli, że jeśli Afryka zostanie prawnikiem, będą załatwiać wszystkie swoje interesy w biurze syna Pake Kokua.

Dwie uparte Hakka patrzyły na siebie z szacunkiem. Pani Ching podjęła decyzję. Jej dłoń prawie niezauważalnym ruchem przesunęła się po stole. Wyciągnęła dwa palce i powoli wzięła torebkę ze słodyczami posypanymi makiem. Bezgłośnie przysunęła ją do siebie.

Obserwując ten znaczący gest, Nyuk Tsin myślała: „Nie wolno mi płakać”. Powstrzymała łzy. Nie chciała, aby pani Ching wiedziała jak bardzo się cieszyła. Przyjęcie słodyczy oznaczało zgodę na małżeństwo.

Do tej pory Nyuk Tsin nie widziała nawet Siu Kim, a Afryka Kee nie miał nawet pojęcia o tym, że matka planowała jego małżeństwo. Matki nie powiedziały młodemu o niczym, a negocjacje finansowe trwały do końca roku. Jednak pewnego dnia Nyuk Tsin zobaczyła piękną dziewczynę, o którą się targowała i przyznała pani Ching:

— Twoja córka, Złota Piękność, jest jeszcze powabniejsza niż mi mówiłaś.

— Mówiąc te słowa, spojrzała za trzynastoletnią wówczas Siu Kim i w drzwiach ujrzała jej jedenastoletnią siostrę, Siu Han, ubraną w niebiesko-złotą chińską suknię. Nyuk Tsin zaparło dech na widok dziewczynki.

— Jak nazywa się ta dziewczyna? — zapytała.

— Siu Han, Piękna Dziewczyna — odpowiedziała po prostu pani Ching

— ją zachowam dla naprawdę bogatego mężczyzny.

Nyuk Tsin uśmiechnęła się do dziewczynki i zapamiętała jej imię.

Były to wspaniałe, podniecające lata dla rodziny Kee. Na miejscu chaty z traw postawiono jeden z najbrzydszych budynków w Honolulu; prosty, dwupiętrowy dom z drewna, do którego po namyśle wybudowano przybudówki. Drzewo mango i palma dawały trochę cienia, ale nie było ani trawnika, ani kwiatów. Na podwórku trzymano świnię, a w kuchni kury. Głównym mieszkańcem domu był jednak ogromny Kimo, który gotował dla całej rodziny i Apikela, która zmywała i przyrządzała poi. Toczyła się nieustająca wojna pomiędzy Nyuk Tsin i pozostałymi. Ona lubiła ryż i chińskie jedzenie. Oni nalegali na poi i amerykańskie jedzenie. Kiedy po długim dniu pracy błagała o ryż, stojący przy kuchni Kimo wrzusał ramionami, a chłopcy wołali:

— Och, Ciotko! Kto chciałby ryż?

Jeśli chciała ryżu, musiała go sama ugotować, ponieważ Kimo nie miał zamiaru zwracać sobie głowy.

Naturalnie jej żonaci synowie mieszkali razem z nią. Każda rodzina miała swój pokój. Apikela zajmowała się dziećmi, które zaczęły regularnie przychodzić na świat. Razem ze świnią, kurami i dziećmi tworzyli hałaśliwy, wesoły dom wyspiarski. Było wiele takich domów, ponieważ Chińczycy i Hawajczycy żyli ze sobą w harmonii. Pewnego dnia w salonie bilardowym Kimo zobaczył świeżo sprowadzone z Portugalii ukulele. Niczym mały chłopiec dopóty wiercił Nyuk Tsin dziurę w brzuchu, dopóty nie kupiła mu instrumentu. Potem ukulele zarządała Apikela i żona Europy. Pieśni płynące z chińskiego domu wypełniły dolinę.

W połowie tysiąc osiemset osiemdziesiątego szóstego roku, kiedy Afryka Kee miał osiemnaście lat, ogłoszono, że na początku następnego roku ożeni się z bogatą dziewczyną Hakka, Ching Siu Kim. Zaczął rozglądać się po mieście, pragnąc dowiedzieć się, jak wyglądała jego przyszła żona. Pewnego dnia zobaczył ją idącą przez park Aala. Naturalnie nie miał pewności, że właśnie tę dziewczynę wybrano dla niego, ale pomyślał: „Byłoby miło, gdyby była podobna do tej”.

Odbyły się wspaniałe uroczystości ślubne. Przybyło wielu gości, ponieważ rodzina Ching była bardzo wpływowa. Zanim Afryka Kee wszedł na pokład statku mającego zawieść go do Michigan, miał już troje dzieci. Zgodnie z tradycją zabrał księgę genealogiczną zawierającą wiersz i udał się do sklepu Puntí. Tam mędrzec nadał imiona jego synom. Wiersz mówił, że imię czwartego pokolenia musi zaczynać się od „Koon”, Ziemia. Zgodnie z tym, jego dwaj synowie otrzymali imiona „Koon Chuk”, Centrum Ziemi, oraz „Koon Yuen”,

Esencja Ziemi, Która Wszystko Tworzy. Rodzice nazywali ich po prostu Sam i Harvey. Chińskie imiona posłano do Niskiej Wioski. Tak więc, gdy dwudziestojednoletni Afryka Kee zapisał się wreszcie na studia w Michigan, był nie tylko głową rozwijającej się rodziny, lecz i członkiem potężnego klanu żyjącego w Niskiej Wiosce od tysiący lat. Podczas studiów Afryka najczęściej pamiętał jednak to, co wydarzyło się ostatniego dnia jego pobytu w Honolulu.

Nyuk Tsin zebrała swoich pięciu synów i poprowadziła ich do pisarza w sklepie Punt. Tam przekazała pięćdziesiąt dolarów, których rodzina straszliwie potrzebowała na różne przedsięwzięcia. Azja i Europa aż jęknęli widząc jak odbiera się Kee tyle pieniędzy. Poza tym, z pewnością przydałyby się one Afryce w Michigan.

— Wasza matka w Chinach może potrzebować tych pieniędzy — powiedziała jednak Nyuk Tsin. — W tym roku mogły być złe plony. Ponad wszystko musicie złożyć wyrazy szacunku należne waszej matce.

Afryka wyróżniał się na studiach w Michigan, ponieważ rozumiał podstawową prawdę, że prawo rządu poczynaniami społeczeństwa. Jest zakorzenione w przeszłości, determinuje teraźniejszość i chroni przyszłość. Afryka rozumiał i doceniał te konserwatywne zasady lepiej niż którykolwiek inny student.

Tego dnia, kiedy na pokładzie liniowca „H&H” „Molokai” popłynął do Ameryki, Nyuk Tsin wsiadła na mały parowiec i udała się w pielgrzymkę do grobu męża w osadzie trędowatych Kalawao. Ona również miała poczucie ciągłości. Jeśli jej najzdolniejszy syn wyruszył do nowego świata, to tylko dlatego, że martwy hazardzista Kee Mun Ki był dla niej dobry.

Tym razem parowiec nie kołysał się u brzegów półwyspu i nie wyrzucał brutalnie pasażerów na zimne i wrogie plaże Kalawao. Statek podpłynął bezpośrednio do molo w Kalaupapa, po łagodnej stronie półwyspu i pasażerowie mogli wysiąść normalnie. Na nowych trędowatych czekali lekarze i pielęgniarki. Duży, biały dom misyjny dla trędowatych zapewniał im schronienie. W szpitalu misyjnym nadal nie było lekarstwa, które zwalczyłoby chorobę, ale trędowaci znajdowali tam troskliwą opiekę, dzięki której nie zapadali, na tak częste niegdyś, zapalenie płuc i gruźlicę.

Nyuk Tsin przeszła przez nową, czystą osadę. Minęła krater wulkanu. Nagle zatrzymała się i opanował ją niezrozumiały ból. W dole, ukazał się jej oczom najpiękniejszy widok, jaki w życiu widziała. Był o wiele dynamiczniejszy niż widok wzgórz w Chinach i piękniejszy niż dolina Honolulu. W dali wznosiły się spękane klify Molokai, o które biły białe, spienione fale. Z ich wysokich na trzysta metrów szczytów spadały srebrzyste wodospady. Ocean lśnił błękitnie, a małe wysepki rozrzucone na nim tworzyły cudowne wzory. Pola Kalawao, opuszczone przez trędowatych, były łagodne i zielone, tak jak przez tysiące lat zanim straszliwa choroba dotarła do wyspy. Dwa puste kościoły, protestancki i katolicki, stały w miejscu, gdzie niegdyś szalał terror. Dom, który zbudowała własnymi rękami nie miał już dachu. Jak cudowne były dni, spędzone w nim razem z Mun Ki i Palani, pomyślała. Oczami duszy widziała ich nie jako kaleki z odpadającymi nosami, ale zdrowych mężczyzn.

— Jak bardzo chciałabym zobaczyć ich jeszcze raz, grających na plaży w fan-tan.

Tę noc spędziła w Kalawao, w domu kokua, którą знаła przed laty. Następnego dnia, o trzeciej nad ranem, kiedy zapiał pierwszy kogut, wyszła z domu i udała się na grób męża. Chciała być na miejscu, gdy duch wstanie, aby spacerować po dolinie. W świede księżycy poprawiła kamienie, które obsunęły

się z grobu. Zagrabiła ziemię i wyrwała chwasty. Ostrożnie ustawiła słupek z wypisanym złotymi literami imieniem Kee Mun Ki. Następnie rozwiązała zawiniątko i uroczyście ustawiła na grobie nowe, piękne naczynia. Nałożyła w nie trzy nakazane przez tradycję smakołyki: pieczoną świnie, kurczaka i rybę. Na półmiski wyłożyła pomarańcze, gotowany ryż, małe ciasteczka z kminkiem i brązowe słodczyce posypane makiem. Zapaliła świeczkę, by jej wonny zapach poprawił atmosferę i uczynił ją miłą dla ducha. Ukończyła przygotowania i czekała na świt.

Pojawiwszy się, duch jej męża nie znalazł drzewa, na którym mógłby spocząć, jak mógłby spodziewać się tego w Chinach, gdzie rosło mnóstwo drzew i sadzono je koło grobów właśnie w tym celu. Znalazł jednak miejsce dla siebie na jednej ze skał za grobem. Tam, ogrzany ciepłymi promieniami słońca, z dala od chłodnego wiatru od morza, usiadł przy swojej żonie.

— Trzech chłopców ożeniło się, Ojciec Wu Chow — wyjaśniła cichym głosem. — Nie byłam w stanie skojarzyć idealnych małżeństw z dużymi posągami, ale powiodło mi się dobrze. Pani Chin, jak należało się tego spodziewać, była mi bardzo niechętna. Wyciągnęła nawet nieprzyjemną stronę naszego życia. „Twój mąż umarł na trąd”, powiedziała. Nie straciłam opanowania. Trzeba było myśleć o ułożeniu małżeństwa. W końcu poddała się.

— Ah Chow ma czworo dzieci, Au Chow i Fei Chow mają po troje. Zamierzam postarać się, żeby Oh Chow dostał najmłodszą córkę pani Ching. To nie będzie łatwe. Dziewczyna jest piękna i będą mogli zażytyć sobie wysoką cenę.

— W domu wszystko idzie dobrze. Kimo i Apikela opiekują się nami. To wspaniali ludzie. Pola są żyzne, a ananasy nadal dobrze się sprzedają. Ah Chow ma dobrą restaurację, w której zawsze jest ruch, a Au Chow prowadzi sklep z warzywami.

— Ale najlepszą nowiną jest to, że twój syn, Fei Chow jest już na statku płynącym do Michigan. Będzie studiował tam prawo. Wsadzając go na statek widziałam ciebie i Palaniego siedzących tutaj, w naszym małym domku, marzących o podróży w szeroki świat i zwiedzaniu obcych krajów.

— Pomyśl tylko! Pomyśl, nasz syn, nasze własne dziecko będzie uczonym! Nyuk Tsin zamilkła, wdzięczna za tak wielkie błogosławieństwo. Na jej

powiece zadrżała ła. Słońce przesunęło się wyżej na niebie, a ona wciąż siedziała przy grobie. O jedenastej zapytała:

— Czy nie jest zbyt gorąco na tych skałach? Naprawdę powinieneś mieć drzewo, Ojciec Wu Cho.

Późnym popołudniem opuściła grób, zostawiając jedzenie dla ducha.

W drodze powrotnej do Kalaupapa, minęła stary cmentarz i zauważyła nowy nagrobek. Był większy od pozostałych. Zastanawiała się, kto z jej znajomych został tam pogrzebany. Poczekala, aż nadszedł jeden z hawajskich trędowatych, z prawie całkowicie przeżartą chorobą twarzą i zapytała go:

— Czyj to grób?

— Ojca Damiana — odpowiedział. — Umarł jako jeden z nas.

Kiedy dotarła do Kalaupapa okazało się, że podczas, gdy ona rozmawiała z mężem, ludzie dowiedzieli się, kim była. Czekal na nią tłum.

— Pake kokua! — wołali.

Wielu znajomych z dawnych, straszliwych dni przyszło się z nią przywitać. Niektórych rozpoznała. Choroba przebiegała łagodnie. Inni zmienili się nie do poznania i tylko miłosierny Bóg mógł dostrzec w nich ludzi.

— Pake Kokua! — wszyscy krzykali. — Dobrze, że wróciłaś.

Usiadła na kamieniu, drobna Chinka o spalonej od słońca twarzy, a oni zebrali się wokół niej. Przyszedł duchowny i zapytał po hawajsku:

— Czy to ciebie zwą Pake Kokua? Przytaknęła, wówczas powiedział:

— Pamiętają tu o tobie.

Zapytała czy to prawda, że ojciec Damien zmarł na trąd.

— Zeszłej wiosny — odrzekł duchowny.

— Czy bardzo cierpiał?

— Tutaj każdy cierpi.

W Kalaupapa jest znacznie lepiej, niż kiedyś w Kalawao — zauważyła.

— Kiedy ludzie w Honolulu uświadomili sobie swoją odpowiedzialność, warunki musiały się poprawić — powiedział młody człowiek.

— Czy znaleźliście jakieś lekarstwo? — zapytała.

— Miłosierny Bóg nie pokazał nam jeszcze właściwej drogi, ale w swej łaskawości nie zezwoli, by choroba tak straszliwa jak trąd pozostawała nieuleczalna. Na razie modlimy się.

Pod koniec tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku Nyuk Tsi większość czasu spędzała na pertraktowaniu z rodziną Ching warunków, na których ich najmłodsza córka, Ching Siu Han, miałyby zostać oddana jej najmłodszemu synowi, Australii. Powiedziała pani Ching szczerze:

— Chłopak świetnie daje sobie radę w szkole i jeśli o to chodzi, nie żywię co do niego żadnych obaw. "Wychował się jednak wśród Hawajczyków i jest bardziej Hawajczykiem niż Chińczykiem. Musi ożenić się z Chinką. W przeciwnym razie utracimy go.

— Au Chow i Mei Chow pozwoliłaś ożenić się z Hawajkami — zauważyła pani Ching.

— Te dziewczęta wniosły w posagu dużo ziemi i małżeństwa były dobre dla chłopców — nie ustępowała Nyuk Tsin. — Z Oh Chow sprawa przedstawia się inaczej. On nie potrzebuje ziemi, tylko mądrą, chińską żonę.

Jej przeciwniczka uważała jednak, że Siu Han, będąc wyjątkowo piękną dziewczyną, powinna zostać zatrzymana dla kogoś zamożniejszego niż Australia.

W tym czasie Siu Han, pełna życia, piętnastoletnia dziewczyna, zaczęła okazywać swoją upartą naturę. Wyrwała się z oków konserwatywnych chińskich zwyczajów, które nakazywały dziewczynie spędzać cały czas w domu. Podczas gdy jej siostra, żona Afryki, opiekowała się dziećmi, ona spacerowała po Hotel Street. Ponieważ była wyjątkowo ładna, wzbudziło to mnóstwo komentarzy wśród społeczności chińskiej. Podczas jednego z takich spacerów spotkała Nyuk Tsin, która zapytała ją:

— Czy poznałaś już mojego syna Australię?

— Nie — odrzekła dziewczyna.

— Jest w restauracji swojego brata. Może zjemy razem miseczkę klusków.

Nyuk Tsin i piękna dziewczyna weszły razem do restauracji Azji i usiadły. W tej samej chwili pojawił się Australia, zaskoczony ich widokiem, gdyż Ciotka Wu Chow nigdy przedtem tam nie zachodziła. Usiadł razem z nimi, a Nyuk Tsin zapytała obojętnym głosem:

— Czy nie uważasz, że siostra twojej bratowej jest bardzo atrakcyjna? Naturalnie Australia tak właśnie uważał. Po kilku minutach Nyuk Tsin pod jakimś pretekstem odeszła od stolika i zaczęła rozmawiać z Azją, który oświadczył:

— Doprawdy, postąpiłaś haniebnie sprowadzając tu tę dziewczynę. W następnym tygodniu Nyuk Tsin często prosiła Australię:

— Może poszedłbyś pomóc swojemu bratu w restauracji?

Zawsze też udawało jej się znaleźć w Chinatown Siu Han i sprawić, aby tych dwoje spotkało się. Przed końcem roku Nyuk Tsin nie musiała przekonywać bogatej pani Ching, aby pozwoliła córce ożenić się z Australią. Robiła to za nią Siu Han.

— Moja nieznośna córka — mówiła o niej pani Ching.

Nyuk Tsin postąpiła rozsądnie i na jakiś czas zniknęła ze sceny. Na początku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego roku ogłoszono zaręczyny.

Na ślubie, Nyuk Tsin, czterdziestoczteroletnia kobieta wyglądająca raczej na sześćdziesiąt lat, siedziała cicho i dziękowała bogom Hakka za to, że byli dla niej tak dobrzy. Potem zwróciła uwagę na kobietę Hakka, która jako prezent ślubny przyniosła przywiezione z Kantonu małe pudełeczko z drzewa sandałowego. Nyuk Tsin powąchała aromatycznie pachnący prezent i pomyślała:

— To naprawdę Kraj Pachnących Drzew.

Zanim rozpoczęło się ostatnie dziesięciolecie dziewiętnastego wieku, Dziki Whip Hoxworth skoncentrował swoją energię na dwóch rzeczach: kobietach i przyłączeniu Hawajów do Stanów Zjednoczonych. Przez pewien czas jego działania skoncentrowały się na tych pierwszych. Po rozwodzie z Hiszpanką, Alomą Duarte, spędzał swój wolny czas z najdziwniejszymi istotami. Patrząc na nie, od razu można było odgadnąć, że uciekły na wyspy z przepływających obok statków. Nie miały twarzy, tylko ciała, których nie dało się zapomnieć. Zdziwiające, ale gdy tylko lądowały na brzegu, od razu udawały się do Whipa. Zupełnie, jakby powradamiał je, że można go znaleźć na werandzie Hotelu Hawajskiego. Szybko wносиły swój bagaż, nigdy nie miały go zbyt wiele, do pokoju Whipa, a po jakimś czasie jechały dalej, do Manili albo Hong Kongu. Wiele zostałyby z przyjemnością, jednak Whip był zbyt mądry, by na to pozwolić.

Od czasu do czasu spędzał weekendy w Aleji Szczurów, po drugiej stronie rzeki Iwilei. Często w Hotelu Hawajskim, zbudowanym dla ważnych gości króla, widywano właściciela burdelu. Przychodził powiadomić Whipa o przyjeździe nowych dziewczyn, albo o tym, że jakaś dziewczyna chciała się z nim zobaczyć. Łatwo można było zrozumieć dlaczego kobiety szalały za Whipem. Miał trzydzieści trzy lata. Był wysoki i szczupły. Na lewym policzku widniała blizna po ranie zadanej mu nożem przez Alomę, a wiatr wicherzył czarne włosy. Miał śnieżnobiałe zęby i przenikliwe oczy. Zawsze dbał o swój wygląd i odpowiednie zachowanie. Kiedy jechał konno przez zakurzone drogi plantacji, mówił do swoich pracowników w pidgin, z odpowiednią domieszką chińskiego, japońskiego, hawajskiego albo portugalskiego, w zależności od tego, z kim rozmawiał. Bez względu jakim językiem mówił, wyrobił sobie śpiewny akcent, charakterystyczny dla przybyłych na wyspy meksykańskich kowbojów. Każde zdanie kończył wysokim zaśpiewem.

— Hej, ty, Joe! Co ty sobie myślisz? Marnujesz wodę?

Słowa „myślisz” i „wodę” akcentował, przez co nabierały wewnętrznej melodii. Podczas gdy jego ludzie pracowali na polach przy trzcinnie cukrowej, Dziki Whip często zatrzymywał się w ich domach i rozmawiał z kobietami. Naturalnie od czasu do czasu zdarzało się, że kobiety doceniały jego miłe obejście, a on z przyjemnością wskakiwał do ich łóżek. Spędzał z nimi kilka chwil, a potem, odjeżdżając wołał:

— Ej, Rosie! Uważaj jak twój chłopak wróci do domu, silny jest, niee?

Dwa razy został zaatakowany i raniony maczetą. Kiedy zastanowił się nad ryzykiem, jakie podejmował, doszedł do wniosku, że kiedyś zginie gwałtowną śmiercią. Gazety będą rozpisywały się na temat tego skandalu, a bogacze śmiać i myśleć: „Cóż za wspaniała śmierć!”

Potem, pod koniec tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku, Dziki Whip rozpoczął działalność na zupełnie innej, szerszej arenie. Stany Zjednoczone ponownie dyskryminowały dostawców cukru z Hawajów. Dotąd cukier wysyłano na kontynent nie płacąc przy tym podatku. W zamian Stany Zjednoczone mogły przysyłać pewne towary na Hawaje i używać Pearl Harbor jako bazy morskiej. Wielcy plantatorzy trzciny cukrowej z Luizjany postanowili położyć kres takiemu układowi.

— Nie potrzebujemy ich cukru i nie potrzebujemy Pearl Harbor — krzykali. Przez trzydzieści lat potentaci z Nowego Orleanu toczyli wojnę przeciwko

Hawajom. Zdołali w znacznej mierze ograniczyć zyski hawajskich plantatorów, takich jak Whip Hoxworth, ale nie udało im się zniszczyć przemysłu cukrowniczego. Teraz do walki z Hawajami wszedł nowy czynnik: wielkie zachodnie stany, Kolorado i Nebraska zaczynały uprawiać buraki cukrowe. Tam także chciano zniszczyć hawajską konkurencję. Stało się wysoce prawdopodobne, iż w ciągu kilku najbliższych lat Luizjana, Alabama, Mississippi, Kolorado i Nebraska stworzą koalicję, aby na zawsze zniszczyć hawajski rynek cukrowniczy. Gdyby do tego doszło, ogromne fortuny plantatorów, takich jak Dziki Whip zniknęłyby.

— Cukrem rządzi jedna, jedyna zasada — powiedział Whip plantatorom, których zebrał u siebie. — Albo sprzedamy go do Stanów Zjednoczonych, albo wcale go nie sprzedamy. Naszym najważniejszym celem powinna być ochrona tego rynku.

— Tracimy go — zauważył John Janders. — Obecnie reprezentuję jednaście spośród naszych największych plantacji. Jeśli tym draniom z Luizjany i Kolorado uda się nas zdusić, dziewięć z jedenastu naszych filii zbankrutuje. Wystarczy jeden poważny kryzys na naszym amerykańskim rynku i sam nie wiem co mamy wówczas robić.

— Przepraszam John — przerwał Whip. — Masz rację, ale to tylko słowa. Mam dane i na Boga, można wpaść w panikę. Od czasu wprowadzenia taryfy McKinley'a, każdy cholerny plantator z Luizjany i Kolorado dostaje dwa centy dotacji za każdy funt cukru. Tymczasem na cukier importowany z Hawajów nałożono dodatkowe opłaty. Co to wszystko znaczy? Podczas pierwszych dwunastu miesięcy funkcjonowania tej taryfy, nasze dochody spadły o pięć milionów dolarów. Nie mam na myśli zysków Hawajów. Mówię o zyskach dziewięciu ludzi siedzących w tym pokoju. Jeśli chodzi o rzeczywiste straty naszych plantacji, sięgają one dwunastu milionów dolarów, a będzie jeszcze gorzej.

Przerwał. Wywiązała się dyskusja o niebezpieczeństwie, w jakim znaleźli się hawajscy cukrownicy. Do tej pory zdawali sobie sprawę z tego, iż sytuacja jest poważna, jednak nikt nie miał odwagi zebrać ponurych danych. Teraz Whip zmusił ich, by stawili czoła faktom. Ich firmy miały zbankrutować, a oni mieli stracić plantacje, które stworzyli ich ojcowie.

— Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić? — zapytał John Janders. Był o rok młodszy od Whipa i o całe osiem wieków bardziej konserwatywny.

Whip uchylił się od odpowiedzi i zauważył:

— Wygląda na to, że stracimy Hawaje, o ile nie zrobimy czegoś. Zamienią się w jałową ziemię, w bezużyteczne wyspy, jałdri były w tysiąc osiemset czterdziestym roku.

— Po pokoju przeleciał szmer nawzajem uciszających się głosów i Whip kontynuował:

— To nie są cześć słowa. Jeszcze dwa złe lata, John i zbankrutujesz. Będziesz bez grosza. Dave Hale może utrzyma się trochę dłużej, ale Harry Hewlett na pewno nie da rady. — Ja wytrzymam osiemnaście miesięcy — oświadczył uderzając się przy tym w piersi — potem zbankrutuję. Panowie, sugeruję, żeby nie bankrutować.

Jego ponurych, chociaż trafnych wywodów słuchała grupa trzeźwo myślących Hale'ow, Hewlettów i Jandersów. W końcu Dave Hale zapytał:

— Jak masz zamiar tego uniknąć, Whip? Starannie dobierając słowa, odpowiedział:

— Panowie, poprosiłem, żeby drzwi były zamknięte, ponieważ mamy przed sobą paskudne zadanie. Jeśli macie kłopoty z nerkami, możecie teraz wyjść i nie trudźcie się z wracaniem do pokoju.

Czekał w ciszy. Słyszał, jak plantatorzy ciężko oddychają.

— Daję wam jeszcze dwie minuty — oznajmił. — Potem nie będzie już odwrotu. — Położył na stole zegarek. — Panowie — zaczął, kiedy minął wyznaczony czas — właśnie ustanowiliśmy Komitet Dziewięciu i nikt z nas nie powinien mieć złudzeń. Chcę, abyście jeszcze dzisiejszego popołudnia wykupili po cichu wszystkie strzelby dostępne w Honolulu.

Podparł brodę lewą ręką i kciukiem potarł bliznę przecinającą niczym błyskawica jego policzek. Gdy minął szok, wywołany jego pierwszym rozkazem, dodał:

— Tak, wywołamy rewolucję. Zdobędziemy kontrolę nad wyspami i przekażemy je Stanom Zjednoczonym. Wówczas Luizjana i Kolorado będą mogły iść do diabła. Nie będą w stanie nas zniszczyć.

— Czy Stany Zjednoczone przyjmą nas? — zapytał nieśmiało Dave Hale. Dziki Whip położył ręce na stole i oświadczył ostrym głosem:

— Panowie, mamy przed sobą cholernie trudne dni. Nie wolno nam wątpić w jedno, Stany Zjednoczona przyjmą Hawaje. Będziemy częścią Ameryki — oznajmił uderzając pięścią w stół.

— Jak... — zaczął Dave Hale.

— Nie wiem jak! — przerwał mu Whip — Ale przyłączymy się do Ameryki. Zarobimy na uprawie trzciny cukrowej tyle cholernego szmalu, ile będziemy chcieli.

— Whip, wiesz, że dla mnie cukier znaczy jeszcze więcej niż dla ciebie — wtrącił szybko John Janders. — Mam więcej do stracenia. Posłuchaj mojej rady. Nie organizuj rewolucji wokół cukru. Między sobą, w tym pokoju, możemy mówić otwarcie, ale pozostali nie powinni nic wiedzieć. Dla nich musimy wymyślić coś wznioślejszego niż cukier.

— John ma rację — zgodził się młody Hale. — Wielkie amerykańskie gazety nigdy nas nie poprą, jeśli wzniciemy rewolucję z powodu cukru.

— Powinniśmy jakoś włączyć w to wszystko słowo „demokracja” — zasugerował Jeden z Hewlettów. Dzielni, uparci Amerykanie zamieszkujący wyspy mają dosyć życia pod rządami skorumpowanej monarchii.

— To jest to! — zawołał John Janders. — Tego może trzymać się Kongres. Amerykańscy obywatele pragnący wolności.

Dziki Whip uśmiechnął się do swoich współników.

— Macie dużo zdrowego rozsądku, chłopcy. Zgadzam się, że jeśli wystąpilibyśmy z cukrową rewolucją ci dranie z Luizjany i Kolorado ukrzyżowałiby nas. Już ich słyszę jak płaczą nad biedną monarchią. Mam jednak lepszy po-

mysł. Rozpoczniemy tę rewolucję, będziemy nią kierować, a jeśli inni nie przestraszą się, będziemy strzelać, ale — tu dla większego efektu zawiesił głos — żaden z nas nie wystąpi publicznie.

— O kim myślisz? — zapytał Hale.

Whip spojrział mu prosto w oczy i odrzekł:

— Twój wuj Micah.

— On nigdy nie wystąpi przeciwko monarchii — oświadczył młody człowiek. — Jest obywatelem Hawajów i traktuje to bardzo poważnie.

— Wszyscy jesteśmy obywatelami Hawajów — odpowiedział Whip i wszyscy traktujemy to poważnie. Dlatego chcemy uratować te wyspy.

— Ale wuj Micah jest królewskim doradcą, osobistym przyjacielem króla, mianowanym ministrem...

— Właśnie dlatego musimy go pozyskać — przerwał Whip. — Nie poprze nas dobrowolnie. Potępi nas w kazaniach i będzie pogardzał naszą rewolucją, jednak okoliczności uczynią z niego jej przywódcę. Możesz mi wierzyć. To właśnie brodaty wuj Micah Hale wysłał do prezydenta Harrisona list: „Hawaje są pańskie”.

W tym momencie John Janders wylał na głowy rewolucjonistów kubeł zimnej wody mówiąc:

— Otrzymałem list z Waszyngtonu. Wszyscy uważają, że w tym roku wygra Grover Cleveland.

Na wspomnienie o dostojnym, upartym demokracie, Komitet Dziewięciu zmartwił się. Podczas swojej poprzedniej kadencji Cleveland wymierzył potężny cios hawajskim plantatorom. Można się było spodziewać kolejnych tego typu działań. Co więcej, idealistyczny reformator opowiedział się przeciwko „doktrynie przeznaczenia” popularnej wówczas w Ameryce.

— Stany Zjednoczone nie chcą tworzyć imperium — ogłosił i cień tego postanowienia padł na przyszłą rewolucję na Hawajach. Ale Dzikiego Whipa Hoxwortha nie przerażał nawet Grover Cleveland.

— Do diabła z całym tym gadaniem o moralności w stosunkach międzynarodowych. Wszczynamy rewolucję natychmiast. Nakręcimy sprawy szybko i dopilnujemy, aby wujaszek Micah rzucił Hawaje do stóp Harrisonowi jeszcze przed wyborami. Zanim Cleveland zostanie prezydentem, będziemy już częścią Ameryki.

— Czy damy radę w tak krótkim czasie? — zaniepokoił się jeden z He-wlettów.

— Jeśli zabierzemy się do roboty — odrzekł Whip.

Komitet Dziewięciu zakończył swoje pierwsze spotkanie. Każdy z mężczyzn miał do wykonania trzy zadania: kupić wszystkie dostępne strzelby, znaleźć szanowanych obywateli, którzy stanęliby na czele rewolucji i sprawdzić na kim spośród przyjaciół mogli polegać podczas obalania monarchii na Hawajach.

Po wyjściu strachliwych, lecz zdeterminowanych plantatorów, przed Whipem stało najtrudniejsze zadanie. Miał przekonać siwobrodego Micaha Ha-le'a, by objął przywództwo rewolty.

Przed wszystkim monarchia nie była silna. W tysiąc osiemset siedemdziesiątym drugim roku ród wielkiego Kamehameha wymarł od chorób i stresów. Tron przejęli dobrzy, lecz niekompetentni alii. Jedni chcieli ożywić pogaństwo, jako siłę konsolidującą w życiu Hawajów; inni próbowali znieść konstytucję i cofnąć Hawaje do epoki monarchii absolutnej, nie ograniczanej przez prawodawstwo narzucone przez klasę średnią. Miały miejsce rewolucje pała-

cowe. Wybierano króla na podstawie jego osobistej popularności. Wydarzył się skandal, kiedy jeden z królów usiłował sprzedać koncesję na handel opium równocześnie dwóm różnym chińskim hazardzistom. Ten smutny upadek kraju wywołał duże obawy pośród rodzin misjonarzy. Chociaż niektórzy uczciwi mężczyźni, jak Micah Hale, usiłowali nadal wiernie popierać linię królewską, martwili się, gdy usiłowano zalegalizować opium i loterie.

Mimo to, gdyby nadal rządili mili i przystojni królowie, i gdyby pozwolili swoim upartym doradcom z Nowej Anglii rządzić krajem, Micah Hale i jego odpowiedzialni współnicy byłiby w stanie utrzymać chwiejącą się monarchię. Lecz dwudziestego dziewiątego stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku na tron wstąpił ktoś o zupełnie innym charakterze. Nie można było uniknąć kłopotów.

Królowa Liliuokalani była niska i umiarkowanie grubą kobietą o królewskim wyglądzie. Miała szerokie, wyrażające stanowczość usta. Siwiejące włosy nosiła upięte wysoko, a na rękach miała mnóstwo biżuterii. W czarnej satynowej sukni ozdobionej strusimi piórami i z wachlarzem ze strusich piór w dłoni sprawiała wrażenie, jakby chciała wszystkim narzucić swoją wolę. Była uparta. Przez wiele lat grała rolę Lidii Dominis, mądrej żony haole włoskiego pochodzenia. Mieszkała razem z nim w wielkim białym dworze zwanym Waszyngtonem. Po śmierci króla, jej brata, odziedziczył tron. Pragnęła ograniczyć wpływy haole i odrzucić wpływowych ludzi z Nowej Anglii, takich jak Micah Hale.

Była bardzo inteligentna i podróżowała po europejskich dworach królewskich. Wywarła na niej wrażenie rola odgrywana przez królową Wiktorię. Kochała władzę polityczną. Gdyby zaskadk na tronie natychmiast po śmierci Kamehameha, być może uczyniłaby z Hawajów potężną i silną monarchię. Miała bowiem żywą wyobraźnię i potrafiła manipulować ludźmi. Otrzymała jednak władzę zbyt późno. Ludzie zarazili się ideą republikanizmu. Cukier opanował jej wyspy. Nie wiedziała o tym, lecz jej wrogiem nie był już stateczny przywódca polityczny, Micah Hale. Był nim przemycający broń, zdeterminowany właściciel plantacji, Dziki Whip Hoxworth. Być może miałaby szansę w walce z tym pierwszym; w stosunku do drugiego była bezsilna.

Nie sprawdzwszy, kim są jej wrogowie, ta uparta, pełna wyobraźni kobieta próbowała zwalczyć republikanizm, kongregacjonizm i cukier. Udało jej się osiągnąć jedno: jej wrogowie, dziękując dotąd osobno, stworzyli koalicję. Hawajczycy zmęczeni monarchią i jej pretensjonalnością, spiskowali przeciwko królowej. Większość z nich przyłączyła się do koalicji w nadziei, że zyskają sobie wdzięczność Amerykanów.

Rodziny misjonarzy dzielnie wystąpiły przeciwko korupcji, absolutyzmowi, pogaństwu monarchii. Wielu spośród tych, którzy najgłośniej krzyčili publicznie przeciw złu, było właścicielami firm i miało nadzieję na rozwój i dobrobyt pod rządami Amerykanów. Prawnicy z mocą występowali przeciwko nadużyciom monarchii, a opowiadali się za prawami człowieka, ale przede wszystkim bronili cukru. Uparta królowa rządziła nadal, tymczasem koalicja przeciw niej rosła w siłę.

Na początku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku zawzięta kobieta postanowiła wyeliminować wpływy takich jak Micah Hale i jego bezczelny siostrzeniec, Whip Hoxworth. Ogłosiła, iż zamierza obalić obecną konstytucję, która ograniczała jej władzę absolutną. Chciała podporządkować władzę ustawodawczą władzy królewskiej, uchylić prawo głosu dla części obywateli i wrócić do starych przywilejów monarchii. Ogłaszając te decyzje wyglądała imponująco. Przemawiając, dała do zrozumienia, że chciała,

aby Hawaje były takie, jak stara, absolutystyczna Francja w tysiąc sześćset dwudziestym roku.

Tego popołudnia Dziki Whip Hoxworth wezwał Komitet Dziewięciu. Konspiratorzy zebrali się w pokoiku na piętrze "Janders & Janders" na Merchant Street. Wcześniejsza propozycja, by spotkać się w „Hoxworth & Hale” została odrzucona w głosowaniu. Obawiano się, że Micah Hale, wciąż przywiązany do monarchii, wywęszy spisek. Dziki Whip zwięźle otworzył spotkanie:

— Należy pogratulować naszej upartej królowej. Jej idiotyczne dekrety sprawiły, iż rewolucja stała się nieunikniona.

Hewlettowie obawiali się gwałtownych posunięć i radzili rozwagę.

— Musimy obalić monarchię w ciągu dwóch dni albo stracimy okazję na przejęcie władzy — odburknął John Janders.

— Zamierzasz wznieść krwawą rewolucję? — zapytał Dave Hale.

— Jeśli to będzie konieczne — odrzekł Janders.

— W takim razie rewolucja! — oznajmił raczej niż zapytał Whip Hoxworth.

Członkowie komitetu zaczęli wiwatować, a Whip powiedział:

— Nasz plan powinien opierać się na szybkim ataku i uzyskaniu kontroli nad wieloma punktami w mieście.

— A co z pozostałymi wyspami? — przypomniał jeden z Hale'ów.

— Do diabła z wyspami — sapnął Hoxworth. — Poczta, banki, pałac, arsenał. Jeśli je zdobędziemy, zdobędziemy władzę nad całym Hawajami. Zajmijmy Honolulu, a Hawaje będą nasze. Janders, powiedz komitetowi, czego się dzisiaj dowiedziałeś.

John Janders wstał. Odkasłał i formalnie oznajmił:

— Dzisiaj rano odbyłem dwugodzinną rozmowę z amerykańskim ministrem. Uważnie studiowaliśmy prawo. Jeśli szybko opanujemy główne punkty Honolulu, tak aby postronny obserwator mógł spokojnie stwierdzić, że „komitet kontroluje miasto”, Stany Zjednoczone będą miały podstawę, aby uznać nas de facto za rząd. Minister prawdopodobnie uzna nas. Monarchia dobiegnie końca. No i będziemy na najlepszej drodze do przyłączenia do Stanów Zjednoczonych.

— A co z amerykańskimi wojskami stacjonującymi w zatoce? — zapytał jeden z Hewlettów.
— Czy kapitanowie nie wyślą wojska przeciwko nam?

Na pokrytej bliznami twarzy Dzikiego Whipa pojawił się szeroki uśmiech. Członkowie komitetu spojrzeli na niego. Najwyraźniej obmyślił jakąś sztuczkę, by zneutralizować kapitanów statków, gdy wybuchnie rewolucja. Nie wyjawiał jednak swojego planu.

— Powiedz im, co załatwiliśmy, John — poprosił Jandersa. John Janders spokojnie poinformował zebranych:

— Umówiliśmy się z amerykańskim ministrem i kapitanami statków, że gdy tylko wybuchnie rewolucja, ich oddziały zejdą na ląd. Otrzymają bardzo prosty rozkaz: „Chronić życia Amerykanów”.

— Ale my jesteśmy obywatelami Hawajów — zaprotestował Dave Hale.

— Jesteśmy także Amerykanami — powiedział obojętnym głosem Janders — i to my jesteśmy tymi Amerykanami, których życia mają bronić.

Starając się ukryć sardoniczny uśmiech, Whip pochylił się nad stołem i powiedział:

— Ten plan nie może zawieść. Ruszamy przeciwko dziesięciu kluczowym punktom. Rozpoczyna się walka, wkraczają wojska amerykańskie. Co wówczas pomyślą Hawajczycy? Pomyślą: „Oddziały amerykańskie wystąpiły prze-

ciwko królowej!". Rzuca broń i zajmujemy owe dziesięć kluczowych obiektów. Gdy tylko je opanujemy, amerykański minister ogłosi: Stany Zjednoczone de facto uznają nowy rząd". Co do diaska może wtedy zrobić królowa?

— Czy możemy przegrać? — krzyknął Janders.

— Możemy bardzo łatwo przegrać — zauważył trzeźwo David Hale — jeżeli wuj Micah wystąpi przeciwko rewolucji.

— Nie zrobi tego — obiecał Whip.

— To człowiek honoru — upierał się Hale. — Przyrzekł wierność Hawajom.

— Pozostawcie to mnie. Wuj Micah będzie po naszej stronie. Hewlettowie naradzili się między sobą i powiedzieli:

— Jeśli nie będziemy mieli pewności czy wuj Micah Hale będzie nas reprezentował, wycofamy się.

— Będzie z nami — obiecał Whip. — Nie będzie walczył. Jest na to za stary. Ale kiedy walki się skończą, on wystąpi jako nasz przywódca.

— Czy możemy na to liczyć? — spytali Hewlettowie. Whip podskoczył i rzucił krzesłem.

— Do cholery! — wrzasnął. — Czy sądzicie, że pozwolę wymknąć się Micah Hale'owi, skoro od tego zależy powodzenie naszej akcji? Będzie z nami.

— Whip się tym zajmie — powiedział Janders. — My musimy postarać się o entuzjastyczne nastawienie dla rewolucji. Trzeba zorganizować w poniedziałek masowe spotkanie. Przemowy na temat niezbywalnych praw człowieka.

— Ale nie chcę, aby którykolwiek z członków komitetu wygłaszał przemówienia — ostrzegł Whip. — Niech robią to jacyś prawnicy i ludzie tacy, jak na przykład nasz kuzyn, Ed Hewlett. Jest na wpół Hawajczykiem i potrafi wygłaszać pompatyczne mowy.

Wszystko zdawało się iść po myśli członków Komitetu Dziewięciu. Ośmiu z nich zaczęło się odprężyć. Rewolucja miała niebawem wybuchnąć; wybrano dziesięć kluczowych obiektów; Ameryka uzna nowy rząd; prezydent Harrison przyłączy Hawaje do Stanów Zjednoczonych, a cukier przyniesie jeszcze większe niż dotychczas zyski. Jednak Dziki Whip sprowadził konspiratorów z powrotem na ziemię, mówiąc lodowatym głosem:

— Na zebraniu w poniedziałek, chcę, żebyście wszyscy mieli swoje strzelby w pogotowiu.

— Czy przewidujesz jakieś kłopoty? — zapytał jeden z Hewlettów.

— Jeśli odpowiednio się przygotujemy, nie będzie żadnych kłopotów.

Kiedy cicho wyszli z budynku i szli ulicami poruszonego miasta, przedstawiając tu i ówdzie swoje opinie, Dziki Whip poszedł na wschód ulicą King Street, w stronę posiadłości Hale'ów znajdującej się na przeciwko pałacu. Doszedł do białego płotu i trawnika, z którego Malama Hale była bardzo dumna. Skinął głową na powitanie tej pół krwi hawajskiej damy i zapytał:

— Czy wuj Micah jest w domu?

— Jest w swoim gabinecie — odpowiedziała łagodnie Malama.

Whip wszedł bez pukania i zamknął za sobą drzwi. Wuj siedział otoczony książkami religijnymi swego ojca. Przywiózł je z Lahaina. Jako jeden z głównych doradców czterech królów, wydawał opinie prawne i lubił to robić. W latach tysiąc osiemset siedemdziesiątych nie interesował się zbytnio przedsięwzięciami „H&H”. Pozostawił to Hoxworthom i reszcie rodziny. Z przyjemnością przyjmował swoją część ogromnych zysków firmy i swoje dochody prze-

znaczał na poprawę sytuacji na Hawajach. Dom Misyjny dla trędowatych na Kalaupapa, biblioteka, Punahou i kościół wiele mu zawdzięczały. Głównie jednak przeznaczał pieniądze na usprawnienie pracy rządu. Jeden z królów udał się w wielką podróż dookoła świata. Zatrzymywał się w większości ważnych stołec. Micah Hale towarzyszył mu za własne pieniądze i często pokrywał jego wydatki. Większość książek prawniczych w gabinecie rządu zostało zakupionych za pieniądze Micaha. Nieustannie przypominał ludziom: „Wszyscy wywodzimy się z misji. Dopóki Hawaje nie będą stabilne, dzieło naszych ojców nie jest ukończone.”

Żadna z wysp na Pacyfiku nie miała lepszego urzędnika publicznego niż Micah Hale. Nie szczędził pieniędzy ani energii. Zaskakująco wiele spośród wspaniałych praw, cytowanych w Europie jako dowód na to, że Hawaje są cywilizowane, było wynikiem jego pomysłów i inicjatyw. Co więcej, potrafił wznieść się ponad osobiste korzyści. Uchwalone podczas jego kadencji prawa faworyzujące handel cukrem czy linie morskie wychodziły od Jandersów, Whipple'ow lub Hewlettów. Nigdy od niego. Czterech królów uważało Micaha za swego zaufanego amerykańskiego doradcę, chociaż każdy z nich wiedział, że Micah był za przyłączeniem Hawajów do Stanów Zjednoczonych. Obecna królowa знаła jego stanowisko. Denerwowało to ją i zwolniła go z pełnionych dotąd funkcji. Miał siedemdziesiąt lat. Był raczej wysokiego wzrostu. Miał szlachetną postawę i nosił długą, szpiczastą, siwą brodę. W miejscach publicznych nigdy nie nosił okularów. Przed takim człowiekiem stanął sobotniej nocy czternastego stycznia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku Whip Hoxworth.

— Wuj Micah — zaczął, odmawiając podanego krzesła — w ciągu najbliższych dwóch dni wybuchnie rewolucja.

— Czy ty ją zainicjowałeś? — zapytał starzec.

— Tak, proszę wuja. Zrobię to także Hale'owie, Hewlettowie i Jandersi. Whipple'owie także przyłączy się do nas, podobnie jak mój brat.

Micah odchylił się do tyłu w krzesło i popatrzył uważnie na siostrzeńca.

— A więc będzie rewolucja?

— Tak, proszę wuja — na statku wielorybniczym Whip nauczył się zwracać się do starszych z szacunkiem.

— Ile masz lat, Whip?

— Trzydzieści sześć.

— Ile miałeś żon?

— Dwie.

— Ile razy brałeś udział w bójkach na noże w Iwilei?

— Dwadzieścia, trzydzieści.

— Ile masz nieślubnych dzieci?

— Z pół tuzina, może więcej.

— Czy wiesz jak cię nazywają w mieście, Whip?

— Dziki Whip. Mówią mi to prosto w twarz. Nie dbam o to.

— Nie miałem na myśle przezwiska, jakie używają przy tobie. Myślałem o tym drugim.

— O drugim?

— Złoty Ogier. Tak cię zwa, Whip. I ty uważasz, że masz odpowiednie kwalifikacje, aby przewodzić grupie pragnącej obalić prawnie wybrany rząd?

— Nie, proszę wuja. Wcale tak nie uważam.

— O ile dobrze cię zrozumiałem, wasza grupa planowała rewolucję.

— Tak. I ja nimi kieruję. Kiedy powiem: „Ognia!”, wystrzelą. Więc nie

stawaj nam na drodze. Mam odpowiednie kwalifikacje, aby kierować rewolucją, wuju, ponieważ niczego na świecie się nie boję. Za dwa dni na Hawajach będzie nowy rząd. Jednak nie mam kwalifikacji, by wystąpić jako przywódca i reprezentować rewolucję.

— Kto będzie przywódcą? —Ty.

Micah był zaskoczony tą sugestią. Whip usiadł. Obydwaj mężczyźni wpatrywali się w siebie. Każdy z nich wyczuwał emanującą z tego drugiego ogromną siłę ludzi z Nowej Anglii. Micah Hale żył według twardych zasad moralnych i przekonywał swoich bliskich, aby postępowali tak jak on. Whip Hoxworth nigdy nie wyszedł z forkasztelu. Dla niego wszyscy ludzie to świnie lubiące, kiedy ustawiało się ich w szeregu. Jednak w przeddzień rewolucji, rozumiał, że pewne historyczne momenty wymagają lepszych niż on przywódców. Istniały granice tego, co nawet Whipple Hoxworth mógł osiągnąć nieuczciwością.

— W znacznej mierze to cukrowa rewolucja, prawda Whipple? — spytał Micah.

— Z mojego punktu widzenia, proszę wuja, tak. Z punktu widzenia wuja, nie.

— Jak mogą istnieć dwie interpretacje złego czynu, Whipple?

— Gdyby nie istniały dwie interpretacje tego, co musimy zrobić, nie przychodziłbym do dębie wuju. Ja chcę rewolucji, żeby cukier nigdy już nie był zagrożony na tych wyspach. Ty chcesz jej, żeby zgodnie z losem, jaki przepowiedziałeś wspanom pięćdziesiąt lat temu, przyłączyć je do Stanów Zjednoczonych. Wuju, miałeś wówczas rację i masz rację dzisiaj. Hawaje będą zgubione, jeśli nie wymyślą jakiejś sztuczki i nie zmuszą Ameryki do ich przyjęcia. Ja znam tę sztuczkę. Wuju, twoje marzenie może zostać zrealizowane tylko dzięki mnie.

— Nieprawda Whipple. Nadejdzie dzień, kiedy Waszyngton zrozumie nieuchronność aneksji.

— Nigdy! Tylko działanie pozwala osiągnąć cel.

— Sprawiedliwość i sumienie również pomagają osiągnąć cel. W swoim czasie Waszyngton zrozumie jakie kroki należy podjąć. Musimy ufać, że tak się stanie.

— Nie! Jeśli uda ci się dożyć setki, wciąż będziesz mówił o powolnej, lecz nieuchronnej sprawiedliwości. Wybuchnie rewolucja, moja rewolucja, a ty będziesz jej przewodził. W ten sposób ziści się twoje marzenie o sprawiedliwości.

Micah Hale wstał powoli i popatrzył na energicznego młodzieńca.

— Źle mnie oceniłeś, Whipple, sądząc, iż wezmę udział w waszej zмовie. Nie zdradzę waszych planów, chociaż powinienem. Teraz wyjdź stąd.

Ku jego zdumieniu, siostrzeniec nie wstał. Bezczelnie wciąż zajmował swoje miejsce. Podniósł nogę i popchnął na miejsce krzesło wuja.

— Teraz się rozumiemy. Siadaj, wuju i porozmawiajmy o rewolucji. Puśćmy w niepamięć wszystko, o czym dotąd rozmawialiśmy. I lepiej zapomnij o informowaniu rządu o naszych planach. Charley Winston wie o wszystkim i chdał nas aresztować, ale gabinet nie miał dość odwagi, żeby go poprzeć. Porozmawiajmy o tym, co ty i ja możemy zrobić dla siebie. Pogardzasz moim stanowiskiem, a ja uważam twoje za żalosne. Dobrze, nie wracajmy do tego. Wuju, za dwa dni wybuchnie rewolucja. Nie jesteś w stanie tego odwrócić. Amerykański minister czeka z niecierpliwością, by uznać nasz rząd. Amerykańscy żołnierze stacjonujący w zatoce natychmiast zejda na brzeg i będą bro-

nić porządnych Amerykanów przed hawajskimi dzikusami. Mamy wyznaczone cele ataku i przygotowany plan działania. Nawet gdybyś osobiście powiadomił królową, przyspieszyłbyś tylko nasz atak. — Pochylił się do przodu i spojrzął twardo w oczy wuja. — To rewolucja, wuju Micah.

Micah Hale nie należał do ludzi, którzy w trudnych chwilach zapominają języka w gębie. Przetrwiał zbyt wiele rewolucji, podczas których jedynie jego odwaga uratowała rząd przed nieodpowiedzialnymi gwałtami. Jego oczy patrzyły równie bezwzględnie jak oczy siostrzeńca.

— Pomyślałeś o wszystkim.

— Założmy, że rewolucja dokonała się. Nie należę do osób, które powinny stanąć przed światową opinią publiczną i tłumaczyć dlaczego musieliśmy tak postąpić. Historia mojego życia nie zrobiłaby dobrego wrażenia na Londynie czy Berlinie. Tak więc moja rola została zakończona i wszystko, co zrobiłem, było wynikiem chciwości. Co stało się dalej? Ameryka nie chce nas przyjąć. Może Japonia będzie zainteresowana.

Pomysł Dzikiego Whipa miał kilka podtekstów, ale brodaty Micah Hale nie usłyszał ich. Na wzmiankę o Japonii przeniósł się w myślach do tajemniczego Tokio w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym. Służył wówczas jako doradca królewski podczas triumfalnej podróży króla Hawajów dookoła świata. Królewski orszak zatrzymał się w japońskim domu pozbawionym krzeseł. Podłogi były zrobione z najlepszego gatunku drzewa, wypolerowanego przez stulecia użytkowania. Rozsuwane drzwi sprawiały wszystkim dużo radości. Był marzec. Gromada ogrodników pracowicie przycinała gałęzie sosen. Rząd śliw pokrywał się białym kwieciem. Wiśnie szykowały się do kwitnienia. Nadchodziły pierwsze ciepłe dni wiosny i hawajski orszak odpoczywał, ciesząc się pięknymi widokami.

Nagle Micah rozejrzał się i zapytał:

— Gdzie jest król?

Na początku ludzi opanowało podniecenie, a potem, kiedy minęło kilka godzin, panika. Dotyczyło to zarówno Amerykanów jak i Japończyków. Król Hawajów najwyraźniej zaginął. Nikt nie widział jak opuszczał rozległy teren otaczający dom. Nie znaleziono śladów walki. Potężnie zbudowany mężczyzna ubrany w rzucające się w oczy europejski ubranie i długi czarny płaszcz uszyty w Londynie, po prostu zniknął. Był to jeden z nielicznych momentów, kiedy Micah Hale przeżył chwile grozy. Wiedział, że w stosunkowo niedawnej przeszłości samurajowie, rozwścieczeni inwazją obcokrajowców, zabili kilku z nich. Uklęknął więc w pozbawionym krzeseł pokoju i modlił się:

— Boże zachowaj króla! Błagam cię!

Po trzech godzinach, król zjawił się. Był w jowialnym nastroju. W rękę trzymał buty. Najwyraźniej przeprawił się przez strumyk dzielący dom od pałacu cesarskiego i świetnie się tam bawił. Odmówił wyjaśnienia gdzie spędził owe trzy godziny i zadowolony z siebie poszedł spać. Rankiem cesarski szambelan poczekał, aż król zajmie się innymi sprawami i po cichu poszedł porozmawiać z Micah.

— To niezwykle — powiedział poprawną angielszczyzną mały człowieczek w lśniącym szlafroku prosto z Londynu. — Wczoraj po południu usłyszeliśmy dziwny hałas w pałacu cesarskim. Straże już miały strzelać, kiedy zobaczyliśmy waszego króla. Był bosy, zabłocony i śmiał się głośno. Jego wielką brązową twarz pokrywał pot. Odsunął drzwi i wszedł do środka z zabłocony-

mi stopami. Powiedział: „Chciałbym porozmawiać z cesarzem”. Byliśmy wstrząśnięci, ponieważ nigdy przedtem nie zdarzyło się nic podobnego, ale Mutsuhito, wspaniały człowiek, oświadczył: „Chciałbym z tobą porozmawiać”. Poszli do jego prywatnej sali audiencyjnej. Siedzieli tam prawie trzy godziny. Micah Hale przetarł czoło i pogładził brodę.

— Proszę mi wierzyć, ekscelencjo, to nie ja wysłałem króla do pałacu.

— To byłoby mało prawdopodobne zważywszy o czym rozmawiali — odrzekł szambelan.

— A o czym? — zainteresował się Micah.

— Nie wie pan? — zapytał Japończyk.

— Nie.

— Król powiedział: „Hawaje nie chcą dłużej być obiektem przepychanek pomiędzy Ameryką, Anglią i Rosją. Jesteśmy suwerennym krajem leżącym na Pacyfiku i tak powinno pozostać”.

Szambelan przerwał starając się zwiększyć efekt swoich słów. Oczekiwał, że Micah podejmie temat.

Zamiast tego, Micah, zupełnie odprężony, powiedział:

— Dziękuję za opiekę nad moim królem.

— Czy jest pan poddany Jego Wysokości? — zapytał Japończyk.

— Tak. Obejmując stanowisko w rządzie, złożyłem przysięgę wierności Hawajom.

— Interesujące. Czy zechciałby pan wypić ze mną filiżankę angielskiej herbaty?

— Z przyjemnością.

Przeszli przez cudowny, obsadzony sosnami ogród i doszli do małego wiejskiego domku, gdzie czekała służąca.

— Wasz król zaproponował — powiedział Japończyk, bojąc się, że Micah nie zapyta — by następczyni tronu, księżniczka Kaiulani, została oddana za żonę synowi cesarza. W ten sposób oba kraje zbliżą się do siebie.

Micah stracił zimną krew. Zachłysnął się herbatą, rozlał ją, upuścił filiżankę i wykrztusił:

— Co pan powiedział?

— Zaproponował przymierze dla wspólnego dobra i postanowił przypieczętować je małżeństwem waszej księżniczki z naszym księciem. Kiedy o tym usłyszałem, też się zakrztusiłem.

Dwóch dyplomatów patrzyło się na siebie. W końcu Micah wyjąkał:

— Co mam zrobić?

— Powinien pan natychmiast zabrać króla z Japonii.

— Naturalnie, naturalnie. Ale, co z cesarzem?

— Wystosowano formalną propozycję małżeństwa. Zostanie rozważona przez rodzinę królewską i dwór. Mniej więcej za rok przyślemy odpowiedź.

— Ekscelencjo, proszę postarać się, aby odpowiedź była negatywna.

— Nie mam takich możliwości. Ile lat ma wasza księżniczka?

— Zaraz, niech pomyślę. Sześć.

— Mamy czas.

Tej nocy Micah obmyślił jak wyciągnąć nieobliczalnego króla z Japonii. Przy kolacji monarcha nie wspomniał o swojej nie planowanej wizycie u cesarza. Micah obserwował jego okrągłą, wesołą twarz i pomyślał: „Ciekawe, co dzieje się w tym zadziwiającym umyśle? Jak wpadł na pomysł zaaranżowania małżeństwa z japońską rodziną królewską? Skąd mu się wziął pomysł przymierza z Japonią? Coś takiego zniweczyłoby nadzieję na ewen-

tualny związek z Ameryką! Na litość boską, co zrobi, kiedy dojedziemy do Europy?!

Od owego dnia, Micah obawiał się, że któregoś dnia Hawaje mogłyby związać się z Japonią. Dlatego był przeciwny sprowadzaniu japońskich rolników na plantacje trzciny cukrowej. Jednak chciwi ludzie, tacy jak John Janders i Hewlettowie nalegali. Drobni Japończycy zaczęli przyjeżdżać na Hawaje w latach tysiąc osiemset osiemdziesiątych. Przerazał go zręczny sposób, w jaki dostosowali się do hawajskiego stylu życia. Próbował przeforsować prawa zabraniające im opuszczania plantacji i zakładania sklepów. Gdy przebywał sam na sam z przyjadłami, często wspominał o „Żółtym Zagrożeniu”. Przewidział, że Japończycy będą się rozmnażać i przejmą władzę polityczną, czego nie zrobiliby bardziej niefrasobliwi Chińczycy. Stworzył platformę stosunków międzynarodowych. Miała ona jedynie dwa cele: „Przyłączyć Hawaje do Ameryki.. Trzymać Japończyków z daleka od wysp”.

Kiedy Micah usłyszał, jak Dziki Whip mówi: „Wygląda na to, że Japonia mogłaby...”, tamte wspomnienia wróciły.

— Co takiego mówiłeś, Whip? — zapytał siostrzeńca.

— Mówiłem, że tylko poprzez mnie możesz zrealizować swoje marzenie.

— Nie, mówiłeś coś o Japonii — wyjaśnił Micah.

Nagle Whip zdał sobie sprawę, że wuj nie słyszał jego słów. Wspominał jakieś dawno zapomniane zdarzenie, o którym on nie miał pojęcia. Wuj myślał o Japonii i te myśli wzbudziły w nim strach. Whip wyczuwał to instynktownie. Postanowił wykorzystać te obawy wuja.

— Mówiłem o Żółtym Zagrożeniu. Jeśli Stany Zjednoczone nie przyjmą Hawajów, Japonia zrobi to z przyjemnością.

— Tak sądzisz? — zapytał z lękiem Micah.

— Cóż bardziej naturalnego? — Whip wzruszył ramionami.

— Myślisz, że Japonia rozszerzyłaby terytorium o obszary tak odległe od swoich wysp?

— Nie planowaliby tego, ale skoro Stany Zjednoczone nie przyjmą Hawajów, na pewno skorzystają z okazji.

— Straszliwie się tego boję — przyznał Micah. — Jeśli nie Japonia, to Anglia albo Niemcy.

— Pozwólmy wyspom leżeć bezpiecznie na oceanie, a ktoś je pochwyd.

— A gdyby monarchia oczyściła się... — grał na zwłokę. — Gdybyśmy pozbyli się Liliuokalani i osadzić kogoś innego na tronie? Micah chwycił się brzytwy i Dziki Whip zaatakował:

— Rewolucjoniści nie będą tolerować hawajskiego monarchy. Nie przyjmą nikogo, kogo mógłbyś zaproponować.

Stanowisko siostrzeńca zaskoczyło brodatego starca.

— Nie jesteś pewien, co stanie się dalej, a mimo to zamierzasz obalić monarchię?

Whip nie dał wmanewrować się w sytuację, która świadczyłaby o jego braku odpowiedzialności.

— Ależ wiemy, co się stanie, wuju. Ty wkroczysz do akcji. Usprawiedliwisz nas przed opinią światową i poprowadzisz do połączenia ze Stanami Zjednoczonymi. Zawsze tego chciałeś i wierzysz, że to słuszna decyzja.

Dwaj mężczyźni zamilkli. Micah zastanawiał się, jak powinien postąpić. Czuł się zagubiony. Każdy inny antagonistą wyszedłby teraz i pozwolił wujowi

przemyśleć sprawę przez noc. Ujawnił się charakter Whipa. Wstał z krzesła. Podeszedł do drzwi i wyciągnął rękę w ich stronę, jakby miał zamiar wyjść. Popatrzył na gwiazdy tańczące ponad Diamentową Górą i odwrócił się z powrotem do wuja. Umieścił krzesło na przeciwko Micaha, odwrócił je oparciem do wuja i usiadł okrakiem. Jego poorana bliznami twarz znalazła się tuż obok twarzy Micaha.

— Wujku — powiedział zimno — do tej pory walczyliśmy ze sobą. Przejdźmy do podstaw rewolucji. Nie ma ucieczki. Musisz wystąpić publicznie.

— Nie mogę zdradzić moich hawajskich przyjaciół.

— Ale jesteś gotów zdradzić Amerykanów, którzy mają te wyspy w posiadaniu.

— Kiedy składałem przysięgę wierności Hawajom, wierzyłem w to, co robię. Stałem się Hawajczykiem.

— Ja nie. Pozostałem Amerykaninem. Zamierzam wezwać amerykańskie statki, do ochrony mojej własności.

— Możesz to zrobić, ja nie.

— Nie o takim działaniu mówimy, wuju. Mówię, że zamierzam poprowadzić amerykańską rewolucję przeciwko słabej i skorumpowanej formie rządów. Zamierzam wygrać swoją część rewolucji. Jednak tylko ty możesz doprowadzić rewolucję do logicznego końca — połączenia z Ameryką.

— Odmawiam.

— Gdybyś podzielił się swoimi poglądami z głupiotką królową, przyklasnę-łaby. Ale gdybyś powiedział cioci Maternie jak zamierzasz pozwolić, aby fale historii przepłynęły koło nas, mimo że jest Hawajką, nazwałby cię głupcem.

— Nie mogę zdradzić tych wspaniałych ludzi.

— Zatem pozwolisz falam historii popchnąć ich ku Japonii.

— Musimy podjąć ryzyko.

— To nie ryzyko, wuju, lecz pewność. Wyspy są na to skazane. Można uratować je tylko w jeden sposób. Włącz się do rewolucji i doprowadź ją do szczęśliwego końca.

— Nie będę sprzedawał się, żeby chronić bandę cukrowych bandytów.

— Jeśli nas nie ochronisz, nie spełnią się dobre rzeczy, których pragnąłeś dla Hawajów.

— Wolę odrzucić związek z Ameryką, niż pozwolić, by stał się wynikiem niechrześcijańskiego czynu.

— Dziwi mnie, że mówisz o chrześcijaństwie. Czy pragniesz wydać te wyspy na pastwę opium, hazardu i rozpusty?

— Są pewne problemy, które musimy rozwiązać w ramach wybranego rządu, a nie rewolucji.

— Gdzie były „ramy” twojego rządu, kiedy zmarły król wydawał swój Bal Stowarzyszenia Wiosny?

— To było zboczenie. Bóg z pewnością ukarał go za to.

— Nie, to było znamienne dla monarchii. Stary głupiec stał naprzeciw gromady pięknych dziewcząt. Rzucił im kłębek sznurka i ta, która złapała kłębek posłusznie szła z nim do łóżka.

— Nie spodziewałem się, że akurat ty będziesz bronił zasad moralności.

— Będę bronił wszystkiego, co pomoże mi obalić monarchię.

— Najgorszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłem, było sprzymierzenie się z twoim dziadkiem przeciw mojemu własnemu ojcu. Bóg mi tego nigdy nie wybaczył. Często budzę się w nocy zlany potem. Leżę potem przez kilka godzin i myślę o diabelskim pakcie zawartym z kapitanem Hoxworthem. Te-

raz prosisz mnie, aby zawarł jeszcze gorsze przymierze z jego wnukiem. Nie mogę pozwolić sobie na więcej bezsensownych nocy, Whipple.

— Umowa zawarta między tobą a starym Raferem Hoxworthem mogła sama w sobie być zła, ale spójrz ile dobrego zrobiła dla Hawajów. Domy, miejsca pracy, statki, pola uprawne. Ktoś musiał to zrobić, wuju. Uczyniłeś to, co należało. Dzisiaj musisz sprzymierzyć się ze mną, aby rewolucja przebiegła we właściwy sposób.

— Czy porządni ludzie zawsze muszą działać za pomocą ludzi złych, takich jak ty i twój dziadek?

— Tak, ponieważ porządni ludzie nie mają odwagi, by działać. Potraficie jedynie prowadzić i zabezpieczać działania podjęte przez podobnych do mnie.

— Nie będę ponownie układał się ze złem. Nie pomogę ci, Whip.

— Nie raniśz mnie, wuju Micah. Niszczysz przyszłość tych wysp. Skłonił się i opuścił swego surowego wuja. Szedł po King Street. Była prawie trzecia nad ranem. Miał przed oczami obraz siwobrodego Micaha Hale^ siedzącego nad książkami.

Na tajnym spotkaniu zwołanym następnego dnia, w sobotę piętnastego stycznia, Dziki Whip szczerze oznajmił spiskowcom:

— Wuj Micah nie przyłączy się do nas.

— W takim razie ja się wycofuję — powiedział David Hale. Tak samo postąpiło dwóch Hewlettów.

— Lepiej nie próbujmy narzucić rewolucji — zasugerował John Janders. — Skoro Micah jest jej przeciwny, może podburzyć przeciw nam opinię publiczną. Wówczas będziemy zgubieni. Odwołam jutrzejsze spotkanie.

Powstało lekkie zamieszanie i Dziki Whip czuł, jak determinacja niedoszłych rewolucjonistów opada, niczym morze po przyptywie. Pouczyli Eda Hewletta, co powinien powiedzieć tłumowi na wiecu, który miał odbyć się następnego dnia. Teraz zamierzali to odwołać.

— Chyba źle mnie zrozumieliście — powiedział cicho Whip. Rewolucjoniści zatrzymali się i zamilkli. Czekali na wskazówki. — Powiedziałem, że wuj Micah nie przyłączy się do nas dobrowolnie. Nie wspominałem natomiast o czymś jeszcze. Zamierzam go do tego zmusić. Wszystko ma iść zgodnie z planem. Panowie, za dwa dni Hawaje będą republiką a mężczyźni znajdujący się w tym pokoju uformują rząd. Micah Hale będzie naszym przedstawicielem.

— Jak chcesz to osiągnąć? — zapytał jeden z Hale'ów. — Jeżeli wuj Micah raz coś postanowi...

— Wasz wuj Micah jest patriotą — odrzekł Whip. — Kocha Hawaje i jest im wierny. Nie pozwoli, by wyspy opanowała chaotyczna rewolucja. Dołączy do nas.

— W jaki sposób zamierzasz go zmusić?

— Chyba możemy nakłonić amerykańskich żołnierzy do zejścia na ląd jutro wieczorem, zaraz po wiecu. Dzięki temu załatwimy dwie sprawy. Dodamy odwagi naszym stronnikom i wystraszymy monarchistów. Zajmiemy budynki rządowe, wyrzucimy królową, a w poniedziałek Micah Hale przyłączy się do nas.

— Jesteś pewien? — spytał jeden z drżących ze strachu Hale'ów.

— Zaraz zacznę pisać proklamację, którą damy mu do podpisania — odpowiedział Whip. — Chciałbym, żeby Dave Hale i Micah Whipple mi pomogli.

Rozpoczęła się rewolucja, która obaliła królową i oddała władzę w ręce plantatorów trzciny cukrowej. W swoim pałacu, uparta monarchini drżała widząc amerykańskie wojska schodzące na brzeg, by podbić jej kraj. Chciała z nimi walczyć. Zdawała sobie sprawę, iż było to brutalne pogwałcenie wzajemnych stosunków pomiędzy dwoma suwerennymi krajami. Jednak plantatorzy szybko rozbroili jej wojska. Pozostała bezbronna; uparta, żyjąca przeszłością kobieta po pięćdziesiątce. Miała królewski wygląd, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że kończył się dziewiętnasty wiek i wraz z nim przemijał model władzy, za jakim się opowiadała.

Mimo to, w ostatnich chwilach panowania nie pozostała zupełnie sama. Po tym, jak jej wojsko, nie oddawszy ani jednego strzału pozwoliło się rozbroić, utworzył się oddział wiernych koronie ochotników. Szli ulicami Honolulu, aby bronić swojej królowej. W ich szeregach znajdował się zbieracz maile, kanaka Kimo. Miał w ręce karabin, który zabrał jakiemś mężczyźnie w salonie bilardowym. Jego mundur stanowiła para starych spodni przewiązanych w pasie sznurkiem. Nie czesał włosów od kilku dni. Był nieogolony i szedł boso, ale podobnie jak jego towarzysze, gotów był umrzeć za królową.

Wyszkolone i wyposażone w strzelby wojsko amerykańskie, ze zdziwieniem patrzyło jak ta gromadka szła wydać im bitwę. Odważny oficer, ubrany w biały mundur podbiegł do przywódcy ochotników i powiedział:

— Nie ma wojny. Królowa abdykowała.

— Co zrobiła? — zapytał przywódca.

— Abdykowała — powtórzył młody Amerykanin. — Czy ktoś tu mówi po hawajsku? — krzyknął.

Jeden z gapiów, haole, zapytał:

— Jak mogę panu pomóc, generale?

— Proszę powiedzieć tym ludziom, że nie będzie wojny. Królowa abdykowała.

— Dobra — zgodził się haole. Odwrócił się do Kimo i jego ludzi, i zawołał:

— Hej wy, kanaka! Liliuokalani pau. Ona iść do domu. Wy też pau. Idźcie do domu.

Nie było więcej żadnych prób oporu. Rewolucja dobiegła do końca. Kimo zaniósł swój muskiet z powrotem do salonu bilardowego i wysłuchał szyderstw przyjaciół. Zmartwiony poszedł do domu, gdzie mieszkała jego żona Apikela i jego chińska rodzina. Wiedział, że przybrane w złote ozdoby konie idące tanecznym krokiem, gwardia królewska w jaskrawych mundurach, królowa jadąca pozłacanym powozem, świat, który kochał, wszystko to odeszło w przeszłość. Położył się od razu do łóżka. Pozostał w nim aż do śmierci. Nie odzywał się do nikogo i nie śmiał się.

Prowizoryczny rząd z Micah Halem na czele i stojącymi za nim plantatorami, zastąpił anachroniczny, siedemnastowieczny system proponowany przez królową Liliuokalani. Każdy dekret nowego rządu był podporządkowany jednemu celowi: unii z Ameryką. David Hale i Micah Whipple ruszyli do Waszyngtonu, aby namówić Senat do podpisania traktatu o aneksji zanim sprzyjający im prezydent Harrison opuści swój urząd czwartego marca. Powszechnie wiadomo, iż prezydent elekt, Grover Cleveland, był przeciwny temu, co wydarzyło się na Hawajach. Wkrótce do Honolulu zaczęły napływać dramatyczne apele o poparcie moralne dla aneksji. Wysłani do Waszyngtonu Hale i Whipple donosili: „Spotykamy się z ostrym sprzeciwem co do sposobu, w jaki rewolucja została przeprowadzona. Czy Micah Hale nie mógłby wygłosić mocne oświadczenie oparte na jego autorytecie moralnym? W przeciwnym razie jesteśmy zgubieni”.

W tej sytuacji, w lutym tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku Micah Hale udał się do swojego gabinetu na King Street i napisał do jednego z nowojorskich pism: „Każdy rozsądny człowiek, patrząc dzisiaj na te wyspy, przyzna, iż wymagają one opieki i nadzoru ze strony Stanów Zjednoczonych. Ludność tubylcza to w większości analfabeci pogrążeni w bałwochwalstwie, przyzwyczajeni do próżnych pokazów monarszego blichtru. Są całkowicie niezdolni, by sprawować rządy w kraju „. W tych ostrych, choć prawdziwych słowach, siedemdziesięcioletni syn misjonarza podsumował osiągnięcia jego grupy. Jednak jako patriota i człowiek kochający Hawaje ponad wszystko, nie rozumiał, co te słowa oznaczały. Co więcej, posunął się dalej i zwrócił uwagę na coś, co do tej pory pozostawało nie zauważone zarówno na Hawajach jak i w Ameryce: „Hawaje nie mogą leżeć bezpiecznie na środku Pacyfiku. Wyspy wydają się znajdować stosunkowo blisko Ameryki, ale leżą także blisko Kanady i na trasie z Ameryki do Australii i Nowej Zelandii. Kanada ma wszelkie powody, aby przyłączyć Hawaje. Znajdują się również blisko azjatyckich terenów Rosji i gdyby nie zwykły zbieg okoliczności, być może stałyby się częścią tego imperium. Każdy, kto choć raz płynął z Honolulu do Jokohamy albo Szanghaju, zdaje sobie sprawę, jak niebezpiecznie mała odległość dzieli wyspy od Japonii czy Chin. Przez ponad pół wieku wierzyłem, iż los Hawajów wiąże się ze Stanami Zjednoczonymi, lecz nie jest to tak pewne, jak mi się wydawało. Musimy dokonać historycznego wyboru. Logiczne rozwiązanie tej kwestii spotyka się z oporem. Zwycięży nielogiczne rozwiązanie i Hawaje, klejnot Pacyfiku, przypadną w udziale Kanadzie, Rosji albo Japonii. Chcąc uniknąć takiej katastrofy, modlimy się, aby Stany Zjednoczone przyjęły nas.”

Artykuł wydrukowano w wielu egzemplarzach, a Dziki Whip Hoxworth zabrał go z domu Hale'a i zaniósł na jeden ze statków czekających w zatoce. Wręczając artykuł siostrzeńcowi, Micah Hale czuł obrzydzenie. Używał zepsutego do szpiku kości pośrednika, by osiągnąć dobry cel.

Błagalny artykuł Micah nie przyniósł żadnych rezultatów. Plantatorzy z Luizjany i Kolorado powstrzymali słaby Senat przed ratyfikacją w lutym tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku traktatu o aneksji. Pięć dni później Gover Cleveland objął prezydenturę. Stanowczo odrzucił traktat i skarcił wszystkich, którzy próbowali narzucić go Ameryce. Smutne wieści dotarły na Hawaje. Sekretarz Stanu pisał: „Stany Zjednoczone nie przyjmą Hawajów na oferowanych warunkach. Poparcie spisku zaplanowanego przez garstkę awanturników obniżyłoby nasz międzynarodowy status. Jestem przeciwny przejęciu tych wysp siłą i podstępem, ponieważ istnieje jeszcze międzynarodowa moralność.”

Prezydent Cleveland zgadzał się z tą opinią i osobiście wysłał na Hawaje urzędnika. Miał on sprawdzić jaka była rola Stanów Zjednoczonych w tej niesmacznej rewolucji. Przypadek sprawił, że urzędnikiem tym był demokrat z Georgii, członek rodziny, która niegdyś posiadała niewolników. Gdy wiadomość o jego nominacji dotarła na Hawaje, Komitet Dziewięciu zaczął obawiać się, że raport na temat ich roli w rewolucji może być negatywny. Odkrywszy jego południowe korzenie, odetchnęli z ulgą.

— Jako południowiec, zrozumie nasze problemy — zapewnił konspiratorów John Janders. Zgodzili się z nim.

Whip Hoxworth, przemyślawszy całą sprawę, osądził:

— Możemy mieć poważne kłopoty. Skoro urzędnik Clevelanda pochodzi z Georgii, prawdopodobnie pogardza czarnuchami.

— Naturalnie — zgodził się Janders. — Od razu przejrzy tych Hawajczyków.

— Wątpię — ostrzegł Whip. — Założmy, że nienawidzi Murzynów. Jako normalny, rozsądny człowiek będzie starał się dowieść, iż jego nienawiść nie dotyczy innych ludzi o ciemnej skórze.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — zarządał wyjaśnienia Janders.

— Mnie o to nie pytaj — odrzekł Whip. — Poczekaj, a sam się przekonasz. Kiedy urzędnik przybył na Hawaje, zachowywał się dokładnie tak, jak to

przewidział Whip. Nienawidząc Murzynów w kraju, musiał polubić Hawajczyków za granicą. Był to jakby nakaz wewnętrzny. Dzięki temu ów człowiek z Georgii zrozumiał rewolucję lepiej niż jakikolwiek inny Amerykanin w owym czasie. Rozmawiał głównie z Hawajczykami i był oczarowany możliwością rozmawiania z królową. Jego raport dla prezydenta Clevelanda był miażdżącym oskarżeniem plantatorów trzciny cukrowej. Odkrył, iż działając w zмовie z amerykańskim ministrem spiskowali, aby obalić legalnie obrany rząd. Kapitan amerykańskiego statku wojennego udzielił im pomocy. Pozbyli się królowej wbrew woli mieszkańców wysp. Zrobili to wszystko dla prywatnych korzyści finansowych. Według niego, królowa Liliuokalani, szlachetna kobieta powinna zostać ponownie osadzona na tronie.

Jego raport wywołał w Waszyngtonie taką burzę, że David Hale i Micah Whipple, straciwszy nadzieję na przyłączenie Hawajów do Ameryki, wrócili do Honolulu pełni ponurych przewidywań: „Nigdy nie staniemy się częścią Ameryki dopóki Gover Cleveland jest prezydentem. Jego Sekretarz Stanu już teraz zastanawia się czy „ogromne zło wyrządzone tak słabemu państwu nie powinno zostać zrekomensowane przez przywrócenie prawowitego rządu”. Mówi się nawet o osadzeniu królowej na tronie przy pomocy amerykańskiego wojska.

— Co stałoby się z nami? — pytali członkowie komitetu.

— Ponieważ jesteście obywatelami amerykańskimi — wyjaśnił urzędnik konsularny — zostalibyście aresztowani, odwiezieni do Waszyngtonu i sądzeni za próbę obalenia rządu w zaprzyjaźnionym ze Stanami kraju.

— O nie! — zaprotestowali spiskowcy. — Jesteśmy obywatelami Hawajów.

Wrzesień i październik tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku były niespokojne na Hawajach. Dziki Whip i jego współtowarzysze ledwie utrzymywali władzę. Każdy przyplływający statek przywoził złowieszcze wieści z Waszyngtonu, gdzie sympatie znalazły się po stronie królowej Liliuokalani. Powszechnie wierzone, że wkrótce z powrotem obejmie ona tron. Jednak tuż zanim miało to nastąpić, ta uparta kobieta zraziła Amerykanów i na zawsze zdyskredytowała monarchię na Hawajach. Pomogła Dziukiemu Whipowi dokonać tego, czego sam nigdy by nie osiągnął.

Pod koniec roku prezydent Cleveland wysłał drugiego urzędnika w celu ustalenia warunków, na jakich Liliuokalani miałyby wrócić na tron. Jak oznajmił Cleveland, Ameryka nigdy nie chciała wyciągać korzyści z nieszczęść spotykających jej sąsiadów. Nowy wysłannik prezydencki pogrążył Komitet Dziewięciu w rozpaczę oznajmiając, iż obecnie nawet nie brano pod uwagę przyłączenia Hawajów do Ameryki. Następnie udał się na oficjalną rozmowę z królową. Chciał ustalić z nią jakiej konkretnie pomocy spodziewała się od Ameryki.

Nie natrafiono na żadne trudności, a wysłannik musiał uśmiechnąć się, kiedy królowa zauważyła:

— Według jednego z najczęściej wysuwanych oskarżeń, nasze małe królestwo lubuje się w przepychu. Muszę przyznać oskarżycielom rację, gdyż na

całym świecie nikt nie kochał pięknych zbroi, siodłanych koni, jaskrawych mundurów i medali bardziej niż doradcy wybierani przez naszych królów spośród misjonarzy, którzy w swojej rodzinnej Nowej Anglii chodzili w ręcznie tkanych ubraniach. Mam tu cztery zdjęcia z uroczystości dworskich. Widzi pan tych ludzi obładowanych złotem i medalami? To nie są Hawajczycy. To Amerykanie. Oni rządali królewskiego przepychu, a myśmy go im zapewniE.

— Mówiąc o Amerykanach — zapytał wysłannik — jaki rodzaj amnestii przewiduje Wasza Wysokość dla rebeliantów?

— Amnestii? — zapytała królowa Liliuokalani pochylając swoją wyrazistą twarz w stronę Amerykanina. — Nie rozumiem.

— Amnestia — zaczął wysłannik — oznacza...

— Wiem, co oznacza to słowo — przerwała Liliuokalani. — Nie rozumiem, co ma ono oznaczać w tym przypadku.

— Hawaje przechodziły trudny okres. Na szczęście to już minęło. Wasza Wysokość powróci na tron. Prezydent Cleveland zakłada, iż zostanie wydana proklamacja o powszechnej amnestii. Tak się zazwyczaj robi.

— Amnestia! — powtórzyła z niedowierzaniem królowa.

— Skoro Wasza Wysokość nie rozważała amnestii, co stanie się z rebeliantami?

— Naturalnie zostaną ścięci.

— Słucham?

— Rebelianci zostaną ścięci. Taki zwyczaj panuje na naszych wyspach. Ten, kto spiskuje przeciw koronie, zostaje ścięty.

Amerikaninowi dech zaparło z przerażenia. Z trudem przełknął ślinę.

— Czy Wasza Wysokość zdaje sobie sprawę, że ponad sześćdziesięciu obywateli amerykańskich było zamieszanych w tę nieszczęsną rewolucję? — zapytał.

— Nie znalazłam liczby zdrajców i nie uważam ich za Amerykanów. Zawsze uważali się za obywateli Hawajów i zostaną ścięci.

— Wszyscy?

— Dlaczego nie?

— Chyba powinienem poinformować o tym prezydenta Clevelanda — oznajmił z trudem wysłannik. Podziękował za audiencję i jeszcze tej nocy napisał: „Na jaw wyszły pewne czynniki, których dotąd nie braliśmy pod uwagę”.

Po tym incydencie nie mówiono więcej o przywróceniu monarchii.

Tak więc w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym trzecim roku stało się jasne, że Stany Zjednoczone nie przyłączą Hawajów ze względu na złą opinię ludzi przewodzących rewolucji ani nie osadzą ponownie na tronie monarchini, która chciała ściąć sześćdziesięciu amerykańskich obywateli. Z roku na rok wyspy dryfowały niczym statek nie mający dokąd zawinąć. Hawajczycy zaczęli nienawidzić haole, którzy pozbawili ich monarchii, a haole pogardzali tchórzliwymi amerykańskimi senatorami bojącymi się wziąć na siebie odpowiedzialność za przyłączenie wysp do Stanów. Plantatorzy trzciny cukrowej bardzo ucierpieli. Wyglądało na to, że Luizjana i Kolorado na zawsze wyeliminują hawajski cukier z amerykańskiego rynku. Ogromne statki „H&H” przewoziły coraz mniej ładunków, a Wielka Brytania i Japonia zaczęły zastanawiać się co powinny zrobić z tym pozbawionym sterów statku dryfującym niebezpiecznie po Pacyfiku. Zdesperowani plantatorzy zaproponowali traktat, który pozwo-

liby im sprzedawać cukier w Australii. Przepowiadano, iż wkrótce Hawaje przyłączą się do Imperium Brytyjskiego.

Wówczas Micah Hale ocalił Hawaje. Był dobrze przygotowany do tej roli. Kiedyś, w Lahaina, jego ojciec, misjonarz, trzymał go w otoczonym murami ogrodzie i kazał studiować historię, Biblię oraz surowe poglądy ojca na temat prawości. Zwłaszcza dwie lekcje pomogły mu w formowaniu nowego rządu. Obserwował jak ojciec tłumaczył Księgę Ezechiela. Ostre słowa proroka pozostały mu na zawsze w pamięci. Słuchał również, kiedy jego kulejący ojciec mówił jak John Calvin i Theodore Beza zarządzili Genewą zgodnie z wolą bożą.

Po pierwsze pozbawił Dzikiego Whipa wszelkich związków z nowym rządem. Następnie nalegał na wprowadzenie praw moralnych i odpowiedzialności finansowej. Przede wszystkim, jak prawdziwy misjonarz, pisał. Do gazet pisał usprawiedliwienia dla swego rządu. Na łamach czasopism wyjaśniał dlaczego rewolucja na Hawajach była podobna do powstania, które wyniosło na tron angielski Wilhelma i Mary. Republikanom dostarczał w swoich obszernych pismach amunicji do zwalczania demokratów, a do dawno zapomnianych przyjaciół w Ameryce natchnione listy proszące o zaanektowanie Hawajów. Miał przed sobą tylko jeden cel. Pragnął uczynić te wyspy częścią Stanów Zjednoczonych. Jego pióro, zapisujące całymi godzinami kartki papieru, było jedyną bronią, jaka pozostała wyspiarzom.

Rząd uformowany przez nich był liberalny. Gdy bogaci ludzie mający utworzyć nową konstytucję spotkali się, pouczył ich:

— Waszym zadaniem jest stworzenie chrześcijańskiego państwa, w którym jedynie odpowiedzialni ludzie o nieposzlakowanej opinii, posiadający znaczne obszary ziemi będą mogli zasiąść u steru władzy.

Ustalono dokładne wymogi dla osób mających prawo do głosowania i dla tych, na których można było głosować. Aby zostać członkiem senatu, trzeba było posiadać własność ziemską wartą co najmniej trzy tysiące dolarów i nie obciążoną hipotecznie albo mieć tysiąc dwieście dolarów rocznego dochodu. Aby głosować na senatora trzeba było mieć ziemię wartą trzy tysiące dolarów albo sześćset dolarów rocznego dochodu.

— W innych częściach świata niewykształcony robotnik może w gniewie wypowiadać się przeciwko lepszym od siebie, ale nie na Hawajach — wyjaśnił Micah.

Gdzie tylko to było możliwe dawano przywileje plantatorom, od nich bowiem zależał dobrobyt na wyspie.

Co do jednego Micah był nieugięty: ludzie Orientu zamieszkujący wyspy nie mogli mieć żadnego udziału w rządzie.

— Zostali sprowadzeni do pracy na plantacjach trzciny cukrowej, a po zakończeniu pracy mieli wrócić do domów. Nie mieli tu zostać. Zostali, ale nie ma dla nich miejsca w życiu publicznym wysp.

Dlatego też, zgodnie z sugestią Micaha, warunkiem uzyskania prawa głosu było zdanie sprytnie ułożonych testów na umiejętność czytania i pisania. Żaden, nawet bardzo bogaty Chińczyk czy Japończyk, nie byłby w stanie ich zdać.

Pod wieloma względami rząd Micaha był zbyt liberalny dla plantatorów, dzięki którym powstał. W grupie misjonarzy było wielu Hewlettów i Hale'ow, sprzeciwiających się takim wolnościom. Z kolei Jandersowie i Hox-worthowie uważali go za szaleńca opanowanego francuskimi ideami republikańskimi, ponieważ obwarowawszy elektorat wymogami majątkowymi, Micah był łagodny i sprawiedliwy w innych sprawach. Nalegał na rozprawy

z ławą przysięgłych, wprowadzenie prawa habeas corpus, wolności wyznania oraz wszystkie inne cechy anglosaskiej demokracji. Kiedy jednak zapytano go w późniejszej fazie tworzenia konstytucji: „Jaki rząd pan tworzy?“, odpowiadał szybko:

— Taki, który będzie rządził uczciwie do czasu, gdy przyjmą nas Stany Zjednoczone.

Nigdy nie odszedł od tej zasady. Ktoś słabszy niż Micah Hale mógłby dać się skusić władzy, ale nie on. Nie przyznał sobie medali, nie ustanowił dla siebie stanowiska. W ciągu pięciu lat po rewolucji z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku nie było dnia, by nie klęknął i nie modlił się: „Boże wszechmogące, spraw, aby nasz plan zaowocował. Uczyń nas częścią Ameryki“.

Kalwińskie wychowanie pozwoliło mu stawiać czok trudnym sytuacjom z absolutnym przekonaniem, że mteł rację. Kiedy trzeba było podejmować nieprzyjemne decyzje, robił to. W tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku wybuchła zbrojna rewolucja przeciwko jego rządowi. Zdecydowanie stłumił ją, potem aresztował królową Liliuokakni za rzekomy udział. Gdy strachliwi radzili ostrożność w postępowaniu z królową, Micah powiedział:

— Będzie sędzona za zdradę rewolucji.

Był na śali sądowej, kiedy kwa przysięgłych posłuszna pkntatorom uznali ją winną. Naturalnie każda inna kwa przysięgłych mustekby zrobić to samo. Królowa, odmawkjąc uznank uzurpatorów, którzy odebrali jej tron, działak przeciwko nim. Prawdopodobnie zachęcała swoich zwolenników do otwartej rebelii, chociaż raporty na ten temat były rozbieżne. Młoda republika nie mteła wyjście, muskk oskarżyć ją o zdradę. Pkntatorzy uznali ją winną, a Micah odpowkdał za umieszczenie jej w więzieniu.

Potężna, uparta kobieta zostak zamknięta w jednym z pokojów na piętrze swojego pałacu. Nadzór policyjny był ścisły, ale nigdy fizycznie nieprzyjemny. Niebawem pomiędzy jej stronnikami zaczął krążyć najwspanialszy dokument stworzony przez suverena tej ziemi. Byk to pieśń zapisana przez Liliuokalani w więzieniu. Skomponowała ją kilka lat wcześniej, ale nie zwrócono na nią większej uwagi. Teraz ten lament obiegił nie tylko wyspy, ale cały świat. „Aloha Oe“ — „Po niebie, ponad szczytami gór, łagodnie płynie deszczowa chmura gnana przez zachodni wiatr“. Jeden z misjonarzy powiedział o tej pieśni:

— Kiedy była wolną królową Liliuokalani, nie zrobiła niczego dla swojego ludu, ale kiedy znalazła się w więzieniu, w tej pieśni wyraziła ich duszę.

Usłyszawszy tę melodię, Micah Hale powiedzkł:

— Uwolnijmy ją.

Wyjechała do Waszyngtonu, skąd zażarcie z nim walczyła.

Po stłumieniu rewolucji i ustabilizowaniu się nowego rządu, przez krótką chwilę wydawało się, że prezydent Cleveland i demokraci przyłączą Hawaje. Gazety pisały: „Poprzez swoją moralną postawę Micah Hale zrobił bardzo wiele, aby naprawić zło dokonane przez młodszych Amerykanów podczas rewolucji“. W końcu Micah oznajmił swojemu gabinetowi:

— Zaczynam widzieć cień szansy.

Wtedy Dziki Whip Hoxworth pojawił się na pierwszych stronach gazet w całej Ameryce. Dziennikarze pisali: „Agresywny, młody człowiek przypomniał nam jak podobni mu, bezwzględni ludzie ukradli Hawaje królowej Liliuokalani“.

Nadzieja na aneksję przepadła.

Kłopoty zaczęły się podczas trzydniowej orgii w chińskim burdelu w Aleji Szczurów w Iwilei. Whip przyjechał zobaczyć hiszpańską dziewczynę pod-kradzioną ze statku, który właśnie przyplłynął z Valparaiso. Właśnie zabawiał się, kiedy pojawił się jeden z marynarzy ze statku i oświadczył, że dziewczyna należy do niego. Kupił ją. Wywiązała się bójka, podczas której intruz został wychłostany i skopany po twarzy. Odzyskawszy przytomność, wkroczył z powrotem do burdelu wraz z dwoma swoimi przyjaciółmi uzbrojonymi w noże. Zaczęli masakrować twarz Whipa. Dziewczyna z Valparaiso stanęła po jego stronie. Chwyciła stołek i rozwalila go na głowie przywódcy napastników. Ten, jeszcze osłabiony po laniu, jakie otrzymał niedawno od Whipa, zemdał. Whip skopał go po głowie. Mężczyzna o mało nie umarł.

Naturalnie nie aresztowano Dzikiego Whipa. Wszystko działo się w Iwilei będącym poza jurysdykcją policji. Wielu świadków widziało, jak trzech mężczyzn rzuciło się na niego z nożami. Poza tym, dwie rany na policzku dowodziły, że pocięli mu twarz, zanim ich pokieroszował. Cała sprawa przeszłaby niezauważona, gdyby poszkodowany nie był z natury człowiekiem upartym. Gdy tylko wypuszczono go ze szpitala, kupił strzelbę, poczekał na Whipa w barze na Hotel Street i postrzelił go w ramię.

I właśnie wiadomości o strzelaninie dotarły do Ameryki, gdzie zniszczyły większość dokonań Micah Hale'a. Natomiast jeśli chodzi o Hawaje, najgorsze miało jeszcze nadejść. W szczytowym momencie całego skandalu Dzikie Whip, mając wciąż jeszcze rękę na temblaku, ożenił się — z Meą Forbes. Była to piękna, dwudziestoletnia dziewczyna, czarująca, o cudownej cerze. Miała miękki, niski głos. Jej reputacja była nienaganna, ponieważ ojciec, widząc jej urodę, wychowywał ją bardzo starannie. W normalnych okolicznościach przykłaśnięto by małżeństwu pełnego życia mężczyzny, takiego jak Dzikie Whip, z dziewczyną tak piękną jak Mea Forbes. Było to małżeństwo z miłości i dawało szansę, że Mea okiełzna ognistego Hoxwortha.

Jednak ten związek był tak obraźliwy dla Hawajów, że przyćmił wszystkie dotychczasowe wybryki Whipa. Stało się tak ponieważ pochodzenie Mei było dość niezwykle. Jej babka wywodziła się z jednej z mniej znaczących rodzin alii na Maui. Natomiast jej dziadek, Josiah Forbes, był upartym, zdolnym Anglikiem z Bristolu. Porzucił statek na Wielkiej Wyspie, żeby zbić niewielką fortunę na produkcji cukru. Później ożenił się ze swoją ukochaną z Maui. Mieli córkę, dziewczynę zuchwałą i upartą. Zawsze robiła to, na co miała ochotę. W wieku lat dziewiętnastu wyszła za mąż za chińskiego rolnika o nazwisku Ching. Tak więc jej córka, znana powszechnie jako Mea Forbes, naprawdę nazywała się Ching Lan Tsin, „Cudowny kwiat Ching”. Wychodząc za mąż za Whipple'a Hoxworth'a stała się pierwszą kobietą ze wschodu, w tym przypadku półkwi Chinką, która weszła do znaczącej rodziny na wyspach. Był to przerażający przedsmak tego, co miała przynieść przyszłość. Dzikie Whip został wykluczony z towarzystwa.

Chociaż jego postępek zranił Hawaje, prawdopodobnie pozwolono by mu pozostać na wyspach, ale wmieszał się w publiczną bójkę z braćmi Hewlett. Doszło do tego, kiedy dowiedział się, że niektórzy z członków Komitetu Dziewięciu zmienili zdanie i zaczęli publicznie opowiadać się przeciwko połączeniu ze Stanami Zjednoczonymi.

— Ktoś trafnie zauważył, że kiedy przyłączymy się do Ameryki, nasze kontrakty z siłą roboczą przestaną obowiązywać i nie będziemy mogli więcej importować Japończyków — mówili.

— Czy coś w tym złego — zapytał szyderczo Whip.

— Jak można uprawiać trzcinę cukrową nie mając pracowników najemnych?

— Szczerze mówiąc, co zyskujecie na kontraktach z robotnikami?

— Cóż, muszą pracować gdzie chcemy, za wyznaczoną cenę, a jeśli nie chcą, możemy polegać na naszych sędziach. Oni doprowadzą ich do porządku.

— A niech mnie szlag trafi! — kpił Whip. — Czy wy nie czytacie gazet? Naturalnie, że nasze prawo pracy zostanie zakwestionowane przez Amerykę.

— W takim razie nie chcemy przyłączać się do Ameryki — oznajmił jeden z Hewlettów.

— Co proponujecie? — zapytał grzecznie Whip.

— Przyłączmy się do Anglii. Anglia pozwala na kontrakty. Albo rządźmy się sami.

Whipa zatkało. Rewolucja wymykała mu się z rąk. Najpierw naruszył ją Cleveland, a teraz podkopywali ją sami dawni spiskowcy.

— Słuchajcie — zaczął ostrożnie — nie potrzebujecie starych kontraktów. Przez ostatnie jedenaście lat nie ciągałem ani jednego z moich ludzi po sądach. Jeśli chcą odejść, dobrze. Daję im dobre jedzenie, uczciwą płacę i odrobinę humoru. Produkują dla mnie więcej niż dla was wszystkich razem wziętych. Uwierzcie mi, tak będzie wyglądała przyszłość.

Ta wizja nie spodobała się jednemu z Hewlettów i nierozsądnie odezwał się:

— Robisz coś jeszcze dla swoich ludzi, Whip.

— Co takiego?

— Śpisz z ich żonami.

Dziki Whip wybuchnął niczym wulkan mający utworzyć nową wyspę. Rzucił się na Hewlettów i byłby okaleczył tego, który go obraził, gdyby reszta komitetu nie pochwyliła go w porę.

Tej samej nocy Micah Hale wezwał Whipa do swojego gabinetu na King Street.

— Musisz opuścić wyspy, Whipple.

— Ale rewolucja upada — zaprotestował Whip.

— Tak zawsze dzieje się z rewolucjami — odrzekł Micah.

— Ci biedni idioci mówią o przyłączeniu się do Anglii albo o niepodległości. Chodzi im o te kilka dodatkowych dolarów na kontraktach z robotnikami.

— To nie ma nic do rzeczy, Whipple. Zatrwasz nowy naród i dla dobra wszystkich musisz odejść.

— Mam zamiar zwalczyć ten idiotyczny pomysł o poddaniu się. Nie pozwolę, aby rewolucja...

— Wynoś się! — zagrzemiał Micah. — Usiłuję ocalić Hawaje, a nie mogę tego zrobić, dopóki tu jesteś. Jesteś złym i skorumpowanym awanturnikiem. Na tych wyspach nie ma dla ciebie miejsca. Wyjedź!

Starzec wyrzucił Whipple'a za drzwi i ważył dla Hawajów lata, które wkrótce nadeszły, Dziki Whip spędził za granicą, podróżując z żoną półkrwi Chinką i półkrwi Hawajką. Jego dwie blizny na policzku kontrastowały z nieskazitelną urodą Mei. Z dala śledził losy wysp. Był w Rio, kiedy doszła go wieść o wybraniu McKinleya na prezydenta. Powiedział wówczas Ching-ching, jak nazywał swoją żonę:

— Za dwa lata wyspy przyłączą się do Ameryki.

— Czy wrócimy na obchody? — zapytała Ching-ching.

— Nie — nachmurzył się Whip. — To święto wuja Micaha. Ja tylko nakłoniłem go do działania.

Nie wspominał więcej o aneksji. Był na tropie czegoś, co miało mieć dla Hawajów znaczenie prawie tak wielkie, jak połączenie się ze Stanami Zjednoczonymi.

Pewnego dnia wpadł do pokoju żony w hotelu w Rio de Janeiro, wołając:

— Ching-ching! Spróbuj tego!

— Co ty robisz? — zaśmiała się. Nie wyszła jeszcze z łóżka, a on podsuwał jej mały stoliczek na kółkach. Na stoliku leżał talerz, nóż i widelec.

— Przyniosłem ci najsmakowitszą rzecz, jaką wymyślono. Podłóż sobie ręcznik pod brodę.
— Rzucił jej jedną ze swoich koszul i związał rękawy wokół jej pięknej, oliwkowej szyi. Następnie wyjął z papierowej torby duży, złoty, przypominający kształtem beczkę ananas. Trzymając go w górze za liście, zapylał:

— Czy widziałaś kiedyś bardziej idealny owoc?

— Bardzo duży jak na ananasa — zauważyła Ching-ching. — Skąd go masz?

— Waży ponad trzy kilogramy. Powiedziano mi, że statki przywożą je regularnie z francuskiej Gujany. Nazywa się Cayenne, ale poczekaj, aż go posmakujesz.

Dużym, ostrym nożem zaczął obierać twardą zewnętrzną skórę. Smakowity zapach wypełnił pokój, a po nożu zaczął spływać sok, który poplamiał obrus.

— Uważaj, Whip! — ostrzegła go żona. — Cieknie.

— Właśnie dlatego tak cudownie pachnie — wyjaśnił.

Mocnym cięciem przekroił ananasa na pół. Potem odkroił okrągły kawałek ciężkiego, aromatycznego owocu. Położył go na talerzu, podał Ching-ching widelec i nóż, i zachęcił, by spróbowała pierwszego Cayenne.

— Ależ to ma niebiański smak! — wykrzyknęła. Lekko kwaskowaty sok spływał jej po brodzie. — Mówiłeś, że gdzie rosną?

— Na północy.

— Powinniśmy zasadzić je na Hawajach — zasugerowała.

— Już to zaproponowałem — odrzekł.

Kiedy Micah Hale dobiegał siedemdziesięciu sześciu lat i był bardziej zmęczony, niż się do tego przyznawał, do Honolulu dotarły wieści, że w Waszyngtonie Izba Reprezentantów nareszcie ratyfikowała traktat o aneksji. Dwieście dziewięć głosów było za, a dziewięćdziesiąt jeden przeciw. Tej nocy rozpoczął się dla Micaha okres oczekiwania. Przy kolacji powiedział do swojej żony, Malamy:

— Musimy poczekać jeszcze dwa tygodnie i dopiero wtedy będziemy wiedzieli, co zrobi Senat.

— Czy jesteś pewien wygranej? — zapytała jego pełna uroku hawajska żona.

— Jeśli modlitwa do dobrego Boga przynosi jakieś efekty, jestem pewien.

Hale'owie jedli przy blasku świec. Siedzieli naprzeciwko siebie, więc komunikacja słowna była szybka. Malama, mająca sześćdziesiąt pięć lat, była raczej pełna godności niż wigoru. Nie utyla, jak wiele jej hawajskich sióstr, a jej siwe włosy połyskiwały w bladym świetle. Wciąż miała zwyczaj pochylać głowę, kiedy coś ją bawiło. Teraz powiedziała miękkiem głosem:

— Hawaje skorzystają na tym, że pochłoną je Stany Zjednoczone. Jesteśmy grupą biednych, słabych wysepek. Gdyby ktoś chciał nas podbić w ciągu

ostatnich pięćdziesięciu lat, mógłby uczynić to z łatwością. Tak będzie lepiej. Micah, odprężony po otrzymaniu dobrych wieści z Kongresu, zapytał:

— Czy wiesz Malamo, jak mi przykro, że to właśnie twój mąż musiał robić to wszystko przez ostatnie pięć lat?

— Ktoś musiał to zrobić — odpowiedziała surowemu, wyprostowanemu misjonarzowi.

— Ze wszystkich Hawajczyków, ty pojmowałaś to najlepiej — powiedział. — Ale nie ma się czemu dziwić. Jesteś przecież córką Noelani i wnuczką Malamy.

Na wspomnienie tych imion jego oczy niespodziewanie wypełniły się łzami. Chciał je ukryć, ale Malama zauważyła je. Gdyby siedziała obok męża, hawajskim zwyczajem pocieszyłaby go. Jednak tej ważnej nocy siedzieli oddzieleni od siebie. Pomiędzy nimi następowała jedynie wymiana myśli, nie uczuć.

— O ile wszystko byłoby prostsze, gdybyś to ty została królową, a nie Liliuokalani. Ty byś zrozumiała, ona — nigdy.

— Nie — odrzekła powoli Malama. — Lepiej, że mieliśmy na tronie upartą, radosną Hawajkę. Zanim wyginie, świat powinien zobaczyć nas takimi, jakimi jesteśmy.

— Wyginiecie? — powtórzył zdziwiony Micah.

— Tak — powiedziała stanowczo Malama. — Wkrótce nasze wyspy wypełnią ludzie wschodu i nie będzie tu miejsca dla Hawajczyków.

Uwaga żony zdziwiła Micaha.

— W konstytucji wprowadziliśmy zabezpieczenia przeciwko Japończykom — zauważył.

— To tylko papier, Micah. My, Hawajczycy, wiemy, że zostaniemy stąd wyparci.

— Będziecie chronieni! — wykrzyknął Micah.

— Mieliśmy już jedną konstytucję, która miała nas bronić — powiedziała Malama. — Nie powstrzymała jednak liczących na zyski z cukru złodziei przed zrabowaniem naszej ziemi i ... odebraniem nam naszego kraju.

— Malamo! — zawołał zaskoczony Micah. — Czy twierdzisz, że wyłącznie chciwość kierowała tą rewolucją? Czy nie widzisz, jak działa amerykańska demokracja?

— Widzę jedno; kiedy nasze pola były jałowe, nikt nas nie chciał. Gdy wyrósł na nich cukier, chcieli nas wszyscy. Co można do tego dodać?

Taki obrót rozmowy wyprowadził Micaha z równowagi. Hale wrócił pamięcią wstecz.

— Czy pamiętasz, kiedy ujrzałem cię po raz pierwszy? Wtedy, w San Francisco? Powiedziałem wówczas, na długo zanim zobaczyłem plantacje trzciny cukrowej: „Hawaje muszą należeć do Stanów Zjednoczonych”. Uważałem tak z powodów moralnych i moje motywy nigdy się nie zmieniły.

— Twoje nie, Micah. Ale inni się zmienili. W końcu zostałeś wykorzystany przez bandę złodziei.

— O, nie, Malamo! W gruncie rzeczy to ja ich wykorzystałem. Hawaje zostaną przyłączone do Stanów Zjednoczonych, na moich warunkach.

— Ukradziono je nam podstępem — powiedziała zimno Malama. — My, biedni, hojni Hawajczycy zostaliśmy ograbieni, oszukani, oczernieni publicznie i wreszcie wynarodowieni.

— Nie! — zaprotestował Micah. Wstał i ruszył dookoła stołu w stronę żony.

— Wołałabym, żebyś mnie teraz nie dotykał, Micah — powiedziała. W jej

głosie nie było goryczy. — Jak sądzisz, co czułam, kiedy spotykałam się z moimi hawajskimi przyjadłami, a oni pytali mnie: Jak Micah Hale mógł napisać o nas takie rzeczy?"

—Jakie rzeczy? — wykrzyknął Micah. Zrozpaczony usiadł z powrotem na swoim krześle. — Nigdy o was nie pisałem.

Ku jego zdumieniu, Malama wyjęła z kieszeni wycinek jednego z jego najważniejszych artykułów. Przepełniona goryczą, trzymała go tam w oczekiwaniu na właściwą chwilę. Ze smutkiem w głosie zaczęła czytać:

— „Ludność tubylcza to w większości analfabed pogrążeni w bałwochwalstwie, przyzwyczajeni do próżnych pokazów monarszego blichtru. Są całkowicie niezdolni, by sprawować rządy w kraju". — Cóż za wstrętne słowa.

— Ale ja nie pisałem o was — zaprotestował. — pisałem, żeby pomóc w przyłączeniu wysp do Ameryki.

— Pisałeś o Hawajczykach — powiedziała cichym głosem Malama.

Micah, ubrany w swój biały garnitur, siedział wpatrując się w obrus przywieziony kiedyś z Chin. Był zaskoczony stanowiskiem żony. Zastanawiał się nad kilkoma sposobami wytłumaczenia jej, przed jakim stał wówczas wyborem, ale spojrzął w nachmurzoną, rzucającą na niego oskarżenie twarz i zrezygnował. To nie miałyby sensu.

— Przepraszam, jeśli kiedykolwiek obraziłem Cię, Malamo.

— Przykro mi, że wyciągnęłam ten niemiły temat w noc twojego triumfu. Hawaje zostały ukradzione, a ich wolność — pogwałcona.

Ta córka alii wstała pełna godności, odsunęła nogą tren i wyszła z jadalni. Niepodeszony Micah patrzył jak odchodziła. Oparł głowę o stół i pozostał w tej pozycji przez kilka minut. Potem wstał i udał się do swojego gabinetu. Napisał długi list z instrukcjami dla swoich reprezentantów w Waszyngtonie. Pisał: „Musicie spotykać się z każdym senatorem co najmniej raz dziennie. Mówcie im, że przeznaczenie nakazuje Ameryce rozszerzyć łaskę Boga na te wyspy. Nie możemy pozwolić sobie na zwłokę. Anglicy i Japończycy zaczynają wykonywać nieprzyjemne posunięcia. Zwłoka oznacza samobójstwo. Błagaj ich. Niech nic nie będzie dziełem przypadku. Jeśli senatorowie z Luizjany i Kolorado będą walczyć nieczysto, odwzajemnijcie się im. Wyspy muszą stać się częścią Ameryki jeszcze podczas tej sesji. W wasze ręce składam losy Hawajów.

W ciągu następnych dni Micah i Malama Hale unikali się jak tylko się dało. Szanse w Senacie wyglądały coraz lepiej i z każdym entuzjastycznym listem z Waszyngtonu amerykański misjonarz i hawajska alii coraz bardziej oddalali się od siebie. Micah po tysiącokroć myślał o tym, jak smutną rzeczą było niszczenie suwerenności. Hawaje powinny należeć do Ameryki. To było nieuchronne, a on czuł coraz większą dumę z roli, jaką odegrał w sprowadzeniu na wyspy tego błogosławieństwa. Ale było to także tragiczne, a w tych dniach tragedia przerastała radość.

Szóstego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku amerykański senat wreszde przyłączył Hawaje stosunkiem głosów czterdzieśd dwa do dwudziestu jeden. Siedzący na galerii w Senacie David Hale, osobisty emisariusz Micah, płakał, a jego asystent Micah Whipple, powiedział:

— To początek politycznej wielkości Ameryki.

Tydzień później, trzynastego lipca, wiadomość dotarła do Honolulu. Podniecony marynarz wystrzelił z działa. Ludzie byli na skraj vi załamania nerwowego i myślano, że to kontrrewolucja. Wkrótce elektryzująca wiadomość przebiegła przez miasto. Ludzie wybiegali na ulicę i obejmowali się. Był to dziki,

radosny dzień. Panował taki zgiełk, że możnaby go słyszeć na całym świecie. Jednak Dzikie Whip Hoxworth, przebywający w dżungli Gujany Francuskiej, dowiedział się o tym dopiero dwa miesiące później. Kiedy to się stało, powiedział Ching-ching:

— Cóż, jesteśmy w końcu Amerykanami. Czy czujesz się jakoś inaczej?

— Ty może jesteś Amerykaninem — odrzekła Ching-ching. — Ja nadal jestem Chinką. Nie sądzę, aby twój kraj kiedykolwiek chciał mnie przyjąć.

Dwunastego sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego ósmego roku, proklamacją prezydenta McKinley'a Hawaje przyłączyły się do Stanów Zjednoczonych. Na wyspach tę radosną okazję obchodzono raczej jak pogrzeb niż jak narodziny. Żaden Hawajczyk nie pokazał się tego dnia na mieście. Odprawiali w ukryciu żałobę. Natomiast wszędzie pełno było Amerykanów w obcisłych kurtkach, brązowych cylindrach i skórzanych butach. Przemierzali ulice niosąc barwne odznaki z wizerunkiem wuja Sama biorącego ślub z murzynką. Fabrykanci z kontynentu nie mieli pojęcia, jak wyglądały Hawajki. Na odznace widniał napis: „Oto dzień naszych zaślubin”.

Z szacunku dla Hawajczyków, tego dnia uroczystości były bardzo krótkie. O jedenastej czterdzieści pięć na podium pojawiła się grupa ludzi odpowiedzialnych za rewolucję. Prowadził ich Micah Hale. Zająwszy miejsce, rozejrzał się po tłumie. Ujrzał Amerykanów, Chińczyków, Portugalczyków i Japończyków, ale ani jednego Hawajczyka. Kiedy niegdyś wspaniała orkiestra zaczęła grać hymn hawajski, westchnienie, które wydały z siebie instrumenty nie dałoby się wytłumaczyć nawet, gdyby grali zupełnie początkujący muzycy. Jeden po drugim, hawajscy członkowie orkiestry odchodzili płacząc. Nie chcieli grać pieśni pogrzebowej dla swego narodu. Hymn skończył się łkaniem, a Micah zaczął czytać:

— Pokładając całkowitą ufność w honor, sprawiedliwość i przyjaźń narodu amerykańskiego...

Po raz pierwszy marzył o tym dniu przemierzając prerie Nebraski w tysiąc osiemset czterdziestym dziewiątym roku. Teraz, prawie pół wieku później, ziścił się owo marzenie.

Na podium byk tego dnia jedna Hawajka, Makma Kanakoa Hale. Micah błagał ją:

— To twój obowiązek.

Alii rozumiała to. Ubrana w królewską czerń i purpurę, w przybranym kwiatami kapeluszu i z wachlarzem z kości słoniowej w dłoni wyglądała imponująco. Była symbolem pokonanej rasy. Nawet kiedy statek w przystani oddał salut armatni z dwudziestu dział i flaga, którą tak kochała zastała spuszczone, miała dość sił, by nieruchomym wzrokiem patrzeć przed siebie.

— Nie pozwolę im zobaczyć moich łez — mruzczała do siebie.

Kiedy ceremonie zakończyła się, wydarzyło się coś żenującego. Dla Mala-my pozostało to na zawsze symbolem zła, które zniszczyło jej naród. Gdy hawajska flaga opadła, jakiś Amerykanin pochwycił ją i zanim zdokno go powstrzymać, wyniósł ją do piwnicy w pakcu, gdzie pociął ją na kawałki. Potem rozdawał je jako pamiątki tego dnia.

Jeden z tych kawałków wciśnięto w rękę Micaha Hale'a. Jego oczy, były tak nadwężone od pisania listów w sprawie Hawajów, że nie widział co trzyma w dłoni. Nierozważnie podniósł do góry kawałek materiału, aby mu się bliżej przyjrzeć. Wówczas zobaczył, że trzyma fragment flagi z ośmioma paskami symbolizującymi wyspy. Zrozumiał jak haniebnie postąpiono z tą dumą

ną flagą. Szybko zmiął materiał w dłoni, żeby żona go nie zobaczyła i nie poczuła się jeszcze bardziej obrażona. Ale wkładając go do kieszeni, usłyszał za plecami bolesny krzyk. Odwrócił się i zobaczył, że jego żona ukryła ze wstydu twarz.

Dziewiętnasty wiek chylił się ku końcowi. Hawaje powoli oswajały się z przynależnością do Stanów Zjednoczonych, a mieszkańcy Honolulu stopniowo przyzwyczajali się do myśli, że rodzina Kee, w przyszłości odegra znaczącą rolę w społeczeństwie, choćby ze względu na swoją liczebność. Przede wszystkim była stara pani Kee, znana w rodzinie po prostu jako Ciotka Wu Chow. Miała teraz pięćdziesiąt dwa lata i była przygarbiona od ciężkiej pracy. Następnie było jej pięciu synów: Azja, Europa, Afryka, Ameryka i Australia, oraz ich żony. Stanowili niezwykle płodną rodzinę. Mieli już trzydzieścioro ośmiorgo dzieci, a prawdopodobnie wiele miało jeszcze przyjść na świat. Zatem pod koniec wieku w Honolulu mieszkało już czterdzieścioro dziewczyńców Kee, a niektórzy z nich zbliżali się do wieku małżeńskiego. Za dwadzieścia lat liczba Kee powinna prawdopodobnie przekroczyć dwieście osób.

Dla Nyuk Tsin, która nadal sprzedawała ananasy i marynowane łądygi taro, liczebność jej potomków była nagrodą za wszystkie cierpienia. Chodziła boso ulicami Chinatown. Na ramionach nosiła bambusową tyczkę ze zwisającymi z niej dwoma koszami. Na głowie miała słomkowy kapelusz. Ilekroć dochodziła do miejsca, gdzie Hotel Street przecinała Maunakea, w samym sercu Chinatown, czuła satysfakcję. Lata temu chłodno oceniła swoich synów, którzy mieli między siebie podzielić świat. Uznała, że Afryka był z nich najzdolniejszy. Otrzymał wykształcenie i teraz, w wieku trzydziestu jeden lat został przywódcą chińskiej społeczności. Afryka Kee; Prawnik. Tak było złotymi litrami napisane na szyldzie. Szyld nie mówił jednak, że budynek, w którym znajdowało się biuro Afryka Kee był również jego, a kilka sklepów rozsianych po mieście należało albo do niego, albo do jego braci.

Prawdę mówiąc, prawo własności do tych budynków nie miało żadnego znaczenia. Chociaż oficjalnie to Azja Kee był właścicielem dochodowej restauracji na Hotel Street, w rzeczywistości należała ona do rodziny. Pod kierownictwem Nyuk Tsin pięciu braci stworzyło coś, co na Hawajach nazywano „hui”. Wymawiało się to „hjuji”. — Ci Kee pracują w Hui.

Właśnie ta nieformalna korporacja, wielkie hui Kee kontrolowało dochody rodziny. Jeżeli żona Australii, dziewczyna z rodziny Ching, dostała niewielki spadek, nie przechodził on do Australii i jego dzieci. Przechodził do hui. Nikt z rodziny nie mógł porównać swoich dochodów z tym, co już uzyskał z hui. Jego ubrania, wykształcenie, wykształcenie jego synów, dom, pieniądze na rozkręcenie własnego interesu — wszystko to było opłacane przez hui. Nawet gdyby chciał zrzec się wszystkich swoich dochodów do końca życia i tak nie spłaciłby długu w stosunku do hui.

Nikt nie odczuwał tego zobowiązania bardziej niż Afryka. Tylko dzięki staraniom i pracy swoich czterech braci otrzymał wykształcenie prawnicze w Michigan. Aby utrzymać go na uczelni, musieli ponieść wiele wyrzeczeń. Jednak nigdy nie narzekali. Zgadzała się z Nyuk Tsin, że najzdolniejszy z nich musi otrzymać wykształcenie, aby potem móc chronić resztę. Afryka Kee to robił. Obecnie hui rodziny Kee kontrolowało siedem przedsiębiorstw. Afryka

Kee prowadził je wąską ścieżką pomiędzy konserwatywną rozwagą, a krańcową brawurą. Finansował każde nowe przedsięwzięcie i doradzał, kiedy należało likwidować stare. Wybierał ziemię, którą należało kupić, który róg wynająć na sklep i do którego college'u na kontynencie posłać dzieci. Stał się mózgiem chińskiego imperium małych, brudnych sklepików i niewielkich działek ziemi. Nie miał jednak zamiaru pozwolić, aby imperium Kee pozostało małe. Ilekroć spotykał się z braćmi, którzy nosili tradycyjne chińskie suknie i warkocze, wykladał im swoją doktrynę:

— Nasze hui musi się rozwijać.

On sam obciął warkocz i nosił zachodnie ubrania, które poznał w Michigan. Aby osiągnąć rozwój hui, uprawiał hazard w sposób, który z pewnością spodobałby się jego ojcu. Rodzina Kee, kupiwszy ziemię, natychmiast brała pożyczkę pod jej zastaw i kupowała następny kawałek ziemi, który również obciążała hipoteką, o ile tylko było to możliwe. Wszystkie sklepy Kee kupowały na kredyt, ale bardzo przestrzegano spłat w terminie. Hui nigdy nie miało gotówki. Zawsze miało długi, które wprowadziłyby w zdumienie haole i pod rozważnym kierownictwem Afryki, zaczynało kwitnąć.

Nyuk Tsin, zadowolona za sposobu, w jaki kierował interesami rodziny, nie starała się zdominować rodziny, z wyjątkiem trzech rzeczy. Każde dziecko z rodziny Kee musiało otrzymać wykształcenie. W tysiąc dziewięćsetnym roku ta niezbyt zasobna w gotówkę rodzina przygotowywała się do wysłania trzech chłopców do szkoły w Stanach. Jeden miał zostać lekarzem, drugi dentystą, a trzeci prawnikiem. W ciągu następnego dziesięciolecia miano wysłać na kontynent jeszcze czternastu Kee. Nyuk Tsin chodziła boso, aby zaoszczędzić na wysokie czesne na uniwersytetach w Ameryce i nie miało znaczenia, że żony jej synów musiały robić to samo. Rodzina żyła bardzo oszczędnie, pragnąc odłożyć każdy grosz na wykształcenie jakiegoś błyskotliwego wnuka.

Nyuk Tsin podtrzymywał w tym postanowieniu pewien szalony Anglik, Uliassutai Karakoram, który przychodził ze szkoły Kościoła Episkopalnego i rozmawiał z nią po chińsku.

— Kiedyś przeklinałem jankeskie zagrożenie dla Hawajów i w pewnym momencie nawet chciałem chwycić za broń przeciw Ameryce — powiedział. — Ale kiedy nastąpiła aneksja, wrzuciłem ramionami i powiedziałem sobie: „Ameryka nie jest gorsza niż Anglia. Obydwie są cholernymi złodziejkami i jeśli wytrzymywałem z jedną, mogę wytrzymać i z drugą”.

Zachęcał Nyuk Tsin, by kształciła dzieci wykorzystując wszystkie ich możliwości.

— Czy kiedyś obliczyłaś, Ciotko Wu Chow, ile kosztowało cię zrobienie z Afryki prawnika? A pomyśl, ile z tych pieniędzy już się zwróciło. Możesz być pewna, że w przyszłości zwróci się ich znacznie więcej.

Siedząc w małym pokoiku na Nuuanu zapalał się mówiąc:

— Nauka, matematyka, spekulacje! Kto wie, do czego mogą doprowadzić? Ale dokądkolwiek nas poprowadzą, ciotko Wu Chow, tylko najzdolniejsi nadążą za postępem.

Po rozmowie z Uliassutai Blake'm zawsze czuła się lepiej. Żałowała, że sama nie mogła uczyć się u takiego nauczyciela. Ze swej strony, ekscentryczny Anglik znajdował przyjemność w rozmowach z nią. Była jedną z dwojga ludzi, którzy rozumieli jego dynamiczne podejście do świata. Drugim był szczupły, młody rewolucjonista o sokolich oczach. Szukał schronienia na Hawajach. Nazywał się Sun Yan Sen. Pojmował słowa swego nauczyciela nawet lepiej niż Nyuk Tsin. ...

Drugą rzeczą, w kwestii której Nyuk Tsin podejmowała decyzje w rodzinie była kwestia domów. Uważała budowanie okazałych domów za wyrzucanie pieniędzy w błoto, zwłaszcza, że ludzie godni zaufania pracowali głównie poza domem. Dlatego trzymała w małym, obskurnym domku tyłu synów, ilu zdołała pomieścić. Naturalnie wszyscy Kee nie daliby rady mieszkać w niewielkiej szopie, ale mieściło ich się tam zaskakująco dużo. Azja i jego rodzina mogli mieszkać na zapleczu swojej restauracji. Europie i jego dzieciom pozwoliła mieszkać przy sklepie, ale wszyscy inni żyli razem w domku na Nuuanu. Właśnie tam hawajskie żony gotowały w miarę regularne posiłki, a dzieci uczyły się mówić w pidgin i jeść poi. Jeszcze przed tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym rokiem, Afryka mógł pozwolić sobie na wybudowanie własnego domu, ale chociaż Nyuk Tsin pozwalała mu obracać każdym centem należącym do hui, nie uważała go za zdolnego do podjęcia decyzji co do tego, gdzie chce mieszkać. Tak więc mając trzydzieści jeden lat, mieszkał wraz z żoną i pięciorgiem dzieci w starym domu.

— Dzięki temu oszczędzamy pieniądze — mówiła.

W wypełnionym po brzegi domu były teraz cztery ukulele i siwowłosa Apikela uczyła swoje wnuki jak uderzać w struny tego instrumentu. Dom był pełen wrzawy. Wypełniały go hawajskie matki i ciche, ciężko pracujące, chińskie ciotki.

Trzecią rzeczą, w której Nyuk Tsin podejmowała decyzje, były zakupy ziemi. Jej głód Hakka na to największe z ziemskich dóbr nigdy nie był zaspokojony. Prześladował ją pewien koszmar senny: widziała swoich wciąż rozmnażających się potomków. Nie mieli dość miejsca, aby stać swobodnie i poruszać się. Ilekroć hui Kee zostało po opłaceniu czesnego za kształcenie dzieci kilka dolarów, nalegała, by kupić za nie więcej ziemi. Nie było to łatwe w Honolulu. Ogólnie rzecz biorąc, nie sprzedawało się ziemi, najcenniejszej rzeczy na Hawajach. Można ją było jedynie wydzierżawić. Hoxworthowie posiadali ogromne tereny odziedziczone po alii Mui Noelani. Podobnie Hewletto-wie, którzy dostali ziemię w spadku po drugiej żonie misjonarza. Jandersowie i Whipple'owie nie posiadali dużo ziemi na własność, ale poprzez dzierżawę kontrolowali znaczne obszary. Ten kto miał ziemię, wzbogacał się. Wielkie rodziny haole nigdy nie sprzedawały ziemi. Hawajczycy chcieli sprzedawać, lecz ich ziemia zazwyczaj znajdowała się poza miastem. Gdy przygarbiona Chinka postanowiła kupić w Honolulu dość ziemi, by jej rodzina mogła spokojnie rozmnażać się, znalazła się w konflikcie z interesami największych rodzin Hawajów.

Jak wcześniej wspominałem, haole na Hawajach pragnący ustrzec się przed Chińczykami, powinni byli zastrzelić Uliassutai Karakoram Blake'a. Przegapili tę okazję i Chińczycy zdobyli wykształcenie. W tysiąc dziewięćsetnym roku, jeśli haole chcieliby utrzymać swoje prerogatywy, a zdecydowanie chcieli, powinni byli zastrzelić Nyuk Tsin, ale nikt o niej dotąd nie słyszał. Sadzili, że głową rodziny Kee i motorem ich działania był Afryka Kee, prawnik. Obserwowali go uważnie.

Pod koniec tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku Afryka nie miał już pola manewru, został zablokowany.

— Kupno ziemi staje się prawie niemożliwe — poinformował swoją ciotkę. — Haloe po prostu nie sprzedają.

— Ile pieniędzy ma hui? — zapytała Nyuk Tsin.

— Cztery tysiące w gotówce, a moglibyśmy zebrać więcej.

— Czy próbowałeś kupić obszary w okolicach Queen Street?

— Bez rezultatu.

— Dzierżawa?

— Bez rezultatu.

Imperium Kee zostało powstrzymane, zanim zdążyło się rozwinąć i tak by pozostało, gdyby nie dramatyczna w swej formie interwencja szczura.

W dzień święta Dziękczynienia, po spokojnej podróży do Bangkoku, Singapuru, Hong Kongu i Jokohamy, do zatoki wpłynął „Maui”, parowiec linii „H&H”. Kiedy marynarze zarzucali cumy, z pokładu zbiegł brązowy szczur, który uratował majątek Kee. Niósł ze sobą sporą ilość pcheł. Biegał uEcami i wpadł do brudnej kuchni rodziny o nazwisku Chang.

Dwunastego grudnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, gdy dziewiętnasty wiek powoli umierał, razem z nim umierał w gorączce stary Chang. Gorączkę spowodowały najwyraźniej czerwone guzy, które wyskoczyły mu pod pachami. Kiedy młody doktor Hewlett Whipple z Departament Zdrowia przyszedł zaświadczyć, że mężczyzna ten zmarł śmiercią naturalną, na widok zwłok ogarnęło go przerażenie.

— Nie grzebiecie tego człowieka — rozkazał i w ciągu dziesięciu minut wrócił z dwoma innymi młodymi lekarzami. Każdy z nich miał ze sobą książkę medyczną. Trzej mężczyźni w ciszy obejrzeliz zwłoki i popatrzyli na siebie ze zgrozą.

— Czy moje podejrzenia były słuszne? — spytał doktor Whipple.

— To dzuma — zgodzili się koledzy.

— Niech Bóg ma nas w swojej opiece — modlił się Whipple.

Trzej lekarze smutnym krokiem ruszyli do Departamentu Zdrowia, starając się nie okazywać publicznie strachu. Wiedzieli, że w Kalkucie na dzumę zmarły kiedyś tysiące ludzi w ciągu kilku tygodni. Nie znano lekarstwa na tę chorobę. Raz zaatakowawszy, siała wśród ludzi śmierć i strach. Lekarze dotarli wreszcie do Departamentu Zdrowia. Zamknęli za sobą drzwi i usiedli w ciszy. Zbierali odwagę na to, co musieli zrobić. Potem doktor Whipple, który odziedziczył odwagę po swym wielkim dziadku powiedział po prostu:

— Musimy spalić ten dom i wyznaczyć specjalne miejsce, w którym będziemy chować zmarłych. Trzeba sprawdzić każdy dom w Honolulu. Ani jeden chory nie może ukryć się przed nami. Zgoda?

— Podniosą się protesty przeciwko spaleniu domu.

— Spalimy go albo spadnie na nas wprost niewyobrażalna klęska — odrzekł doktor Whipple.

— Lepiej porozmawiajmy ze starszymi lekarzami.

Zrobili tak, wzywając ich w straszliwym pośpiechu. Starsi lekarze byli przekonani, że ich młodszych kolegów ogarnęła panika na widok jakiejś zwykłej choroby mającej wyjątkowe objawy.

— To mało prawdopodobne, abyśmy mieli na Hawajach dzumę. Udawało nam się uniknąć jej przez siedemdziesiąt lat.

Inny powiedział:

— Powinniśmy zobaczyć ciało.

Czterech uznanych lekarzy chciało iść do brudnego baraku w Chinatown, ale doktor Whipple zaprotestował:

— Wzbudzicie konsternację wśród Chińczyków — ostrzegł. — poszedłem

tam i szybko wróciłem z moimi kolegami. Jeśli teraz wy się pokażecie, dorny-ślą się, że coś jest nie w porządku.

— Nie zamierzam ogłosić publicznie, że mamy dżumę — sprzeciwił się wysoki, postawny lekarz — dopóki nie przekonam się o tym na własne oczy. Dodatkowo, chcę, aby poszło ze mną dwóch doświadczonych lekarzy.

— Zanim pan pójdzie, proszę mi powiedzieć, jakie symptomy mogłyby pana przekonać — poprosił doktor Whipple. Lekarze nie zabieraE ze sobą książek medycznych i to go trochę zaniepokoiło.

— Widziałem dżumę w Chinach — odpowiedział wymijająco lekarz.

— Jakie symptomy?

— Czerwone guzy w pachwinach. Trochę mniejsze pod pachami. Wysoka gorączka, której towarzyszą halucynacje, no i charakterystyczny zapach wydobywający się z przekutych guzów.

Doktor Whipple nerwowo oblizał zaschnięte wargi i poprosił:

— Doktorze Harvey, idąc tam, niech pan zabierze ze sobą policję. Musimy spalić dom jeszcze tej nocy.

Po pokoju przebiegł szmer przerażenia.

— A więc to jest dżuma — zapytał w końcu doktor Harvey.

— Tak.

Zapadła złowroga cisza. Po chwili wahania doktor Harvey z uporem oznajmił:

— Nie mogę podjąć odpowiednich kroków, dopóki nie zobaczę ciała.

— Ale zabierze pan ze sobą policję?

— Naturalnie. Niech panowie omówią szczegóły naszego dalszego postępowania na wypadek, gdyby to naprawdę była dżuma.

Odszedł pośpiesznie zabierając ze sobą dwóch przerażonych kolegów. Nie wracał bardzo długo. Przez ten czas trzej młodzi lekarze, na których spadł ciężar kwarantanny obawiali się, że starsi koledzy odmówią podjęcia środków ostrożności, do czasu, aż dżuma będzie wyraźnie widoczna. Nie doceniali doktora Harvey'a.

Po godzinie wpadł do Departamentu Zdrowia. Jego twarz poszarzała. Oznajmił, że to była dżuma. Przeszukał wszystkie domy w najbliższym sąsiedztwie. Odkrył martwego chłopca i trzy inne przypadki choroby. Na własną odpowiedzialność zawiadomił straż pożarną, aby była przygotowana na ważną akcję.

— Panowie — wysapał. — Honolulu jest już opanowane przez dżumę. Niech Bóg da nam siły, by walczyć z tą chorobą.

Tej nocy zaczął się horror. Zdeterminowani lekarze zwołali urzędników państwowych i zimno oświadczyli:

— Jedynym sposobem na zwalczenie choroby jest spalenie każdego domu, w którym ją wykryjemy. Trzeba je spalić!

Bojaźliwi urzędnicy zaprotestowali:

— Jak można spalić dom bez zgody jego właściciela? W Chinatown miną wieki, zanim ustalimy, co do kogo należy. Nawet jeśli nie popełnimy błędu, będą nas mogli zaskarżyć.

— Dobry Boże! — wykrzyknął doktor Harvey, waląc pięścią w stół. — Mówicie o procesach sądowych. Jak wam się wydaje, ile osób umrze przed Bożym Narodzeniem? Powiem wam. Będziemy mieli szczęście, jeśli skończy się na dwóch tysiącach. Tu obecny pan Whipple może umrzeć, bo dotykał ciała. Ja mogę umrzeć, ponieważ ja również go dotykałem. Wy możecie umrzeć. Przecież przebywamy teraz w tym samym pokoju. A teraz mtychrriiast spalcie te cholerne domy.

Rząd wezwał straż pożarną i zapytał jak spalić jeden dom, nie zapraszając przy tym sąsiadnego.

— Zawsze jest pewne ryzyko — odpowiedzieli strażacy — ale robiono już coś takiego.

— Czy dzisiejszej nocy wieje wiatr?

— Niezbyt mocny.

— Czy moglibyście spalić całkowicie cztery domy?

— Tak jest.

— Niczego nie róbcie i nie wspominajcie nikomu o tej rozmowie. Tej nocy nie zrobiono niczego.

Przez trzy straszliwe dni ciągnęły się debaty. Lekarze byli wstrząśnięci tą zwłoką. W straszliwie gęsto zaludnionym Chinatown odkryli jeszcze dwanaście przypadków i jedenaście zgonów. Starzy ludzie nagle zaczęli narzekać na gorączkę i bóle w pachwinach. Ich twarze wykrzywił ból. Potem przychodziła wysoka gorączka. Mieli straszliwe pragnienie. Umierali trzęsąc się, a kiedy pękł któryś z czerwonych guzów, wydobywał się z niego obrzydliwy zapach. Dżuma szalała zbierając straszliwe żniwo, a idiotyczna debata trwała nadal.

W końcu doktor Whipple ogłosił publicznie:

— Honolulu zostało opanowane przez dżumę. Nie można jeszcze przewidzieć ile ofiar pochłonie zaraza. Trzeba podjąć jak najsurowsze środki.

Miasto ogarnęła panika. Wokół Chinatown ustawiono kordon i nikomu nie wolno było opuszczać tego miejsca. Zamknięto szkoły i kościoły. Nie wolno było organizować spotkań. Statki poproszono o odpłynięcie do innych zatok. Życie miasta zatrzymało się.

To były straszliwe święta Bożego Narodzenia. Ostatnie w dziewiętnastym wieku. Nie świętowano też nadejścia nowego stulecia.

Podczas świąt zaczęły się pożary. Doktor Whipple i jego grupa pokazywali strażakom domy, w których odkryli chorobę. Chinatown z grubsza dzieliło się na położoną nad oceanem część handlowo-biznesową i zatłoczoną dzielnicę mieszkalną rozciągającą się w stronę gór. Chociaż dżuma rozpoczęła się w tej pierwszej, szybko przeniosła się na obszary mieszkalne. Dlatego lekarze zaproponowali, by zniszczyć cały ten obszar. Rząd zgodził się, ponieważ paląc ten teren, utworzono barierę pomiędzy dwiema częściami miasta. Na skazanym na zagładę terenie stała dawna rezydencja doktora Johna Whipple'a, otoczona obecnie przez slumsy. Jego prawnuk ze łzami w oczach patrzył jak stara posiadłość rodzinna ginie w płomieniach, które on sam kazał rozniecić. Palenie miasta, które powstało tak wielkim wysiłkiem ludzkiej pracy było okropnym zadaniem. Mimo to kontynuowano wzniesienie pożarów, a policja pilnowała, by Chińczycy nie wyszli poza teren Chinatown i nie poruszali się swobodnie po mieście. Na terenach kościelnych utworzono obozy dla uchodźców. Dla tych, którzy stracili dach nad głową postawiono namioty. Pani Hewlett nadzorowała jeden obóz, pani Hale drugi, a pani Janders trzeci, znajdujący się na zboczach Punchblow, krateru znajdującego się na obrzeżach miasta. Dostarczono koce. Zajmowała się tym grupa prowadzona przez Malamę Hoxworth. David Hale, junior, oraz jego wuj Tom Whipple zorganizowali i prowadzili kuchnie polowe. Jeździli konno od jednego obozu do drugiego.

Powstały specjalne grupy, które dwa razy dziennie sprawdzały każdy pokój w Honolulu. Sprawdzali czy nie ukrywa się chorych. Zgodnie z tradycją misyjną, w której wyrosli, Hale'owie, Hewlettowie i Whipple'owie zgłaszali się na ochotnika do najbardziej niebezpiecznej pracy. Chodzili po Chinatown,

upewniając się, czy gdzieś nie leżą zwłoki chorych. Ich oczom ukazał się straszliwy widok — potępienie ich rządów na Hawajach.

Ulice Chinatown nie miały chodników. Obskurne uliczki zakręcały obok otwartych dołów kloacznych. Wałące się baraki podpierano palikami w nadziei, że uda się wyciągnąć z nich jeszcze jedno roczne komorne. W środku znajdowały się pozbawione okien pokoje, kuchnie bez wody. Na schodach nie było światła, a w piwnicach zalegały materiały łatwopalne. Nie było przepływu powietrza. Żył tu zaledwie drugie pokolenie Chińczyków, a Chinatown pękało w szwach, dusiło się. Sytuację pogarszał fakt, że ludzie ze spalonych domów przechodzili przez kordony i zamiast w obozach dla uchodźców, mieszkali u swoich przyjaciół, zarażając ich chorobą. Gdyby ktoś szukał miejsca, gdzie szczur mający pchły, które przenoszą dżumę, miałby największe pole do działania, Chinatown zajęłoby jedno z pierwszych miejsc na jego liście.

Policja wiedziała o przeludnieniu, a Departament Zdrowia zdawał sobie sprawę ze złych warunków sanitarnych. Nade wszystko właściciele domów zdawali sobie sprawę z zagrożenia, jakie stwarzali. Nikt jednak nie protestował, ponieważ ten teren w znacznym stopniu należał do ludzi, którzy go teraz wizytowali — Hale'ów, Hewlettów i Whipple'ów, którzy odkryli, że Chińczycy sumiennie płacą komorne. Teraz, idąc ulicami tego ogniska zarazy, dzień po dniu narażając życie, często zadawali sobie pytanie: „Dlaczego nie zrobiliśmy czegoś wcześniej?”.

Piętnastego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku osiem najbardziej zagrożonych obszarów zostało całkowicie wypalonych, a niezliczona ilość szczurów, mogących przenieść chorobę, wybita. Wydawało się, że zapobieżono rozwojowi zarazy. Trzy tysiące Chińczyków znajdowało się w obozach uchodźców, z których nie mogli rozprzestrzeniać choroby, ale bliżej nieznaną ich liczba ukrywała się w wąskich zaułkach. Ci właśnie ludzie zdołali dokonać tego, co nie udało się szczirom. Do kwatery głównej przychodziły tej nocy raporty o nowych zgonach i zarażeniach. Doktor Whipple zrozumiał, iż nie udało się powstrzymać epidemii i los Honolulu wisiał na włosku.

Szesnastego stycznia zebrał swoich lekarzy, zmęczonych i boleśnie świadomych tego, co może przynieść następny tydzień. Dżuma zatrzymała się w górnej części Chinatown i tylko czekała, by ogarnąć całe miasto. Musieli ją cofnąć albo pozwolić jej szaleć wśród całego społeczeństwa. Jedynym lekarstwem, jakie znali, był ogień. Doktor Whipple przemówił pierwszy:

— Nasze zespoły znalazły wczoraj dwadzieścia dziewięć nowych przypadków.

— Do diaska! — zaklął zdenerwowany doktor Harvey. Złożył ręce na stole i położył na nich głowę, wycofując się z tej części rozmowy.

— Wszystkie zgony i większość zarażeń wystąpiła w tym tygodniu w pobliżu gór — wyjaśnił doktor Whipple. — Możemy tylko Bogu dziękować, że nie kierują się w stronę centrum miasta.

— To chyba jedyna dobra wiadomość, jaką mamy — sapnął jeden ze starszych lekarzy, który odkrył siedem przypadków w okolicach gór.

Doktor Whipple zawahał się, lecz po chwili powiedział wyraźnie:

— Chyba wszyscy wiemy, co należy zrobić.

— Masz na myśli spalenie całego obszaru zewnętrznego?

— Tak.

— Jezus, przecież oni wybuchną. Oni na to nie pozwolą, Whipple. Doktor Whipple przycisnął dłoń do czoła i zapytał:

— Znasz jakieś inne wyjście?

— Nie mam zamiaru spierać się z tobą — wyjaśnił starszy lekarz. — Po prostu mówię... Do diabła, Whipple, na tym terenie musi być z pięćset domów.

— A każdy z nich zarażony dżumą.

— Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za tę decyzję — oznajmił starszy lekarz.

— Ani ja — wykrzyknął inny. — Na Boga, Whipple, to przecież połowa miasta!

Doktor Harvey, wciąż oparty na stole zapytał ostro:

— Jeśli rozpoznacie w ręce zatrucie krwi, które z pewnością zniszczy cały organizm, co zrobicie?

Nie usłyszał odpowiedzi, więc po chwili uderzył pięścią w stół i krzyknął:

— No, co do diabła zrobicie? Odetniecie ją! Spalcie ten teren. Natychmiast!

— Tylko rząd może podjąć taką decyzję — powiedział powoli, przerażonym głosem Whipple. — I będzie musiał ją podjąć.

— Opuuszczamy to zebranie — ostrzegło dwóch lekarzy — i proszę to zanotować.

— I niech ktoś zapisze, że ja go nie opuściłem — grzmiał doktor Harvey. — Spalcie to cholerne miasto, inaczej wszyscy wyginiecie.

Osiemnastego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku rząd zdecydował spalić znaczną część miasta, próbując ocalić jego ludność. Kiedy zaznaczono na czerwono skazane na zagładę obszary, oczywiście stały się dwie rzeczy. Po pierwsze, były to tereny obrzeżne. Po drugie, były one zamieszkiwane głównie przez Chińczyków. Dwóm członkom gabinetu łyzy stanęły w oczach, a jeden z Hewlettów, mający w sobie znaczną domieszkę hawajskiej krwi, zapytał:

— Dlaczego nieszczęścia zawsze spadają na tych, którzy najgorzej je znoszą?

— Palimy obszary zaatakowane przez dżumę — odrzekł jeden z zasiadających w gabinecie Hale'ów. — A ona zaatakowała Chińczyków.

— Koniec tej dyskusji! — krzyknął przewodniczący. — I tak krążą już plotki, że palimy Chinatown, by ukarać Pake za opuszczenie plantacji. Nie chcę słuchać tego rodzaju gadaniny w tym pokoju. Palimy Chinatown, ponieważ tam panuje dżuma.

Hewlett, pół krwi Hawajczyk poczuł się zastraszony, zapytał więc wskazując na obszary zamieszkałe przez haole:

— Czy palilibyście domy, gdyby dżuma zaatakowała te obszary? Czy spalilibyście wasze własne domy?

— Dżuma nie zaatakowała naszych domów — odpowiedział przewodniczący. — Zaatakowała Chińczyków.

Dziewiętnastego stycznia straż pożarna dała swoim ludziom dzień wolnego i poradziła, aby dobrze się wypali przed ciężką pracą zaplanowaną na następny dzień. „Honolulu Mail” donosiła: „Prosimy wszystkich obywateli naszego miasta o zachowanie jutrzejszego dnia wyjątkowej ostrożności i obserwowanie ognia. Nasi wspaniali chłopcy ze straży pożarnej dowiedli, że potrafią podpalić jeden dom, jednocześnie ratując dom sąsiedni. Jednak stoi przed nimi ogromne zadanie i niebezpieczeństwo pożaru wzrośnie. Miotły i kubły z wodą powinny być trzymane w łatwo dostępnych miejscach.

Kiedy wiadomość o planowanym podpaleniu dotarła do Chinatown, opanowała je panika. Wielu ludzi na próżno próbowało sforsować kordony i wydostać się z zarażonego terenu. Domy, które miano spalić otaczała policja a mieszkańców odprowadzano do obozu uchodźców na zboczu Punchbowl. Stamtąd mogli patrzeć w dół na swoje skazane na zagładę domy. Pracowali na nie ciężko i ten widok doprowadzał ich do wściekłości. Tej nocy wydarzyło się wiele niemiłych scen. Jeden z Chińczyków, znający trochę angielski podszedł do pani Janders, nadzorującej obóz w Punchbowlu zawołał:

— Wy robić to specjalna.

— Nie — odpowiedziała cicho — to dzuma.

— Nie dzuma — wrzeszczał wściekły Chińczyk. — Twoja mąż ma mój sklep. On wciąż mówi: „Więcej pieniędzy! Więcej pieniędzy!”. Ja nie płacić, on pali.

— Nie — starała się przemówić mu do rozsądku pani Janders. — Panie Apaka, to z powodu dżumy, w przeciwnym razie nie robilibyśmy tego.

Ale Chińczycy wiedzieli swoje. Przez całą noc z dziewiętnastego na dwudziestego stycznia patrzyli na tajemnicze światła miasta. Z goryczą czekali, aż zacznie się pożar.

Na szczęście dwudziesty stycznia był spokojnym, bezwietrznym dniem. O ósmej rano, zgodnie z planem, strażacy zaczęli zabezpieczać pozostałą część miasta. Wylali znaczną ilość benzyny na małą szopę stojącą na przeciwko miejsca, gdzie kiedyś stała rezydencja Whipple'ów. Szopa zasługiwała na zniszczenie. Zmarło w niej już pięć osób, a trzy inne zostały zarażone. O ósmej dziesiąt podłożono ogień. Brudna szopa wyleciała w powietrze.

W tym samym czasie lekki wiatr powiał z północnego wschodu. Spłynął z gór i kiedy dotarł do płonącej szopy, zamienił się w silny powiew. Iskry poleciały w zupełnie innym kierunku niż to planowała straż pożarna. Pół tuzina domów nie przeznaczonych do spalania stanęło w płomieniach, ale szybko ewakuowano z nich ludzi. Same domy nie miały większej wartości, więc strażacy ich nie ratowali. Otoczyli je tylko i pilnowali, by pożar nie przeniósł się w stronę centrum.

Potem, o ósmej trzydziści kapryśny wiatry ze wzgórz porwał iskry wysoko w powietrze. Na szczęście, powiał je na już oczyszczony z domów obszar. Najwyraźniej był to wiatr przysłany prosto z piekieł, gdyż ponownie zawirował i przerzucił ogień na dach kościoła Kongregacjonistów, stojącego na przeciwko dawnej rezydencji Whipple'ów. Kościół miał dwie wieżyczki, ponieważ król powiedział:

— Człowiek ma dwoje oczu, żeby lepiej widzieć i dwoje uszu, żeby lepiej słyszeć. Mój kościół mieć dwie wieże, aby mógł łatwiej odnaleźć Boga".

Teraz wieże były zagrożone. Strażacy wiedzieli, że jeśli iskry wzniecą pożar na wieżach, wiatr rozniesie go na centrum miasta. Dwóch odważnych Ha-wajczyków zaczęło wspinać się na wieże. Jeden z nich zdążył na czas i ugasił ogień w zarodku. Drugi zjawił się na górze za późno. Kiedy wszedł na górną półkę, ta już płonęła. Ledwie zdołał uciec.

W kilka minut później kościół zapalił się niczym pochodnia. Dzwon spadł do piwnicy. Słynne organy, przywiezione z Londynu, stopiły się, a witraże popękały w ogniu. Wielu ludzi, którzy składali się na jego budowę i włożyli w nią własną pracę patrzyło na pożar ze łzami w oczach. Ale najważniejsza była nie utrata kościoła, tylko to, że był on wysoki. Wiatr wiejący z gór porywał płomienie ogarniające jego wieże i przenosił je w powietrzu. Zebrani pod kościołem ludzie widzieli nad swoimi głowami setki iskier unoszących się na

wietrze. W ciemnościach nocy byłoby to bajkowe zjawisko. W świetle dnia napełniało przerażeniem. Iskry przelatywały bowiem nad wypalonym już obszarem i spadały w samo serce miasta, na wysuszone, drewniane dachy, które natychmiast zapalały się. Z zadziwiającą dokładnością Starego Testamentu iskry z chrześcijańskiego kościoła spadały tylko na domy pogan. Gdyby Chryścijanie z Honolulu zamierzali doszczętnie zniszczyć Chinatown, nie zrobiliby tego lepiej niż iskry z ich skazanego na zagładę kościoła.

Pierwsze płomienie w dolnej części Chinatown pokazały się o dziewiątej czterdzieści, kiedy ogień spadł na gęsto zbudowany obszar. Strażacy szybko otoczyli dom, by ugasić pożar i w końcu osiągnęli cel. Gdy to robili, inny płomień spadł na dość szczególny dom. Na zewnątrz wyglądał zwyczajnie, ale kiedy zaczął się palić, znajdujący się w pobliżu Chińczycy zaczęli uciekać. Hawajscy strażacy zostali sami.

— Wracajcie! — lamentował stary Chińczyk w języku, którego strażacy nie rozumieli. — Powiedz im, żeby wrócili! — krzyczał, pochwywszy za rękę jednego z młodych Chińczyków.

Grupka odważnych Chińczyków wróciła do płonącego domu, pochwyliła strażaków za ręce i odciągnęła ich.

— Wy wracać! — krzyczeli.

Strażacy bali się Chińczyków, po rozruchach z poprzedniego dnia. Ostrzeżono ich, że Chińczycy mogą sprawiać kłopoty. Zinterpretowali to dziwaczne zachowanie jako początek ogólnych zamieszek. Porzucili pracę, chcą bronić się przed Chińczykami. Mieli dużo szczęścia, ponieważ właśnie wtedy dom wybuchnął. Po prostu zniknął w złocistych płomieniach. Wtedy strażacy zrozumieli. Był to stary dom, w którym jakiś Chińczyk trzymał benzynę. Nie rozumieli jednego. Eksplozja, chociaż sama w sobie straszliwa, była początkiem czegoś znacznie gorszego. Z ruin zaczęły wylatywać serie fantastycznych rakiet i ogni sztucznych, które wybuchały nad miastem. Jedne wyrzucały w niebo gwiazdy. Inne kręciły się w miejscu na ulicach. Jeszcze inne zygzakiem jak szalone przecinały poranne niebo. Spadały na dach jakiegoś domu i wirowały, aż w końcu dach również się zapalał. Ów fatalny dom był nie tylko składem benzyny, ale i ogni sztucznych przygotowywanych na chiński Nowy Rok.

Po tej eksplozji stracono jakąkolwiek nadzieję na ocalenie dolnych partii Chinatown. Przez następne siedem godzin Chińczycy zebrani na zboczach Punchbowl, stojąc za drutami obozu patrzyli na rozprzestrzeniający się w dole ogień. Co jakiś czas, kiedy ogień obejmował składy benzyny, następował kolejny wybuch. Płomienie rozprzestrzeniały się na dalsze tereny. I co jakiś czas, ogień niezmiennie natrafiał na ogni sztuczne. Wystrzeliwały w górę i opadając zapalały kolejne domy. Co gorsza, wiatr wciąż wiał od gór, z Iderunku, z którego najmniej się go spodziewano. Po południu nie było już wątpliwości. Nie zachowa się ani jeden chiński dom w mieście.

Kiedy całkowita zagłada Chinatown stała się oczywista, Chińczycy wpadli w panikę. Starcy, którzy po czterdziestu pięciu latach ciężkiej pracy na plantacjach trzciny cukrowej ledwie ruszali nogami, wbiegali do płonących domów, by ratować jakiś przedmiot, pamiątkę szczególnie im drogą. Wkrótce pojawiali się na ulicach ciągnąc wózki, albo niosąc na bambusowych tyczkach kosze wypełnione bezużytecznymi skarbami. Nikt nie pomyślał o kocach ani jedzeniu, tak potrzebnym w obozie uchodźców. Wkrótce ulice wiodące z Chinatown zapełniły się ludźmi: bosymi, starymi kobietami w niebieskich ubraniach, mężczyznami w roboczych koszulach, pięknymi dziewczętami z włosami związanymi w warkocze i dziećmi o okrągłych buziach. Z japońskiej herbaciarni

wybiegły dwie gejsze o twarzach przyprószonych pudrem. Nerwowo biegły na koturnach, a ich kimona łopotały. Za nimi utykały na swoich obwiązanych nogach stare kobiety Punt. Mężczyźni próbowali unieść ciężary, które powaliłyby konia i które powinny ich także powalić. Droga ucieczki byk zaśmiecona pogubionymi przedmiotami. Rodziny, które nigdy nie posiadały zbyt wiele, teraz zatrzymywały się i podnosiły z ulicy cenne przedmioty. Później, w pośpiesznej ucieczce porzucali je, podobnie jak uczynili to ich prawowici właściciele.

Zbliżała się największa tragedia tego dnia. Uciekający przed ogniem Chińczycy natrafili na kordon poEcyjny, którego okrutnym zadaniem było zatrzymanie ich wewnątrz opanowanej przez zarazę strefy. Komisarz poEcji przyrzekał później, że nie było zamiarem policji uwięzienie Chińczyków na opanowanym przez pożar obszarze. Chciano zmusić ich do przejścia ściśle wyznaczonymi drogami do obozów uchodźców, gdzie pozostaliby pod obserwacją lekarzy, na wypadek gdyby byli zarażeni.

— Nie chcą nas wypuścić ! — zaczęła krzyczeć biedna, na wpół oszalała ze strachu Chinka.
— Chcą, żebyśmy spłonęli w domach, które podpalili.

Na próżno usiłował przedrzeć się przez poEcyjny kordon, ale zgodnie z rozkazami odepchnięto ją w stronę ognia z którego mogłaby się wydostać przystosowaną do tego drogą ewakuacyjną, gdyby tylko potrafiła ją znaleźć.

— Pcha mnie z powrotem w ogień! — wrzeszczała kobieta. Mężczyźni nagle zdali sobie sprawę, iż nie będą mogli opuścić płonącej części miasta. Zebrali się i ruszyli na policjantów.

— Przedzierają się! — zawołał oficer i zza jego pleców, z części miasta nie opanowanej przez zarazę, na pomoc ruszyli biali ochotnicy. Mieli ze sobą pałki, łomy i strzelby.

— Cofnijcie się! — krzyczeli. — Gdzie indziej macie bezpieczną drogę ucieczki!

W tym momencie, kiedy ogólne zamieszki wydawały się nieuniknione, na scenie pojawiło się kilkuset wyćwiczonych i uzbrojonych żołnierzy Stanów Zjednoczonych. Ustawiono ich wzdłuż głównych ulic prowadzących z Chinatown.

— Pod żadnym pozorem nie wolno wam strzekać bez mojego rozkazu — ostrzegł ich oficer, gdy maszerowali na swoje stanowiska. Potem zajęli miejsca u boku policjantów.

Dla przerażonych Chińczyków, bombardowanych przez własne ognie sztuczne, przybycie żołnierzy było nie do zniesienia. Oznaczało, iż zostaną zastrzeleni, gdyby próbowali uciekać z ognia. Pomiędzy obydwiema grupami istniała bariera językowa. Nikt nie potrafił wytłumaczyć, że żołnierze mieli tylko przeciwdziałać rozprzestrzenieniu się dżumy. Istniała bezpieczna droga ewakuacyjna z Chinatown, ale ludzie stawali się gwałtowni i wątpliwi, by udało im się ją odnaleźć.

— Znowu na nas nacierają! — zawołał kapral, kiedy szesnastu Chińczyków szykowało się do ataku.

— Nie strzelać! — rozkazał kapitan. — Nie ważcie się strzelać.

— Co mam...

Potem nastąpiło gwałtowne starcie. Policjanci bili Chińczyków pałkami, a żołnierze kolbami karabinów. Linka obrony na chwilę przesunęła się, ale wkrótce nadeszli do pomocy ochotnicy z deskami wyrwanymi z płotów. Tłukli Chińczyków po głowach i odepchnęli ich w stronę ognia.

— Nie powstrzymamy ponownego ataku! — ostrzegł kapral.

Jakby dla podkreślenia grozy tej chwili, eksplodował duży skład ogni sztucznych, zwiększając jeszcze ogólnie panujące szaleństwo.

— Nie strzelać! — ostrzegał kapitan każdego ze swoich ludzi.

— Na Boga, jeśli wpadnie na mnie gromada tych cholernych Chińczyków, będę strzelał — krzyknął kapral, nie zwracając na słowa przełożonego.

Stało się jasne, że przy następnym ataku Chińczyków dojdzie do masakry.

Kiedy przerażeni kapitanowie oblizywali wargi, szykując się do wydania jedyne go rozsądnego rozkazu: „Wystrzelić na postrach”, z tłumu wyskoczył doktor Hewlett Whipple.

— Przepuście mnie i na litość boską nie strzelajcie! — krzyczał. Przebił się przez kordon i wbiegł pomiędzy przerażonych Chińczyków.

Objął ramieniem przywódców zamieszek i poprosił:

— Nie próbujcie się przedzierać! Nie biegnijcie znowu w stronę kordonu. Proszę!

— Chcesz, żebyśmy tu poumierali! — wrzasnął na niego właściciel palni.

— Nie umrzemy — powiedział spokojnie Whipple i owym niespodziewanym „my” rozbroił Chińczyków. — Pobiegniemy w górę Nuuanu — wyjaśnił. Wszyscy dążyli do wydobycia się tamtędy.

Popychając przed sobą największych awanturników, zaczął biec w górę Nuuanu. Chińczycy pobiegli za nim. Po chwili zamieszki skończyły się, a młodzi, drżący żołnierze otarli pobladłe twarze, zabezpieczyli karabiny i odmaszerowali.

Spośród Chińskich rodzin, które ucierpiały dwudziestego stycznia tysiąc dziewięćsetnego roku, kiedy Chinatown spłonęło, według haoli z woli bożej, a według Chińczyków zostało specjalnie podpalone, żadna nie ucierpiała bardziej niż rodzina Kee. Kiedy wybuchł pierwszy składzik benzyny, płomienie zniszczyły biuro Afryki Kee. Wraz z biurem spłonęło jego archiwum. W restaurację Azji Kee uderzyła cała masa ogni sztucznych i restauracja spłonęła doszczętnie. Sklep Punti Europy został zniszczony, podobnie jak skład towarów Ameryki Kee. To samo dotyczyło się domów obydwu braci. Ich rodziny uciekły nie zabierając ze sobą prawie niczego, poza ubraniami, które miały na sobie. Tylko stary dom na Nuuanu ocalał, ale nawet jego mieszkańcy, z wyjątkiem Nyuk Tsin, pracującej akurat na poletku w lesie, zostali zagnani do obozu.

Nyuk Tsin wróciła z pola z dwoma koszami pełnymi ananasów. Gdy ujrzała, jak duża część Honolulu została zniszczona, w tym posiadłości hui Kee i kiedy nie znalazła swojej rodziny, której część, jak sądziła, z pewnością zginęła, przeżyła chwilę straszliwego przerażenia. Zwalczyła je i wbrew wszystkiemu, patrząc na pusty dom, powiedziała:

— Muszę odnaleźć moich synów.

Na szczęście, z przyzwyczajenia zabrała ze sobą kosze z ananasami. Kiedy wspięła się na strome zbocza Punchbowl i podeszła do obozu uchodźców, strażnicy ucieszyli się:

— Bogu niech będą dzięki! Nareszcie jakaś Pake z jedzeniem! Przepuścili ją i po godzinnych poszukiwaniach odnalazła czterech synów.

Nikt nie widział czy Azja wydostał się z płonącej restauracji. Uznano go za zmarłego.

Nyuk zebrała swoją oszołomioną rodzinę na zboczu Punchbowl od strony Pearl Harbor. W ciemnościach widać było światła statków w porcie. Usiedli na

kamieniach i patrzyli w dół, na opuszczone ruiny Chinatown. Instykt Hakka podpowiadał Nyuk Tsin, że aby przetrwać, rodzina powinna zebrać w sobie odwagę. W takie noce jak ta, mężczyźni często popadali w rozpacz i poddawali się losowi. Kobiety powinny temu zapobiegać. Patrząc w półmroku na wrażliwe twarze Europy i Ameryki, nie zobaczyła w nich nadziei. Byli gotowi uznać upadek imperium Kee. Otepiła twarz Afryki wyrażała odrobinę woli walki, akurat tyle, ile można by się spodziewać po wykształconym człowieku. Natomiast najmłodszy, Australia szalał z wściekłości, bo jakiś żołnierz uderzył go kolbą karabinu w brzuch. W niczym nie przypominali dawnej rodziny Kee. Ona sama nie była w nastroju do dodawania otuchy synom. W głębi serca oplakiwała Azję, który zginął w płomieniach.

Mimo to powiedziała cicho, żeby nikt inny nie usłyszał jej słów:

— Niemożliwe, by rząd nie zareagował na to, co się dzisiaj wydarzyło.

— Zniszczyli całe Chinatown — odezwał się Ameryka umęczonym głosem. — Specjalnie spalili nasze sklepy, ponieważ nie chcieliśmy pracować na ich plantacjach.

— Nie — przekonywała Nyuk Tsin — to zbieg okoliczności, że akurat powiał wiatr.

— Nie prawda, Ciotko Wu Chow! — krzyknął Europa. Złość wykrzywiła mu twarz. — Kupcy chcieli tego. W zeszłym tygodniu wyrzucili do zatoki całą żywność, którą sprowadziłem z Chin. Postanowili nas zniszczyć.

— Nie, Europo — powiedziała spokojnie Nyuk Tsin. — Bali się, że twój ładunek może być zarażony dżumą.

— Nie utopili w zatoce ładunków Haloe — krzyknął zapłakany głosem Europa. — Tamte ładunki także przybyły z Chin.

— Boją się — wyjaśniała Nyuk Tsin. — Ludzie robią różne rzeczy, kiedy się boją.

— Nie chcę już nigdy widzieć Honolulu — jęczał Ameryka. — Specjalnie spalili nasze sklepy.

— Nieprawda — nie poddawała się Nyuk Tsin — bali się, że...

— Ciotko Wu Chow — zawołał Ameryka. — Nie bądź głupia!

W ciemnościach dało się słyszeć kłaśniecie wymierzonego policzka i Nyuk Tsin powiedziała:

— Zachowuj się.

Przyciągnęła synów bliżej do siebie i zaczęła od nowa:

— Niemożliwe, aby nie wypłacono nam rekompensaty. Z całą pewnością rząd zapłaci nam za zniszczenia. Musimy w to wierzyć.

Po raz pierwszy odezwał się Afryka. Ostrożnie, powoli wymawiając słowa, zapytał:

— Dlaczego tak uważasz?

— Znałam starego doktora Whipple — odrzekła Nyuk Tsin. — Ludzie tacy jak on po prostu nie pozwalają na niesprawiedliwość.

— Tacy jak on celowo spalili nasze sklepy — zapłakał Ameryka.

Dał się słyszeć jeszcze jeden policzek i Nyuk Tsin z wściekłością krzyknęła:

— Nie chcę słyszeć ani jednego słowa więcej o przeszłości! Był pożar. Straciliśmy wszystko. Teraz zdobędziemy wszystko.

— Ciotko Wu Chow, czy sądzisz, że ludzie podobni do starego doktora Whipple zechcą nas wysłuchać? — zapytał Afryka.

— Być może nie zechcą — przyznała Nyuk Tsin, — ale na Hawajach pojawił się nowy czynnik. Stany Zjednoczone nie mogą pozwolić sobie, aby traktowano nas źle. Duma im na to nie pozwoli. Poza tym, zechcą pokazać

światu jak dbają o ludzi ... — zawiesiła na chwilę głos. Zastanawiała się na czymś. — Synowie — powiedziała po chwili — albo nasz rząd, albo rząd Stanów Zjednoczonych zapłaci nam za straty spowodowane pożarem. Jestem o tym całkowicie przekonana. Nie kłóćmy się o to ani chwili dłużej.

— Masz na myśli, że musimy zadbać o swoje interesy — myślał na głos Afryka — i postarać się o część pieniędzy, które zostaną przeznaczone dla poszkodowanych, bez względu na to, skąd te pieniądze przyjdą.

Nieważne jak dużo kosztowało nas jego wykształcenie, pomyślała Nyuk Tsin, warto było.

Cieszyła się, gdyż rozsądne słowa Afryki odnowiły w jej synach ducha dawnego hui. Hui rodziny Kee odżyło.

— Wydaje mi się — powiedziała — że Afryka musi poświęcić cały swój czas organizacji komitetu ochrony wszystkich, którzy ucierpieli od pożaru. Świat musi zrozumieć jedno — nie chodzi o to, czy nam zapłacą, problem w tym, ile. Afryko, musisz występować na każdej mównicy, przemawiać na każdym zebraniu. Musisz stać się rzecznikiem wszystkich Chińczyków. Będziesz reprezentował wszystkich i ogłosisz, iż nie chcesz żadnych opłat za swoją pomoc. Masz pracować i jeszcze raz pracować. Pisz oświadczenia do gazet. Pozwól im drukować swoje zdjęcia. Zawsze przemawiaj tak, jakbyś był absolutnie pewien, że pieniądze zostaną wypłacone. Wkrótce inni będą mówić to samo, a z czasem i oni uwierzą. — Przerwała. — Pieniądze zostaną wypłacone — dodała po chwili.

— Jak dużo możemy zarządzać? — wtrącił Europa.

— Ile mieliśmy budynków? — zapytał Ameryka. Hui czekało, podczas gdy Afryka liczył w myśli.

— Dostalibyśmy znaczne pieniądze — powiedział w końcu. — Restauracja, sklepy, domy, moje biuro. Odszkodowanie dla rodziny Kee byłoby jednym z najwyższych.

— O, nie! — przerwała im Nyuk Tsin. — Gdyby tak się stało, nie mógłbyś być przewodniczącym komitetu. Część naszych roszczeń będzie na Ciotkę Wu Cho, a gdzie to będzie możliwe, z roszczeniami wystąpią wasze hawajski żony. Roszczenia rodziny Kee nie mogą być wysokie. Twoim zadaniem będzie dopilnowanie tego, Afryko. Posłuż się Chingami lub kimkolwiek innym, jeśli będziesz musiał.

W tym momencie Australia rzucił najbardziej brzemiennie w skutki zdanie wypowiedziane owej nocy:

— Po tym, co stało się dzisiaj, nie chcę już więcej oglądać Chinatown. Chłodno, choć ze współczuciem dla mniej odważnych od niej samej, Nyuk Tsin zauważyła:

— W ciągu najbliższych tygodni wielu będzie czuło to, co ty czujesz, Australio. Wspomnienie dzisiejszego dnia będzie zbyt bolesne. Nie będą mogli się z tym pogodzić. Pozbędą się swojej ziemi w Chinatown. Jeśli tak uczynią, my ją kupimy.

Zapanowała długa cisza. Bracia patrzyli w dół, na wypalone miasto, które co pewien czas wylaniało się spoza chmur dymu zalegającego nad doliną. Zbliżał się przypyływ. Odwieczne fale przyboju, obojętne na ludzkie cierpienia uderzały o brzeg. Nagle bracia Kee zrozumieli, do czego nakłaniała ich matka. Z rozpaczyny zrodziła się nadzieja; z porażki, zwycięstwo. Na każde trzy niepomysłne lata przypada sześć szczęśliwych. Miasto spłonęło, ale musi być odbudowane. Rodzina została prawie zniszczona, lecz dopóki żyje choćby jeden jej członek, mężczyzna czy kobieta, ród przetrwa. Zapada noc pachnąca znisz-

czeniu, ale po niej nastaje dzień przepelniony wonią wilgotnej kostnicy i rozpoczyna się odbudowa.

— Nie wolno nam nikogo namawiać do opuszczenia Chinatown — dodała Nyuk Tsin — Nie możemy dobijać nieuczciwych targów. Teraz nie jesteśmy w stanie wiele zapłacić. Możemy jednak obiecać więcej na przyszłość. Wzbudzamy zaufanie. Wiedzą, że Kee zapłacą. Jeśli będziecie mieli do wyboru dwie działki, kupcie tę, która znajduje się bliżej naszych terenów, ponieważ w przyszłości sklepy będą większe. Możemy scalić nasze grunty, przez co będą miały większą wartość.

Po chwili dodała:

— Afryko, w ostatnim okresie istnienia komitetu musisz oświadczyć, iż nie możesz brać udziału w pracach rady, która będzie dokonywała rozdziału pieniędzy. Jeśli znajdziesz się w radzie, nie będziesz mógł przyznać znacznych sum rodzinie Kee. Z drugiej strony, jeśli się w niej nie znajdziesz, wszyscy jej członkowie powiedzą: „Gdyby nie Afryka, nie byłoby nas tu dzisiaj”. I będą dla nas hojni. Przechodząc przez wypalone tereny, zauważyłam, że wszędzie ocalały jedynie żelazne sejfy. Haolom wydadzą się bezużyteczne. Australio, zrobisz dobrą robotę kupując je wszystkie. Potem postaraj się jakoś je naprawić

— Ciotko Wu Chow nigdy nie zajmowałem się sejfami — zaprotestował jej najmłodszy syn.

— Naucz się — odpowiedziała ostro. Kiedy zbliżał się świt, Nyuk Tsin dodała:

— Jeżeli nam się uda, ludzie znienawidzą nas za posiadanie tak dużej ilości ziemi. Powiedzą, że podstępem wykradliśmy go ludziom po pożarze Zignorujcie ich. Miasto należy do tych, którzy chcą o nie walczyć. Mam trochę oszczędności i dużo warzyw. Wszystkie nasze kobiety i dziewczęta muszą pójść na służbę do haoli. Zapewni im to wyżywienie, a nam pieniądze. Europa i Ameryka muszą jutro odwiedzić każdy sklep haoli w mieście i prosić o towar na tani kredyt, żeby otworzyć nowe sklepy. Zróbcie to jutro, dopóki żałują tego, co się stało. W przyszłym tygodniu mogą nie zaproponować wam tak korzystnych warunków. Musimy pracować — powiedziała uśmiechając się do swoich czterech synów.

Ale o świcie Uliassutai Karakoram Blake wgramolił się na wzgórze z listą osób, które przebywały w innym obozie, po drugiej stronie rzeki Nuuanu. Kiedy głośno powiedział: „Azja Kee, prowadzący restaurację”, Nyuk Tsin ukryła twarz w dłoniach.

Dalszy ciąg w tomie *Hawaje - Złote runo*